

# MARYLA

Z ZIELONEGO WZGÓRZA

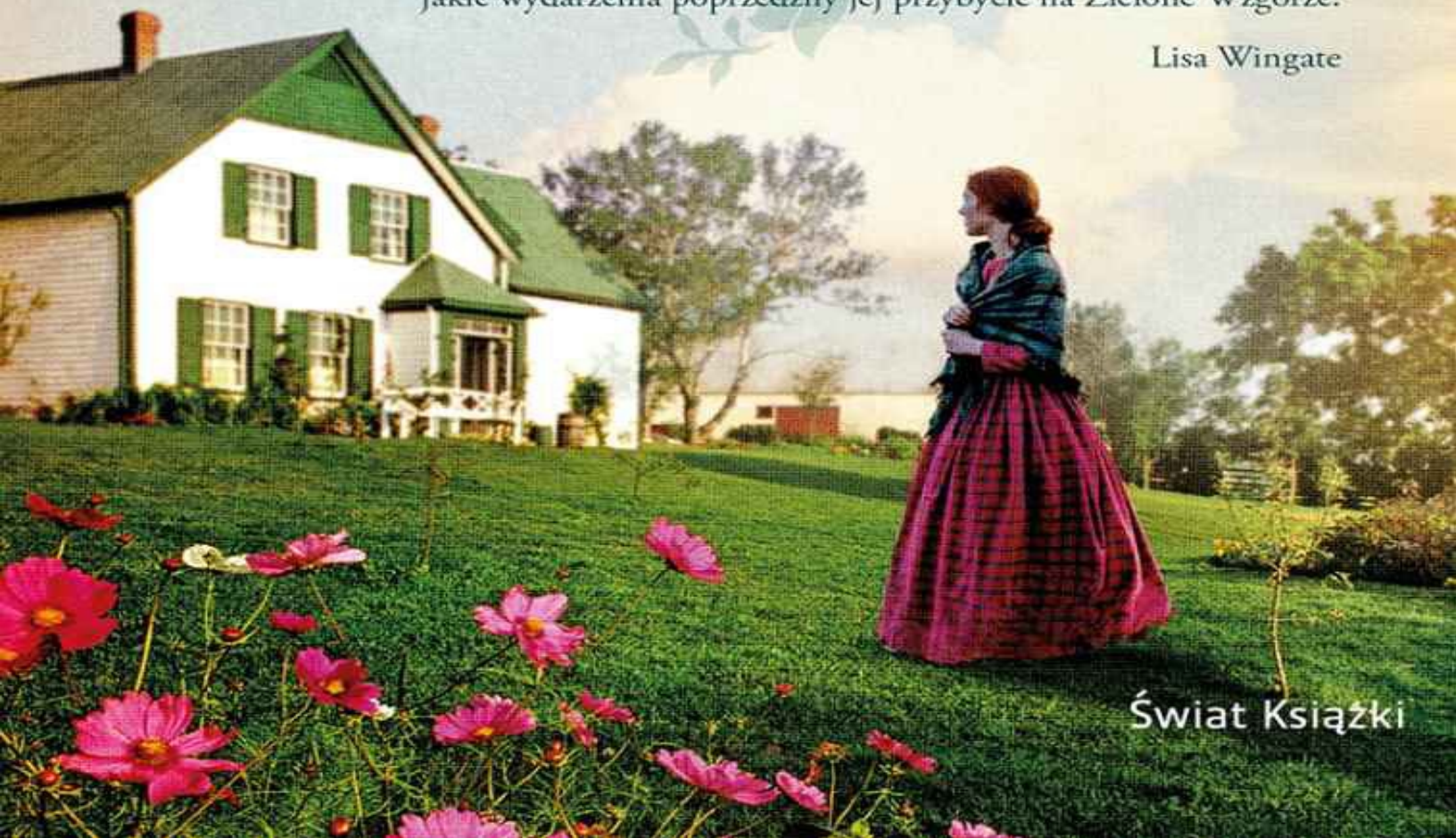
SARAH MCCOY

Autorka bestsellerowej powieści „New York Timesa”

*Córka piekarza*

Książka, którą musi obowiązkowo przeczytać każdy, kto zachwycił się Anią, i kiedykolwiek zastanawiał się, jakie wydarzenia poprzedziły jej przybycie na Zielone Wzgórze.

Lisa Wingate



Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Część pierwsza. Maryla z Zielonego Wzgórza

I. Przyjeżdża gość

II. Zaskakująca ciotka Izzy

III. Rodzinny przepis

IV. Maryla poznaje historię ciotki Izzy

V. Maryla zaprzyjaźnia się z Małgorzatą White

VI. Maryla poznaje Janka Blythe

VII. Ciotka Izzy daje lekcję

VIII. Maryla zabawia niespodziewanego gościa

IX. Maryla i Małgorzata jadą do Nowej Szkocji

X. Sierociniec w Hopetown

XI. Majowy piknik

XII. Ametystowa broszka

XIII. Tragedia na wzgórzu

XIV. Nazwali je Zielonym Wzgórzem

Część druga. Maryla z Avonlea

XV. Rebelia

XVI. Dwoje do nauki

XVII. Janek Blythe proponuje spacer

XVIII. Egzamin, list oraz smutki nad bukietem konwalii

- XIX. Mieszkańcy Avonlea opracowują deklarację
- XX. Pierwsze głosowanie Towarzystwa Dobroczynności Pań
- XXI. Sekrety przy soku malinowym
- XXII. Nieprzewidziane następstwa pewnej aukcji
- XXIII. Znów w Hopetown
- XXIV. Bezpieczne kryjówki oraz listy
- XXV. Ubolewanie z powodu niewybaczalnych słów

### Część trzecia. Wymarzony dom Maryli

- XXVI. Dziecko przyszło na świat
- XXVII. Gratulacje, oferta i życzenie
- XXVIII. Przyjęcie bożonarodzeniowe
- XXIX. Telegram
- XXX. Ciotka Izzy i trzej królowie
- XXXI. Święta Bożego Narodzenia na Zielonym Wzgórzu
- XXXII. Maryla poznaje panią Janową Blythe
- XXXIII. Polowanie na zbiegłych niewolników
- XXXIV. Przyjaciel bliższy niż brat
- XXXV. Poranek pełen nieoczekiwanych zdarzeń

### Od Autorki

### Podziękowania

SARAH MCCOY

MARYLA  
Z ZIELONEGO WZGÓRZA

Z angielskiego przełożyła  
Hanna Kulczycka-Tonderska

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
MARILLA OF GREEN GABLES

Wydawca  
*Urszula Ruzik-Kulińska*

Redaktor prowadzący  
*Iwona Denkiewicz*

Redakcja  
*Maria Wirchanowska*

Korekta  
*Jadwiga Piller*  
*Irena Kulczycka*

Copyright © 2018 by Sarah McCoy  
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Hanna Kulczycka-Tonderska 2020

Wydawnictwo Świat Książki  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2020

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Dystrybucja  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
tel. + 48 22 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

ISBN 978-83-813-9554-0

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Mojej matce, doktor Eleane Norat McCoy  
za to, że zawsze stała u mego boku podczas podróży,  
od początku do końca, od ziarnka jabłka do owocu.*

Wiosna po prostu unosiła się w powietrzu, a Maryla, oddychając nią, czuła się jakby lżejsza i radośniejsza, można by powiedzieć, wbrew swemu wiekowi i zdroworozsądkowemu usposobieniu.

Tkliwym spojrzeniem ogarniała rodzinny dom kryjący się w gęstwinie drzew i rozsiewający refleksy promieni słonecznych odbitych w szybach okien.<sup>[1]</sup>

Lucy Maud Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*,  
rozdz. XXVII

---

<sup>1</sup> W przekładzie Agnieszki Kuc, Wydawnictwo Literackie, 2018.

*Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym*

# Prolog

1876

To był deszczowy, przejmująco zimny maj, który wydawał się porą bardziej zimową niż wiosenną. Jabłonie, wiśnie i śliwy były o wiele mniej strojne niż zwykle. Ich kwiaty obsypywały jak konfetti dwuspadowy dach i zsuwały się na brzegi okapów zupełnie niezauważalnie dla mieszkańców Zielonego Wzgórza. Maryla i Mateusz jak zawsze pracowali jedno u boku drugiego, jak dwa konie w zaprzęgu ciągnące pług ile sił. Wspólne systematyczne działanie nosło ich niezmiennie ku przyszłości. Codzienne prace na farmie należało wykonać, oderwany guzik należało przyszyć, partię zaczynu na chleb należało rozrobić i przygotować ciasto do pieczenia: dzień był wypełniony po brzegi. Jutro przychodziło niepostrzeżenie, co jak zawsze dawało się przewidzieć. Nie trzeba się było martwić na zapas, dopóki nie stanęło się z nim twarzą w twarz.

Tego dnia ta twarz okazała się pyskiem rudego lisa.

– Musiał biedak szukać schronienia przed deszczem – stwierdził dobrodusznie Mateusz.

Maryla tylko fuknęła z irytacją i zaczęła nakładać na ranę na czole brata papkę z liści oczaru. Skrzywił się, kiedy zaczęło szczypać. Mateusz był zbyt pobłażliwy. Ten lis na pewno nie szukał miejsca na drzemkę. Miał zamiar zapolować na jej kurczaki i jak nic pożarłby je żywcem z piórami i łapami, gdyby Mateusz mu nie przeszkodził. Tak też przedstawiła to bratu.

– A do naszego kurnika w zeszłym miesiącu wkradła się kuna –

dodał na potwierdzenie morderczych instynktów drapieżnika stary doktor Spencer. – Wyduśła co do jednej wszystkie nioski.

– Wystraszyłem nasze krówki – pojękiwał Mateusz.

Leżał teraz w łóżku. Maryla znalazła go na klepisku obory, gdzie upadł bez przytomności. Krowy kręciły się nerwowo wokół niego jak stadko rozemocjonowanych staruszek przed kościołem.

– Na śmierć mnie przeraził, oj, oj... – mruzczała Maryla.

Musiała zostawić brata leżącego na ziemi, by pobiec co sił w nogach do domu państwa Linde i prosić Tomasza, by pojechał do miasteczka po doktora Spencera. To było jedyne wyjście. Nieomal godzinę zajęło zorganizowanie pomocy. W młodości Maryla poruszała się zwinnie i żwawo, lecz teraz to się zmieniło. Kiedy w końcu wróciła, Mateusz szedł, słaniając się, przy ścianie obory. Z krwawiącą głową, ale mimo wszystko żywy. Co by to było, gdyby skończyło się inaczej? Szybkość działania jest najważniejsza, gdy w grę wchodzi życie lub śmierć. Tego nauczyło Marylę doświadczenie aż nadto dobrze.

– Uderzyłem głową o belkę – tłumaczył się Mateusz. – Każdemu może się przytrafić.

– Każdemu, każdemu... – burczała Maryla, płuczac przesiąkniętą krwią ściereczkę w misce z zimną wodą – ale musiało się przytrafić akurat tobie.

Rana zakrzepła w szkarłatną pręgę przecinającą brew Mateusza.

– Złamań nie ma, rana jest jednak poważna. – Doktor Spencer przechylił się nad Marylą i rozwarł szeroko powieki oka Mateusza. – Nie widzę żadnych nieprawidłowości w reakcji źrenic. Jesteś tylko poobijany i potrzebujesz wypoczynku.

Maryla wstała, żeby wylać brudną wodę z miski. Głosy mężczyzn niosły się za nią korytarzem aż do kuchni.

– Nie jesteś już taki młody i sprawny jak kiedyś, Mateuszu. Z sześćdziesiątką na karku trudno ci będzie prowadzić gospodarzkę samemu. Mówię ci to jako przyjaciel, który zna cię od

lat. Uwierz mi. Teraz może być tylko gorzej. Myślałeś może kiedyś o najęciu parobka na stałe, z zamieszkaniem?

Nastąpiła długa cisza. Maryla przestała pluskać wodą, żeby lepiej słyszeć.

– Nie mógłby tu mieszkać inny mężczyzna – stwierdził w końcu Mateusz. – Nie z moją niezamężną siostrą pod jednym dachem. Tak nie przystoi.

– Masz rację, dorosły mężczyzna nie, ale może chłopak do pomocy na farmie? W Nowej Szkocji pełno jest sierot gotowych pracować za utrzymanie. Moja synowa wybiera się w przyszłym tygodniu, żeby przywieźć takiego chłopca dla siebie. Mogłaby przywieźć i dwóch.

– Muszę najpierw porozmawiać z siostrą.

W Maryli zapłonęła na nowo dawno pogrzebana nadzieja, skryta tak głęboko, że sama już nieomal o niej zapomniała, przekonana, że był to tylko sen. Dwaj mali chłopcy, śmiejący się do siebie podczas gry w szachy... Choinka przystrojona czerwonymi jagodami ostrokrzewu... Rękawiczki z jednym palcem przy kominku... Kakao i drobne pierniczki... Uśmiech prawdziwej miłości... Czerwona wyspa Abegweit... Kamyki rzucone na szczęście i Izzy – kochana ciocia Izzy.

Na samo wspomnienie Maryla poczuła łzy pod powiekami. Szybko osuszyła oczy i skończyła płukać miskę.

– Nic mu nie będzie, Marylo – zapewnił ją doktor Spencer, który właśnie wyszedł z pokoju Mateusza.

– Bogu dzięki, że nie skończyło się gorzej, tak jak pan mówił, doktorze.

– Niech na razie nie wstaje. – Doktor pokiwał głową w zadumie. – Jak się porządnie wyśpi, powinien dojść do siebie.

Maryla podała doktorowi Spencerowi ciasto anielskie na białkach, które upiekła z samego rana, oraz jedną z ostatnich butelek zeszłorocznej partii wina z czerwonych porzeczek. Ich nowy pastor potępił podczas niedzielnego nabożeństwa domowy

wyrób napojów alkoholowych. Wszyscy obecni w kościele przyjęli to z entuzjazmem, a Maryla pomyślała ironicznie, czy równie ochoczo potępiliby Jezusa zamieniającego wodę w wino. Może i tak, biorąc pod uwagę temperament Małgorzaty, którą ostatnio wprost roznosiła energia. Maryla przestała więc robić wino, lecz doktor Spencer zbyt często u nich bywał, a jako wielki amator specjału Maryli nie poddawał się coraz mocniej propagowanej wstrzeźliwości od alkoholu. Już jako młody lekarz odbierał porody jej matki, przez ostatnie czterdzieści lat opiekował się Cuthbertami przy każdym urazie i każdym zaziębieniu. Domowe wino było jego ulubionym trunkiem. Zresztą tylko tak Maryla mogła mu zapłacić za wizytę.

Z ulgą pożegnała doktora i wreszcie mogła spokojnie porozmawiać z Mateuszem.

– Usłyszałam niechcący, co mówił doktor Spencer.

W pierwszej chwili jej brat zrobił zdziwioną minę, lecz szybko odgadł, co miała na myśli.

– Ano tak. I co o tym sądzisz?

– Doktor jest mądrym człowiekiem i dobrym przyjacielem. – Maryla założyła ręce na piersi, manifestując nieugiętość w tej kwestii. – Chłopak byłby dla nas wielką wyręką. Nie musiałabym się wciąż martwić, że pracujesz sam gdzieś na farmie. Powinniśmy wziąć kogoś do pomocy w codziennych obowiązkach, kogoś do wykonywania różnych poleceń. Może i do odstraszenia lisów, jeśli znów zajdzie taka potrzeba.

Mateusz odetchnął głęboko.

– Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz. – Uśmiechnął się blado. – Zbyt wiele czasu upłynęło, odkąd...

– Upiekę ptysie mamy – przerwała mu siostra. – Te z kremem maślanym i odrobiną powideł.

Ciasteczka takie od zawsze przygotowywano u Cuthbertów na powitanie gości. Wypowiedziane przed laty życzenie miało się wreszcie spełnić.

Część pierwsza

# **Maryla z Zielonego Wzgórza**

# I

## Przyjeżdża gość

*Luty 1837*

Podczas gwałtownych śnieżyc i słońce, i księżyc dawały tyle samo światła. Rzucały na ziemię podobne cienie o miękkich krawędziach jak kule dmuchawców w lekkiej bryzie od morza. Maryla spostrzegła to podobieństwo, kiedy zobaczyła sanie ojca sunące w stronę domu zaśnieżonym gościńcem. Wprawdzie w *Almanachu farmera* przepowiadano lekką zimę, lecz był już koniec lutego, a zasy wzdłuż traktów wciąż rosły, przyprawiając trzynastoletnią Marylę o poważny niepokój, czy wiosna kiedykolwiek powróci. Trudno było sobie wyobrazić zielony, pełen życia sad jabłoniowy, śpiący teraz pod grubą warstwą śnieżnej bieli w szarawych półcieniach.

Maryla wyglądała właśnie przez okno nowej bawialni. Największy pokój w domu służył poprzednio za sypialnię dla wszystkich czworga Cuthbertów: Maryli, jej matki Klary, ojca Hugona i starszego brata Mateusza, a także białego kota z jedną czarną pręgą o imieniu Szelma. Klara znalazła go kiedyś w parcianym worku na brzegu potoku, który płynął zakolami przez las za ich budynkiem gospodarczym. Ktoś próbował się pozbyć biednego maleństwa. Maryla na zmianę z mamą karmiły znajdę ciepłym mlekiem i świeżymi sardynkami, aż jego futro

zaczęło lśnić jak lód w słońcu. Pozostał nieufny wobec obcych, lecz było to całkiem zrozumiałe po tym, co przeszedł.

Zanim nadeszły śnieżyce, ojciec Maryli zdążył skończyć ostatnią rozbudowę ich domu: nadbudował dwuspadowy dach. Pod skośnymi połaciami znalazły miejsce sypialnie i pokoje dla najemnych pracowników, choć jak do tej pory nikogo takiego nie zatrudniali. Odkąd Maryla sięgała pamięcią, jedyną osobą, która pomagała ojcu w gospodarstwie, był jej obecnie dwudziestojednoletni brat. Ponieważ farma składała się z jednego budynku gospodarczego, mieszczącego stodołę z oborą, stajnią i kurnikiem, oraz jednoizbowej chaty, otoczonych polem, większość farmerów z okolicy Avonlea mówiła o tym miejscu po prostu: „hen tam, u Cuthbertów”. Wszystko to miało się zmienić z nadejściem wiosny, kiedy mieszkańcy okolicy zobaczą pięknie wykończony dom z mieszkalnym poddaszem wznoszący się na wzgórzu – jeśli będą mieli chęć go obejrzeć.

Hugon, ku utrapieniu żony, wybrał miejsce na dom prawie pół kilometra od głównego traktu prowadzącego do Avonlea.

Żebyśmy mieli dość czasu na zaryglowanie drzwi, kiedy zobaczymy na drodze kogoś z klanu Pye’ów, zbliżającego się z zamiarem odwiedzin – zażartował kiedyś ojciec. Wywołało to wybuch śmiechu u Mateusza, który wstydził się nawet uśmiechać szerzej z powodu krzywych zębów.

Maryla któregoś razu podsłuchiwała w kościele rozmowę szacownych parafianek: jedna z nich określiła Pye’ów jako ludzi „o szczęśliwie przykrym usposobieniu”. Sama nigdy nie zdążyła zobaczyć nic więcej ponad rozwiane na wietrze poły płaszcza starej wdowy Pye, rozpostarte jak skrzydła wrony. Mogła tylko snuć jak najgorsze podejrzenia.

– A co zrobię, jeśli będę musiała pożyczyć szpulkę nici albo słoik powideł? – zamartwiała się Klara. – Taki kawał do przejścia, żeby spotkać się z sąsiadką.

– Ano w takim razie lepiej mieć zawsze wszystkiego na zapas.

Hugon, chorobliwie nieśmiały, zachowywał surowe religijne obyczaje. Dom stanowił dla niego prywatne sanktuarium. W bawialni na stole zawsze leżała Biblia i co wieczór czytał jeden wers na głos całej rodzinie, po czym Klara przynosiła mu herbatę i porcję whiskey. Do kościoła chadzał niechętnie, ale nie z powodu długich kazań, które nawet mu się podobały, lecz z powodu parafian, którzy po nabożeństwie gromadzili się przed kościołem, uniemożliwiając mu błyskawiczne dotarcie do bryczki. Mateusz odziedziczył usposobienie ojca i obaj stali się nierozłącznymi współnikami wyspecjalizowanymi w znikaniu z nabożeństwa przed jego końcem. Zwykle po ostatnim błogosławieństwie pastora wszyscy parafianie spędzali godzinę na towarzyskich pogaduszkach. Dla Klary były to ulubione chwile niedzieli. Maryla uwielbiała stać u boku matki, w milczeniu przysłuchując się kobietom plotkującym o wydarzeniach tygodnia. Było to nieomal tak samo pasjonujące jak czytanie historyjek w piśmie Godeya *Opowiadki dla pań*, które podarował jej pan Blair, właściciel magazynu towarów różnych w miasteczku, ukrytym teraz bezpiecznie pod materacem łóżka Maryli. Rodzice uważali, że nie należy marnować czasu na bezwartościowe rozrywki, a czytanie w ich mniemaniu właśnie nią było. Jeśli nawet zdarzało się Maryli mieć wolną chwilę, Klara zaraz napominała ją, że powinna zacząć dziergać na drutach kolejną parę rękawiczek z jednym palcem – tych nigdy za wiele – albo przysiąść nad kolejną wełnianą trójkątną chustą, które ich klasa ze szkółki niedzielnej wysyłała co roku dla sierot do Nowej Szkocji. „Aby pocieszone były serca ich, będąc spojone miłością”<sup>[2]</sup> – cytowała Klara, a Maryli nie wypadało przecież postępować wbrew temu, co głosiło Pismo Święte.

Czasami jednak zdarzało się Maryli nie mieć ochoty ani na robótki u boku matki, ani na zajęcia z bratem w ogrodzie graniczącym z pastwiskiem. Czasami, choć wiedziała, jak bardzo

to jest grzeszne, miała przemożną chęć spędzić dzień na beztrudnym leniuchowaniu gdzieś poza domem w taki sposób, jaki najbardziej ją w danym momencie pociągał. Kiedy udawało jej się skraść wolną chwilę, ginęła w balsamicznych lasach wraz z opowiadaniem Godeya. Szła z biegiem potoku aż do miejsca, gdzie spadał kaskadami i rozlewał się w małą sadzawkę rozdzieloną na pół pnem klonu, który jakimś cudem wyrósł w samym środku strumienia. Siadała na swojej małej wysepce otoczona pluskaniem wody, dopóki słońce nie skryło się za koronami drzew. Wtedy wracała do domu, zawsze zbierając po drodze do koszyka liście szczawiu na zupę.

Bardzo trudno znaleźć ładne listki – tłumaczyła się matce po powrocie, co zresztą było prawdą, bo dzikie króliki wyjadły wszystkie szczawiove kępy z ich pól.

Teraz, na samą myśl o świeżym, nieco cytrynowym smaku rośliny, aż ślinka napłynęła jej do ust. Od tygodni jedli tylko rzepę, zgromadzoną na zimę w piwnicy, z warzywami konserwowanymi w occie.

Ciemne chmury znów skłębiły się nisko nad ziemią, przez co środek dnia bardziej przypominał noc. Koń ciągnący sanie Hugona, Eryk, z trudem brnął pod wiatr przez śnieżne zasy.

– Mamo! – zawołała Maryla. – Ojciec już z nią jedzie! Widzę ich na drodze!

Klara była w kuchni. Piekła ptysie na powitanie gościa. Kiedy usłyszała, że zaraz będą, otarła mąkę z podbródka i podjęła próbę zdjęcia fartucha, opinającego wydatny ciężowy brzuch.

– Sama nie wiem, jak w ogóle udało mi się go zawiązać – mruzczała pod nosem, przeginając się z trudem to na lewo, to na prawo i usiłując złapać za koniec któregoś troczka. – W końcu się poddała. – Marylko! – zawołała. – Przyjdź no tutaj i pomóż mi rozwiązać fartuch.

Klara oparła się ciężko o framugę okna. Chłód ciągnący przez szpary przyniósł ulgę. Z wysiłku na jej czoło wystąpiły

drobniutkie kropelki potu. Doktor Spencer wciąż przestrzegał, żeby na siebie uważała. Zanim urodziła Marylkę, dwa razy poroniła, a po niej jeszcze raz. Dzieci, które przyszły martwe na świat, były tak maleńkie, że prawie niewidoczne w trumienkach wypełnionych wiosennymi kwiatami. Wielebny Patterson powiadał, że Bóg dostrzega każde serduszko, nawet to, którego jeszcze nie widać, więc stawiali kolejne pamiątkowe krzyże za budynkiem gospodarczym na małym zadrzewionym pagórku, z którego w prześwicie widać było morze. Doktor Spencer był zdecydowanym zwolennikiem nowoczesnej medycyny. Doradzał Klarze, by słuchała swego ciała. Mówił, że być może mogło donosić tylko dwie ciążę, dać jej dwoje dzieci, które i tak stały się dla niej wielkim błogosławieństwem, bo doktor znał kobiety, którym Bóg nie dał ani jednego potomka. Klara jednakże dobrze pamiętała czasy, gdy spotykali się z Hugonem przed ślubem i gdy narzeczony wciąż jej powtarzał, że chciałby mieć przynajmniej tylu synów co biblijny Abraham, by mogli razem z nim pracować na farmie. Byli wtedy młodzi i naiwni, lecz marzenia wytrzymały próbę czasu. Klara czuła ogromne rozczarowanie, że w tak niewielkim stopniu udało jej się je spełnić. Hugon nigdy nie wspomniał o tym nawet słowem, ponieważ z natury był człowiekiem mało mównym.

Maryla w mgnieniu oka znalazła się za plecami matki, rozwiązała kokardkę, pomogła zdjąć fartuch, złożyła go starannie i odniosła na miejsce.

W całym domu rozniósł się zapach przyrumieniającego się zbyt mocno masła. Ptysie za chwilę mogły się nie nadawać do jedzenia. Klara otworzyła usta, żeby to powiedzieć, a Marylka już była przy piecu i wyciągała z niego rozgrzaną blaszaną formę ze zręcznością dorosłej kobiety. Na ten widok Klara dotknęła brzucha. Jak szybko te dzieci rosną!

– Czy mam napełnić ptysie powidłami śliwkowymi czy może konfiturą z rajszych jabłek? – spytała Maryla.

Miała dzisiaj po raz pierwszy zobaczyć swoją ciocię Elizabeth – Izzy, jak nazywała ją matka, a przynajmniej miał to być pierwszy raz, odkąd sięgała pamięcią. Izzy przeprowadziła się do Górnej Kanady, kiedy Marylka miała cztery lata, i od tamtej pory nie była na Wyspie Świętego Edwarda. Dziewczynka spytała kiedyś matkę dlaczego, a Klara wzruszyła ramionami i stwierdziła: Każdego zbyt zajmuje życie codzienne, jak sędzę. Powód równie dobry jak każdy.

Jednakże teraz, gdy kolejne dziecko było w drodze, Izzy miała pomóc siostrze przed porodem i po nim. Tak samo postąpiła przy narodzinach Mateusza i Maryli.

– Tylko krem z masła utartego z cukrem – odrzekła Klara. – Twoja ciotka przepada za prostymi wypiekami, za to wykonanymi perfekcyjnie.

Maryla się nachmurzyła. Co to za ptyś bez jakiegokolwiek owocowego nadzienia? Pusty ptyś! Na wykrochmalonej serwetce obok miseczek z przetworami postawiła garnuszek z kremem. Była niezmiernie podekscytowana nadchodzącym spotkaniem z ciotką, lecz nie opuszczało jej również zdenerwowanie. Krewna, nie krewna – Izzy była przede wszystkim gościem i kimś, kogo Maryla zupełnie nie знаła.

– Czy dzieci i mąż cioci nie mają nic przeciwko temu, że tak długo będzie poza domem? – spytała Maryla.

Cuthbertowie nie mówili ze sobą zbyt wiele na temat przybywającego właśnie gościa. Hugon i Klara byli z nią bardzo zżyci, a Mateusz dorastał razem z ciotką aż do jej wyjazdu do Górnej Kanady. Wydawało się im więc, że po prostu nie ma o czym rozmawiać. Każdy z nich wiedział tyle, ile wiedzieć powinien – oprócz Maryli.

– Ona nie ma ani męża, ani dzieci. Zapomniałaś o tym, kochanie?

Racja! Matka kiedyś o tym wspominała, a jednak dziewczynie trudno było sobie wyobrazić dorosłą kobietę, która byłaby

samotna. W całym Avonlea nie było żadnej kobiety w wieku matki, która nie miałaby męża czy dzieci. Nawet wdowy miały dzieci, a te bezdzietne też były zamężne. Fakt, że ciotka nie miała ani męża, ani dzieci, budził w Maryli podejrzenie, że Izzy musi być w jakiś sposób upośledzona.

– Siostra szyje suknie dla pań. Jej pracownia cieszy się dużym powodzeniem w St. Catharines. – Klara pociągnęła za koniec kołnierza z kraciastej bawełny, opadającego nieco krzywo na jej ramiona. – Może pomogłaby nam uszyć nowe dla nas na wiosnę?

Umiejętności Klary w operowaniu igłą pozostawiały wiele do życzenia, Maryla jednak nigdy nie wypominała tego matce. Brała w milczeniu uszyte przez nią ubrania i sama wyrównywała brzegi spódnic, obszywała powtórnie dziurki guzików i przewiązywała się w pasie szerokimi szarfami, żeby lepiej dopasować sukienki w talii. Stosunkowo łatwe poprawki, niewymagające wiele wysiłku zamiast ranienia uczuć matki.

Maryla wyobrażała sobie, że gdyby zrobić porównanie do życia w naturze, jej matka byłaby ślicznym, powabnym motylem, radośnie fruującym nad łąkami, przenoszącym się z kwiatka na kwiatek, lecz nawet najmniejsza ludzka dłoń byłaby w stanie rozetrzeć ją na pył. Siebie widziała jako długą, cienką gąsienicę znajdującą się w ciągłym ruchu. Ojciec i Mateusz byłiby jabłoniemi, stale dostarczającymi pożywienia, w milczeniu znoszącymi ciężary każdego kolejnego sezonu zbiorów. W takich snach na jawie Maryla pogrążała się coraz częściej.

Jej nauczyciel, pan Murdock, twierdził, że brak umiaru w wymyślaniu niestworzonych historii jest gorszący. Potem jednak dziewczyna podsłuchiwała przypadkiem, jak ojciec mówił matce, że pan Murdock skończył jakąś ważną uczelnię w Yorku, stolicy Górnej Kanady, i uważał wszystkich w Avonlea za gorszych od siebie. Ojciec był tak małomówny, że kiedy coś powiedział, Maryla dobrze to zapamiętywała. Po tym, co usłyszała, już nigdy nie przyjmowała słów nauczyciela

bezkrytycznie. Nigdy nie wierzyła w jego dwa plus dwa równa się cztery, dopóki nie sprawdziła tego sama.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące z kuchni na zadaszony taras na tyłach domu. Do środka wpadł kłęb śniegu, zderzył się z gorącym powietrzem i opadł na podłogę kroplami wody.

– Już jadą! – zawołał Mateusz, który akurat wszedł z pełnym naręczem drewna. Tupnął kilka razy, żeby otrzepać śnieg z butów. – Pomyślałem, że najpierw dorzucę do ognia, zanim zaprowadzę Eryka do stajni. Ale mróz dzisiaj!

– Dziękuję ci, synu. – Klara rozprostowała plecy i przycisnęła dłoń do boku brzucha.

– Znowu te bóle? – spytała Maryla.

Choć matka zachowała spokój, córka dostrzegła jej przyćmione spojrzenie.

– Drobne ukłucie. To z zimna. Sądzę, że dziecko tego nie lubi.

Maryla szybko zamknęła i zaryglowała drzwi, a potem poruszyła pogrzebaczem żarzące się pod płytą kuchenną węgle, aż buchnęły jasnym płomieniem. Zaparzy czarną herbatę. Będzie doskonale pasować do „bezkonfiturowych” ciastek. Wprawdzie dopiero pół godziny temu minęło południe, lecz w taki dzień jak ten herbatę można wypić o dowolnej porze. Po wpadającym przez okna świetle trudno było poznać, która godzina.

– Usiądź przy kominku w bawialni – zaproponowała matce. – Ja przygotuję herbatę. – A potem zastanowiła się na głos: – Ciekawe, czy ciocia Izzy nie będzie miała nic przeciwko herbacie.

Pan Murdock mówił im, że niektórzy mieszkańcy Dolnej Kanady, osiedleni w pobliżu granicy ze Stanami, całkowicie zarzucili obyczaj siadania do popołudniowej herbaty po wydarzeniach bostońskiej „herbatki”<sup>[3]</sup> w Ameryce. Trzysta czterdzieści dwie skrzynie z liśćmi herbaty wyrzucono do basenu portowego. Trzy setki, cztery dziesiątki i dwie sztuki. Maryla miała dobrą pamięć do liczb i zawsze tworzyła sobie w głowie

pewne skojarzenia. Herbata ma trzy sylaby: trójka. Skrzynia – cztery rogi: czwórka. Przy jednej skrzyni dwie osoby wrzucające ją do wody – jak herbatka dla dwojga – dwójka. Tego typu wyobrażenia pomogły jej zapamiętać liczbę trzysta czterdzieści dwa, kiedy pan Murdock przepytывał ich z historii Ameryki. Uczęszczała do szkoły od siódmego roku życia, lecz teraz uczyła się w domu. Zaraz po urodzeniu się dziecka miała nadzieję wrócić do szkoły i ją ukończyć. Zostały jej niecałe dwa lata nauki, a potem egzaminy końcowe.

– Oczywiście, że nie! – Klara się roześmiała. – Marylko, nie możesz się wciąż zamartwiać, jak idealnie zadowolić innych. Ciocia Izzy cię kocha, a będzie kochała jeszcze bardziej, kiedy zobaczy, jak wspaniale wyrosłaś. – Ucałowała córkę w czoło, otulając ją smugą słodkawego, mlecznego zapachu.

Maryla wcale nie miała na myśli idealnego spełniania oczekiwań innych. Nie chciała tylko urazić cioci.

Napełniła czajnik ze zbiornika wody w kuchni i postawiła na fajercie z cichym brzęknięciem. Klara obejrzała się przez ramię, słysząc ten odgłos, ale już szła do bawialni.

Maryla została w kuchni sama ze swoimi myślami. Drażniło ją, że najbliżsi znali tę obcą jej osobę i w dodatku ta obca osoba miała z nimi zamieszkać na kilka najbliższych miesięcy. Nigdy jeszcze nikt nie gościł u nich tak długo. W zasadzie jak dotąd nikt w ogóle u nich nie gościł. Pokoje na górze zostały dopiero co wykończone. Czasami zdarzało się, że zostawali na noc najęci do pomocy parobkowie, ale oni nocowali w sásieku w stodole. Ciocia Izzy była pierwszym oficjalnym gościem, który miał spać z nimi pod jednym dachem, i Maryla zdawała się jedyną osobą nie do końca z tego zadowoloną.

---

2 W cytacie angielskim występuje słowo knit (spojone), które oznacza również robienie na drutach. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z tłumaczeń

dostępnych w internecie, głównie z *Biblii Tysiąclecia*, a także *Biblii Warszawskiej* i *Biblii Gdańskiej*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

3 Bostońska „herbatka” – zatopienie w 1773 roku przez amerykańskich kolonistów transportu herbaty w porcie na znak protestu przeciwko brytyjskiej polityce fiskalnej, uważane za początek rewolucji amerykańskiej.

## II

### Zaskakująca ciotka Izzy

Maryla usłyszała dźwięk dzwonek przy uprząży Eryka znacznie wcześniej, nim otworzyły się drzwi wejściowe. Dało jej to wystarczająco dużo czasu, żeby zalać wrzątkiem liście herbaty i odstawić imbryk na tacę, aby się dobrze zaparzyła. Wciąż była w kuchni, więc zanim zobaczyła ciotkę, najpierw usłyszała jej głos.

– Klaro! Siostrzyczko! Och! Niech no ci się przyjrzę! Jesteś okrągła jak dynia! – Ciotka mówiła głośno i szybko, akcentując wyraźnie kolejne słowa, zupełnie inaczej niż wszyscy w domu Cuthbertów. W Avonlea nikt tak nie mówił.

Klara parsknęła śmiechem.

– Raczej jak tłusta maciora w błotku – zażartowała.

Maryla się skrzywiła. Nigdy w życiu nie porównałaby matki do maciora wylegującej się w błocie. Ręce i nogi Klary były tak wątłe, że przypominały córce szypułki żołądka i pewnie tak samo łatwo by pękły pod mocniejszym naciskiem.

– Tak się cieszę, że jesteś tu z nami, Iz! – dodała Klara.

– Podróż zajęła mi całą wieczność. Dylizans był obrzydliwy. Jechałam wciśnięta pomiędzy mężczyzną, który co trzy godziny wypijał solidny haust cuchnącego tranu z wątroby dorsza, a kobietę z dwójką maluchów w pieluchach. Możesz sobie wyobrazić, jaki to był smród? Kiedy dotarłam wreszcie do przeprawy promowej na wyspę, świeże nadmorskie powietrze

pachniało lepiej niż najlepsze perfumy prosto z Londynu. Gdyby tylko ta śnieżycy poczekała do jutra. Czuję się okropnie, że przeze mnie Hugon musiał jechać w tę i z powrotem w taką paskudną pogodę.

– Żaden kłopot – odrzekł Hugon. – Z chęcią pojechałem. Klara czuła się bardzo osamotniona bez twojego towarzystwa! Tak wiele czasu upłynęło, Izzy!

Maryla wciąż stała pośrodku kuchni, z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie potrafiąc włączyć się w to spotkanie po latach. Po raz pierwszy w życiu poczuła się intruzem we własnym domu.

– Ach, zbyt wiele! – westchnęła Izzy, nieco teatralnie według Maryli. – Ale oto i jestem! A gdzież to się podziewają dzieci mojej siostrzyczki?

Te słowa wywołały na twarzy Maryli rumieniec. Przyglądziła fałdy sukni i poprawiła fryzurę, zgarniając wszystkie włosy z czoła do tyłu. Zanim jednak zdążyła zrobić choćby krok ku ciotce, Izzy zagruchała:

– Och! Mój słodki malutki Mateuszek! No, nie taki już malutki. Dorosły mężczyzna, i w dodatku przystojny jak sam diabeł!

Trele-morele! Może i Maryla nie opuszczała nigdy wcześniej Wyspy Księcia Edwarda, lecz wokół było wystarczająco dużo chłopców, by mogła stwierdzić bez najmniejszych wątpliwości, że jej brat nie był ani specjalnie urodziwy, ani nie przypominał diabła. Wyglądał całkiem przyzwoicie i chadzał do kościoła w każdą niedzielę, tak samo jak wszyscy pozostali członkowie rodziny.

– Marylko? – Usłyszała, że matka woła ją delikatnym, śpiwnym głosem. – Marylko, kochanie, pozwól tutaj, by Izzy mogła rzucić na ciebie okiem.

Rzucić okiem?! A cóż to znowu – czy Maryla była jakąś cyrkową małpą, czy co? Wprawdzie nie widziała nigdy małpy, lecz pan Murdock przynosił im tyle gazet, ile tylko zdołał, w tym

stare egzemplarze „London Standard”. W którymś numerze znalazł się opis dorocznego londyńskiego Jarmarku Świętego Bartłomieja. Mieli tam tańczące małpki, dzikie bestie, mężczyzn, którzy chodzili na rękach, kobiety, które tańczyły pod wodą, oraz najprawdziwsze lampy gazowe – takie do używania również w pomieszczeniach. Maryla uważała, że to przerażające i fascynujące zarazem. Słyszała, że takie cuda działy się na wszystkich ulicach St. Catharines, miasta położonego nieopodal modnego amerykańskiego kurortu nad Niagarą. Może ciocia Izzy uważała za normalne oglądanie różnych widowisk?

W tej właśnie chwili Maryla postawiła sobie za cel udowodnienie jej, że dziewczęta z Wyspy Księcia Edwarda mają maniery równie dobre jak brytyjskie księżniczki. Wyprostowała plecy, ściągnęła łopatki, wysoko uniosła głowę, złożyła ręce w małdrzyk na wysokości talii i ruszyła w stronę cioci krokiem na tyle pewnym, na ile dała radę.

Bawialnia, w której swobodnie mieścili się w czwórkę, nagle wydała się zatłoczona. Ogień w kominku rozpalił się tak mocno, że zaczęło dymić na pokój. W całym pomieszczeniu zrobiło się szaro.

– A oto i nasza Marylka – przedstawiła ją matka, a potem odsunęła się na bok, żeby odsłonić swoją siostrę, wciąż jeszcze ubraną w podróżną błękitną pelerynę.

Na widok siostrzenicy ciocia Izzy z uśmiechem zsunęła kaptur z głowy.

Dziewczyna krzyknęła i odskoczyła do tyłu, łapiąc się za serce. Zawadziła przy tym o pudełko z włóczką, w którym akurat uciął sobie drzemkę Szelma. Kot wyplątał się spomiędzy jej nóg i z sykiem pomknął korytarzem do bezpiecznego kąta. Maryla miała ochotę uciec za nim.

Klara się nachmurzyła.

– Marylko! Dziecko moje! Co w ciebie wstąpiło? – Wzięła siostrę za rękę, jakby chciała ją wesprzeć, i stały teraz obok

siebie, ramię w ramię, wpatrując się w dziewczynę.

Mimo że włosy Izzy miały odcień lekko rudawy, w przeciwieństwie do włosów matki, i ciotka ułożyła je w kaskadę drobnych loczków, nie na gładko, jej twarz stanowiła lustrzane odbicie twarzy Klary: byłyby identyczne, gdyby nie puder i róż, których matka nie używała.

– To ty, a to ty?! – Zdumiona Maryla przenosiła z jednej na drugą skierowany ku nim palec wskazujący.

Siostry popatrzyły na siebie z identycznym grymasem na twarzy, przez co dziewczyna o mało nie rozplakała się z przerażenia.

Na szczęście Mateusz głośno odchrząknął i całkiem rozsądnie orzekł:

– Dajcie spokój! Przecież Marylka jak żyje nie widziała bliźniaków!

To fakt, nie widziała, słyszała jednak o takim przypadku. Pani Barry miała w Kingsport kuzynkę, która urodziła bliźnięta. Maryla nie była jakąś tam prostaczką ze wsi. Gdyby ktokolwiek raczył ją uprzedzić, że jej matka ma bliźniaczą siostrę, byłaby przygotowana na tę chwilę.

Izzy i Klara równocześnie wybuchły identycznym śmiechem, identycznie mrużąc lśniące wesołością oczy. Pewnie już do końca załamałoby to Marylę, gdyby nagle nie dostrzegła drobnej różnicy: kiedy obie się uśmiechały, policzki matki pozostawały gładkie, a na prawym policzku ciotki pojawiał się wyraźny dołeczek, tym głębszy, im radośniej się śmiała. Sprawilo to Maryli wyraźną ulgę.

– Myślę, że nigdy o tym nie wspominałam – przyznała wreszcie Klara. – Zdawało mi się, że wszyscy wiedzą...

Izzy poprawiła pukiel włosów, który zsunął się jej na skroń.

– Biedactwo! To dla ciebie prawdziwy szok! – stwierdziła ze współczuciem.

Maryla starała się pozbierać, choć policzki płonęły jej ze

wstydu.

– Najwyższa pora zaprowadzić konia do stajni. Śniegu, spodziewam się, będzie wciąż przybywać. – Hugon skinął na Mateusza. – A panie niech się rozgoszczą.

– Kiedy skończycie, będą na was czekać przekąski i herbata – rzekła Klara.

Hugon puścił do żony oko, a Maryla znów spłonęła rumieńcem. W ten sposób ojciec okazywał miłość.

Potem mężczyźni wyszli.

– Zdejmij to w końcu! Chyba zostaniesz u nas na dłużej.

Klara pomogła siostrze ściągnąć przemokniętą pelerynę i powiesiła ją przy kominku, żeby wyschła.

Izzy miała na sobie perkalową suknię w fioletowe bratki. Leżała na niej doskonale. Zdobiły ją wstawki z kremowej koronki na rękawach od łokcia do nadgarstka oraz koronkowa falbanka dookoła ramion. Krój był zupełnie niepodobny do sukien, w których chodziły po domu Maryla i Klara. Suknia idealnie przylegała do wąskiej talii Izzy, a jej suto marszczona spódnica opadała fałdami do samej ziemi. Nie była przy tym ani zuchwała, ani frywolna. W przeciwieństwie do ich sukienek jej szwy biegły idealnie prosto, jak od linijki, co przywiodło Maryli na myśl skojarzenie ze strzelistą wieżą kościoła. Ani odrobinki niepotrzebnie użytego materiału. Każda zakładka i każde przymarszczenie miało uzasadnienie. Dla porównania to, co miała na sobie matka, składało się z przypadkowo pofałdowanych, zupełnie zbytecznych nadmiarów tkaniny. Całe szczęście, że była brzemienna, więc nadmiar przynajmniej w tym przypadku miał pewne wytłumaczenie.

– Jesteś głodna? – spytała Klara.

– Jak wilk!

– Świetnie, bo Maryla upiekła twoje ulubione ptysie.

To nie była do końca prawda. Dziewczyna tylko wycisnęła na blachę przygotowane przez matkę ciasto, potem wstawiła do

piekarnika, a następnie wyjęła już upieczone. To wszystko.

– *Choux à la crème!* – Izzy klasnęła z radości w ręce.

– Nadziewane słodkim kremem z najlepszego masła w Avonlea od naszej krowy Delicji – pochwaliła Klara i wyszła do kuchni.

Maryla chciała wyjaśnić, że postawiła już gliniany garnuszek z kremem i imbryk z herbatą na tacy, więc matka nie musi się trudzić, lecz język odmówił jej posłuszeństwa w obecności tej nieznaney dotąd osóbk.

Izzy stanęła przed kominkiem z szeroko rozpostartymi rękami i dyskretnie ziewnęła.

– Czy Delicja to krowa, o której pisałaś mi trzy wiosny temu? Ta, którą dostaliście od Blythe’ów? Krowy z ich hodowli są naprawdę najlepsze na wyspie. Były najlepsze już, kiedy my byliśmy małe. Tak to jest: dobry owoc z dobrego nasienia, dobre nasienie z dobrego owocu.

Maryla nie miała pojęcia, o czym mówi ciotka. Plecie coś o nasionach i owocach. To przecież krowy, a nie owoce z sadu. Może Izzy zbyt długo mieszkała w mieście i zapomniała już, jak działa natura? Wiedziała jednak i o Delicji, i o Blythe’ach, a to wzbudziło w Maryli ciekawość, jakie jeszcze fakty z ich życia mama opisywała siostrze w listach. Do tej pory dziewczyna nawet nie miała świadomości, że jej matka była połówką idealnie do siebie pasującej pary.

Izzy wykonała szybki obrót na pięcie.

– Mary-la-la! – Wyśpiewała końcową sylabę jej imienia. – Ależ z ciebie wyrosła piękna panna! Wysoka i elegancka. A nie mówiłam? Prawda, Klaro?! – wrzasnęła nad uchem Maryli tak głośno, jak nie pozwalał sobie krzyżeć nikt z Cuthbertów nawet na podwórku, a już na pewno nie w domu. – Pamiętasz? Mówiłam ci, żebyś się nie obawiała. Może i był z niej niezbyt piękny bobas, ale przecież wszystkie nowo narodzone dzieci są podobne. – Zwróciła się do Maryli: – Powinnaś była widzieć minę Mateusza. Poczekaj no tylko, powiedziałam mu, po błysku w jej

oku już widzę, że będzie śliczna. I wtedy twoja matka spytała mnie, jak powinniśmy dać ci na imię, a ja odparłam: Maryla. To imię pochodzi od amarylisa, wiedziałaś? To taki urzekająco piękny, niezwykle wyniosły kwiat.

Marylę ubodło, że ciotka nazwała ją niezbyt pięknym bobasem, lecz prawdziwym szokiem okazała się informacja, że to właśnie ona nadała jej imię. Czy Maryla stała się dzięki temu urzekająco piękna? Na pewno nie. Każdy wiedział, że jej imię pochodzi od imienia Najświętszej Maryi Panny. Niezwykle wyniosła? Cuthbertowie z dumą mienili się wiernymi członkami Kościoła prezbiteriańskiego, którzy winni brać przykład z Jezusa, będąc „cisi i pokornego serca”.

Izzy usiadła na sofie i poklepała miejsce obok siebie. Maryla usłuchała w milczeniu, które miało wyrazić cichy bunt wobec opinii ciotki o znaczeniu jej imienia. Gdy znalazła się blisko ciotki, poczuła woń pudru na jej skórze. Kwiat bzu z lekką domieszką zapachu zimnych miedzianych naczyń, pewnie od mrozu.

– Przykro mi, że tak cię wystraszyłam.

– Nikt mi nie powiedział, że jesteście z mamą bliźniaczkami – odrzekła Maryla, po raz pierwszy spójnie i do rzeczy, głosem, który nie zdrzął nawet odrobiny.

– Twoja matka jest miłsza ode mnie i ma łagodniejsze usposobienie. Zresztą zawsze taka była. – Izzy mrugnęła porozumiewawczo do siostrzenicy. – Masz to po niej.

Nagle, zupełnie znienacka, ucałowała Marylę w policzek. Dziewczyna zeszywniała i nie poruszyła się ani w trakcie pieszczoty, ani potem w obawie, że ciotka może niechcący dotknąć swoim uróżowanym policzkiem jej skóry, zostawiając ślad różu.

W kuchni coś brzęknęło o podłogę.

– Marylko! – zawołała Klara.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi, a ciotka wraz z nią.

W kuchni zobaczyły śmiejącą się cicho Klarę, jak rozgląda się dokoła, próbując dojrzeć leżącą na podłodze łyżeczkę, którą zasłaniał wydatny brzuch. Zrobiła dwa kroki do przodu, dwa z powrotem, pochyliła się w prawo, potem w lewo, następnie obróciła się dookoła własnej osi, jakby wykonywała figury reela, szkockiego ludowego tańca. Łyżeczka cały czas leżała jak zaklęta w miejscu, gdzie Klara nie mogła jej dostrzec.

– Myślałam, że dam radę sama... – zaczęła się tłumaczyć i w tym momencie zabrakło jej tchu.

Wsparła się całym ciężarem na córce, a Izzy schyliła się i podniosła łyżeczkę.

– A tak w ogóle to po co ta cała łyżeczka? Wiesz przecież, że nie dodaję do herbaty ani cukru, ani mleka. Piję bez dodatków.

– Wiem, wiem, ale myślałam, że może zmieniły ci się upodobania – stwierdziła Klara.

– To nie w moim stylu, siostrzyczko. Wszystko, co dotyczy mojego otoczenia, może się zmieniać, lecz moje osobiste upodobania pozostają trwale i niezmiennie.

Chwyciła leciutkiego jak chmurka ptysia prosto z blachy i oddzieliła dół od góry. Używając podniesionej z podłogi łyżeczki, nałożyła do środka kremu i całość wrzuciła do ust.

– Pyszności!

Potem napełniła kremem drugiego ptysia. Tego podała Maryli, trzeciego zaś – Klarze.

– Nie jestem gościem w tym domu, więc nie stosuj wobec mnie szczególnych zasad. Należę do rodziny, i to ja mam opiekować się tobą, a nie ty mną. – Mówiąc to, skierowała na siostrę palec wskazujący, umazany na czubku odrobiną kremu. Gdy to spostrzegła, oblizwała go do czysta i odwróciła się do stołu. – Herbatka dla nas trzech?

Klara wsparła się jeszcze mocniej na ramieniu córki, wbijając boleśnie palce pod jej obojczyk, lecz Maryla nie odsunęła się ani odrobinę.

– Cieszymy się, że jesteś z nami – wysapała Klara, z trudem przełykając napełnionego kremem ptysia.

Maryla tylko przytaknęła skinieniem głowy i też zjadła swojego. W dalszym ciągu uważała, że nie ma to jak ptyś z powidłami śliwkowymi, i wciąż była nieufna w stosunku do ciotki. Mimo wszystko cieszyło ją, że będzie miała dodatkową parę rąk do pomocy. Matka z każdym dniem robiła wszystko z coraz większym wysiłkiem i Maryla zaczęła się skrycie zamartwiać, co będzie dalej. Narodziny nie były bynajmniej tematem poruszonym przez plotkujące po nabożeństwach panie, nie wspomniano o tym w pisemkach dla dziewcząt. Maryla wiedziała o tych sprawach co nieco z własnego doświadczenia: zeszłej wiosny musiała pomóc ojcu przy odbieraniu porodu jednego z cielaków Delicji i to tylko dlatego że Mateusz pracował akurat gdzieś daleko w polu.

Cielak był o wiele za duży jak na możliwości krowy. Jego przednie nogi sterczały już na zewnątrz, lecz głowa nie mogła się wydostać. Żeby uratować oboje, Hugon musiał włożyć ręce do środka i wyciągnąć olbrzymka na świat. Zadaniem Maryli było utrzymać krowę w miejscu. Głaskała ją po łbie i śpiewała kołysanki, najlepiej jak umiała, lecz kiedy po wszystkim zobaczyła ręce ojca unurzane we krwi i wszystkich tych obrzydliwych maziach, zwymiotowała w stertę siana. Ojciec nie przejął się tym nawet odrobinę. Cielak był cały i zdrowy. Delicja, wyraźnie zadowolona, odpoczywała po porodzie. Jediną chorą istotą, pozostawioną samej sobie, okazała się Maryla. Klara porządnie zbesztła wtedy Hugona za zbyt wczesne zaznajomienie córki z prawami natury, lecz on nie miał wyboru.

Niecały rok później Maryla przeżywała katusze, wyobrażając sobie, że ktoś będzie musiał włożyć ręce do brzucha mamy, aby wyciągnąć stamtąd jej nowego brata lub siostrę. Tak bardzo się tego bała, że z wielką ulgą przyjęła obecność ciotki Izzy, która w razie potrzeby mogłaby się podjąć tego zadania.

### III

## Rodzinny przepis

Następnego poranka obudziły Marylę pierwsze promienie sennego jeszcze słońca, rozpostarte szeroko jak płowozłote ramiona nad Zatoką Świętego Wawrzyńca. W tej samej chwili dotarły do jej uszu odgłosy szczękania garnków i śmiechy, jakby na ich farmę zjechał tabor Cyganów. Cuthbertowie byli spokojnymi ludźmi, zachowującymi się bardzo cicho, szczególnie z rana. Ojciec do południa odzywał się jedynie szeptem, brat mógł przetrwać do kolacji bez wypowiedzenia jednego słowa.

Za oknem zobaczyła Mateusza pędzącego krowy z obory na pastwisko. Zasnęła! Matka nie obudziła jej, żeby pomogła przygotować śniadanie dla mężczyzn. Zaniepokojona zakłóceniem w rutynie codziennych obowiązków, zerwała się z łóżka, zrzucając kołdrę na podłogę. Zbiegła po schodach tak jak stała, w koszuli nocnej, zawiniętej wokół ciała na kształt pąka róży.

– O, Marylka! Dzień dobry, kochanie! – powitała ją matka.

Klara, jeszcze w szlafroku, siedziała przy małym kuchennym stoliku, służącym zwykle do siekania warzyw, i popijała drobnymi łyżkami kawę. Łokieć wsparła na niewielkim worku suszonych czerwonych porzeczek, które razem z Marylą zebrały w lipcu, a potem rozkładały na płachcie gazy na słońcu, aż pięknie się ususzyły. Używały ich do pieczenia wielkanocnych bułeczek, lecz, jak widać, teraz ciotka miała jakieś inne plany.

Izzy kręciła się po kuchni w domowej sukience z materiału w pionowe biało-czerwone prążki i wyglądała jak cukierek-paluszek na choinkę. Włosy upięte z tyłu w wysoki kok, z przodu symetrycznie okalały loczkami twarz. Podobieństwo siostr wciąż było niepokojące, lecz nie dałoby się ich ze sobą pomylić. Klara była jak chłodny, blady księżyc, Izzy jak gorejące słońce.

– Mój śliczny kwiatuszek! – Na widok siostrzenicy ciotka uniosła żelazny garnek i zaczęła tłuc w niego drewnianą łyżką.

Zadzwieczał jak dzwon, co wywołało u Maryli natychmiastowy ból głowy.

Jaki znowu kwiatuszek... Dziewczyna się nachmurzyła i ze złością tupnęła nogą, ale że była boso, jedynie plasnęła stopą o zimną posadzkę. Nadawanie tego typu przezwisk było idiotyczne. Jej imię brzmi zupełnie zwyczajnie: Maryla, a ona jest dziewczyną, nie jakimś głupim kwiatkiem. Z godnością ominęła ciotkę i podeszła do Klary.

– Dzień dobry, mamó! – Cmoknęła ją w policzek. – Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Pomyślałyśmy, że potrzebujesz wreszcie porządnie się wyspać.

My – to znaczy kto?! I dlaczego niby powinna odpoczywać dłużej niż w inne poranki?

– Przecież zawsze przygotowuję ojcu i Mateuszowi śniadanie...

Odkąd sięgała pamięcią, nie było dnia, żeby jeszcze przed świtem nie wybijała jajek na patelnię.

– Teraz jest tu ciotka, która będzie nam pomagać. Robi najsmaczniejszą na świecie owsiankę z syropem klonowym. Zostawiłyśmy dla ciebie najlepszą porcję.

Izzy uśmiechnęła się i ukloniła, słysząc komplement. Na Maryli nie zrobiło to większego wrażenia. Ona też mogłaby przygotować owsiankę, gdyby tylko poprosiły.

– Młoda dziewczyna potrzebuje tak dużo snu, jak to tylko możliwe – zakończyła temat Izzy. – Ani się obejrzyj,

a dorosisz i wtedy nie będzie już czasu na nic innego niż harówka od rana do nocy.

Maryla ściągnęła brwi w grymasie niezadowolenia. Izzy zdążyła się już zaprezentować jako miłośniczka rymów, łamigłówek i rozweselających andronów. Pogłębiło to jeszcze ból głowy dziewczyny. Zaczęła się martwić, że jeśli tak dalej pójdzie, może całkiem oszaleć, zanim dziecko przyjdzie na świat i ciotka w końcu wyjedzie.

– Lubię harówkę od rana do nocy – odrzekła naburmuszona.

– No cóż... – Izzy odstawiła garnek i się uśmiechnęła. – Dlaczego w takim razie jeszcze tu stoisz i nic nie robisz? Biegnij się ubrać i wracaj, gotowa do pomocy.

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź Maryli, i zaczęła napełniać garnek wodą ze zbiornika.

– Zrób, jak mówi ciotka. – Klara lekko poklepała dłoń córki.

Mądrzej było mimo wszystko posłuchać kobiety, którą Maryla dopiero co poznała, a która najwyraźniej koronowała się sama na udziałną panią ich włości. Maryla przyrzekła sobie w duchu, że o cokolwiek ciotka poprosi, choćby o najmniejszą przysługę, ona spełni jej polecenie najlepiej, jak potrafi. Wyprostowała się więc, ściągnęła łopatki, poprawiła mankiety koszuli nocnej i pomaszerowała z powrotem na górę. Tam obmyła twarz zimną wodą i ubrała się w swoją najlepszą domową sukienkę. Uprzednio własnoręcznie rozprasowała ją na płasko, przez co ramiona sterczały na boki jak u stracha na wróble. Włosy, które na co dzień nosiła rozpuszczone, tym razem skrzyła w ciasny kok na czubku głowy i przytrzymała go specjalnym grzebykiem z rogu. Fryzura ciągnęła ją tak mocno na skroniach, że pozwoliło to nieco opanować pulsujący w czaszce ból.

Oceniła swoje odbicie w lustrze i stwierdziła, że spokojnie mogłaby uchodzić za szesnastolatkę. Nikt by nie poznał, że ukończyła dopiero trzynaście lat. Podniosło ją to na duchu, lecz gdy wkroczyła z powrotem do kuchni, i matka, i ciotka ledwo

dostrzegły jej obecność, zajęte debatowaniem nad tym, co powinny zrobić w następnej kolejności.

– Musimy rozpuścić cukier we wrzątku, a potem dodać porzeczki – orzekła Izzy.

– A mnie się wydaje, że matka najpierw zasypywała cukrem rozgniecione owoce – zaproponowała Klara.

– Masz rację, ale tamte były świeże. My użyjemy suszonych. Mama nigdy nie robiła z suszonych, a *mamó*[4] Flora owszem.

– Ano tak, masz rację! Ostatnio zrobiłam się okropnie zapominalska. Idę na górę, żeby coś przynieść, ale zanim tam dotrę, zupełnie nie pamiętam, po co poszłam. – Klara roześmiała się i pochyliła ku siostrze, dotykając czołem jej czoła.

Wyglądało to tak, jakby tym razem Klara zupełnie zapomniała o istnieniu swojej jedynej córki. Maryla odchrząknęła głośno, żeby o sobie przypomnieć, ale zwróciła jedynie uwagę ciotki.

– Och, dobrze, że jesteś, Marylko. Bardzo cię tu potrzebujemy. Zjedz śniadanie i wtedy zaczniemy. Musisz poznać sekretny przepis naszej rodziny.

Klara podała córce do stołu miseczkę owsianki. Ciepły syrop klonowy perlił się na płatkach. Maryla musiała przyznać – choć tylko w duchu – że śniadanie było pyszne.

– O jaki sekretny przepis chodzi? – spytała pomiędzy jedną łyżką a drugą.

Klara gotowała, tak jak szyła: o tyle, o ile, byle jakoś wyszło. Nauczyła Marylę przyrządzania wszystkich znanych sobie potraw i za każdym razem to samo danie okazywało się przynajmniej dwa razy lepsze, kiedy przy kuchni stała córka. Maryli wszystko wychodziło samo i dziewczyna zupełnie nie rozumiała, dlaczego odnosi sukcesy, podczas gdy matce nic się tak dobrze nie udaje. Ma dryg do tego – powiedziała kiedyś Klara do męża. Podobnie jak słońce, które ma dar nadawania jabłkom rumieńców, a bielonemu płótnu śnieżnej bieli. Tak po prostu jest i nie ma co dyskutować.

– O wino z czerwonych porzeczek rodziny Johnsonów – wyjaśniła Izzy i puściła oko do siostrzenicy. – Przepis przekazywany z pokolenia na pokolenie, z matki na córkę. Rodzinna tradycja każe przygotowywać je na chrzest każdego nowo narodzonego dziecka. Musi stać w spiżarni przynajmniej przez trzy miesiące, żeby nabrało smaku.

– Musimy przygotować je teraz, żeby było gotowe na narodziny dziecka. – Klara pogłaskała brzuch.

Podczas gdy Hugon wypijał swoją szklaneczkę whiskey co wieczór po kolacji, matka pijała wino jedynie w okresie Bożego Narodzenia oraz w specjalne dni świąteczne w roku, kiedy wierni przyjmowali sakrament komunii[5], a pastor pierwszy wznosił kielich z winem. Maryla wywnioskowała z tego, że wino jest napojem świętym, pijanym jedynie w kościele, zbyt cennym, by dało się go przygotować w zwykłej kuchni. Może je robić tylko wielebny Patterson i jego akolici w piwniczce kościoła, potem zaś zamyka się je szczelnie w beczułkach otoczonych nabożną czcią, by mogły otrzymać błogosławieństwo niebios. Sądziła, że butelki przechowywane w ich spiżarni zostały napełnione z kościelnych beczulek.

W następstwie przyjazdu ciotki Izzy po raz kolejny fałszem okazało się to, co Maryla przyjmowała za niezbitą prawdę otaczającego ją świata.

– Ile to miałyśmy lat, kiedy po raz pierwszy uczestniczyłyśmy w robieniu wina z czerwonych porzeczek, Iz? – spytała Klara.

– Wydaje mi się, że nieco mniej, niż Maryla ma teraz. – Izzy spoglądała gdzieś w sufit, przeliczając w pamięci lata. – To był chyba tysiąc osiemset siódmy, może ósmy... Nie pamiętam dokładnie. To był rok, w którym urodził się mały Jonasz Tremblay...

– Rok plagi ogrodnicy niszczylistki.

– W jakim byłyśmy wieku?

– Miałyśmy dwanaście... Nie, nie: jedenaście lat.

– Tak! Masz rację! – ucieszyła się Izzy. – Teraz sobie przypominam... Miałyśmy po raz pierwszy w liczbie lat dwie prawdziwe cyfry, których można używać do liczenia. Zero to tyle samo co nic, czyli się nie liczy. Matka mówiła, że teraz jesteśmy już dorosłe i od tej chwili nasz wiek będzie się składał z dwóch cyfr, no i że musiałybyśmy osiągnąć wiek lat stu jedenastu, żeby mieć w liczbie lat trzy takie same cyfry, ale to chyba zbyt odległa perspektywa. Robiłyśmy wino na prezent z okazji chrztu u Tremblayów, Boże, pobłogosław im. To była chyba najgorsza partia wina w całej jego historii! Pamiętam, jak spróbowałam mały łyżeczek i musiałam natychmiast wypluć przez okno na podwórko. Tak się zniechęciłam, że drugi raz spróbowałam wina dopiero dobrze po ukończeniu siedemnastu lat.

– Ja popychałam wtedy porzeczkę palcem w maszynie do zgniatania owoców i obcięło mi kawałek paznokcia. Zginął w porzeczkowej pulpie – wyznała Klara.

– Klaro! – jęknęła Izzy.

Niezrażona tym siostra w przyprawiającym o zawrót głowy tempie zaczęła opowiadać ciąg dalszy historii.

– Niechcący za głęboko wepchnęłam kciuk i dostał się pod ostrze noża. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Czułam się tak okropnie, że nie byłam w stanie się przyznać, że zrujnowałam całą partię po tym wszystkim, co już zostało zrobione. Modliłam się codziennie podczas fermentacji, aby dobry Bóg się zlitował i sprawił, by ten paznokieć jakoś zniknął. I stał się cud. Kiedy matka cedziła wino do beczulek, nie znalazła ani kawałeczka paznokcia.

Wszystkie trzy wybuchły gromkim śmiechem. Nawet urażona Maryla nie mogła się powstrzymać.

– Sama nie wiem, jakim cudem to zapamiętałam, skoro w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, gdzie wczoraj położyłam tamborek do haftowania. – Klara otarła łzę radości z kącika oka.

– Gdyby teraz wszedł Hugon, pewnie by orzekł, że upiłyśmy się oparami – zażartowała Izzy.

Na dźwięk tego słowa Maryla spoważniała. Upić się... Tylko raz widziała kogoś pijanego. Było to wtedy, kiedy Mateusz wrócił późno do domu. Poszedł na tańce do stodoły z grupką kolegów ze szkoły. W kubkach z ponczem mieli nieco inny trunek. Poddasze ich domu było wtedy w trakcie wykańczania i wszyscy Cuthbertowie spali na dole w bawialni, więc Mateusz nie zdołał ukryć tego, że nie może utrzymać się na nogach. Próbował zapalić lampę naftową w kuchni, żeby oświetlić sobie drogę, ale wylał naftę, która buchnęła żywym ogniem.

– Zabierz chłopaka! Jest pijany! – krzyknął Hugon do Klary, walcząc z płomieniami.

Wtedy po raz pierwszy w życiu Maryla poczuła, że znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie, i martwiło ją niezmiernie, że wywołała je osoba, której ufała najbardziej na świecie. Wytłumaczyła sobie, że Mateusz nie był tamtej nocy sobą, bo wtedy właśnie się upił. Po tym zajściu trzeba było wyrzucić pleciony dywanik, deski podłogowe pozostały zwęglone w jednym miejscu, a na oparzonej nodze brata została blizna ze skórą tak pomarszczoną jak woda na powierzchni stawu. Nigdy nikomu nie pokazywał tej blizny. Na samo wspomnienie Maryla poczuła świdrujący ból w skroni. Szybko przycisnęła w tym miejscu opuszki palców i trzymała, dopóki ból nie zniknął.

– Boli cię głowa? – spytała Izzy, obserwując siostrzenicę. Podeszła bliżej i zaczęła się jej bacznie przyglądać, zaniepokojona.

– Odrobinę. – Dziewczyna nie chciała kłamać.

Izzy posypała solą owsiankę Maryli.

– Potrzebujesz więcej minerałów w diecie. Jesteś za szczupła i zbyt blada. Zjedz to, a poczujesz się lepiej.

Maryla wyskrobała do czysta miseczkę i rzeczywiście, zgodnie z zapowiedzią ciotki, ból głowy zniknął. Akurat na czas. Gorący

syrop cukrowy już czekał na przyjęcie porzeczek. Worek okazał się zbyt ciężki, żeby zdołały go unieść i bez rozsypywania po podłodze nasypać owoców do rondla, więc każda z nich wzięła do ręki kubek i zaczęły po kolei nabierać porzeczek, odliczając na głos, ile kubków wsypały.

– Jeden! – Pierwsza była Klara.

– Dwa! – Dołączyła Izzy.

– Trzy! – Zakończyła serię Maryla.

Spodobało jej się, że została włączona do tej wyliczanki przypominającej rzucanie jakiegoś tajemniczego zaklęcia.

– Cztery.

– Pięć.

– Sześć!

– Sądzę, że musimy dodać jeszcze jeden na szczęście – stwierdziła Izzy. – Czy uczynisz nam ten honor, Marylko?

Maryla nabrała pełny kubek owoców, wyrównała ich powierzchnię i z pluskiem wrzuciła porzeczek do syropu.

– Siedem!

– Mam dziwne przeczucie, że to będzie najlepsze wino od lat – powiedziała Klara i zamieszała w rondlu, tworząc czerwony wir.

– Mogłabym się założyć, że najlepsze w ogóle. Przykryj teraz garnek pokrywką – poleciła Izzy Maryli. – Zostawimy owoce na godzinę, żeby porządnie puściły sok, potem odcedzimy i przelejemy do butelek. To wtedy właśnie zaczyna działać magia.

– Magia?

– Tak! Przemiana wody w wino. Technicznie rzecz biorąc: fermentacja. Bez niej mielibyśmy smaczny sok porzeczkowy, który, owszem, można popijać na zwykłe okazje, ale narodziny dziecka to przecież nie jest zwykła okazja. Zgodzisz się ze mną?

– Zgodzę. – Maryla po raz pierwszy przyznała ciotce rację, odkąd ta przestąpiła próg ich domu.

Następną godzinę spędziły na obieraniu ziemniaków i ubijaniu masła na kolację. Wszystkie domowe prace szły dwa

razy szybciej, odkąd pojawiła się Izzy. Obierki z ziemniaków ciotka zachowała, by przygotować z nich potem maseczkę piękności według przepisu jednej z klientek jej pracowni sukien, amerykańskiej aktorki, która zdradziła jej, że moczy obierki w soku z cytryny, a potem nakłada je na twarz na całą noc. Rezultatem jest skóra gładka jak alabaster. Maryla nigdy nie zwracała specjalnej uwagi na swój wygląd, lecz uznała, że to dobry pomysł na zagospodarowanie resztek, które w innym wypadku by się zmarnowały. Matka wyraziła przypuszczenie, że może mógłby to być doskonały środek leczniczy na rozstępy pokrywające jej brzuch, a Izzy obiecała obłożyć ją później tym specyfikiem.

W trakcie przygotowywania posiłku okazało się, że Izzy przywiozła z myślą o dziecku książeczkę z wierszykami na dobranoc autorstwa sióstr Jane i Ann Taylor[6].

– Och, Iz! – radośnie wykrzyknęła Klara. – Nie widziałam tego całe wieki!

– Może powinnam ci przeczytać wierszyk *O małej dziewczynce, która uderzyła swoją siostrę*[7]?

Rozmawiając, za każdym razem, kiedy wybuchwały śmiechem, skłaniały ku sobie głowy.

Maryla nigdy w życiu nie słyszała ani tego wiersza, ani żadnego innego w ogóle. Kiedy była małym dzieckiem, matka nie czytywała jej wierszyków na dobranoc, ulegając w tym względzie ojcu, który uważał je za niedorzeczne w porównaniu z wersami Pisma Świętego.

– A może jednak wolałabyś *Gwiazdkę*? – spytała Izzy i nie czekając na odpowiedź, zaczęła recytować: – „Migaj, migaj, gwiazdko mi, prowadź mnie przez piękne sny. Hen, wysoko, gdy świat śpi, jak diamencik gwiezdny lśniesz”[8]...

Klara wpatrywała się z miłością w siostrę, głaszcząc przy tym brzuch, jakby chciała zachęcić dziecko do słuchania.

– „Migaj, migaj, gwiazdko nam, prowadź nas przez piękne sny.

Hen, wysoko, gdy świat śpi, jak diament gwiazdny lśniesz” – powtórzyła Izzy z uśmiechem, zmieniając nieco tekst.

Maryla nagle poczuła, że też się uśmiecha, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Izzy przewróciła kartkę, żeby przeczytać następny wiersz, i godzina oczekiwania minęła niepostrzeżenie. Wkrótce wszystkie trzy, stykając się głowami, zaglądały do stygnącego garnka, w którym napęczniałe porzeczki pyszniły się niczym rubiny.

– Skoro to jej pierwsze oficjalne przygotowanie wina z czerwonych porzeczek, uważam, że to *chef de cuisine* powinien spróbować pierwszy. – Izzy z uroczystą miną wręczyła siostrzenicy łyżkę, którą ta przyjęła.

Siostry stały po obu stronach garnka, gdy Maryla nabrała na łyżkę owoców z sokiem i włożyła je do ust. Mikstura okazała się słodsza niż same owoce. Miała cierpkawy posmak, który sprawiał, że chciało się więcej i więcej.

– Nawet nieźle – orzekła dziewczyna. – Nawet, nawet.

Izzy zaklaskała radośnie, a Klara wzięła łyżkę od córki, by sprawdzić, czy zgodzi się z werdyktem.

– Muszę przyznać, że ten nastaw jest lepszy niż ze świeżych owoców! – orzekła.

– Może to nie kwestia owoców, lecz nowej kucharki, która zmodyfikowała rodzinny przepis? – Izzy objęła siostrzenicę ramieniem. – Teraz pozostało tylko czekać i pamiętać o obracaniu butelek. Płomień wiedzy został przekazany dalej. Wino z czerwonych porzeczek Johnsonów od dziś oficjalnie staje się winem z czerwonych porzeczek Maryli Cuthbert!

– Wzniesiemy za to toast, kiedy dziecko przyjdzie na świat, a jeśli okaże się dziewczynką, w odpowiednim czasie prześlemy jej nasz przepis – powiedziała Klara.

Maryli bardzo spodobała się ta koncepcja. Miała wprowadzić brata, lecz nigdy nie zaznała siostrzanego porozumienia dusz. Stała teraz pomiędzy ciotką a matką i nie mogła się powstrzymać

przed uśmiechaniem się to do jednej, to do drugiej. Spróbowała wyobrazić je sobie jako dziewczyny w jej wieku. Na pewno były nierozłącznymi przyjaciółkami. Ona sama nie miała w Avonlea żadnej przyjaciółki od serca. Nie pomyślała nawet o takiej możliwości, skoro miała matkę, brata i ojca, widząc jednak teraz tę niezwykłą więź pomiędzy Klarą a Izzy, zaczęła się zastanawiać... Może jednak miło by było mieć siostrę?

---

4 *Mamó* (irl.) – babcia.

5 W Kościele prezbiteriańskim kongregacja przyjmowała sakrament komunii świętej zazwyczaj trzy, czasem cztery razy w roku (obecnie częściej). Wierni jedzą wówczas chleb i piją wino.

6 Jane i Ann Taylor, *Rhymes for the Nursery* – zbiór wierszy dla dzieci wydany po raz pierwszy w Londynie w 1806 r. Najbardziej znany z nich jest wiersz *Gwiazdka* (*The Star*).

7 W oryg.: *About the Little Girl That Beat Her Sister*.

8 *Gwiazdka*, w przekładzie Patrycji Zarawskiej, Debit, 2007.

## IV

### Maryla poznaje historię ciotki Izzy

W garnku z czerwonym winem zniknęła resztką cukru, który był w domu, więc kobiety zaplanowały wyprawę do sklepu Blairów na najbliższą sobotę, aby uzupełnić zapasy. Niestety tego dnia Klara poczuła się bardzo źle, więc Izzy zaproponowała, że załatwi sprawunki sama. Zgodnie z tym, co o sobie mówiła, była kobietą czynu. Swoją pobyt w domu na wzgórzu zaczęła od spisania tego, w czym mogłaby pomóc domownikom. Były tam zarówno sprawy związane z narodzinami dziecka, jak i z tym, co nazwała codziennymi wprawkami w robótkach ręcznych. Izzy zawsze miała ręce zajęte a to haftowaniem na tamborku, a to robieniem na drutach z motka przędzy, a to dzierganiem skomplikowanej szydełkowej koronki z podręcznego wzornika.

– Wciąż trzeba doskonalić swoje umiejętności! – tłumaczyła, gdy jej druty rytmicznie postukiwały podczas wieczornych czytań Pisma Świętego, niezmiennie praktykowanych przez Hugona.

Zaczęła dawać lekcje szycia Maryli, nie pytając jej, czy chciałaby się nauczyć porządnie posługiwać igłą i nitką.

– Kobiety, które przychodzą do mojej pracowni, są wyedukowane i nie narzekają na brak pieniędzy, lecz w sprawach ubioru wykazują się całkowitą nieporadnością. Nie chciałabym, żeby nasza dziewczynka była równie nieudolna. Zgadzasz się ze mną, Klaro?

– Musisz umieć zadbać o siebie, Marylko. – Ku zaskoczeniu dziewczyny matka poparła swoją siostrę.

Maryla umiała zacerować skarpetkę tak, że wyglądała nieomal jak nowa, jej umiejętność szydełkowania zaowocowała wieloma całkiem udanymi chustami dla sierot z Hopetown, jednakże nie uszyła dotąd samodzielnie żadnej poważnej części garderoby. Nosiła zwykle ubrania z drugiej ręki, od przyjaciółek matki z kościoła, których córki już z nich wyrosły. Kilka drobiazgów, które uszyła do tej pory, wykroiła ze starej pościeli, przerobiła też dla siebie parę wysłużonych sukienek kupionych na wyprzedazy, jeszcze porządnych, choć nieco przetartych na szwach i wystrzępionych na brzegach. Nigdy nie miała zamiaru pokazywać się w nich nikomu poza domem. Z podnieceniem, nad którym nie umiała zapanować, podchodziła do perspektywy szycia sukienek podobnych do tych, które nosiła ciotka – tak idealnie skrojonych, a przy tym praktycznych. Izzy zamierzała zakupić u Blairów jakiś materiał, z którego mogłaby uszyć sukieneczkę na lato dla dziecka. Zaczną od tego – jak orzekła – zanim zabiorą się do szycia „prawdziwej” sukienki. Maryla oczyma wyobraźni widziała już żółto-zielony materiał w kolorach obuwika, ulubionego polnego kwiatka Klary. Na wyspie wszędzie mnóstwo było tych kwitnących na różowo, ale tylko przy płocie ich farmy zakwitały w pełnym słońcu na żółto.

– Nie chciałam wam popsuć zabawy – zawołała do nich Klara z bawialni, gdzie siedziała, trzymając opuchnięte, obolałe stopy w misce z wodą, w której rozpuściła sole lecznicze. – W dodatku taki piękny dziś dzień.

Tak błękitnego nieba bez jednej chmurki Maryla nie widziała od miesięcy. Jego odcień pasował idealnie do koloru oceanu, przez co zlewały się ze sobą na linii horyzontu i cała wyspa zdawała się tonąć w jednolitym błękitcie. Krople skapujące z topniejących lodowych sopli wygrywały melodię kurantów. Nieomal słyhać w nich było powitalny szept nadchodzącej

wiosny.

Maryla z niecierpliwością wyczekiwała wyjazdu do miasta, choć oczywiście Izzy równie dobrze mogła zrobić zakupy sama. Wzięła swój koszyk z włóczką i rozpoczęła szydełkowanie w miejscu, gdzie ostatnio skończyła.

– Najlepsze, co teraz możesz zrobić, siostró, to odpoczywać – stwierdziła Izzy. – Nic się nie stanie, jak nie pojedziesz po sprawunki. Poradzimy sobie same z Marylką. – Zdjęła szal z haczyka i owinęła go wokół szyi.

Maryla była uszczęśliwiona i przygnębiona zarazem. Uszczęśliwiona, że miała jechać, przygnębiona, że matka zostawała w domu. Maryla nigdy nie była zbyt wylewnym dzieckiem. Lubiła chadzać własnymi drogami. Denerwowała się teraz na myśl, że ma spędzić tyle czasu jedynie w towarzystwie ciotki. Mimo że przez tydzień, który minął od jej przyjazdu, ciotka Izzy starała się wkupić w łaski siostrzenicy, dla Maryli wciąż pozostawała kimś obcym.

– Chodź, chodź! – Ciotka pokiwała na dziewczynę, wskazując jej wieszak z ubraniami. – Nie zapomnij zabrać ciepłych rękawiczek. Nazywają tę wyspę Wietrzną nie bez powodu.

Maryla doskonale знаła tutejsze wichry, świetnie też wiedziała, jak się ubrać odpowiednio do pogody. W końcu to był jej dom, a nie ciotki. Zapięła płaszcz pod samą szyję, włożyła wełnianą czapkę i wciągnęła oblamowane futerkiem zimowe buty. Do Avonlea idzie się bardzo długo, a modne koronki, w które spowiła się ciotka, jakoś nie budziły jej zaufania.

Zanim dziewczyna zdążyła wystawić nos na zaśnieżone podwórko, Izzy wszystko zorganizowała. Okazało się, że zaprzęgała ich konia do lekkich sanek i siedziała już na koźle z cugłami w rękę, gotowa do jazdy.

– Wskakuj, dziewczyno! Obiecałam twojej matce być z powrotem, zanim twój ojciec i Mateusz wrócą z Carmody.

Mężczyźni wybrali się tam kupować nasiona na wiosenne

zasiewy. Hugon zamierzał też w tym roku obsadzić nowy kawał pola ziemniakami.

Zaledwie koń zdążył tupnąć nogą i otrzepać śnieg z kopyta, Maryla już wśliznęła się na ławeczkę obok Izzy. Ciotka lekko poruszyła cuglami i Eryk od razu ruszył kłusem.

Maryla jeździła do tej pory saniami jedynie z ojcem lub bratem, którzy pozwalali koniowi iść tylko statecznym stępem. Izzy trzymała cugle luźno, więc Eryk mógł sam wybrać tempo. Po chwili gnał galopem. Kiedy kaptur błękitnej podróżnej peleryny ciotki sfrunął jej z głowy, nie nasunęła go z powrotem. Pozwoliła porywom wiatru po kolei wyciągać pasma włosów spod ciasno wpiętych wsuwek, aż w końcu wszystkie jej loki fruwały wokół głowy. Kilka pasm włosów uwolniło się też z koka Maryli i miotały się teraz jak wodorosty w zatoce podczas sztormu. Dziewczyna czuła się tak, jakby płynęły przez ośnieżone pola. Musiała wstrzymać oddech i zasłaniać twarz przed lecącymi spod końskich kopyt pecynami zbitego śniegu.

Zwolniły na skraju miasta, przy pierwszym rzędzie domów, tam gdzie ośnieżona droga zamieniała się w ulicę z oczyszczonymi ze śniegu chodnikami.

– Prrr, staruszkule! – zawołała Izzy. – Uważam, że konik ma dość ćwiczeń na dzisiaj. Zasłużył na kostkę cukru.

Ściągnęła konia, żeby zwolnił i uspokoił mu się oddech.

– Kiedy byłyśmy młode, obie z twoją matką zwykle urywałyśmy się w te zimowe dni, kiedy w domu nie było nic do roboty oprócz sprawdzania, jak szybko rosną paznokcie, i oczekiwania, kiedy wreszcie stopnieje śnieg. Zaprzęgałyśmy sanki i jeździłyśmy najszybciej, jak się dało. Kiedyś wjechałyśmy prosto do Stanleyów przez Hope River. Znasz to miejsce?

Maryla skinęła głową. Był tam most, przez który wielokrotnie przejeżdżała.

– Zostawiłyśmy konia z sankami na dole, a same wspięłyśmy się na stromy zamarznięty brzeg. Zaczęłyśmy się bawić

i wyobrażać sobie, że to nie jest zatoka, lecz zaklęte morze, przepełnione ogromem możliwości. Żeby którąś złapać, trzeba było rzucić magicznym kamieniem. Jeśli przebił pokrywę lodową, to, co pomyślałaś, miało się spełnić w przyszłości. Spędziłyśmy z godzinę, rzucając kamieniami. Wyglądały jak śliwki na polukrowanym na biało torcie, ale w końcu udało się nam przebić lód.

– I jakie były wasze marzenia na przyszłość?

Izzy uśmiechnęła się, wyjęła z kieszeni wstążkę i ściągnęła nieposłuszne włosy na karku, odsłaniając wisior z kryształu górskiego na szyi. Tylko odrobinę pobłyskiwał fioletem, więc na pewno nie był to ametyst. Kamień był tak jasny, że zdawał się niebieski. Ciotka potarła go palcami.

– Zawsze proszę, pocierając dowolny kamyk, o to samo: żebym mogła pojechać gdzieś daleko i zrobić coś wielkiego. Coś więcej niż rąbanie drewna zimą, zbieranie zielonego groszku latem i bycie służącą swego męża w domu. Każdy z nas ma tylko jedno życie, Marylo. – Jej oczy syciły się widokiem miasteczka. Wciąż nie pozwalała Erykowi ruszyć szybciej. – Branie od życia jedynie tego, co ci daje, bez głębszego zastanowienia, czy to na pewno to, czego pragniesz, jest zwykłym wygodnictwem. Odkąd pamiętam, zawsze chciałam więcej. Niektórzy być może nazwą to egoistycznym podejściem do życia. Ja po prostu uważam, że jeśli to był mój wybór, to uczciwość nakazuje mnie samej realizować owo pragnienie „więcej-ności”, a nie oczekiwać, że ktoś zrobi to za mnie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Maryla, owszem, rozumiała, lecz w dalszym ciągu nie mogła sobie wyobrazić, po co w tym celu opuszczać wyspę. Przecież to było najwspanialsze miejsce na ziemi! Czego chcieć więcej? Wprawdzie nigdy nie wyjeżdżała na kontynent, ale z tego, czego dowiedziała się z gazet, wszędzie toczą się wojny. Wojna i śmierć panoszą się dookoła, od Teksasu aż po Brazylię na południu. Ziemia nie wydaje plonów, a rodziny farmerów cierpią głód od

wschodu po zachód Kanady. Zatem zamiast udzielić odpowiedzi, zadała pytanie:

– A więc twoje marzenie się spełniło, nieprawdaż?

– Częściowo tak, częściowo nie.

– Ale przecież wyjechałaś do St. Catharines?

Zamiast do St. Catharines ciotka równie dobrze, zdaniem Maryli, mogłaby się udać do Timbaktu w Afryce. Pan Murdock pokazał im kiedyś miasto, w którym mieszkała ciotka, na mapie przedstawiającej Amerykę Północną, tak wielkiej, że zajmowała całą tablicę. Znajdowało się tuż przy granicy ze Stanami, nieopodal wodospadu Niagara. Nauczyciel powiedział, że nocował w hotelu w St. Catharines, który oferuje gościom złoty klucz do drzwi pokoju oraz jedwabną pościel. Maryla nie mogła pojąć, po co komu takie luksusy. Złoty klucz? Przecież równie dobrze drzwi zdoła otworzyć żelazny. Jedwabna pościel? Przecież kiedy śpisz, i tak nie możesz jej podziwiać. Jedna wielka głupota! Jednak, mimo że rozsądek burzył się przeciw takim zbytkom, w opuszkach palców poczuła mrowienie. Bo jakie to uczucie, kiedy trzyma się w dłoni złoty klucz? Jakie to uczucie, kiedy dotyka się jedwabnej pościeli? Wątpiła, żeby Izzy miała w domu takie rzeczy. Chociaż matka powiedziała kiedyś, że ciotka ubiera wszystkie damy w mieście w kapelusze z pawimi piórami i w suknie z guzikami z masy perłowej... Co za wyszukane ozdoby.

– St. Catharines nie różni się aż tak bardzo od Avonlea – zapewniła ją Izzy. – Im jestem starsza, tym lepiej to widzę. Wielkość można odnaleźć wszędzie. Ona nie potrzebuje wzniosłości czy dostojeństwa. Jest w rzeczach zwykłych, w naszym zupełnie przeciętnym otoczeniu. I tu może nawet jest jej więcej niż gdziekolwiek indziej. Pamiętaj o tym, Marylo.

Ciotka westchnęła, a dziewczynie wydało się, że był w tym westchnieniu smutek. Czy ciotka odnalazła tę nieznaną wielkość w St. Catharines? A może nosiła na szyi czarodziejski kamień,

ponieważ wciąż jej szukała?

Izzy cmoknęła i Eryk ruszył kłusem główną ulicą Avonlea. Stary pan Fletcher sprzedawał pieczone kasztany przed gmachem poczty.

– No, no! Kogo ja widzę! Czy to nie panna Elizabeth Jonhson? O mało nie pomyliłem pani z Klarą! – wykrzyknął na ich widok pan Fletcher.

– Nie po raz pierwszy i nie ostatni! – odparła Izzy, wstrzymując konia.

– Witam w domu! Proszę się poczęstować kasztanami! – zaproponował staruszek i podał Izzy rożek z gazety napełniony przysmakami.

– Nigdy nie jadłam lepszych.

Po drugiej stronie ulicy wychodziło od fryzjera pięciu świeżo ostrzyżonych chłopców od Cottonów.

– Izzy Johnson?! To naprawdę ty?! – wykrzyknęła radośnie pani Cotton zza swojego stadka.

Pani Cotton chodziła do szkoły z Izzy i Klarą. Oczywiście dawno temu, kiedy wszystkie trzy były dziewczynkami rzucającymi kamyczki do Hope River, wypowiadając swoje życzenia.

– Jak dobrze cię widzieć, staruszek! Klara mówiła mi, że wyszłaś za męża za syna Cottonów.

Pani Cotton skinęła głową na potwierdzenie i rozłożyła szeroko ręce ponad wypomadowanymi główkami synów.

– Patrz, jakich mam zuchów!

– Słuchajcie się matki, chłopcy! – Izzy podała każdemu po gorącym kasztanie. – Nauczyła mnie literować słowo „Armagedon” i dzięki temu wygrałam regionalny konkurs w literowaniu.

– Arma-co? – Najmłodszy z chłopców zwrócił się do swojego najstarszego brata.

Jeden ze starszych braci dał małemu pstryczka w ucho,

a najstarszy kazał im się uspokoić: Bo jak ja cię huknę, to zobaczysz...

– A-R-M-A-G-E-D-O-N! – przeliterowała na głos pani Cotton, żeby przywrócić porządek. – Och, co za ironia losu!

Izzy się roześmiała, lecz Maryla zupełnie nie zrozumiała dlaczego. Owszem, słyszała, jak wielebny pastor mówił w pewnym kazaniu o jakimś Armagedonie z iście ognistą pasją, uderzając dłonią o pulpit, aż gołębie w popłochu zrywały się z krokwi. Było to coś, czego bez wątpienia należało unikać.

– Jak dobrze znów cię widzieć wśród nas! – cieszyła się pani Cotton, a jej wzrok na ułamek sekundy spoczął tęsknie na witrynie sklepu Blairów, lecz po chwili znów patrzyła na dawną koleżankę z uśmiechem.

Po chwili pożegnała się z nimi, a jej synowie podążyli za nią gęsiego, ustawieni od najniższego do najwyższego.

Izzy przywiązała Eryka do słupka przed sklepem. Weszły do niewielkiego pomieszczenia, które kiedyś było salonem państwa Blairów. Nie mieli oni wcale zamiaru rozkręcać wielkiego interesu. Zaczęli od sprzedawania mioteł, mydła i chusteczek do nosa, oszczędzając miejscowym paniom domu uciążliwych podróży po każdy drobiazg do Carmody, lecz nie minęło wiele czasu, a już zbierali zamówienia na wszystko, od koronek po cynamon. W takiej sytuacji pan Blair zdecydował się przeznaczyć cały parter domu na sklep, a zamieszkać na piętrze. Nie mieli wielkiego wyboru towarów, lecz było go wystarczająco dużo, by dzwonek przy drzwiach sklepu dzwonił co chwila przez cały dzień.

– Och! Wielkie nieba! Chyba widzę ducha! – zakrzyknęła pani Blair.

Stała na stołeczku i sięgała po belę watoliny z położonej wyżej półki dla pani Copp, która odwróciła się, by spojrzeć, kogo zobaczyła właścicielka sklepu. Jedną jej brew powędrowała w górę.

– A niech mnie! – prychnęła. – Elizabeth Johnson!

W przeciwieństwie do kobiet pan Blair wyszedł zza kontuaru, przerywając wystawianie rachunku dla klienta, którego właśnie obsługiwał.

– Izzy! – Wziął ją w objęcia, jakby to wróciła jego własna córka.

– Witaj, Izzy! – Pani Blair dołączyła do męża z pewnym ociąganiem. – Wiele czasu minęło, odkąd się ostatnio widzieliśmy. To było chyba kiedy... Hm, kto by tam pamiętał.

– No właśnie, po prostu dawno. Żałuję, że nie miałam okazji wrócić wcześniej, lecz pomyślałam sobie, że tak będzie najlepiej.

– Pewnie tak... – Pani Blair nachmurzyła się lekko.

Pomiędzy Izzy a panią Blair wyczuwało się chłód, za co na pewno nie można było winić mroźnego zimowego dnia, jak zdążyła spostrzec Maryla. Pani Blair za nic nie zachowałaby się niepoprawnie, jako osoba z klasą.

– Jestem tutaj, by pomóc siostrze. Oczekuje narodzin dziecka – wyjaśniła Izzy.

– Z pewnością jest wielce rada mieć cię przy sobie. – Pan Blair pokiwał głową ze zrozumieniem. – Zwróciłaś uwagę, gdzie oni postawili swój nowy dom?

Co za miła zmiana tematu!

– Oczywiście! Dobrze mieć siostrę do pomocy, choć ma przecież Marylę, nieprawdaż? – spytała pani Blair.

Jej mąż wrócił do swojego klienta, a ona mówiła dalej:

– Dom jest tak daleko od utwardzonego traktu! Klara była zawsze duszą towarzystwa, a teraz, odkąd Hugon wybrał to miejsce, rzadko ją widzimy.

Ojciec Maryli dopiero niecały miesiąc temu skończył prace przy wykańczaniu poddasza, które zbudował rok wcześniej, więc Maryla nie rozumiała, w czym problem. Matka po prostu była obarczona ciężarem ponad siły i dlatego nie bywała w miasteczku, w dodatku była zima! Mroźny wicher i śnieg zatrzymuje przecież większość ludzi w ciepłym domu przy

kominku.

– Miejsce na dom jest jednak piękne – stanął w jego obronie pan Blair. – Hugon Cuthbert doskonale wiedział, co robi, kiedy kupował ten kawałek ziemi na wzgórzu. Zawsze uważałem, że to najpiękniejsze miejsce na całej wyspie. Widać stamtąd i las, i ocean. Wszystko w zasięgu wzroku. – Na tym skończył mowę obronną.

– Witamy serdecznie w domu, panno Johnson! – Klient uchylił kapelusza na powitanie.

– Witaj, Hiram! Powiedz, proszę, swojej matce, że wciąż pamiętam smak jej maślanych ciasteczek z orzechami.

– Tak zrobię. Mieszka teraz z kuzynką i pomaga jej przy maluchach.

– Twoja mała kuzynka ma już dzieci?! – Izzy pokręciła głową w zdumieniu. – Tak wiele się zmieniło, odkąd wyjechałam! Przekaż im pozdrowienia ode mnie.

Mężczyzna ponownie skinął głową, odchrząknął, pożegnał się z właścicielami sklepu i wyszedł.

Wyglądało na to, że ciotka Izzy znała prawie wszystkich w Avonlea, a oni znali ją, na pewno lepiej niż Maryla.

– A teraz do rzeczy, co mamy podać? Wątpię, żebyś wpadła tu z wizytą towarzyską – odezwała się pani Blair.

– Przyjechałyśmy po pół kilograma białego cukru, a przy okazji chciałyśmy zerknąć na materiały. – Tu Izzy objęła ramieniem siostrzenicę.

Pani Blair skinęła na nie i wskazała gestem, by poszły za nią tam, gdzie przechowywała bele muślinu i popeliny.

– Nie sprowadzam tu wszystkiego, co można dostać w wielkim mieście – zastrzegła – lecz staram się mieć stale w sprzedaży przynajmniej z tuzin niezłych tkanin.

– Nie potrzebujemy niczego wymyślnego. To dla przyszłego braciszka lub siostrzyczki Maryli.

– Jakies specjalne wymagania co do koloru?

– Myślałam o żółtym – odpowiedziała Maryla. – Będzie odpowiedni i dla dziewczynki, i dla chłopca.

– Rozsądny wybór, moja droga. – Izzy się uśmiechnęła.

– Jednolity, kwiecisty czy może w kratkę? – spytała pani Blair.

Maryla przesunęła palcami po miękkiej bawełnianej tkaninie, bladożółtej we wzór zielonych listków bluszczu. Jej widok przywiódł dziewczynie na myśl dzban lemoniady z pływającymi w niej listkami mięty. Aż ślinka napłynęła jej do ust, a skóra zatęskniła za ciepłem letnich dni.

– Coś pięknego! – zachwyciła się Izzy. – Poprosimy trzy metry. To powinno wystarczyć na sukieneczkę dla dziecka i na to, co tylko się jeszcze zamarzy. – Mrugnęła porozumiewawczo do siostrzenicy. – Weźmiemy też trochę tego muślinu w kolorze kości słoniowej. Możemy z niego uszyć właściwie wszystko: od kołnierzyków i mankietów po serwetki do herbaty. Gładki, daje nam szerokie pole do działania, pozostawia mnóstwo możliwości wyboru.

Maryli nigdy by nie przyszło do głowy, żeby w ten sposób podejść do nijakiego muślinu. Bezbarwny muślin był dla niej jedynie... bezbarwnym muślinem. Kiedy usłyszała, jak mówi o nim Izzy, nagle zrozumiała, co ciocia miała na myśli, kiedy opowiadała jej o zwyczajnych, przeciętnych rzeczach, które mogą stać się niezwykle, jeśli tylko da im się na to szansę.

Pan Blair zważył dla nich cukier, a w tym samym czasie jego żona zmierzyła i odcięła dwa kawałki materiału. Potem zapakowała je w szary papier i zgrabnie obwiązała sznurkiem.

– Nie dostałem jeszcze żadnych nowych pisemek Godeya z opowiadaniem dla dziewcząt, ale kiedy tylko dotrą, natychmiast ci prześlę – szepnął do Maryli pan Blair, gdy pani Blair przeszła do klientki rozważającej na głos, czy kupić grubo mielone żyto, czy płatki owsiane jako dodatek do ciasta na chleb. Płatki były nieco tańsze, lecz nie miała pewności, czy będą dobrze smakowały po upieczeniu.

– Sama nie wiem... Nie chciałabym zmarnować mojego ciemnego chleba... ale płatki owsiane mają tak kuszącą cenę... – mruzczała pod nosem.

Maryla nie mogła zrozumieć ludzi, którzy mówią na głos wszystko, co im właśnie przyjdzie do głowy, do każdego, kto akurat znajdzie się w pobliżu, gdziekolwiek by to było. Kobieta mówiła, jakby znajdowała się w sklepie sama, i nasuwało się pytanie, z kim, według niej, prowadzi tę debatę. Hugon nazywał takie zachowanie chorobliwą niedyskrecją. Niektórzy ludzie nie byli w stanie się powstrzymać tak samo, jak nie mogli sobie poradzić na przykład z narastającą ekscytacją. To dopadało ich jak choroba. Świadome czy nie, głędzenie bez sensu powodowało, że Maryla czuła się niekomfortowo w towarzystwie takiej osoby. Teraz starała się skupić na czymś innym, więc zainteresowała się słojem miętówek na kontuarze. Uwielbiała te cukierki od chwili, kiedy po raz pierwszy ich spróbowała. W ogrodzie Cuthbertów mięta nie rosła, a to czyniło je jeszcze bardziej upragnioną zdobyczą.

Izzy zauważyła utkwione w miętówkach spojrzenie siostrzenicy, otworzyła więc słój i podała Maryli cukierek, drugi wzięła dla siebie.

– Nie mam nic przeciwko tym słodyczom. Mięta pieprzowa to bardzo zdrowe i smaczne ziele – powiedziała. – Zawsze zamykam oczy, kiedy rozkoszuję się smakiem miętówek. Człowiek czuje się wtedy tak świeżo, jakby połknął gwiazdkę z zimowego nieba. Prawda, Marylko?

Dziewczyna nigdy się nad tym nie zastanawiała, lecz teraz przymknęła oczy z miętówką na języku i nagle stwierdziła, że ciotka ma rację. Mogłaby przysiąc, że zobaczyła pod powiekami rozbłyśki gwiazd.

– Proszę je doliczyć do naszego rachunku – zwróciła się Izzy do pana Blaira.

– Nie są na sprzedaż – odrzekł. – Żona robi je dwa razy

w tygodniu. To ulubione słodycze Williama, jak wiesz...

W tym momencie zrozumiał, co mu się wymknęło, i nagle zajął się pilnie przekładaniem szeleszczących papierów do pakowania zakupów, aby to zatuszować. Izzy z kolei zajęła się manipulowaniem przy zatrasku portmonetki. Odchrząknęła z zakłopotaniem.

– Co u niego słyhać? – spytała po chwili.

Pan Blair zerknął na żonę, zajęta czymś w drugim końcu sklepu, i odpowiedział, ścisząc głos:

– Wszystko dobrze. Ożenił się. Na imię jej Lottie. Przybyła ze Szkocji. Na wiosnę przeprowadzają się do Carmody. Lada dzień oczekują narodzin pierwszego dziecka.

Izzy skończyła odliczać kwotę do zapłacenia i położyła na kontuarze ostatnią monetę.

– Wygląda na to, że dzieci w Avonlea nie brak, zupełnie jak płatków śniegu. – Rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. Dołeczek, który zawsze towarzyszył oznakom radości, tym razem się nie pojawił. – Proszę przekazać moje gratulacje Williamowi i Lottie. Doszły mnie słuchy, że jest osobą niezwykle życzliwą i uprzejmą.

– Urocza dziewczyna, to prawda. – Pan Blair położył dłoń na dłoni Izzy, jakby chciał ją uspokoić. – „Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują” – powiedział.

Z Listu do Rzymian – pomyślała Maryla. Od razu rozpoznała jeden z ulubionych wersów ojca z Biblii.

Pan Blair podał Maryli torebkę cukru, a Izzy paczkę z materiałami.

– Gdyby nasza was chęć na szycie, niedawno mieszkanki Avonlea założyły Kółko Robótek Ręcznych dla Pań. Dobrze mówię, żono? – zawołał w stronę pani Blair, która zajęta była ważeniem płatków owsianych dla klientki.

– Co takiego?

– Opowiadam Izzy i Marylce o cotygodniowych spotkaniach

kółka robótek ręcznych w domu państwa White'ów.

Pani Blair kichnęła, kiedy pył z płatków zakręcił jej w nosie.

– Nie mogę powiedzieć, żebym znała więcej szczegółów. Wiem tylko, że chodzą tam głównie dziewczęta i młode mężatki. Reszta z nas nie ma czasu na takie rozrywki. Sądząc jednak po gwałtownym wzroście sprzedaży naporstków oraz wszelkiego rodzaju nici, kordonków i mulin, spotkania cieszą się dużym powodzeniem. Zapewne szydełkują tam i haftują według najnowszej mody, kopiując wzory prosto z tych frywolnych magazynów dla pań. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości!

Słyszając słowa żony, pan Blair lekceważąco machnął ręką.

– Zaledwie wczoraj wpadła do nas pani White i poprosiła, żeby wszystkim o tym rozpowiadać. Nie może mieć kółka robótek ręcznych dla pań bez takiej liczby pań, żeby razem tworzyły kółko. W innym wypadku będzie to tylko linia robótek ręcznych – zażartował.

– Cóż, sama nie wiem... – zaczęła się zastanawiać Izzy, lecz pan Blair nie ustępował.

– Spodziewam się, że twoja obecność byłaby tam bardzo pożądana. Mogłabyś ich nauczyć najnowszych krojów i haftów, modnych teraz w wielkich miastach. Państwo White'owie przeprowadzili się do nas z East Grafton i wciąż poznają się bliżej z tutejszymi mieszkańcami. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Byłoby miło nieco poćwiczyć – przyznała Izzy. – Mam zamiar nauczyć Marylkę moich najlepszych krawieckich sztuczek.

Choć Maryla już całkiem biegle posługiwała się szydełkiem, nie przyszłoby jej do głowy, żeby się zgłosić do kółka robótek ręcznych.

– Córka państwa White'ów, Małgorzata, jest mniej więcej w wieku Maryli – wtrąciła swoje trzy grosze pani Blair – i słyszałam, że potrafi już robić supełki francuskie.

Maryla aż się wzdrygnęła. Pojęcia nie miała, co to takiego te

francuskie supełki.

– Zaraz napiszę do pani White – zdecydowała Izzy. – Dziękuję panu, panie Blair. Jestem pewna, że Klara również do nas dołączy, jeśli tylko zdrowie jej pozwoli.

Maryla doskonale wiedziała, że matka zupełnie sobie nie radzi z haftem. Całą drogę powrotną zamartwiała się, co robić, aż w końcu podjęła decyzję, że musi jednak spróbować zmierzyć się z kółkiem. Nie było innej rady. Tak bardzo zatopiła się w rozmyślaniach, że dopiero kiedy wyprzęgły konia z sań, przypomniała sobie o obiecanej mu nagrodzie.

– Zapomnialiśmy o kostce cukru dla Eryka!

– Możemy go poczęstować moim cukierkiem – odpowiedziała Izzy i wyciągnęła miętówkę z kieszeni.

Eryk rozgryzł smakołyk i parsknął, najwyraźniej zadowolony. Dało to Maryli do myślenia, czy zwierzęta również marzą o gwiazdach na zimowym niebie oraz sprawach wielkich, przekraczających ich możliwości.

## V

# Maryla zaprzyjaźnia się z Małgorzatą White

We wtorek Mateusz podwiózł saniami Marylę i Izzy do domu White'ów w drodze do Carmody, dokąd jechał, by kupić nową praszkę do odciskania białego sera. Ich stara pękła na pół przez całą długość, a Klara utrzymywała, że jej dziecko ma nieustanną chęć na serek, więc ona musi go bez przerwy jeść. Po tygodniu bez sera zaczęła śnić o białych twarogowych górach, poduchach z twarogu i strumieniach kremowej śmietanki, podczas gdy dziecko nieustannie wierzgało w jej brzuchu, sygnalizując swoje niezadowolenie. Klara była przekonana, że nie przeżyje kolejnego dnia bez nowej praski, więc Mateusz został wyekspediowany po zakupy.

Tego samego dnia rano Klara obudziła się lekko przeziębiona.

– Nie mogę swoim kaszlem niepokoić pań. Poza tym będzie mną wstrząsać co chwila i nie zdołam nawet wbić prosto igły, nie mówiąc o zrobieniu jednego równego ściegu.

Izzy zaofiarowała się, że zostanie z siostrą w domu, lecz Klara nalegała:

– Chciałabym, żeby Maryla tam pojechała. Zbyt długo już siedzi w domu. Młoda dziewczyna potrzebuje czasem wyjść na świat. Zrób to dla niej, siostrzyczko, proszę!

Spakowały więc swoje tamborki i kolorowe nici do

haftowania, wzięły również butelkę porzeczkowego wina, przy okazji obracania wszystkich leżakujących w spiżarni butelek o pół obrotu zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Wypada zabrać ze sobą podarek dla gospodyni – wyjaśniła ciocia.

Umościła butelkę ostrożnie w swoim koszyku, co przywiodło Maryli na myśl biblijne dziecko, Mojżesza, tuż przed puszczeniem go z biegiem Nilu.

Maryla była okropnie zdenerwowana, kiedy Mateusz pomagał jej wysiąść z sań.

– Będzie dobrze, Marylko! – szepnął jej do ucha. – Weź po prostu głęboki oddech i wchodź tam śmiało, z wysoko uniesioną głową. Oczekuj dobra, a znajdziesz dobro, rozumiesz?

Była to swobodna interpretacja cytatu, który Hugon przeczytał im poprzedniego wieczoru: „Kto pilnie szuka dobrego, nabywa przyjaźni”.

Z wdzięcznością skinęła bratu głową. Nie dyskutuje się z Biblią. Wciąż jednak przerażała ją perspektywa znalezienia się pod ostrzałem krytycznych spojrzeń wszystkich kobiet. Chciała mimo wszystko zrobić na nich dobre wrażenie. Mateusz ruszył w drogę, a Izzy czekała na nią przy furtce prowadzącej na podwórko.

– Pospiesz się, dziewczyno, bo zaczną bez nas!

Dom White'ów był kryty gontem, a okiennice miał pomalowane na brzoskwiniowo. Tuż przy odpływie z rynn pani White urządziła rabatę z ogromnymi malwami. Dom położony był tak blisko centrum miasteczka, że kiedy w kościele biły dzwony, huśtawka na ganku zaczynała się kołysać.

– Witam, panno Johnson! Witam, panno Cuthbert! – przywitała je serdecznie pani White nieomal natychmiast po tym, jak zapukały do drzwi. – Tak się cieszę, że zechciałyście dołączyć do naszego grona! – Z wnętrza napłynął zapach pieczonego ciasta i wanilii. – Właśnie pijemy herbatkę. Zaczniemy za chwilę.

Pomimo misternie tkanych drogich koronek i pereł na szyi pani White okazała się wesołą, miłą kobietką o dużych brązowych oczach i budzących zaufanie dłoniach. Miała rozsądne, rzeczowe podejście do wszystkiego, do czego się zabierała.

– Pozwólcie, że wezmę wasze okrycia. Wejdźcie! Ella, nasza służąca, naleje wam po filiżance gorącej herbaty. Nie chciałabym, żeby wilgotny chłód dostał się do waszych płuc. Wciąż mam nadzieję, że któregoś dnia się obudzę i nagle zobaczę, że ta mała spryciara, wiosna, jakoś się do nas przemknęła.

Poprowadziła je do salonu, gdzie w kółku stało dziesięć krzeseł, z których osiem było już zajętych. Wszystkie panie jadły lukrowane ciasto ze szklanych talerzyków.

– Panna Elizabeth Johnson i panna Maryla Cuthbert – przedstawiła je gospodyni, a sama poszła schować okrycia do szafy pod schodami.

Ella była młodą Francuzką, niewiele starszą od Maryli.

– Co mogę paniom podać? – spytała. – Coś do jedzenia lub do picia?

Maryla nigdy wcześniej nie była w domu ze służbą. Dziwnie było nawet pomyśleć, że ktoś obcy może mieszkać z rodziną pod jednym dachem. Wcale jej się nie podobała taka sytuacja. Ledwo mogła znieść ciotkę Izzy, a przecież była ich bliską krewną. Każda pokojówka pewnie jest wtajemniczona we wszystkie rodzinne sekrety, wie, o czym domownicy rozmawiają, co robią. Co mogłoby powstrzymać taką osobę przed roznoszeniem plotek, przed kradzieżą czy też przed spowodowaniem jakiegokolwiek innej szkody?

O nie! Maryli coś takiego ani trochę by się nie podobało, nawet gdyby ta pokojówka miała cerować wszystkie dziurawe skarpety w domu i piec mnóstwo ciast. Maryla od zawsze robiła to sama.

– Jakie pyszności! W życiu nie widziałam tak wspaniałej

lukrowej dekoracji na cieście! Muszę powiedzieć, że ten, kto to zrobił, jest prawdziwym artystą! – piała z zachwytu Izzy, a Ella, cała w skowronkach, z gracją odkroiła kawałek ciasta, prezentując jego środek: błysnęły czerwienią warstwy dżemu truskawkowego.

– Ten będzie dla ciebie, Marylko – powiedziała ciotka.

Maryla wzięła talerzyk i stanęła speszona z boku. Nie wiedziała, czy puste krzesła są przeznaczone dla nich. Wszystkie panie zwrócone były do siebie parami i pogodnie gawędziły w przerwach pomiędzy kęsami ciasta z lukrem waniliowym. Po chwili wróciła pani White i zaklaskała w dłonie.

– Moje panie! Skoro już jesteśmy w pełnym składzie, chciałam was oficjalnie powitać na zebraniu Kółka Robótek Ręcznych dla Pań z Avonlea!

Widelczyki zadźwięzwały o talerzyki, jakby próbowały przyklasnąć jej słowom.

– Powoli kończmy herbatę, bo zaczynamy pracę dokładnie kwadrans po pełnej godzinie.

Pani White prowadziła spotkanie z niezwykłą punktualnością, bez marnowania chwili czasu. Obeszła ustawione w krąg krzesła i znalazła się obok Maryli.

– Chodź, moje dziecko! Musisz poznać Małgorzatę.

Maryla nie ośmieliłaby się nie usłuchać, lecz czuła, że nogi ma jak przyrośnięte do podłogi. Izzy popchnęła ją lekko do przodu.

Pod wielką paprocią o liściach rozpostartych na boki jak skrzydła orła siedziała Małgorzata. Na jej kolanach leżał już tamborek z wbitą pośrodku nawleczoną igłą. Choć ładniutka i modnie ubrana, wyglądała na miłą, zwyczajną dziewczynę. Płowe warkocze miała upięte w dwie pętle z tyłu głowy, a luźne loczki zwieszające się na szyję przypominały drobne kwiatki bzu. Policzki i ramiona miała o wiele pulchniejsze i krągłe niż Maryla. Przypominała nieco dużą lalkę.

– Marylko! To moja córka Małgorzata. Małgorzatko, to Maryla

Cuthbert, siostrzenica panny Johnson.

– Jak się masz? – Małgorzata dygnęła na powitanie.

Czuły się obie jak dwie ryby w akwarium. Wszystkie oczy zwrócone były na nie, bacznie obserwując, która pierwsza odpłynie.

– Dziękuję, dobrze, a ty?

– Ja? A jak mogę się czuć z żołądkiem wypchanym jedynie ciastem bez odrobiny lodów, które nasyciłyby mnie do pełna? – odpowiedziała pytaniem Małgorzata.

Pani White głośno westchnęła.

– Następnym razem możesz w ogóle zapomnieć o cieście. Roztropnie jest być wstrzeźliwą, moja panno.

Talerzyk Małgorzaty został wyskrobany do czysta. Na pierwszy rzut oka widać było, że dziewczyna jest prawdziwym łasuchem.

– Hm... Może w takim razie wystarczy herbata na poprawę trawienia? – ustąpiła.

– Mądry pomysł – orzekła matka. – Może nalejcie sobie z Marylką po filiżance, zanim zaczniemy? Marylko, postaw swój talerzyk z ciastem tutaj. To krzesło jest przeznaczone dla ciebie.

Maryla myślała, że usiądzie sobie cichcem obok ciotki Izzy. Miała nadzieję, że wówczas nikt nie zwróciłby uwagi na zbyt luźno ściągnięte supełki i nieco krzywe ściegi haftu. Nie wiedziała, co począć, więc posłuchała pani White. Małgorzata wzięła ją pod rękę i poprowadziła przez cały salon do stolika z herbatą.

– Matka najchętniej widziałaby nas pijących jedynie ziółka na wzmocnienie i wcinających surowe marchewki, gdyby tylko ktoś chciał jej słuchać. Mój wuj Teodor zabrał ciotkę Luanę do wód w Vichy. To we Francji, gdybyś nie wiedziała. Kiedy wróciła, wyglądała jak lady Godiva. Przyznała się, że wzięli ją na ścisłą dietę: tylko ziółka i warzywa na poprawę krążenia krwi i innych takich tam kobiecych przypadłości. Wyobrażasz to sobie?! To

brzmi jak jedna wielka tortura, lecz matka ogromnie się do tego zapaliła. Nie wzięła do ust nawet odrobinki ciasta, które Ella przygotowywała cały wczorajszy dzień. Ojciec tłumaczył, że ta przemiana ciotki Luanny wiązała się głównie z pobytem na świeżym powietrzu i zażywaniem kąpeli w wodach termalnych, lecz matka jest przekonana, że przyczynił się do tego jej sposób odżywiania. – Małgorzata prychnęła z dezaprobatą i głęboko odetchnęła. – Czułaś się kiedykolwiek tak, jakbyś była jedyną osobą na świecie, która widzi jak na dłoni to, czego inni jakoś nie mogą dostrzec?

U Maryli było zupełnie na odwrót: to ona się czuła tak, jakby wszyscy inni widzieli jak na dłoni to, czego ona nie dostrzegała. Nic nie odpowiedziała, lecz Małgorzacie zdawało się to zupełnie nie przeszkadzać.

– Cuthbertowie siedzą w kościele w czwartej ławce po lewej – mówiła dalej. – Moja rodzina siedzi w siódmym rzędzie po prawej, więc nic dziwnego, że do tej pory się nie zauważyliśmy. Miałyśmy szansę, kiedy się czasem odwracałaś.

To spostrzeżenie wydało się Maryli całkiem rozsądne. Miło ją zaskoczyło, że koleżanka zauważyła ją w kościele.

– W szkole w Avonlea też nie mogłyśmy się spotkać – ciągnęła Małgorzata. – Zeszłej zimy przechodziłam bardzo ciężko ospę wietrzną, przez co nagromadziło mi się dużo zaległości w nauce i matka stwierdziła, że lepiej będzie, jeśli zacznę się uczyć w domu z prywatnym nauczycielem, dopóki nie nadgonię materiału.

– I do tej pory ci się nie udało?

Małgorzata wylała resztkę herbaty z imbryka, starając się, żeby nie wpadł jej do filiżanki żaden pływający w naparze listek.

– Wiesz, mam jakieś problemy z literami. Tylko czasem. – Odchrząknęła. – Wydaje mi się wtedy, że zlewają się wszystkie ze sobą gdzieś pomiędzy stronicą a moimi oczami. Doktor Spencer mówi, że powinnam zacząć nosić szkła do czytania, ale ja nigdy

jeszcze nie widziałam nikogo w naszym wieku w okularach. O niebiosaaa!!! Nie, nie i jeszcze raz nie! Takie coś wkładają na nos chyba tylko stare pokojówki. Jeśli zacznę je nosić, mogę nigdy nie znaleźć męża! Proszę... – Podała Maryli herbatę. – Możesz wypić ostatnią filiżankę.

– To bardzo uprzejme z twojej strony. – Maryla się uśmiechnęła.

Czuła, że zaschło jej w gardle od samego słuchania trajkoczącej Małgorzaty. Ta dziewczyna mogłaby każdego zagadać na śmierć. Maryla doszła do wniosku, że to może być efekt nadmiaru cukru pochłoniętego przez nią w cieście.

Panie wreszcie skończyły przekąskę i zebrały się pośrodku salonu, żeby zaprezentować sobie nawzajem swoje prace i omówić następne. Wszystkim wyrwał się okrzyk zachwytu, kiedy Izzy wyjęła z koszyka próbki swoich haftów.

– To wypukła igłowa koronka wenecka, *punto a groppo* – objaśniła. – Wzór na kołnierzyki.

– Jaki kunsztowny haft prosto z St. Catharines!

– Prawdziwe cudo!

– Czy może nas pani tego nauczyć?

Wzdychały z zachwytu i przekrzykiwały się nawzajem.

– A więc twoja ciotka wróciła... – Małgorzata zaczęła szeptać do ucha Maryli, kiedy ta popijała małymi łyżkami herbatę. – Słyszałam, jak panie rozmawiały ze sobą po nabożeństwie, że odważyła się przyjechać z powrotem na wyspę, bo pan William Blair jest już żonaty. Wiesz... oni byli ze sobą zaręczeni, lecz nim zdążyłabyś policzyć palce u rąk, twoja ciotka się rozmyśliła i już siedziała w pociągu do St. Catharines, nikomu się z tego nie wytłumaczywszy. Co za zuchwałość! I żadnej skruchy! Ale pani Blair powiedziała pani Barry, która powiedziała mojej matce, że mimo szoku w pierwszej chwili wcale nie była tym zaskoczona. Z dwóch dziewcząt od Johnsonów, i widać to jak na dłoni, powiedziała, twoja matka była zdecydowanie porządniejsza.

Elizabeth miała pstro w głowie i pani Blair od samego początku ostrzegła Williama, że ona nie będzie się chciała ustatkować w przykładowym stadle jak jej siostra, więc w końcu dobrze się stało, że wyjechała wcześniej, niż gdyby miała to zrobić później. William znalazł sobie lepszą partię, jak powiadają.

Maryla z wrażenia aż zakrztusiła się herbatą i wtedy przypomniała sobie, co powiedziała jej ciotka, zanim wyjechały do sklepu Blairów. Dotarło do niej teraz, że w podtekście pozostawiła o wiele więcej, niż zdradziła. W odczuciu Maryli trzeba było mieć dużo odwagi, żeby się zaręczyć, a jeszcze więcej, żeby te zaręczyny zerwać. Ciotka Izzy okazała się silniejsza, niż się Maryli początkowo wydawało.

– Serce moje! Dobrze się czujesz?! – Zaniepokojona Małgorzata podała Maryli serwetkę. – Nie umieraj, proszę, kiedy właśnie zaczęliśmy się zaprzyjaźniać!

Zaprzyjaźniać? Przyjaźń? Maryla nie miała przyjaciółek. Nie chciała, żeby Małgorzata o tym wiedziała, lecz to ją zaskoczyło. Szybko osuszyła chusteczką wargi.

– J-ja nigdy dotąd nie słyszałam o ciotce Izzy i panu Blairze.

– Och, przepraszam cię! – Małgorzacie zrobiło się przykro i mina jej zrzedła. – Musisz mi wybaczyć, proszę! Nie możesz mnie za to winić. Matka mówi, że jestem zbyt otwarta i zawsze wszystko wygadam. Może to dlatego, że nie za bardzo mam tu z kim porozmawiać, więc jak już zaczynam, wyskakuje ze mnie to, co akurat mi chodzi po głowie. Nie powinnam była mówić tego o twojej ciotce.

– Wróciła, żeby pomóc przy dziecku.

– Oczywiście! – Małgorzata pokiwała głową ze zrozumieniem. – Nie wierzę w ani jedno słowo tych starych plotkarek, ot co!

Pani White ponownie głośno zaklaskała, żeby przywołać uwagę pań w salonie.

– Proszę na miejsca, drogie panie! Rozpoczynamy!

Małgorzata poprowadziła Marylę do ich krzeseł.

– Tak się cieszę, że mam obok kogoś w moim wieku, z kim będę mogła porozmawiać podczas pracy! Tu jest całe pudełko nici we wszystkich kolorach tęczy. Ty też możesz ich używać. Może i nie jestem zbyt biegła w czytaniu, ale do posługiwania się igłą i nitką mój wzrok zupełnie wystarcza. Ciotka Luanna przywiozła mi z Francji książkę z wzorami haftów. Jest tam taki jeden, który bardzo bym chciała wypróbować. Stylizowane kwiaty czerwonego amarylisa. Nadawałyby się na gorset sukni albo na rękawy, ale wtedy trzeba by było zrobić oba w taki sposób, żeby do siebie pasowały. Może ty mogłabyś wyhaftować jeden, a ja drugi? Chyba że już nad czymś pracujesz?

– Będę szyć sukieneczkę dla niemowlaka razem z ciotką, ale jeszcze nie zaczęłyśmy. Dopiero kupiłyśmy materiał u pani Blair.

Maryli przypomniały się miętówki i moment, w którym pan Blair wspomniał coś na temat syna. Jak dziwnie toczy się życie: tak niewiele brakowało i ciotka Izzy mogła się stać częścią tamtej rodziny. Izzy Blair. Maryla się skrzywiła. Zabrzmiało to jak coś, co mógłby przepisać lekarz.

– A nie dałabyś rady zrobić i sukieneczki, i haftu na rękaw? Nosiłabyś suknię na zmianę, kiedy byłaby gotowa. – Małgorzata błagalnie złożyła ręce. – Docenię najmocniej i pomoc, i towarzystwo!

Maryla chętnie przystała na tę propozycję. Polubiła Małgorzatę, która działała na nią pobudzająco. Miło mieć obok siebie kogoś, przy kim nie musisz wciąż zgadywać, co ma na myśli. Akurat to Maryla umiała docenić.

– Ale ostrzegam cię, nie jestem w tym zbyt dobra. Na jednym rękawie może nam wyjść kwitnąca gałązka, a na drugim usychający badyl.

Małgorzata się roześmiała i opadła z impetem na krzesło, zapomniawszy całkowicie o leżącym na nim tamborku z wbity igłą. Jej roztargnienie zakończyło się niezwykle boleśnie. Dziewczyna wrzasnęła z bólu, wyskoczyła jak na sprężynie

i złapała się oburącz za pośladek.

– O wielkie nieba!

Zapadła kłopotliwa cisza. Wszystkie panie spojrzały na nią wystraszone, gotowe biec na pomoc lub uciekać.

– Czemu tak krzyczysz, Małgorzato? – zaniepokoiła się nie na żarty pani White.

Dziewczyna puściła spódnicę i zaczęła coś mówić niewyraźnie, co rozdrażniło panią White jeszcze bardziej niż okrzyk.

– Mów no wyraźniej! Nie znoszę mamrotania!

Maryla szybko przysła jej z pomocą.

– Myślę, że coś musiało ją użądlić – powiedziała.

Nie minęła się całkiem z prawdą. Wbicie igły czy żądła w pośladek było przecież równie bolesne..

– Och, kochanie! To straszne! – Pani White bardzo się przejęła.  
– Czy to osa? A może pszczoła?

– Skąd mogła się tu wziąć?!

– Państwo Gillis musieli zburzyć całą szopę, bo w jej ściany wgryzł się rój dzikich czarnych pszczół, który chciał tam prezimować.

– Brrr! Aż dostałam dreszczy na samą myśl: czarne pszczoły!

Wszystkie panie zaczęły nerwowo wstrząsać i otrzepywać swoje sute spódnice. Wybuchła panika. Kobiety rozpinały kołnierzyki, odskakiwały od ścian i w końcu narobiły takiej wrzawy jak rój pszczół, którym niedźwiedź ukradł plaster miodu.

– Drogie panie! Drogie panie! Bardzo was proszę...! – próbowała je przekrzyczeć i uspokoić pani White, lecz sama wciąż nerwowo zerkała na karnisze, a Ella uniosła bojowo miotłę.

Pośród całego zamieszania tylko Maryla i Małgorzata zachowały spokój. Stały w miejscu, nie śmiąc spojrzeć na siebie, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Może powinniśmy się zebrać innym razem, kiedy pani

White przeprowadzi szczegółową inspekcję domu? – zaproponowała rozsądnie Izzy i machnęła ręką nad głową, odganiając niewidzialną pszczołę.

– Doskonały pomysł, panno Johnson! Moją biedną Małgorzatę coś ukąsiło! Nie mogę znieść myśli, że kogoś innego mogłoby spotkać to samo. Ella! Przynieś, proszę, okrycia pań!

Ella wróciła szybko z naręczem płaszczy oraz robionych na drutach czapek, szalików i rękawiczek. Kobiety opadły ją, by na gwałt wyciągać swoje rzeczy, i jeszcze szybciej rzuciły się do drzwi.

– Inwazja dzikich pszczół w domu White'ów!

Izzy z Marylą opuściły dom jako ostatnie.

– Przyniosłyśmy to dla was. – Przed wyjściem Izzy podała gospodyni butelkę czerwonego wina. – Powinno poleżeć jeszcze parę miesięcy, zanim osiągnie najlepszy smak, lecz jeśli miałyby pomóc przetrwać trudne chwile... – rozejrzała się niepewnie po ścianach, zapinając płaszcz pod szyję – ...może je pani oczywiście otworzyć od razu.

– Chyba tak właśnie zrobię! – odrzekła pani White i wzięła butelkę.

Izzy musiała jeszcze chwilę poczekać na siostrzenicę przed domem. Dziewczyny na krótką chwilę zostały w holu same.

– Za nic nie możemy się przyznać... – zaczęła Małgorzata, a potem zerknęła za siebie na matkę, która właśnie wymieniła butelkę na miotłę Elli i zaczęła energicznie omiatać sufit. – To musi pozostać naszą tajemnicą.

Maryła się uśmiechnęła. Nigdy nie miała z nikim wspólnych sekretów.

Małgorzata zakryła usta, żeby stłumić śmiech, a po chwili wyciągnęła rękę.

– Czy możesz przysiąc na śmierć i życie, że nikomu o tym nie powiesz po kres swoich dni? – spytała z poważną miną.

Maryła ujęła jej dłoń i pomyślała od razu, że jest to najmiłsza

dłoń, jaką kiedykolwiek trzymała w swojej ręce, oczywiście prócz dłoni matki.

– Po kres moich dni! – powtórzyła.

Małgorzata uścisnęła mocniej dłoń Maryli, a potem ją puściła.

– Muszę pomóc matce. Jest w strasznym stanie. Czy możesz przyjść do mnie jeszcze raz, żebyśmy mogły popracować nad amarylisowymi rękawami?

Maryla skinęła głową ochoczo.

– Małgorzato! – zawołała pani White. – Czy zostałeś uządlona w pobliżu tego krzesła?

Tak energicznie trzepała miotłą siedzisko, że w końcu krzesło się przewróciło.

– Do zobaczenia! – szepnęła Małgorzata i cicho zachichotała.

– Do zobaczenia! – odrzekła Maryla.

Świeciło słońce. Śnieg topniał w błyskawicznym tempie, spływając z dachów i drzew, lecz ziemia wciąż była zmarznięta, co bardzo cieszyło Marylę, gdy szły polną drogą do domu.

– Wygląda na to, że zyskałaś dzisiaj przyjaciółkę – powiedziała Izzy.

– Mam taką nadzieję – odparła Maryla z uśmiechem.

Ciotka mrugnęła porozumiewawczo i wzięła ją za rękę. To przypomniało Maryli chwilę, kiedy składała obietnicę Małgorzacie, oraz inną obietnicę – obietnicę zawarcia małżeństwa, której Izzy nie dotrzymała panu Williamowi Blairowi. Maryla wciąż nie mogła uwierzyć, że ciotka o mało nie została panią Blair, synową właścicieli sklepu. Wyglądało na to, że nie miała pojęcia o wielu sprawach swojej rodziny i swojego miasteczka.

## VI

### Maryla poznaje Janka Blythe

Do kwietnia udało się Maryli i Małgorzacie mniej więcej do połowy wyhaftować rękawy z wzorem kwiatów amarylisa. Szło im to znacznie wolniej, niż oczekiwały, ponieważ pani White zarządziła, że zanim zajmą się swoją pracą, za każdym razem muszą najpierw zrobić szydełkiem przynajmniej dziesięć rządów chust dla dzieci z sierocińca w Hopetown w Nowej Szkocji, które to chusty dziergały wszystkie członkinie Kółka Robótek Ręcznych dla Pań z Avonlea. Siedem z dziesięciu pań udzielało się jeszcze w prezbiteriańskiej szkółce niedzielnej, więc to one miały we wszystkim głos decydujący. Kółko zebrało się ponownie po tym, gdy inspektor z zarządu hrabstwa przeprowadził inspekcję w domu państwa White'ów i nie znalazł ani jednej osy, pszczoły, szerszenia czy też innego podobnie niebezpiecznego owada. Inspektor wyjaśnił, że i tak pewnie owad ten zginął zaraz po utracie żądła, które najprawdopodobniej utkwilo w pośladku Małgorzaty.

– Droga pani White! Pani dom jest czysty jak łąka! – orzekł inspektor po sprawdzeniu wszystkich pozycji na swojej liście.

Jego wizytację poprzedziło wyszorowanie całego domu od podłogi na parterze po sufit na poddaszu przez panią White i Ellę. Patrząc na rezultat tych działań, pani White puchła z dumy. Każdemu, kto przekraczał próg jej domu, powtarzała teraz: Dom jest czysty jak łąka. To potwierdzone przez inspektora.

Oficjalnie!

Mrozy wreszcie puściły i nadeszły deszcze, przez które wszystko w Avonlea przesiąkło wilgocią. Woda zdawała się płynąć zewsząd, a nawet unosić się z ziemi, gdy grube krople spadały w kałuże, rozchlapując je na boki. Nie można było zrobić jednego kroku, żeby do cna nie przemoknąć.

Maryla zdecydowała się pobiec do Małgorzaty, gdy jedna burza przesunęła się nad Nową Fundlandię, a kolejna nadchodziła znad Nowego Brunswiku. Ledwie dziewczyna dopadła domu White'ów, niebiosa znów się otworzyły. Kiedy była już bezpieczna pod daszkiem ganku, odwróciła się, żeby popatrzeć na miasteczko. Z zatoki w oddali niósł się huk rozbijających się o brzeg fal; wicher przesycony był wonią rozpuszczających się śnieżnych czap i giał drzewa jak morską trawę. Deszcz padał coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie zamienił się w gęsty welon mgły rozciągnięty nad wyspą, spowijając cały świat szarością. Dziewczynie trudno było rozpoznać swoje rodzinne miasteczko. Może wyglądało zupełnie inaczej spod drzwi cudzego domu?

– Wchodź, zanim całkiem przemokniesz! – zawołała Małgorzata i wciągnęła ją do środka. – Udało mi się wreszcie! Popatrz tylko na to! Doprowadziłam do perfekcji haft łańcuszkowy z ozdobnymi rozetkami! Używają go do haftowania sukien ślubnych od Paryża po Londyn. Słyszałam, że księżniczka Wiktoria będzie miała wydzierganych ponad dziesięć tysięcy różyczek takim właśnie ścięciem na swojej sukni koronacyjnej. Nie jestem nawet w stanie sobie tego wyobrazić!

Małgorzata z dumą uniosła tamborek, żeby przyjaciółka mogła lepiej zobaczyć ścięg. Haft łańcuszkowy z rozetkami w wykonaniu Małgorzaty na pierwszy rzut oka wyglądał prawie identycznie jak zwykły ścięg łańcuszkowy, lecz Maryla przemilczała ten fakt.

– Jest bardzo skomplikowany, ale mogę cię nauczyć –

zapropowała Małgorzata. – Nie załamuj się jednak, jeśli nie załapiesz tak szybko jak ja, jak przekładać nitkę. Niektórym zajmuje to całe lata, jeśli nie zostali obdarzeni talentem od Boga.

Małgorzata spostrzegła już przy drugim ich spotkaniu, że Maryla nie posiada jej „talentu od Boga”, choć prace przyjaciółki miały pewien potencjał, który dałoby się rozwinąć, gdyby ta pilnie przykładała się do pracy.

– Z przyjemnością się nauczę – odparła Maryla.

– Zacznijmy lepiej od naszych chust. Matka policzyła, ile mam rządów, zanim wyjechali z ojcem do Czterech Wiatrów. – Małgorzata wyciągnęła kłębek grubej, puszystej wełny z koszyka. – Zabrali dla moich kuzynów trochę jedzenia przygotowanego przez Ellę. Biedacy! Panuje u nich ospa. Pięcioro dzieci zachorowało równocześnie.

Małgorzata zaczęła przekładać szydełko przez pętelki, nabierać nitkę i przeciągać, nabierać i przeciągać. Maryla zabrała się do szydełkowania swojej chusty.

– Ospa wietrzna to chyba najohydniejsze choróbko! – kontynuowała Małgorzata z istic matczynym zaangażowaniem. – Moja matka owijała mi palce bawełną, żebym nie mogła rozdrapywać krostek i strupków. Jej matka robiła to samo jej. Po ospie mogą zostać na twarzy blizny na całe życie, jeśli się nie będzie uważać. Potem wszystko mi się wygoiło bez najmniejszego śladu. Czytałam kiedyś powieść w odcinkach w pisemku dla dziewcząt o pięknej dziewczynie z blizną po ospie, umiejscowioną dokładnie pośrodku czoła, co wyglądało, jakby została naznaczona świętą raną. Tak właśnie było tam napisane: „naznaczona świętą raną”. Pomyślałam, że to najcudowniejsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Zaczęłam sobie malować na czole małą ranę barwnikiem z utartych płatków karminowych róż. Kiedy matka zmusiła mnie do przyznania się, co robię z jej różem, orzekła, że to potworna głupota. Zabrała mnie nad morze, na przystań, żebym zobaczyła

jednego z mieszkających tam małych Francuzów. Biedny chłopczyk miał całą twarz, dosłownie całą, pokrytą dziobami po ospie. Jego skóra wyglądała jak kolba kukurydzy oskubana z ziaren. Tak bardzo się wstydziłam! Od tamtej pory ani razu nawet nie pomyślałam, że chciałabym mieć taką bliznę. – Aż się wstrząsnęła. – A ty przechodziłaś ospę?

– Tak. Kiedy Mateusz miał dziewięć lat, a ja rok. Matka powiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała tak chorego dziecka. Byłam wtedy zbyt mała, żeby pamiętać gorączkę czy swędzenie, ale mamy oboje z bratem podobne blizny, więc sędzę, że to właśnie po ospie.

– Naprawdę masz ślad po ospie?! – Małgorzata aż odłożyła robótkę.

Maryla pomyślała, że taka fascynacja bliznami jest jednak trochę dziwna. W końcu to tylko ślady po ospie, równie zwyczajne jak piegi, i równie brzydkie jak grudkowate znamię. Nie mogła zrozumieć, jak można to traktować jak coś romantycznego. Jednakże Małgorzata była jedynaczką, a Maryla wiedziała, że wyobraźnia osoby samotnej, pozostawionej samej sobie, może ją wywieść na manowce, ku niegodnym postępkom. Zdawała sobie sprawę z czegoś, o czym nie miała pojęcia Małgorzata.

– Mam. O, tutaj.

Podwinęła lewy rękaw tak, żeby odkryć zgięcie ręki w łokciu o skórze bladej i delikatnej, bo zawsze skrywanej przed słońcem. Miała tam mały ślad, jakby ktoś wyrwał jej w tym miejscu kawałek ciała. Wkłęsa blizna miała kształt łyzy, niewiele większej niż jedno z oczek haftowanego przez Małgorzatę łańcuszka.

– Masz najpiękniejszą bliznę po ospie, jaką kiedykolwiek widziałam! – szepnęła zachwycona Małgorzata. – O ile to może być dla ciebie jakąś pociechą...

– Mateusz ma podobną w okolicy prawego łokcia. Matka powiada, że tak zawsze bywa u rodzeństwa – wyjaśniła Maryla. –

Kiedy jedno coś boli, drugie również odczuwa ból. Jeśli wyszło się na świat z łona tej samej matki, to chyba naturalne, że podobnie odczuwa się wszystko w dalszym życiu.

– A jeśli nie masz rodzeństwa? – Oczywiście Małgorzaty zaszklily się łzami.

– No cóż... – Maryla opuściła rękaw. Zraniła uczucia przyjaciółki, choć wcale nie miała takiego zamiaru. – Wtedy dobry Bóg daje nam przyjaciół.

Małgorzata najpierw westchnęła ciężko, a potem się rozpromieniła.

– O tak! Wielebny Patterson wygłosił w zeszłym tygodniu ciekawe kazanie na ten właśnie temat. Zacytował stosownie do okoliczności: „Są bliźni, którzy przywodzą do zguby, lecz niejeden przyjaciel jest bardziej przywiązany niż brat”. A w naszym przypadku siostra, prawda?

Maryla pokiwała tylko głową w milczeniu.

– Może i nie mam blizny po ospie jak ty, ale jedną mam, pośrodku sama wiesz czego, po tym, jak nadziałam się na igłę w zeszłym miesiącu. – Zachichotała. – Uratowałeś mnie przed wiecznym upokorzeniem, Marylo Cuthbert! Jestem ci dozgonnie wdzięczna!

Maryla wcale nie uważała, żeby to zdarzenie było upokarzające, a jej postawa godna jakiegokolwiek wdzięczności, jednakże szybko się nauczyła, że to, jak ona sama postrzega jakąś sprawę, może się zdecydowanie różnić od spojrzenia innych.

– *Mademoiselle Margaux!* – To Ella przerwała im pracę. – *Monsieur* Blythe przyszedł w sprawie jakiejś transakcji.

– Rodzice ani słowem mi o tym nie wspomnieli. – Małgorzata uniosła głowę znad robótki i zmarszczyła czoło, zamyślona.

– Ja też nic o tym nie wiem. To *monsieur* Jean Blythe – uściśliła Ella. – Powiada, że przyszedł na polecenie ojca w sprawie strzelby.

– W sprawie strzelby? – Małgorzata nawinęła włóczkę

z powrotem na kłębek. – Ojciec pewnie rozmawiał na ten temat z panem Blythe na spotkaniu w ratuszu w poniedziałek. – Odłożyła robótkę do koszyka. – Powiedz mu, że rodziców nie ma w domu i żeby przyszedł później.

Ella, niezbyt przekonana, nie ruszyła się z miejsca.

– No dobrze, ale... On przyjechał w ulewę, proszę pani, jest całkiem przemoknięty. Czy mogę mu zaproponować coś gorącego do picia? Trochę by osuszył ubranie. To chyba miłosierny uczynek, *oui*?

Małgorzata poszukała wzrokiem wsparcia u przyjaciółki, lecz Maryla tylko wzruszyła ramionami. Nie miała okazji poznać Janka Blythe, lecz знаła doskonale uczucie przemoknięcia do suchej nitki podczas ulewy. Nie do pozazdroszczenia. Można poczekać, aż nawałnica przejdzie, i dopiero wtedy pozwolić mu wrócić do domu. To całkiem rozsądne rozwiązanie.

– W takim razie się zgadzam. – Małgorzata wstała, poprawiła fałdy spódnicy i lekko uszczypnęła się kilka razy w policzki.

Maryli wydało się to dziwne. Sama już dawno przestała zwracać uwagę na swój wygląd zewnętrzny. Odziedziczyła po ojcu wydatne kości policzkowe i skórę, która łapała słońce zbyt szybko. Nigdy nie będzie miała modnej alabastrowej cery; latem zawsze opalała się na brąz. Zabiegi w rodzaju szczypania policzków powodowały u niej jedynie wystąpienie czerwonych plam na twarzy. Była taka, jaka była: zupełnie zwyczajna, czym w ogóle się nie przejmowała. A poza tym to przyszedł tylko syn farmera, właściciela sporego stada krów mlecznych.

Janek Blythe chodził do szkoły w Avonlea dwie klasy wyżej niż Maryla. W jego ósmej klasie nie było żadnych dziewcząt. Większość musiała przestać się uczyć, by pomagać przy wychowywaniu młodszego rodzeństwa i w domowych obowiązkach. Jeśli kontynuowały edukację, to w domu, tak jak ona, więc Janek był dla niej tylko jedną z ciemnych, rozczochranych głów w tłumie starszych chłopców. Zauważyła

jednak zmianę w zachowaniu Małgorzaty, gdy Ella wprowadziła go przez drzwi od strony kuchni. Na pokojówce też zdawał się robić wrażenie. Jej głos, zwykle monotony, nabrał dźwięcznej modulacji.

– *S'il vous plaît*, zapraszam do środka, *monsieur* Blythe. Chyba całkiem przemókł pan. Proszę tutaj, niech pan pozwoli, że wezmę płaszcz i powieszę do wysuszenia przy kuchni. Zaraz przygotuję *tasse de thé*. *Mademoiselle* Margaux i jej przyjaciółka czekają na pana w salonie.

– Bardzo dziękuję – odrzekł Jan.

Jaki przyjemny głos – pomyślała Maryla.

Kiedy czekały na spotkanie, Małgorzata zsunęła jeden z loczków bardziej na czoło. Maryla podrapała się po szyi.

Z mroku holu najpierw wyłonił się czubek jego buta, a za nim cała postać. Młody człowiek był wysoki i barczysty. Deszcz przykleił koszulę do jego ciała tak ściśle, że wyglądała jak druga skóra, uwydatniając zarys klatki piersiowej, ramion i pleców. Długie, mokre, kędzierzawe włosy opadły mu na czoło, orzechowe oczy w przyćmionym świetle pokoju wydawały się prawie złote. Kiedy przeniósł spojrzenie z Małgorzaty na Marylę, a potem z powrotem, Maryli wydało się, że przez chwilę znalazła się w świetle słońca, a potem znów w cieniu.

– Witaj, Małgorzato – powiedział Janek.

– Dzień dobry – odpowiedziała Małgorzata. – To moja przyjaciółka, Maryla Cuthbert.

Janek skinął głową na powitanie.

– Znam twojego brata. Chodziliśmy razem do szkoły, zanim odszedł, by pracować w gospodarstwie waszego ojca. Miło cię poznać. – Uśmiechnął się, a jego oczy rozjarzyły się blaskiem.

Maryla musiała spuścić wzrok. Jego spojrzenie paliło ją żywym ogniem. Czowała się tak, jakby patrzyła prosto w słońce.

– Mnie też jest miło – odrzekła.

– Jak już wiesz od Elli – powiedziała Małgorzata, jedną rękę

wsparłszy na krągłości biodra – moich rodziców nie ma w domu. Pojechali do Czterech Wiatrów złożyć wizytę kuzynostwu. Czy przyjechałeś z jakąś sprawą niecierpiącą zwłoki?

Strużka wody ciekła po jego twarzy i kapiała na dywan, więc Janek odgarnął włosy do tyłu, a Maryli nieomal zaparło dech na widok niewielkiego śladu po ospie na lewej skroni chłopaka. Zupełnie malutkiego śladu. Pewnie nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby... gdyby akurat przed chwilą nie rozmawiały o takich bliznach. On też był „naznaczony”, jak to ujęła Małgorzata. Maryla poczuła nagły dreszcz przeszywający jej ciało.

– Przepraszam najserdeczniej za najście. Nie wiedzieliśmy, że twoi rodzice pojechali właśnie dzisiaj – wytłumaczył Janek. – Umówiliśmy się na wymianę: jedna z naszych jałówek rasy Jersey za wasz karabin Fergusona, który pan White kupił od importera prosto z Londynu w zeszłym roku. Mój ojciec poprosił mnie, żebym obejrzał broń, zanim przyprowadzimy naszą jałówkę.

Małgorzata wdzięcznie przechyliła głowę na bok.

– Pamiętam tę strzelbę. Ojciec powiedział, że to były wyrzucone pieniądze. Chyba raz tylko ją naładował i to wszystko. U nas, w Avonlea, mógłby z niej najwyżej strzelać do ptaków albo do dzikich królików. Ojciec nie ma ani czasu, ani krwiożerczych instynktów, żeby się bawić w coś takiego.

– To samo powiedział mojemu ojcu – potwierdził Janek.

– No cóż, jeśli chcesz rzucić na nią okiem, bardzo proszę. Ojciec przechowuje ją tutaj. – Zaprowadziła go do szafy w korytarzu i wskazała na najwyższą półkę. – Wygląda jak nowa. Ojciec nie wyjął jej drugi raz z futerału.

– Mogę? – upewnił się Janek.

– Bardzo proszę. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś jechał taki kawał podczas najgorszej ulewy i miał odejść z kwitkiem.

Janek zdjął futerał i położył na podłodze. Pod mokrą bawełną koszuli uwidoczniły się naprężone mięśnie. Dla ich trójki

zgromadzonej w jednym miejscu korytarz przy szafie okazał się za wąski. Znaleźli się zbyt blisko siebie. Maryla poczuła charakterystyczną woń przemokniętej odzieży zmieszanej z zapachem soli morskiej na skórze chłopaka. Janek otworzył futerał i wszyscy troje zajrzeli do środka. Wypolerowana do połysku drewniana kolba prezentowała się imponująco.

– Zapomniałam już, jaka jest piękna. – Małgorzata musnęła palcami lśniący metalowy cyngiel. – Wygląda jak jakieś berło, królewski symbol władzy.

– Raczej niebezpieczny symbol – stwierdził Janek.

– Zależy, jak się z nim obchodzić – fuknęła Małgorzata i spojrzała na niego hardo. – Jeśli wzniesie się ją ku niebu, może służyć i za berło. – Zaśmiała się krótko, a metaliczny pogłos poniósł się wyłożonym kafelkami wąskim korytarzem.

Maryla nigdy jeszcze nie widziała broni palnej z tak bliskiej odległości. Nie była nawet pewna, czy mają w domu jakąś strzelbę. Już proch strzelniczy był niezwykle drogi, a co mówić o samej broni. Poza tym, jak słusznie zauważył pan White, jej posiadanie nie miało najmniejszego sensu w spokojnym Avonlea. To było cywilizowane miasteczko na cywilizowanej wyspie. Nie groziły tu żadne niebezpieczeństwa oprócz niepokojących czasem ich było drobnych drapieżników, które równie dobrze można było odgonić widłami. Pan White najwyraźniej kupił tę strzelbę ze zwykłej chęci posiadania, dla przyjemności. Tymczasem teraz Janek dostał polecenie zamienienia cennej krowy na ten kunsztownie wykonany egzemplarz broni i Maryla zachodziła w głowę, jaki jest tego powód.

– Do czego właściwie miałyby służyć Blythe’om taka strzelba?  
– odważyła się spytać.

Janek spojrzał jej prosto w oczy, aż spłonęła rumieńcem.

– Do obrony – odpowiedział.

– Do obrony? – wykrztusiła Małgorzata.

– Przecież nie mamy tu żadnych wrogów – zdziwiła się Maryla.

– Nie ma tu ani wilków, ani niedźwiedzi. To wyspa.

– „Żaden człowiek nie jest osobną wyspą; każdy jest odłamkiem kontynentu, częścią lądu”[9] – odparł Janek.

Ten cytat przeczytał im kiedyś na lekcji pan Murdock. Maryla miała na końcu języka nazwisko autora.

– John Donne – przypomniała sobie w końcu.

– Bystra jesteś! – Janek uśmiechnął się do niej.

Maryla poczuła, że coś się w niej poruszyło, jak piasek na dnie morza wzburzony falą przyływu.

– Ależ jest wyspą! – prychnęła Małgorzata. – Myślisz, że jesteś taka mądra, bo ojciec pozwala ci się uczyć całymi dniami. Moja matka mówi, że prawdziwe życie to nie książki. – Zatrzasnęła wieko futerału. – Możesz już iść do domu i opowiedzieć o tym, co widziałeś.

Janek uśmiechnął się krzywo.

– Jestem wielce zobowiązany, że udzielono mi pozwolenia, bym wypełnił zadanie, które zostało mi powierzone. Jam jest jeno nędznym sługą, *mademoiselle* White. – Pokłonił się uniżenie, jak poddany przed panią.

– Nie zjednasz mnie takimi słówkami! Jestem odporna na takie przemądrzałe głupstwa.

Małgorzata zamiotła spódnicą i wróciła do salonu.

Maryla chciała pójść za przyjaciółką, lecz Janek zagroził jej drogę.

– Chodzą plotki o możliwym wybuchu powstania w całym kraju – powiedział.

Serce Maryli załopotało z przerażenia.

– Kto miałby je wszcząć?

– Kanadyjscy farmerzy, mieszkańcy miast i kupcy przeciw skorumpowanej arystokracji: Klice Pałacowej i Porozumieniu Rodzin[10].

Maryla uczyła się o amerykańskiej wojnie domowej, ale takie konflikty nie leżały w naturze Kanadyjczyków. Kanadyjczyków,

którzy w większości byli pokojowo nastawionymi farmerami – a przynajmniej Maryla w to wierzyła.

Widząc, że mocno się zaniepokoiła, Janek położył dłoń w zgięciu jej ręki. Jego palce delikatnie objęły łokieć dokładnie w miejscu, które dziewczyna godzinę wcześniej pokazywała Małgorzacie. Przez rękaw z muszliny czuła ciepło jego skóry.

– Nie obawiaj się, Marylo! Będziesz bezpieczna.

Tym razem odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Jestem pewien, że twój ojciec i Mateusz pomyśleli o jakichś środkach ostrożności. Wszyscy tak robią. No cóż... – Zerknął przez ramię do salonu, gdzie Małgorzata wróciła do swojej robótki. – Przynajmniej większość. Pan White powiedział mojemu ojcu, że pozbywa się tego karabinu tylko dlatego, że kupił już inną broń. Muszkiet skałkowy, lepszy do strzelania do celu z niewielkiej odległości.

Dłonie Maryli stały się lepkie od potu, gdy zdała sobie sprawę z nadciągającego niebezpieczeństwa.

– Herbaty? – spytała Ella, wnosząc pełną tacę.

Janek puścił łokieć Maryli.

– Dziękuję bardzo, ale lepiej już pójde.

Służąca nie kryła rozczarowania. Smętnie ruszyła z powrotem do kuchni.

– Na pewno przekażę ojcu, że karabin jest w doskonałym stanie! – zawołał Janek do Małgorzaty. – Przykro mi, że przeszkodziłem podczas tak mile spędzanego popołudnia, *mademoiselle* White. Mam nadzieję, że zdołasz, o pani, wznowić swą porywającą robótkę, gdy was opuszczę.

– Jest pan nieznośny, panie Blythe! – powiedziała poważnie Małgorzata, ledwo powstrzymując chichot, co doskonale wychwyciła w jej głosie Maryla.

– Miłego dnia, Małgorzato! – Janek też był bliski parsknięcia śmiechem.

Małgorzata fuknęła w odpowiedzi, nieco już poirytowana.

– Miłego dnia, Marylo! – Mrugnął do niej porozumiewawczo, a Maryla pomyślała, że takie zachowanie na pierwszym spotkaniu to okropna zuchwałość, większa nawet niż łapanie jej za łokieć.

– Przekaż, proszę, pozdrowienia Mateuszowi. Zbyt długo nie odwiedzałem Cuthbertów. Może powinienem to zrobić?

Wszystkie trzy dziewczyny patrzyły za Jankiem, gdy odjeżdżał kłusem. Jego koń rozbryzgiwał kopytami świeże kałuże. Deszcz przestał padać, a niebo całkiem się przetało, odsłaniając olśniewający, różowozłoty zachód słońca.

– Jest przystojny jak sam diabeł! – westchnęła Ella.

– Widywałam przystojniejszych. – Małgorzata nawijała loczek na palec. – Poza tym jedyną osobą, w stosunku do której raczył się zachować uprzejmie, była Maryla.

– Tylko dlatego, że znają się z Mateuszem – próbowała tłumaczyć dziewczyna.

Małgorzata spojrzała na nią z ukosa.

– Gdyby byli aż tak bardzo zaprzyjaźnieni, musiałybyś już go znać, nie uważasz?

Mateusz miał mało czasu dla przyjaciół. Byli z ojcem zbyt zajęci pracą na farmie, a po tym, jak wywołał pożar w stanie upojenia alkoholowego, rzadko wychodził wieczorami. Maryla wąpiła w to, żeby Janek brał udział w tamtej zabawie. Nie, to raczej niemożliwe. Przecież Mateusz ma już dwadzieścia jeden lat, a Janek dopiero szesnaście. Zbyt duża różnica wieku, żeby znali się ze szkoły. Dlaczego więc Janek wykazał taką chęć odwiedzenia Mateusza akurat teraz?

Małgorzata zakończyła szydełkowanie kolejnego rządka chusty.

– Nie jest w moim typie, ale niezwykle miło na niego popatrzeć, nie sądzisz, Marylo?

– Piękny jest ten, kto pięknie czyni. Liczy się to, kto co mówi

i myśli.

Zrobiło się już późno. Matka i ciotka na pewno czekają z kolacją – pomyślała Maryla, spakowała więc swoje rzeczy. Ella zapaliła w domu lampy naftowe, kiedy Małgorzata odprowadziła przyjaciółkę na ganek. Gdy słońce skłoniło się ku zachodowi, powietrze przesycił zapach świeżej, mokrej ziemi.

– Powiedz mi szczerze, Marylo. Co byś zrobiła, gdyby Jan Blythe stanął u drzwi twojego domu na wzgórzu?

– Przywitałabym go z radością, tak jak i ciebie oraz innych przyjaciół i znajomych z Avonlea.

Małgorzata pokiwała tylko głową.

– Uważaj na drodze. Zmierzch szybko zapada, a nie chciałabym, żebyś wpadła w jakąś błotnistą kałużę.

Przez całą drogę do domu Maryla rozmyślała o śladzie po ospie na skroni Janka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że urodził się bez tego znaczka. Taka małutka blizna. Skaza według większości, ale dla niej – jeden z najbardziej interesujących detali jego urody. Wiązała się z jego powstaniem jakaś historia i teraz dopiero Maryla zrozumiała, dlaczego dla Małgorzaty idea naznaczenia świętą raną była tak pociągająca.

---

9 Cytat z *Medytacji XVII* Johna Donne'a, poety i anglikańskiego duchownego, żyjącego na przełomie XVI i XVII w.; w przekładzie Jana Karskiego, z książki *Jan Karski. Jedno życie* Waldemara Piaseckiego, wyd. Insignis 2015.

10 Chodzi o bunt 1837 r. W Kanadzie miały wówczas miejsce wybuchy niezadowolenia społecznego wobec rządów gubernatorów brytyjskich, wspieranych przez konserwatystów z klas wyższych. W Górnej Kanadzie zrzeszyli się oni w Family Compact (Porozumienie Rodzin), którym dowodził William Mackenzie, w Dolnej powstała Château Clique (Klika Pałacowa), z Louistem Papineau na czele. Rebelianci dążyli do obalenia brytyjskich rządów kolonialnych i utworzenia republiki. Rebelia szybko się skończyła. W efekcie w 1867 r. doszło do zjednoczenia Kanady.

## VII

### Ciotka Izzy daje lekcję

Kupcy i farmerzy zbierali się w Carmody, żeby przedyskutować temat rosnących w błyskawicznym tempie cen nasion roślin oleistych na wiosenne zasiewy. Tego roku zima w Kanadzie była wyjątkowo ostra, a kryzys ekonomiczny dotknął gospodarstwa rolne w całym kraju. Mityngi miały trwać trzy dni, więc zdecydowano, że Mateusz zostanie w domu, żeby zająć się bieżącymi sprawami na farmie, a ciotka Izzy zaopiekuje się Klarą. Mimo wszystko Hugon wciąż obawiał się ich zostawić. Dziecko miało przyjść na świat w ciągu najbliższego miesiąca, a Klara zaczęła miewać silne bóle za każdym razem, kiedy tylko ruszyła się z łóżka. Doktor Spencer nalegał, żeby wstawiała jak najrzadziej.

– Musisz jechać, bo w końcu zostaniemy bez zbiorów i nie będziemy mieli co jeść – przekonywała Klara. – To tylko kilka dni, a dziecko ma przed sobą jeszcze parę tygodni, żeby trochę podrosnąć. Poza tym będę miała przy sobie Izzy, Mateusza i Marylę. Bardziej się będę martwić o ciebie samego na drodze. Mogą cię zaatakować i okraść jacyś rozbójnicy.

– Jedynymi rozbójnikami złodziejaskami na wyspie są wiewiórki podkradające nasze bezcenne ziarno – mruknął ponuro Hugon. – A co, jeśli dziecko przyjdzie na świat za wcześniej?

– Wtedy ominą cię moje jęki i krzyki – zażartowała Klara. –

Obiecuję, że nie będę przec ani przez chwilę, dopóki nie zjawisz się z powrotem. To dzieciątko zobaczy jako pierwszą twarz swego ojca, nie kogo innego. Obiecuję ci!

Ucałował jej dłoń.

Maryla stała z Mateuszem przed drzwiami sypialni. Po tym, co powiedział Janek, nadejście anarchii zdawało się jej bardziej realne niż kiedykolwiek.

– Ojciec będzie bezpieczny na drodze, prawda, Mateuszu?

– Oczywiście, że będzie! – Mateusz podniósł brwi, zdziwiony. –

Dlaczego pytasz?

– A, bo ludzie gadają... – Maryla wzruszyła ramionami.

– Kto niby?

Zaczęła się zastanawiać, czy powinna podać nazwisko, ale przecież obok niej stał jej własny brat. Nigdy nie miała powodów, żeby coś przed nim ukrywać.

– Janek Blythe. Przyjechał do domu Małgorzaty na polecenie swojego ojca w sprawie strzelby. Twierdził, że potrzebna im będzie do obrony. Mówił, że podczas rebelii nawet zwykli ludzie czasem muszą chwycić za broń.

Mateusz wypuścił powietrze przez wydęte usta i popatrzył za siebie. Spojrzał na matkę, która właśnie mówiła ojcu, żeby spakował dodatkowy ciepły podkoszulek. Tego dnia wiał przeszywająco zimny wiatr.

– Czy to prawda? – Maryla domagała się odpowiedzi.

Wzrok Mateusza spoczął znów na siostrze i zatrzymał się na niej przez dłuższą chwilę.

– Ano, może tak być.

Strach ścisnął gardło Maryli.

– Ale ty się nie bój. – Brat położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu. – Na nasze wzgórze nie dotrze żadne niebezpieczeństwo. Będziemy was chronić.

– To samo mówił Janek Blythe.

– Dobry z niego chłopak. – Mateusz pokiwał głową. – Powinnaś

go słuchać.

– Wolałabym raczej słuchać ciebie.

Mateusz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Lepiej zajmę się zaprzęgnięciem Eryka. Ojciec powinien już wyruszać.

Zszedł na dół, a Hugon ruszył za nim ze swoją podróżną torbą.

– Dbaj o matkę! – powiedział do córki i ucałował ją w czubek głowy.

Kiedy Maryla została sama, weszła do sypialni rodziców.

– Chodź tu do mnie i połóż się obok na chwilę. – Matka przywołała ją skinieniem ręki.

Maryla położyła się na łóżku, ciesząc się ich bliskością. Klara była obrzmiała, pachniała mlekiem i miodem. Objęła córkę ramieniem. Wtulona w nią Maryla zapragnęła, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

– Kiedy byłaś zupełnie malutka, często całymi godzinami leżałam z tobą w łóżku, obejmując cię tak jak teraz i opowiadając ci, jak wygląda mój dzień. – Kiedy Klara oddychała, jej zaokrąglony brzuch gwałtownie wznosił się i opadał. – Nie jest tak źle, kiedy masz towarzystwo, ale kiedy jesteś sama, czas ciągnie się bez końca.

– Więc nie pozwolę ci zostać samej – obiecała Maryla.

– Moja słodka Marylko! Dałoby mi to mnóstwo radości, ale nie możesz zostać przy mnie na zawsze. Kiedy dorośniesz, będziesz musiała zacząć żyć własnym życiem.

Maryla przytuliła się jeszcze mocniej do boku matki i westchnęła głęboko. Poczucie winy wywoływało ból: mimo że dziewczyna bardzo chciała się nie zmieniać, równie mocno pragnęła dorosnąć. Trudno jej było znieść tę dwoistość pragnień, a serce pękało.

Matka pogłaskała ją po głowie.

– Dzieciństwo przemija zbyt szybko. Sama zresztą zobaczysz. W jednej chwili twoja dziecinka jest delikatnym pączkiem,

a zanim się obejrzysz, rozkwita, wysoka i piękna, i ucieka w świat.

– Nie jestem ani zbyt wysoka, ani zbyt piękna – szepnęła Maryla.

Klara ujęła córkę pod brodę i uniosła jej głowę tak, że ich spojrzenia się spotkały.

– Ależ jesteś! I wkrótce, w odpowiednim czasie, znajdziesz młodego mężczyznę, który będzie uważał podobnie. Zakochasz się, wyjdiesz za mąż i założysz rodzinę.

Maryla uciekła spojrzeniem w bok i z powrotem ukryła głowę w kojących objęciach matki.

– Jak się zorientowałaś, że jesteś zakochana w ojcu?

Klara wciągnęła powietrze i na chwilę wstrzymała oddech, zanim zaczęła mówić.

– Wiedziałam, ponieważ dorastaliśmy razem, lecz nie zauważałam go, dopóki nie nadszedł odpowiedni czas. W jednej chwili rozpoznałam, że to on: bił od niego taki wewnętrzny blask, jakby był jedyną osobą na całym świecie. Wtedy wiesz, że to miłość... kiedy nie możesz się oprzeć przeznaczeniu.

Maryla przypomniała sobie utkwione w niej spojrzenie Janka Blythe i uczucie, że coś płonie w jej piersi. Nie było bynajmniej przykre, lecz na prawdziwą miłość dla niej jeszcze za wczesne. Stwierdziła w końcu, że jest dla Janka jedynie młodszą siostrą Mateusza, nikim więcej, co nie wiadomo dlaczego okazało się bardzo pocieszające. Mogła poleżeć w objęciach matki nieco dłużej. Pączek kwiatu z zaciśniętymi mocno płatkami.

\*

Zgodnie z przewidywaniami Klary tamtego wieczoru zima zaatakowała po raz ostatni. Kwietniowa śnieżycą przywiodła rodzeństwo przed kominek w bawialni. Ciotka Izzy właśnie

wróciła z pokoju matki z pustą miseczką po przecieranej zupie z rzepy, którą dla niej przygotowała, i zajęła się zmywaniem naczyń. Mateusz czytał „Royal Gazette”, a Maryla kończyła obrzucać szwy sukieneczki dla dziecka, którą razem z ciotką skroiły z żółtego materiału w listki bluszczu. Maryla była dumna z efektu. Może i nie miała drygu do haftu artystycznego jak Małgorzata, lecz bardzo dobrze dawała sobie radę z szyciem, podobnie jak ciotka. Sukieneczka została skrojona po mistrzowsku, a szwy wytrzymają sto lat. Funkcjonalność ponad zdobienia. Ubranko było praktyczne – i to się w nim najbardziej Maryli podobało.

Spojrzała znad robótki i jej wzrok padł na tytuł w gazecie Mateusza: „Czarni Kanadyjczycy są obecnie Kanadyjczykami z prawem do głosowania”.

– Myślałam, że teraz wszyscy mogą głosować.

– Nie w tym rzecz – zaczął wyjaśniać Mateusz. – To coś bardzo dobrego. Wy, kobiety, następne dostaniecie prawo głosu.

– A jeszcze nie mamy?!

To była dla niej niespodzianka. Nie dlatego, że myślała, że mają. Po prostu nie przyszło jej do głowy, że mogłyby nie mieć.

Mateusz pokiwał głową z politowaniem.

– Obowiązują te same zasady co przy konkurach. Panna nie może tak po prostu wejść na zabawę i poprosić do tańca kawalera, z którym miałaby ochotę zatańczyć. Musi poczekać, aż to on ją poprosi.

– Hmm... – Maryla ściągnęła brwi w zamyśleniu. – Większej głupoty w życiu nie słyszałam! Niby dlaczego nie?

– Bo takie są zasady. – Mateusz zaśmiał się pod nosem. – Nie mówię przecież, że się z tym zgadzam. Tak to po prostu działa.

Maryla na dłuższą chwilę pograżyła się w rozmyślaniach, a potem odważyła się zadać pytanie:

– Czy kiedykolwiek zabiegałeś o względy jakiejś kobiety?

– Hm... Bo ja wiem...

Maryla zakończyła obrębianie i odgryzła końcówkę nitki.

– Wydaje mi się, że normalny mężczyzna powinien wiedzieć, czy to kiedyś robił, czy nie.

Mateusz złożył gazetę.

– No to w takim razie chyba tego nie robiłem, ale to nie znaczy, że nie znam zasad.

Maryla roześmiała się zgryźliwie.

– Bajarz z ciebie, Mateuszu Cuthbert. Mówisz, że jeśli kiedyś wybiorę się na tańce w stodole i zechcę zatańczyć reela, nie będę mogła tak po prostu wybrać sobie partnera i zacząć tańczyć?

– To właśnie mówię!

– Trele-morele! – Maryla buńczucznie potrząsnęła głową.

Izzy usłyszała ich sprzeczkę i wyszła z kuchni z Szelmą mruczącym słodko w jej ramionach. Nikomu oprócz ciotki nie pozwalał się nosić w ten sposób. Maryla podejrzewała, że to wynik karmienia go przez Izzy wędzonymi sardynkami, podczas gdy nikt inny nie zwracał na kota uwagi. Klara kupiła niedawno sporą porcję ryb od wędrownego sprzedawcy, ale nikt z domowników nie mógł znieść ich zapachu, o próbowaniu nie wspominając.

– Trele-morele? Kto tu się tak awanturuje? – spytała ciotka.

– Ach, bo Mateusz gada głupstwa. Próbuje mi wyklądać zasady zalotów, a sam jeszcze nigdy tego nie robił.

Mateusz spiekł raka pod cieniem zarostu.

– Nie upatrzyłeś sobie jeszcze jakiejś panny, Mateuszu? Tylko mów prawdę! Podrzucą ci w piekle dodatkowych szczap pod kocioł za kłamstwa w tych sprawach. – Izzy mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Nie musisz się krępować. Jesteśmy rodziną.

Mateusz długo odchrząkiwał, zanim wysilił cały swój spryt i odrzekł:

– Nigdy nie miałem na to czasu, nie podoba mi się też szczególnie żadna z dziewcząt.

Izzy usiadła przy nich na krześle z oparciem wyplatany

z trzciny.

– Mogę uwierzyć, że nie miałeś czasu, ale że ci się żadna nie podoba? – Głaskała dalej Szelmę. – Zdawało mi się w zeszłym tygodniu w kościele, że przez całe nabożeństwo miałeś wzrok skupiony z niezwykłą uwagą na jednej z panien Andrews.

Twarz Mateusza poczerwieniała aż po korzonki włosów. Otworzył usta, jakby chciał zaprzeczyć, lecz zamknął je bez słowa.

– Na której? – zainteresowała się Maryla.

– Poproś brata, to może sam powie.

Obie zaczęły się wpatrywać w Mateusza ze znaczącymi uśmiezkami, aż w końcu zdecydował się przyznać.

– No dobrze! Joanna! – Rzucił gazetą o stół i zerwał się z miejsca.

– Ha! – wyrwało się ciotce.

– Jest najładniejsza z nich wszystkich – przyznała Maryla.

Andrewsowie mieli cztery córki: Katarzynę, Elizę, Franciszkę i Joannę. Wszystkie były bardzo urodziwe, lecz Joanna miała usta różowe jak malina, kilka piegów na nosie i czarne jak heban włosy, czym zdecydowanie się wyróżniała spośród jasnowłosych sióstr.

– Ona nie ma nawet pojęcia o moim istnieniu – jęknął Mateusz.

– No to zrób coś, żeby cię zauważyła – poradziła Izzy.

– Ale jak?

Ciotka postawiła Szelmę na podłodze, a on zaczął się ocierać o jej nogi.

– To raczej jest coś, o czym powinni wam opowiedzieć wasi rodzice, lecz mając na uwadze obecną sytuację... – Westchnęła ciężko. – Sądzę, że lepiej dowiedzieć się od kogoś z rodziny niż od zupełnie obcej osoby.

Mateusz przysiadł z powrotem obok siostry, z zainteresowaniem słuchając słów ciotki.

– Nie mam wprawdzie zbyt wielkiego doświadczenia... – Izzy

odchrząknęła. – No cóż, to naprawdę bardzo proste... – zaczęła i znów się zacięła.

Ogień w kominku zaczął przygasać, więc wstała, żeby dołożyć kilka polan, i poprawiła je pogrzebaczem. Kiedy znów dobrze się rozpałiło, odwróciła się do rodzeństwa.

– No dobrze. Zacznijmy od początku. Mateuszu, podoba ci się Joanna, tak?

Mateusz uśmiechnął się nieśmiało.

– Dobrze. Teraz ty, Marylko. Wyobraź sobie, że olśniłaś sobą jakiegoś chłopca.

Od razu pomyślała o Janku Blythe, żeby mieć konkretne podstawy do nauki, a nie jakąś wymyśloną postać.

– A teraz wstańcie oboje – zakomenderowała Izzy.

Zgodnie wykonali polecenie.

– Powiedzmy, że masz poprosić tę oto ślicznotkę, żeby poszła z tobą na przechadzkę. Nie musi trwać specjalnie długo ani nie musicie chodzić zbyt daleko. Wystarczy przejść się gdziekolwiek, lecz najważniejsze, byście wybrali się na spacer jedynie we dwojkę. Skoro już poprosisz, Mateuszu, a ona się zgodzi, to ty musisz zrobić pierwszy ruch i podejść do młodej damy tak, żeby ująć jej dłoń i ułożyć ją w zgięciu swojej ręki. O tak!

Pokazała mu, jak powinien ująć rękę, żeby potem zgrabnie umieścić ją pod swoim łokciem.

– A ty, Marylko, musisz pozwolić dżentelmenowi wziąć swoją rękę i ustawić się o tak! A potem już zostaje, jak jest. Rozumiesz?

Maryla w skupieniu skinęła głową.

– I co potem? – spytał Mateusz.

– No cóż... Potem pozostaje ci tylko stawiać stopy jedna przed drugą i iść przed siebie. No dalej! – zarządziła ciotka. – Idziemy przez pokój.

Maryla zachichotała. To było takie niemądre, lecz Mateuszowi udało się ją prowadzić. Doszli do przedpokoju i wrócili do bawialni.

– Idealnie! – Izzy zaklaskała z radości. – Musisz tylko pamiętać o prowadzeniu rozmowy. Nie możecie chodzić w kółko w milczeniu. To nic nie da. Spacer stwarza okazję do przeprowadzenia zażyłej konwersacji.

W tym momencie Mateusz puścił rękę siostry.

– Zaży... Jakiej konwersacji? No nie wiem... – Okropnie się zawstydził.

Chłopak dałby jeszcze radę przewyciężyć nieśmiałość i zmusić się do spaceru, lecz dodanie do tego rozmowy wydawało się ponad jego siły. – To przecież łatwe! – Maryla próbowała pomóc bratu.

Wsunęła mu dłoń pod ramię.

– Panie Cuthbert – zagaiła – jak udały się pańskiej rodzinie zbiory tego roku?

– Udały się – mruknął ponuro Mateusz.

– Spytaj, jak u mojej rodziny – podszeptała.

– Przecie ty to moja rodzina – odpowiedział jej również szeptem.

Maryla pokręciła głową i jęknęła w duchu.

– Masz udawać. Wyobraź sobie, że ja to Joanna, a ja wyobrażę sobie, że ty to... – Prawie się zakrzuszyła, powstrzymując się przed wypowiedzeniem imienia Janka. – Hm, ty to już lepiej zostań sobą. – Zastanowiła się chwilę. – Spytaj mnie o coś, o co zapytałbyś Joannę.

– Maryla ma rację – włączyła się Izzy.

Mateusz westchnął ciężko i znowu odchrząknął.

– Słyszałem, że twój ojciec kupił powóz w Charlottetown.

– Świetnie! Doskonale! – ucieszyła się Maryla, zanim weszła w rolę Joanny. – No tak, kupił. To bardzo ładny powóz.

Mateusz zaczął się jąkać, nie mając pojęcia, jak kontynuować rozmowę.

– Spytaj mnie, jak wygląda.

– Ech! – zniechęcony Mateusz machnął rękami. – To nie dla

mnie.

– Dlatego właśnie przeprowadzamy próbę – perswadowała ciotka. – Tu nie obowiązują żadne reguły. Rozmowa to nie jest coś, czego się można nauczyć jak tabliczki mnożenia, a samo zalecanie się to po prostu poznawanie drugiej osoby. Za każdym razem, kiedy się z tym kimś spotykasz, odkrywasz coś nowego.

– Jak opowiadanie w odcinkach w gazecie – podsunęła Maryla.  
– Z każdego kolejnego dowiadujemy się o czymś nowym, prawda?

– Właśnie tak! – odrzekła Izzy. – Tak jak nie możesz się doczekać kolejnego odcinka, żeby się dowiedzieć, co się wydarzy, tak samo jesteś ciekawy osoby, która ci się podoba.

Maryla pojęła to w lot, lecz Mateusz wciąż wydawał się zmieszany.

– No nie wiem – powtórzył.

– Ależ to jest właśnie cud miłości, Mateuszu! Nie musisz niczego wiedzieć na samym początku. Nie da się uciec od miłości, tak jak nie da się nie oddychać. To przychodzi samo z siebie, zupełnie naturalnie. – Ciotka uśmiechnęła się do siostrzeńca.

Maryla zaczęła rozmyślać, czy William Blair zalecał się do Izzy, a jeśli tak, to co spowodowało, że zmieniła zdanie i przestała go kochać. A może procesy zakochiwania się, a potem odkochiwania zachodzą całkiem samoistnie? Uznała jednak, że dopytywanie się o takie sprawy byłoby niestosowne.

– Nawet nasz stary Szelma ma narzeczoną – rzekła ciotka. – Znalazł sobie małą Molly w stodole. To niestety dzika kotka. Wątpię, żeby została u nas przez całe lato. Zbyt wiele okazji do polowań czeka na nią poza naszą farmą.

– Może jeśli damy twojej wybrance trochę ciepłego mleka i sardynek, zostanie z nami na dłużej? – Maryla podniosła Szelmę i spróbowała go przytulić, nie bacząc na jego protesty.

– Widzisz, Marylko? To właśnie jest zabieganie o czyjeś względy!

– No nie wiem, czy mleko i sardynki zjednałyby mi względy Joanny – zażartował Mateusz.

Wszyscy troje wybuchnęli tak gromkim śmiechem, aż Klara obudziła się w swoim pokoju na poddaszu i też się uśmiechnęła.

Najbliższej niedzieli, gdy wielebny Patterson zakończył nabożeństwo i cała wspólnota odśpiewała psalm, tłum wylał się na zewnątrz, na żwirowany plac przed kościołem. Wierni gromadzili się grupkami po trzy, cztery osoby, prowadząc towarzyskie pogawędki. Ku zdumieniu Maryli Mateusz podszedł prosto do rodziny Andrewsów, uścisnął dłoń pana Andrews, skłonił się z uszanowaniem pani Andrews, a potem powiedział kilka słów, na które Joanna kokieteryjnie zatrzepotała rzęsami. Wystąpiła do przodu spomiędzy sióstr, a potem Mateusz ujął jej dłoń i położył na swoim ramieniu dokładnie w taki sposób, jak pokazała mu ciotka. Kiedy para zwróciła się w jej stronę, Maryla spostrzegła, że Mateusz dostał lekkich rumieńców, lecz jego krok był pewny, a sądząc po minie, zbierał się właśnie, żeby coś powiedzieć.

– No, no! Jestem pod wrażeniem – oznajmiła Izzy.

Stała obok Maryli, więc obie spojrzały na siebie i równocześnie szeroko się uśmiechnęły. Nic nie byłoby w stanie stłumić ich radości.

– Dasz radę, Mateuszu! – szepnęła Maryla.

Sercem była z bratem, gdy ten szedł z Joanną pod rękę w stronę terenów piknikowych przy kościele, gdzie klony cukrowe wypuszczały pierwsze żółtozielone listki. Miała nadzieję poznać kiedyś sekrety takich spacerów – i to znacznie szybciej, niż udało się to bratu.

Zbyt długo nie odwiedzałem Cuthbertów. Może powinienem to zrobić? – powiedział Janek. Od tamtej chwili Maryla zaczęła prosić Boga w modlitwach, aby Janek Blythe zrobił to jak najszybciej.

## VIII

# Maryla zabawia niespodziewanego gościa

Maryla właśnie skończyła robić swoją chustę dla kółka robótek ręcznych. Panie zrobiły już pięćdziesiąt sztuk. Z jej i Małgorzaty będzie pięćdziesiąt dwie. Pani White orzekła, że skoro liczba chust przekracza pół setki, jest ich już wystarczająco dużo, żeby podarować je sierocińcowi w Hopetown. Maryla cały czas miała w pamięci, że musi zabrać ze sobą swoją chustę do państwa White'ów, dokąd została zaproszona na obiad. Niespodziewanie usłyszała tętent i rzenie konia, dochodzące sprzed domu.

Mateusz wraz z ojcem przygotowywali w stodole siano na wieczorne karmienie, Klara odpoczywała, a ciotka Izzy rozłożyła się z pracą na tarasie od strony ogrodu. Trzymała w ręce ociekający farbą pędzel, a twarz miała pokrytą cętkami żółtej farby. Doszła do wniosku, że krzesło, na którym zwykle siadywała, czytając Klarze na głos, powinno zostać pomalowane na żółto. „Będzie wyglądać jak wiosenny promień słońca, który wpadł do pokoju waszej matki” – powiedziała. Kupiła więc wiaderko farby u pana Blaira i urządziła pracownię malarską tuż za oknem kuchni.

- Ktoś jedzie z wizytą! – zawołała głośno przez otwarte okno.
- Słyszę, słyszę! – odkrzyknęła dziewczyna.
- To pewnie pani Sloane. Przyczepiła się do mnie pod

kościółem po nabożeństwie niedzielnym i zmusiła, żeby się zgodziła się pożyczyć od niej poradnik *Zasady dobrego wychowania*. Jakby potrzebna nam była powtórka! Ci Sloanowie nigdy się nie zmieniają... – Izzy pokręciła głową z ubolewaniem. – Czy byłabyś tak dobra i wzięła od niej tę książkę? Powiedz jej, że jestem teraz zajęta. Skończę za minutkę.

Maryla się zgodziła, lecz kiedy otworzyła drzwi, nie zobaczyła pani Sloane. Stał tam Janek Blythe.

– O! Witaj, Marylo!

– W-witaj J-janku! – ledwie zdołała wykrztusić dziewczyna.

Włosy miała w nieładzie. Puszczony luźno loki opadały na ramiona. Wstążka, która przytrzymywała warkocz, zsunęła się dawno temu, ale Maryli nie chciało się poprawiać fryzury. Jakie to miało znaczenie dla Szelmy i kłębków włóczki? Teraz jednak poczuła się nieswojo pod jego uważnym spojrzeniem.

– Przyjechałem w odwiedziny do Mateusza – wyjaśnił Janek.

Tym razem miał na sobie lniany surdut z kamizelką i buty do konnej jazdy, a nie robocze ubranie farmera jak przy ich ostatnim spotkaniu. Choć był dzień powszedni, ubrał się jak w niedzielę.

– Wejdz, proszę – zaprosiła go Maryla. – Mateusz jest z ojcem w stodole. Mogę go zawołać, jeśli chcesz.

– Tak, dziękuję bardzo.

Maryla już miała odejść, lecz ją zatrzymał.

– Czy nie sprawiłoby ci kłopotu, gdybym najpierw poprosił o coś do picia? Wiosna to taka zmienna pora roku. Jednego dnia człowiek trzęsie się z zimna, a drugiego można się usmażyć z gorąca.

Dziewczyna spostrzegła, że na czole Janka perli się pot.

– Och, oczywiście! Powinnam była sama ci to zaproponować.

– Powinienem był przesłać liścik, że się wybieram z wizytą.

Oboje głęboko odetchnęli i uśmiechnęli się do siebie.

Maryla poszła po szklankę wody do kuchni. Na widok

siostrzenicy Izzy zajrzała do środka przez otwarte okno.

– To nie pani Sloane – szepnęła Maryla. – To Janek Blythe przyjechał w odwiedziny do Mateusza.

– Ten syn hodowcy krów? – Izzy przechyliła głowę na bok.

Maryla potwierdziła.

– Więc dlaczego właściwie mówimy szeptem?

Dziewczyna tylko odchrząknęła i nie odpowiedziawszy, wróciła do bawialni.

Janek wziął od niej szklanekę i wypił spory łyk.

– Bardzo ci dziękuję! – Kiedy mówił, jego usta lśniły od wody.

– Zabrałeś już strzelbę od pana White’a?

Maryla doskonale zapamiętała lekcję ciotki Izzy, w kwestii przebywania sam na sam z chłopcem. Nadarzyła się bardzo dobra okazja, żeby poćwiczyć w praktyce ową „zażyłą konwersację” oraz zastosować się do sugestii na temat zachowania, nawet jeśli nie była to oficjalna wizyta kawalera, który przyszedł w konkury. A przynajmniej tak się Maryli wydawało, ale ponieważ jeszcze nikt nie zabiegał o jej względy, nie miała pewności.

– Tak, zabrałem – odparł Janek. Po wypiciu wody i pytaniu Maryli rozluźnił się. – Mój ojciec był bardzo zadowolony. W zamian White’owie dostali naszą najlepszą jałówkę, więc wszystko udało się doskonale. A jak tobie idzie praca z panną White?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Właśnie skończyłam dziergać chustę dla sierot z Hopetown. – Wskazała ręką na otomanę, gdzie leżała starannie złożona narzutka.

– To w Nowej Szkocji, wiem. Wydaje mi się, że moja matka też robiła podobne.

– Wcale bym się nie zdziwiła. Pani White prowadzi szkółkę niedzielną i to chyba u niej przechowywane są wszystkie zrobione przez panie z Avonlea chusty.

– Szczęściarze z tych sierot.

– No, chyba nie bardzo. – Maryla się nachmurzyła. – Sierota nie ma ani domu, ani żadnego krewnego.

– Oczywiście, masz rację. Źle się wyraziłem. – Janek wpatrywał się zamyślony w szklanę. Szklanę kryształowo czystą. Maryla przecedziła wodę ze studni przez najdrobniejsze sitko, żeby nie pozostała w niej nawet najmniejsza drobinka zanieczyszczeń.

– Miałem na myśli, że będą zadowolone – powiedział po dłuższym namyśle. – Zadowolone, bo istnieje tylu przejmujących się ich losem ludzi, a one nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

Maryla wcale nie miała zamiaru się z nim sprzeczać, chciała tylko trzymać się prawdy. Zawsze czuła się nieswojo z tymi wszystkimi miłymi konwencjonalnymi zwrotami. „Jak się masz?“, „Świetnie, a ty?“, „Piękną mamy dziś pogodę“, „Ależ tak! Bóg słońcem obdarza i Bóg słońce odbiera. A jak się miewa twoja matka?“, „Całkiem nieźle, a twoja?“, „Ma się doskonale, jak miło, że pytasz...” – i tak dalej. Dwie osoby mogły paplać w ten sposób godzinami, a kiedy wreszcie kończyły, wiedziały tyle samo, co na początku rozmowy. Może dla innych takie rozmówki stanowiły sympatyczny sposób spędzania czasu, lecz Maryla uważała je za męczące i nudne. O wiele bardziej lubiła prowadzić rozmowy konkretne, na tematy istotne albo w ogóle się nie odzywać.

– Pani White ma zamiar zawieźć chusty do Nowej Szkocji jeszcze w tym miesiącu.

– Słyszałem o tym. Mój ojciec i pan White rozmawiali niedawno o konieczności kupienia prochu strzelniczego w Hopetown. Pan Murdock przywiózł najświeższe gazety z informacjami o wydarzeniach w Dolnej Kanadzie. Reformator Louis-Joseph Papineau zorganizował wiele protestów w całym kraju. Zaczyna zdobywać poparcie wśród zwykłych ludzi. Pan Murdock twierdzi, że oddziały armii królewskiej zostaną wkrótce rozesłane jak Kanada długa i szeroka, by trzymać naród w ryzach.

Maryla zaczęła się zastanawiać, jak zareagowałby na to jej

ojciec, gdyby dowiedział się o tych politycznych zawirowaniach. Mateusz nigdy nie zostawiał swoich gazet na wierzchu.

– Mógłbym spytać, dlaczego przestałaś chodzić do szkoły?

Pochlebilo jej, że to dostrzegł, a poza tym ucieszyła się ze zmiany tematu na zdecydowanie przyjemniejszy.

– Moja matka niedługo będzie miała dziecko. Potrzebuje mojej pomocy.

– To prawda, ale przecież jest teraz u was twoja ciotka z St. Catharines. Prawda?

Po raz kolejny Maryla zdziwiła się, skąd on tyle wie o niej i jej rodzinie, skoro ona tak mało wie o nim i o jego najbliższych.

– Mam nadzieję, że uda mi się wrócić do szkoły tej jesieni.

– Też mam taką nadzieję. To mój ostatni rok nauki, a potem jeszcze tylko egzaminy końcowe. Ojciec chce, żebym otrzymał pełną edukację, zanim zacznę pracować na naszej farmie.

– Nie sądziłam, że hodowla krów mlecznych wymaga znajomości geometrii?

Maryla powiedziała to żartem. Nie znosiła geometrii i plątaniny rozmazanych linii, kreślonych kredowym rysikiem na łupkowej tabliczce.

– Hm, to nie o to chodzi. – Janek się nachmurzył, nieco urażony. – Ojciec po prostu uważa, że lepiej mieć wiedzę, niż jej nie mieć. Wiedza przydaje się w różnych sytuacjach.

– Twój ojciec to rozsądny człowiek. Wiedza bardzo przydaje się w życiu.

– No właśnie. – Janek dopił resztkę wody i odstawił szklanekę na stolik do herbaty. – Dlatego lubię przynosić ze szkoły zszywki z gazetami. Pan Murdock pozwolił mi je zabierać, kiedy już wszystko przeczytamy. Pomyślałem sobie, że może ty, Mateusz i wasz ojciec też chcielibyście je przeglądać?

Wyciągnął zza pazuchy kilka gazet.

– Bardzo miło z twojej strony.

Kiedy Maryla sięgała po gazety, niechcący dotknęła palcem

wskazującym jego palca. Niespodziewana fala gorąca przebiegła przez całą jej rękę. Cofnęła ją jak najszybciej.

Czy Janek to dostrzegł? Nie wiedziała. Zainteresowała się błyszczącymi od farby drukarskiej literami. „Farmerzy rebelianci walczą przeciw elitom politycznym podnoszącym podatki od nieruchomości oraz ceny produktów. Torysi stoją murem za monarchią, podczas gdy reformatorzy żądają powstania republiki. Nie popełnij błędu! Zmiany już blisko!”.

Starannie złożyła płachtę gazety.

– Sądzę, że i Mateusz, i ojciec chętnie przejrzą wiadomości z naszej największej prowincji. Dziękuję ci, Janku.

– Żaden kłopot. Nie mam nic przeciwko podrzucaniu wam gazet ze szkoły, jeśli tylko zechcesz.

Podniosła wzrok i napotkała jego życzliwe spojrzenie. Ośmieliła się powiedzieć we własnym imieniu:

– Bardzo bym tego chciała.

Na krytym tarasie od strony ogrodu ciotka Izzy wypuściła z ręki pędzel. Hałas przywołał Marylę do porządku.

– Pobiegnę po Mateusza.

– Nie!

Janek wyciągnął rękę w stronę dziewczyny, jakby chciał jej dotknąć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Znaleźli się w odległości nie większej niż szerokość szwu w sukience.

– Jest zajęty. Dałem tobie to, co miałem dać jemu. – Uśmiechnął się. – Przekaż Mateuszowi, że będę go wyglądał na następnym spotkaniu farmerów w Avonlea. Jeśli też się z nim wybierzesz, może będziemy mogli podyskutować na temat najważniejszych wiadomości z gazet.

Maryla nie bardzo wiedziała, po co miałyby jechać na spotkanie farmerów. Tylko Mateusz z ojcem uczestniczyli w takich zebraniach. Może jednak pojedzie do miasta i dokupi czerwonych nici do haftowania w sklepie Blairów. Teraz, kiedy chusty dla sierot były już gotowe, obie z Małgorzatą będą mogły

wreszcie skończyć kwiatowy haft na rękawach. A jeśli przypadkiem wpadnie na Janka Blythe'a, to i dobrze.

Kiedy tylko pożegnała gościa, życząc mu miłego dnia, i zamknęła za nim drzwi, do kuchni weszła ciotka, wciąż ubrana w poplamiony farbą fartuch.

– Po co przyjechał młody Blythe?

Maryla pokazała plik gazet na stoliku do herbaty.

– Trochę ciekawych artykułów do poczytania, które ominęły mnie w szkole. Pomyślał, że Mateusz i ojciec też mogą być nimi zainteresowani.

Izzy wzięła do ręki gazetę z wierzchu.

– Hmm... Poruszenie w koloniach? Cóż, to chyba bardziej interesujące niż *Zasady dobrego wychowania* pani Sloane, nie sądzisz?

Maryla się uśmiechnęła i zabrała do kuchni szklanę, z której pił Janek. Zawahała się, zanim zmyła ślad pozostawiony przez jego usta.

## IX

# Maryla i Małgorzata jadą do Nowej Szkocji

– Och, Marylo! Tak się cieszę, że jesteś! Mam takie sensacyjne wieści! – Rozemocjonowana Małgorzata powitała Marylę w drzwiach, gdy ta przyszła na obiad do państwa White’ów.

Zaproszenie, wysłane pocztą, zostało napisane przez panią White na grubym marmurkowym papierze listowym: *Serdecznie zapraszamy Pannę Marylę Cuthbert na obiad do domu państwa White w najbliższy wtorek o godzinie piątej po południu.* Maryla nigdy wcześniej nie dostała oficjalnego zaproszenia i doszła do wniosku, że to niezwykle dorosłe. Klara i Hugon oczywiście pozwolili córce pójść. Mimo że Maryla często bywała w domu White’ów, miał to być jej pierwszy proszony obiad, podany w jadalni, do którego zasiądzie cała rodzina. Co za zaszczyt! White’owie do tej pory wydawali uroczyste obiady jedynie dla dorosłych.

Ciotka Izzy pomogła Maryli przewiązać w pasie błękitną satynową szarfą jej najlepszą sukienkę z bawełny w kratkę. Ten drobny dodatek całkowicie zmienił wygląd ubioru i Maryla orzekła, że nigdy nie wyglądała lepiej. Co prawda mankiet w jednym rękawie był przetarty od spodu, a kołnierzyk trzeba było przypiąć szpilką, żeby nie odstawał, lecz tak długo, jak Maryla będzie trzymać ręce przed sobą, z dłońmi złączonymi na

podółku, i nie poruszy zbyt mocno ramionami, nikt tego nie zauważy.

Okazało się to jednak trudniejsze, niż się spodziewała, gdy już od wejścia Małgorzata rzuciła się na nią z uściskami.

– Matka chciała powiedzieć ci o tym pierwsza, ale po prostu nie mogę dłużej trzymać tego w tajemnicy!

Zaciągnęła Marylę do małego kredensu, usytuowanego tuż przy kuchni. Przechowywano tu zastawę stołową. Ella nie zwracała uwagi na przycupnięte na podłodze dziewczęta, zdejmując z półek nad ich głowami kolejne nakrycia.

– A teraz przysięgnij, że kiedy matka ci o tym powie, zachowasz się tak, jakbyś była całkowicie zaskoczona. Umiesz na zawołanie udawać zdziwienie?

Maryla zmarszczyła czoło, rozważając, co odpowiedzieć. Nie była specjalnie biegła w udawaniu i nie miała zamiaru uczyć się tej sztuki.

– To proste! – Małgorzata wytrzeszczyła oczy tak mocno, aż Maryla zaczęła się obawiać, że za chwilę wypadną i potoczą się po podłodze jak szklane kulki do gry. Potem przyjaciółka złapała się za głowę: – Wielkie nieba! – zawołała.

Kiedy upewniła się, że Maryla przyswoiła lekcję, opuściła ręce na podółek i przestała wytrzeszczać oczy.

– Będiesz umiała tak zrobić? – spytała.

– Oczywiście! Przecież o niczym mi nie mówiłaś, więc nie będę musiała udawać, gdy coś mnie zaskoczy.

Małgorzata schwyciła dłonie Maryli.

– Zabierają nas razem do Hopetown!!! – Każdemu wypowiedzanemu słowu towarzyszył mocny uścisk.

– Do Hopetown?! Do Nowej Szkocji?!

Maryla nigdy dotąd nie opuszczała Wyspy Księcia Edwarda. Mieszkańcy Avonlea często podróżowali na kontynent, ale Maryla miała to zrobić po raz pierwszy, jednak zamiast radosnego podniecenia ogarnęło ją coś w rodzaju choroby

morskiej, choć znajdowała się na stałym lądzie. Wystraszyła się i zaczęła marudzić.

– No nie wiem, czy powinnam jechać... Przecież matka w każdej chwili może urodzić, a ja...

– Och, nie bądź niemądra! – obruszyła się Małgorzata. – Wszystko jest obmyślane w najdrobniejszych szczegółach! Moja matka ustaliła wszystko z twoimi rodzicami, a oni się zgodzili. Przecież nie jedziemy tam same. Będziemy z moimi rodzicami, którzy chcą ci o tym powiedzieć podczas obiadu... No, może przy deserze. Ella przygotowała na tę okazję najpyszniejszy na świecie pudding z toffi.

Szpilka w kołnierzyku Maryli puściła i ukłuła ją w szyję. Dziewczyna wsunęła kciuk pod obrębek sukienki i trzymała ją przez materiał.

– Ale Hoptown jest tak daleko! – jęczała dalej. – I w dodatku to takie wielkie miasto...

– No właśnie! – Małgorzata była zachwycona. – Wyjeżdżamy na trzy dni. Ojciec ma tam do załatwienia jakieś interesy, a my pomożemy matce dostarczyć zrobione w Avonlea chusty do sierocińca.

Całe trzy dni! To brzmiało nieomal jak wieczność. Maryla nigdy jeszcze nie opuściła swojej rodziny nawet na jedną noc. Kiedy rodzice wyjeżdżali czasem do Charlottetown, zostawał z nią na farmie Mateusz. Nie miała ani torby podróźnej, ani nawet wierzchniego okrycia na dalszą podróż, choć spodziewała się, że mogłaby je pożyczyć od ciotki Izzy. Musi też podzielić buty: nigdy jeszcze nie chodziły po brukowanych ulicach. Niezbędny jest też odpowiedni kapelusik. Żadna kobieta nie chodzi po mieście bez nakrycia głowy.

– Kiedy mamy jechać?

– Pojutrze! – Małgorzata aż zaklaskała z radości.

Szpilka mocująca kołnierzyk wysunęła się z palców i znów boleśnie ukłuła w szyję, więc Maryla wyciągnęła ją do końca.

Niech sobie sterczy, jak mu się tak podoba – pomyślała, zła na kołnierzyk.

– Małgorzatko! Marylko! – usłyszały głos pani White wołającej z jadalni. – Gdzie jesteście, dziewczęta? Siadamy do stołu!

– Chodź, idziemy! – Małgorzata wzięła przyjaciółkę za rękę i zaprowadziła do jadalni.

Tuż przed wejściem do pokoju Maryla wyprostowała, na ile mogła, niesforny kołnierzyk. Małgorzata poszczypała się kilka razy po policzkach. Weszło jej to już w nawyk, jak zauważyła Maryla.

– Pamiętaj, żebyś udawała zaskoczoną! – szepnęła Małgorzata.

Weszły, trzymając się za ręce, do oświetlonej olbrzymim kandelabrem jadalni państwa White'ów. Na stole pyszniły się pieczone perliczki i purée z kukurydzy i fasolki. Maryla nie mogła w pełni cieszyć się obiadem w towarzystwie państwa White'ów, ponieważ przez cały czas oczekiwała pojawienia się deseru, przy którym przyjdzie jej grać rolę zaskoczonej propozycją wyjazdu. Kiedy w końcu ta chwila nadeszła, Maryla dała z siebie wszystko, lecz sądząc po minach państwa White'ów, musieli chyba myśleć, że udławiła się kawałkiem puddingu.

Pani White wpatrywała się w nią z przerażoną miną, a pan White uniósł brew w niemym pytaniu. Małgorzata przenosiła wzrok z rodziców na przyjaciółkę i z powrotem.

– Ona jest po prostu bardzo zaskoczona – wykrztusiła w końcu.  
– Prawda, Marylo? – Zwróciła się z wymownym spojrzeniem w stronę przyjaciółki, na co ta natychmiast przestała stroić dziwne miny i zupełnie spokojnie powiedziała:

– Jestem bardzo wdzięczna za oba zaproszenia: i na obiad, i do Nowej Szkocji. – I lekko skłoniła głowę.

Słyszając to, pani White odetchnęła z ulgą.

– No cóż, bardzo się cieszę. Dodatkowa para rąk bardzo się przyda, gdy będziemy musiały nieść paczki do sierocińca. Poza tym oczywiście Małgorzata jest zachwycona, że będzie miała

towarzystwo.

– Ojciec już zarezerwował nam pokoje w zajeździe Majesty Inn w samym centrum miasta – zaczęła wyjaśniać Małgorzata między kęsami smakowitego puddingu. – To najwspanialsze miejsce, o jakim mogłabyś tylko zamarzyć!

Maryla nigdy się nie zastanawiała, jak może wyglądać taki zajazd. Wcześniej nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby nocować poza domem z przyjaciółką czy kimś z rodziny.

– To najlepsza placówka tego typu w tym mieście, w dodatku położona mniej więcej w połowie drogi między sierocińcem a miejscem, gdzie mąż umówił się w interesach – wyjaśniła pani White. – Ten zajazd wybrałam ze względów praktycznych, Małgorzato, a całkiem przypadkiem okazał się znakomitym miejscem na nocleg.

Pan White odchrząknął, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale pani White weszła mu w słowo:

– Jesteśmy bardzo zadowoleni, że będziesz mogła nam towarzyszyć, Marylko. Przyjedziemy w czwartek z samego rana, żeby cię zabrać do naszego powozu. Wstań tak, żebyś na pewno zdążyła zjeść śniadanie. Podróż nie jest krótka i jak już wyruszymy, wolałabym się nie zatrzymywać, dopóki nie dotrzemy do celu.

Dwa dni później Maryla, ubrana w błękitną pelerynę podróżną ciotki Izzy, pożegnała się z rodziną. W ręku dzierżyła pożyczoną torbę.

– Szkoda, że nie mogę z wami jechać – westchnęła Izzy. – Przywieź mi mnóstwo opowieści o wielkim mieście. – Ciotka ucałowała oba policzki siostrzenicy.

– Uważaj na powozy w mieście! Stangreci nigdy nie patrzą, gdzie jadą – ostrzegł Hugon.

– Spróbuj się trochę zabawić, staruszko! – odezwał się Mateusz.

Serce Maryli tłukło się w piersi, jeszcze zanim przyjechali po

nią państwo White'owie. Teraz Hugon, Mateusz i ciotka Izzy stali na ganku ich domu na wzgórzu i machali na pożegnanie. Maryla walczyła ze łzami. Zawsze to ona żegnała odjeżdżających. Nigdy dotąd nie znalazła się po drugiej stronie.

– Zaopiekujemy się nią! – zawołała pani White. – Wracamy w piątek wieczorem.

Maryla często zabierała się z ojcem i Mateuszem na połów ryb w płaskodennych łodziach czy mniejszych wiosłowych łódkach, lecz teraz po raz pierwszy miała przepłynąć cieśninę Northumberland. Prom był ogromny jak wieloryb i równie przerażający. Pani White jeszcze bardziej pobudziła wyobraźnię dziewcząt, kiedy opowiedziała im, jak wielka fala zmiotła kiedyś do morza z pokładu całą rodzinę: Utonęli. Wszyscy siedmioro. Ot tak! Poradziła im, żeby siedziały w kabinie i unikały spacerów po pokładzie, więc całą podróż przesiedziały w środku, usadowione bezpiecznie pomiędzy panią a panem White'em, gdy statek przedzierał się przez gęstą poranną mgłę. Przepłynięcie cieśniny zajęło mniej czasu, niż Maryla się spodziewała, i wkrótce donośny głos stewarda oznajmił:

– Wchodzimy do portu!

Maryla nie zobaczyła nawet najmniejszej zmarszczki na wodzie, o niebezpiecznych bałwanach nie wspominając.

Dyliżans czekał na nich na nadbrzeżnym bulwarze. Wsiedli i rozpoczęła się podróż przez Nową Szkocję, która miała zająć cały dzień. Monotonne klip-klap końskich kopyt na błotnistych drogach niemal uspiło Marylę, gdy na horyzoncie pojawiły się pierwsze zabudowania Hopetown.

Maryla nigdy nie widziała czegoś podobnego: mnóstwo budynków wyrzucających w niebo kłęby dymu. Już z daleka słychać było odgłos podobny do brzęczenia w ulu, który narastał wraz ze zmniejszającą się odległością, aż w końcu przestał być jednolitym szumem, a stał się kakofonią przeróżnych dźwięków: szczękania i pobrzękiwania, krzyków ulicznych sprzedawców

i małych gazeciarzy, gwizdów i stukotów. Ludzie i konne zaprzęgi przemieszczały się bez przerwy we wszystkie strony, zewsząd niósł się mocny zapach wyprawionej skóry, dymu i błota, równocześnie dochodzący z daleka i z zupełnie bliskiej odległości. Dopiero kiedy Maryla osłoniła nos brzegiem peleryny Izzy i zamknęła oczy, poczuła się na chwilę jak w spokojnym Avonlea.

– Ach, jak tu jest cudownie! – wołała co chwila Małgorzata. – Ojciec mówi, że tam dalej budują nowy bank! O! A tam powstaje opera! A tam... Och! Patrz! Tam ktoś sprzedaje ciągutki z chrupkim waflem! Och! Uwielbiam słodczyce z wafelkami! Mamo, czy pozwolisz nam kupić choć odrobinę?

– Nigdzie się nie zatrzymujemy, dopóki nie dojedziemy do zajazdu! – wymamrotała cicho pani White. – Dostałam strasznej migreny.

Maryla też czuła ból głowy, lecz Małgorzacie panujący wokół rozgardiasz zdawał się dodawać energii. Wychylała się bez przerwy przez okno powozu nieomal do połowy, dopóki woźnica nie zatrzymał koni przed wejściem do zajazdu.

Zameldowali się w recepcji, a potem portier zabrał ich bagaże, łącznie z torbą Maryli, na górę, do pokoi. Ogromny hol wejściowy zajazdu był dokładnie taki, jak zapowiedziała Małgorzata. Jego ściany z ciemnego drewna, rzeźbione w misterne kwiatowe wzory, gałązki i inne dekoracyjne zawijasy, przypominały nieco ozdobne łańcuszkowe ściegi, które Małgorzata ostatnio opanowała do perfekcji. W ceramicznych lampionach paliły się jaśminowe kadzidelka, więc kiedy Maryla przestąpiła próg zajazdu, mogła sobie wyobrazić, że znalazła się w osobliwym wiosennym ogrodzie zamkniętym we flakonie perfum. Gdziekolwiek spojrzeć, migotały jasne płomienie świec, wszystko wokół lśniło. Największe wrażenie zrobił na Maryli ogromny sufit przedstawiający namalowany obraz niebios, gdzie różowe i błękitne cherubinki unosiły się w nieziemsko pięknych

rozbłyskach słonecznych promieni. Goście zajazdu, wpatrzeni w malowidło, co chwila wpadali jedni na drugich.

Tak też stało się w wypadku Maryli: nie zauważyła przechodzącego obok mężczyzny, który potrącił ją łokciem.

– Płata oku figle, nieprawdaż? – usłyszała zza pleców znajomy głos.

Tak szybko obróciła się na pięcie, że przydepnęła brzeg peleryny i straciła równowagę. Wpadła prosto w objęcia Janka, z głową opartą na jego piersi. Otoczył ją znajomy, kojący zapach Avonlea.

– Czyżby mój widok ścinał z nóg, panno Cuthbert? – Janek puścił do niej oko i pomógł odzyskać równowagę.

Maryla przerzuciła brzeg peleryny przez ramię, żeby znów o niego nie zaczepić.

– Co pan tu robi, panie Blythe?! – zdumiała się.

Państwo White'owie byli zajęci rozmową przy kontuarze recepcji, a Małgorzata próbowała się dopytać, czy kuchnia nie podaje przypadkiem słodkich wafli dla gości.

– Jestem tutaj z ojcem – wyjaśnił Maryli Janek. – Chyba o tym wspomniałem, kiedy byłem u was ostatnio. Prowadzą z panem White'em interesy.

Maryla skinęła głową, niejasno przypominając sobie rozmowę o prochu do nabijania broni.

– Ty też się tu zatrzymałeś?

Janek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zajazd Majesty Inn to jedyne miejsce w okolicy, które oferuje łóżko bez niepożądanych współlokatorów, czyli wszelkiego rodzaju robactwa – szepnął jej do ucha. – Jednak niektórzy mogą chcieć polemizować, uważając swoich towarzyszy podróży za plagę w tym samym stopniu niepożądaną.

Pani White przyłożyła do czoła chusteczkę i jęcząc, zaczęła wchodzić po schodach. Jej mąż z ociąganiem podążył za nią.

– Jesteś nieznośny, Janie Blythe! – Maryla przygryzła dolną

wargę, żeby się nie roześmiać.

– Marylo, wafle! – Za nimi pojawiła się Małgorzata, z triumfalną miną niosąc talerz smakołyków. – O! Witaj, Janie Blythe!

– Jak miło znów panią widzieć, panno White!

– Hm. Dla trzech osób nie wystarczy – orzekła Małgorzata i ostrożnie odłamała brzeg ciasteczka.

– Nigdy bym nie śmiał pozbawić pięknej damy deseru! – odparł Janek bez zająknięcia, głosem, w którym nie brakowało pewności siebie.

Małgorzata o mało się nie zakrztusiła i szybko rozejrzała się wokół, czy nikt z gości tego nie usłyszał.

– Janie Blythe, pana zachowanie jest karygodne! – syknęła, złapała Marylę za rękę i pociągnęła ją w stronę schodów. – Jeśli zobaczy nas pan w jadalni, rozkoszujące się kolacją, będzie pan łaskaw zostawić nas w spokoju! – Kipiała ze złości. – Co za tupet! – Poszukała wsparcia u Maryli.

– Ale, ale! – zawołał za nimi Janek. – Gdybyś nie wiedziała, nasze rodziny będą niestety spędzać ze sobą mnóstwo czasu. Tak na marginesie, twój ojciec zdążył już poprosić, żebym jutro towarzyszył tobie i twojej matce w wyprawie do sierocińca.

– Och nie! – Małgorzata się zdenerwowała. – Ten cały Janek doprowadza mnie do szału! A teraz jeszcze będziemy go miały na głowie przez cały jutrzejszy dzień!

Maryla odwróciła się od przyjaciółki, żeby ta nie zauważyła jej roześmianej twarzy, i w tym momencie złapała spojrzenie Janka, który obserwował je z dołu. Skłonił się na pożegnanie i wtedy opadające pasmo włosów odsłoniło ślad po ospie na skroni. Maryla skrzyżowała ramiona na piersi i dotknęła swojej blizny. Nie chciała być nielojalna w stosunku do Małgorzaty, ale... ją akurat cieszyła obecność Janka.

## X

### Sierociniec w Hopetown

Następnego dnia podczas śniadania, na które składały się jajka na miękko, twarożek i pokrojone w ćwiartki jabłka, pani White przedłożyła im plan dnia. Pan White poszedł z samego rana wraz z panem Blythe'em na umówione spotkanie do jednostki artylerii stacjonującej na nabrzeżu.

– My idziemy do sióstr szarytek na godzinę wpół do pierwszej, by podarować im chusty w imieniu całej chrześcijańskiej społeczności Avonlea. Do południa jesteśmy więc wolne i możemy robić to, na co tylko przyjdzie nam ochota. Mam dla was, dziewczęta, niespodziankę! – Odchrząknęła i milczała tak długo, aż skoncentrowały uwagę wyłącznie na niej.

Małgorzata przełknęła wreszcie kawałek jabłka, a Maryla odłożyła łyżeczkę, którą jadła jajko.

– Zatrzymamy się na dłużej w pracowni kapeluszy U Madame Stéphanie!

Małgorzata wrzuciła do ust kolejną ćwiartkę jabłka.

– Kapelusze? – wymamrotała przez zęby, a potem odwróciła się do Maryli. – Mama ma słabość do kapeluszy.

– Powinnaś być wdzięczna losowi, że masz matkę, która jest na bieżąco z najnowszą modą! – Pani White obrzuciła karcącym spojrzeniem córkę, potem szybko przeniosła wzrok na Marylę, aż wreszcie skupiła uwagę na filiżance herbaty, po którą sięgnęła ceremonialnym gestem, i upiła mały łyżeczek.

Maryla spłonęła rumieńcem i wróciła do mieszania łyżeczką płynnego żółtka.

– W życiu nie trafiłam na kapelusz, który by mi się spodobał – burknęła Małgorzata. – Wstążki zawsze uwierają pod brodą, a przez budkę nie widzę nic poza czubkiem własnego nosa. O niczym innym nie marzę, jak tylko o jakimś nowym okropnym czepku!

– Co za brednie! – obruszyła się pani White. – Po prostu nie trafiłaś jeszcze na odpowiedni model. Marylko, ty pewnie lubisz kapelusiki, prawda?

Słomkowy kapelusz, który nosiła Maryla, był już odrobinę sfatygowany, lecz dobrze się sprawdzał, osłaniając twarz przed unoszącym się wszędzie pyłem i brudem. Dziewczyna nie rozumiała, po co komu kapelusik z jedwabiu i piór. Jedna podróż powozem i po strojnym nakryciu głowy. W takim razie...

– Oczywiście, że lubię kapelusze, proszę pani. – Temu nie mogła zaprzeczyć. – Sądzę, że dają noszącej je osobie nieco prywatności nawet wśród tłumu.

Małgorzata popatrzyła na nią jak na zdrajczynię, a potem zaczęła przesuwając pestki jabłka na brzeg talerza.

– Przymierzmy kapelusze sprowadzone prosto z Londynu i Paryża! – ekscytowała się pani White. – Tak sobie myślę, że tym razem chciałabym coś w kolorze szmaragdowym. Słyszałam, że szmaragdy są *à la mode* w tym sezonie.

– A może przed owym salonem będzie stał sprzedawca lodów? – rozmarzyła się Małgorzata.

Pani White zignorowała pytanie córki.

– Tak... Zdecydowanie tak! Szmaragdowy kapelusz będzie pasował do szmaragdowego wisiora po mojej matce... – Zatopiła się całkowicie w rozmowie z samą sobą. – Hm, sądzą, że coś *à la mode* mogłoby mi się nawet spodobać – stwierdziła Małgorzata, naśladowując francuską wymowę matki. – Szczególnie jeśli będziemy miały je obie z moją najdroższą przyjaciółką. *Oui*,

*mademoiselle* Cuthbert?

– *Oui, mademoiselle* White! – Maryla nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Półtorej godziny później wszystkie trzy wkroczyły do salonu U Madame Stéphanie. Na białej półce w wystawowym oknie ułożono kapelusiki budki, przyozdobione czaplami piórami oraz migoczącymi cekinami obok nieco prostszych ze zwykłej bawełny, tylko na brzegach obszytych jedwabiem, ze sztucznymi kwiatami z jedwabiu i mocno przymarszczonymi koronkami. Maryla pomyślała, że sposób ich wykonania na pewno spodobałby się ciotce Izzy. Jeszcze nigdy nie widziała tak drobnych i równych ściągów. Nawet ciotka Izzy tak nie potrafiła!

Większość kapeluszy była niezwykle strojna w porównaniu ze słomkowymi nakryciami głowy, których Maryla używała w Avonlea. Na pewno nie należała do osób, które czują się swobodnie w czymś zbyt ostentacyjnym. Spostrzegła tylko jeden kapelusik w swoim guście: aksamitną budkę w kolorze burgunda, zawiązywaną na satynową kokardę pod brodą, z jedwabnym wykończeniem w środku, by nie zniszczyć misternie ułożonej fryzury. Był wytworny, lecz nie pretensjonalny.

Pani White szła za panną sklepową niosącą już dwa wybrane przez nią kapelusze. Widząc, że Maryla trzyma coś w rękach, zatrzymała się przy niej.

– Och, jaki śliczny! Musisz koniecznie go przymierzyć, Marylko!

– O nie, proszę pani! Nie stać mnie na coś takiego. – Dziewczyna odłożyła kapelusz na podstawkę.

– No cóż, moja droga. Nie pytałam, czy cię na niego stać.

W trakcie, gdy panna sklepową ustawiała lustra, pani White nachyliła się nad uchem Maryli i zrobiła jej krótki wykład szeptem:

– Czy sądzisz, że mnie stać na ten kapelusz z turkusowymi

piórkami, sprowadzanymi z egzotycznych krajów? Oczywiście, że nie. Pan White nie darowałby mi, gdybym go kupiła. Ale nigdzie nie ma zakazu przymierzania i podziwiania się w ubraniach czy biżuterii na specjalne okazje. Chwil zachwytu nie można mylić z uleganiem zachciankom, moje dziecko. – Z tymi słowami zdjęła ze stojaka kapelusik w kolorze burgunda. – Marylka przymierzy ten – zakomenderowała głośno. – Małgorzatko, a ty znalazłaś coś dla siebie? Może wybrałaś jakiś wzór, który optycznie podniesie twoje zbyt niskie czoło?

Małgorzata stała przy kontuarze i zajadała się czekoladowymi pralinkami z orzechami wystawionymi w słoju dla klientek. Widząc, że nie uda się jej opuścić salonu bez wybrania czegokolwiek, ustąpiła matce i sięgnęła po okazały kapelusz z szerokim rondem, przybrany taką ilością koronkowych zwojów, że wyglądał, jakby spadła na niego firanka.

– To prawdziwa wenecka koronka igłowa *punto a groppo!* – zaświergotała modystka.

Pani White spojrzała podejrzliwie na to cudo, ale nie chciała sprzeciwiać się temu, co wybrała córka.

Wszystkie trzy stanęły przed lustrami i przymierzyły kapelusze.

– „Czuję się jak we śnie!” – podśpiewywała Małgorzata.

Końcówki jej splecionych w warkocze i upiętych za uszami włosów sterczały spod koronkowej woalki.

Pani White kręciła głową z prawej na lewo i z lewej na prawo, a długie pióra furkotały przed nią turkusową falą. Po kilku chwilach takiej gimnastyki zdjęła kapelusz.

– Te pióra opadają mi na oczy i powiewają jak pończochy suszące się na wietrze.

Założyła na głowę drugi kapelusz, w znacznie przystępniejszej cenie, w różowe kwiaty wyhaftowane na spokojnym szarym tle.

Panna sklepowa pokazała Maryli, jak należy zawiązać kapelusz.

– Proszę przełożyć wstążki z boku, o tak – powiedziała i zgrabnie zawiązała kokardę pod brodą Maryli. – Widzi panienska?

Maryla ledwo rozpoznała swoje odbicie w lustrze. Patrzyła na nią jakaś inna, dorosła kobieta, a nie dziewczynka z farmy, którą widziała jeszcze dziś rano w odbiciu w szybie. Za sprawą kapelusza wydorosłała. Tak długo na to czekała, no i proszę – dojrzałość przyszła nieoczekiwanie i teraz spogląda na nią spod aksamitu w kolorze burgunda.

– Pięknie wyglądasz! Bardzo ci w nim do twarzy! – powiedziała pani White.

Maryla patrzyła rozpromieniona spod plisowanego rondka.

– Wezmę ten kapelusik – ciągnęła pani White – ten szary i... – Tu zawahała się i popatrzyła spod zmarszczonych brwi na córkę.

– Och, mammo! Proszę! – jęknęła błagalnie Małgorzata.

– Sądziłam, że żywisz niechęć do ozdobnych kapeluszy.

– Ktoś tu mówił, że podobno trzeba znaleźć ten jeden jedyny. Otóż i on!

Pani White machnęła ręką zrezygnowana.

– Cóż, niech będzie, lecz czy *madame* byłaby tak miła i zmniejszyła nieco ilość owej bezcennej koronki? – zwróciła się do modystki. – Spodziewam się, że obniży to znacznie cenę...

– *Oui!* – odparła *madame Stéphanie*. – Dopasujemy idealnie dla *mademoiselle*. – Po czym zniknęła na zapleczu, żeby zrobić przeróbkę.

– Tylko proszę nie skracać woalki. To akurat mi się w nim najbardziej podoba! – zawołała Małgorzata za *madame*.

Maryla spokojnie odłożyła swój kapelusz na miejsce.

– Bardzo pani dziękuję, pani White, lecz nie mogę przyjąć tak drogiego podarunku. I tak przyjechałam tutaj tylko dzięki pani hojności.

Pani White palcem wskazującym uniosła brodę Maryli, aż ich spojrzenia się spotkały.

– Co za nonsens, moje dziecko! On jest wprost stworzony dla ciebie!

I w ten oto sposób opuściły pracownię w wyjątkowych kapeluszach *madame* Stéphanie. Maryla nigdy jeszcze nie czuła się tak wspaniale. Satynowe wstążki kapelusza połyskiwały w popołudniowym słońcu, a wszyscy, którzy mijali ich trójkę, przyglądali się im z uznaniem.

Janek już czekał w przestronnym holu zajazdu. Nie poznał ich w pierwszej chwili, gdyż runda kapeluszy skrywały twarze w cieniu. Obejrzał się za nimi, pełen podziwu, podobnie jak reszta obecnych w holu, a potem rozpoznał charakterystyczną błękitną pelerynę Izzy. Zdumiał się, a kiedy napotkał spojrzenie Maryli, szeroko się do niej uśmiechnął.

Pani White odezwała się pierwsza:

– KONSJERŻ hotelowy był tak uprzejmy i wziął na przechowanie nasze paczki z chustami. Czy byłbyś, Janku, tak miły i przyniósł je tutaj?

– Widzę, że będę towarzyszył najmodniejszym damom w Nowej Szkocji! – Janek skłonił się nisko i ruszył w stronę recepcji, a przechodząc obok Maryli, szepnął: – Do twarzy ci w czerwieni.

Dzięki niebiosom za obfite pliski przy rondku, które skryły przed jego spojrzeniem płonące policzki dziewczyny.

Sierociniec był kilka przecznic od zajazdu – zbyt blisko, żeby opłacało się brać dorożkę i przepychać tłocznymi ulicami. Szybciej było pójść na piechotę, więc Maryla, Małgorzata i pani White wzięły po jednej paczce, a pozostałe cztery ułożyły Jankowi na rękach jedna na drugiej. Stos był tak wysoki, że chłopak nie widział drogi przed sobą i stawiał kroki zupełnie na oślep.

– Nie muszę widzieć, po czym stąpam – stwierdził. – Będę podążał za waszymi kapeluszami. Kiedy zobaczę biały kornet zakonnicy, będzie to znak, że dotarliśmy na miejsce.

Siostry szarytki przyjmowały pod opiekę biedne sierotki ze wszystkich prowincji Kanady, a nawet ze Stanów Ameryki. Miały siedzibę w bardzo nowoczesnym budynku z czerwonej cegły, bez gzymsów i bez kolumnady przed wejściem. Dwuskrzydłowe okna spoglądały w dół na ulicę jak pary oczu. Z komina nad dachem wznosił się fioletowoszary dym i wszędzie czuć było zapach kapusty. Najwyraźniej gotowano w kuchni obiad. Żwirowany dziedziniec przed wejściem otoczony był ogrodzeniem z pionowych żelaznych prętów. Został zamieciony do czysta i nie widać było na nim śladów małych stóp. Po prawej stronie mieścił się ogród warzywny, a po lewej rosły dwa młode drzewa. Maryla rozpoznała czerwone klony. Dadzą potem dużo cienia dzieciom, pomyślała, a poza tym pięknie się zabarwią na jesieni. To miłe, że siostry myślą także o tym. W takim miejscu ważna jest nawet odrobina radości.

– Witajcie, moi drodzy! – powitała ich w drzwiach matka przełożona.

Jej mała, zasuszona twarz była ledwo widoczna spod białego rogatego kornetu.

– Mamy zaszczyt reprezentować całe Avonlea – uroczyście oświadczyła pani White.

– To my jesteśmy zaszczycone pani wizytą, pani White! – Matka przełożona skłoniła głowę. – A któż to tym razem pani towarzyszy?

– To moja córka Małgorzata, a to panna Maryla Cuthbert – przedstawiła dziewczęta pani White.

Obie równocześnie dygnęły.

– Jakie urodziwe panny! – pochwaliła zakonnica, a potem zapytała: – A kimże jest ta chodząca sterta paczek?

– Och! To Jan Blythe – wyjaśniła pani White. – Młody dżentelmen z Avonlea, który był uprzejmy służyć nam za tragarza.

– Robię to z największą przyjemnością! – zawołał zza paczek

Janek. – Uchyliłbym kapelusza, lecz wówczas wypuściłbym z rąk wszystkie te dobra na pastwę bezdomnych psów, a szczerze wątpię, czy miałyby większy pożytek z tych starannie wydzierganych chust.

– Masz rację, młodzieńcze! – Matka przełożona z trudem powstrzymała śmiech. – Wejź, proszę, do środka i odłóż swój ciężki ładunek.

Sierociniec był niegdyś domem bogatej wdowy, która zaprzyjaźniła się z siostrami po ich przybyciu do Hopetown. Nie mając spadkobierców, zapisała w testamencie wszystko, co posiadała, siostrze miłosierdzia. Siostrzyczki dostosowały go do potrzeb sierocińca. To, co kiedyś było salonem, zamieniło się w obszerne dormitorium z rzędami równo zasłanych dziecięcych łóżek. W nogach każdego leżała jedna zabawka: tu wypchany królik, tam kolorowe jo-jo, gdzie indziej piłka, kamyki do gry w ciupy, a lalek szmacianek tyle, że można by z nich sformować batalion wojska. Każda zabawka czekała na powrót swojego właściciela. Jadalnia została przerobiona na klasę z rzędami ławek i tablicą. Te pomieszczenia były teraz puste, gdyż nadeszła pora obiadu. Dzieci było tak dużo, że musiały jeść w dwóch turach, zasiadając przy długich drewnianych stołach. Połowa wychowanków jadła kapuśniak, podczas gdy druga połowa grała w klasy lub skakała na skakankach na tylnym dziedzińcu. Kiedy przybyli goście z Avonlea, siostry właśnie zaczęły przywoływać dzwonkiem grupę z podwórka.

Jak dwie ławice mijających się morskich ryb jedne dzieci podbiegły do stołu, gdy te, które wstały, ruszyły w stronę dziedzińca. Na krótką chwilę wszystkie zmieszały się ze sobą, a już w następnej jedna grupa wychowanków siedziała za stołem, a druga rozpoczęła zabawę. Chłopcy ubrani byli w spodenki do kolan, a dziewczynki w sukienki-fartuszki na szelkach. Byli tu i Francuzi, i Brytyjczycy, Metysi, Mulaci i czarni, Kanadyjczycy i Amerykanie. Wszyscy osieroceni.

– Ile ich tutaj! – szepnęła Maryla.

– O tak! – odparł Janek.

Maryla nie zdawała sobie sprawy, że chłopak stoi tuż obok niej. Rondko budki zasłaniało jej widok na boki.

– Trudno sobie wyobrazić dorastanie, jeśli nie wiesz, skąd się wzięłeś – dodał.

Maryla przyznała mu rację. Urodziła się w Avonlea i nie wyobrażała sobie, że miałyby umrzeć gdziekolwiek indziej. Tam było jej miejsce. Nie mogłaby być Marylą Cuthbert z żadnego innego miejsca na ziemi.

Jeden z chłopców spostrzegł, że ich obserwują, i szybko szepnął coś swoim towarzyszom zza stołu. Po chwili dziesięć twarzących patrzyło w stronę Maryli i Janka.

– Myślą, że jesteście parą, która przybyła, by adoptować dziecko – wyjaśniła im matka przełożona.

Serce Maryli zabiło mocniej. Wiadomość szybko obiegnęła cały dziedziniec, przekazywana z ust do ust, i po chwili wszystkie dzieci wbijały w nich wzrok, każde wyobrażając sobie, jak mogłoby wyglądać ich jutro, gdyby zostały wybrane dzisiaj. Maryla na wszelki wypadek odsunęła się o krok od Janka. To nie było w porządku wobec tych malców.

Matka przełożona poprowadziła ich korytarzem do swojego biura, gdzie wciśnięte w kąt stało malutkie biurko, a pozostałe miejsce zajmowały półki z dokumentami sierot. Pomieszczenie było tak małe, że wygodnie mogły w nim przebywać tylko dwie osoby. Maryla, Małgorzata i Janek zostali więc na zewnątrz, podczas gdy pani White zajęła się przekazywaniem darów.

Kilka dziewczynek niewiele młodszych od trójki z Avonlea zbliżało się korytarzem. Jedna trzymała śpiewnik, druga podniszczoną gitarę, a dwie pozostałe kłóciły się, którą pieśń matka przełożona każe im zaśpiewać dla najmłodszych dzieci na dobranoc. Zamilkły, kiedy podeszły bliżej, zatrzymały się przed drzwiami biura, czekając na swoją kolej. Zrobiło się cicho jak

makiem zasiał.

W końcu, nie mogąc znieść kłopotliwej ciszy, Małgorzata zawinęła do tyłu koronkową woalkę swojego kapelusika.

– Śpiewamy w kościele z tego samego śpiewnika. – Wskazała książkę, którą trzymała dziewczynka. – Moja ulubiona pieśń to *Cudowna Boża łaska*[11]. – Odchrząknęła kilka razy i zanuciła, niemożliwie fałszując: „Cudowna Boża łaska taaa...”.

Maryla wstrzymała oddech. Piskliwy głosik Małgorzaty niósł się korytarzem na podobieństwo kocich wrzasków Szelmy. Sieroty ani drgnęły.

– „...zbawiła z grzechów mnie...” – Małgorzata zamilkła, żeby wziąć oddech. – No cóż, pewnie wiecie, jak jest dalej.

– Jak ładnie! – powiedziała dziewczynka z gitarą. – Może byś chciała zaśpiewać razem z nami, jeśli zostanieie dłużej?

– Och! – Małgorzata złapała się za gardło. – Bardzo bym chciała, lecz niestety nie możemy zostać. Jesteśmy umówieni na obiad z moim ojcem...

Nagle dotarło do niej, że nie powinna o tym tutaj mówić, uśmiechnęła się więc sztucznie i czym prędzej naciągnęła woalkę z powrotem, zasłaniając twarz.

– Jaki masz ładny kapelusz! – zachwyciła się jedna z dziewczynek o skórze koloru cynamonu, a włosach jak mahoń, splecionych w ciasne warkoczyki. Jej piegowaty policzek przecinała blizna o zbyt równych brzegach, żeby mogło to być przypadkowe skaleczenie.

– Obie dostałyśmy dzisiaj nowe kapelusze – odrzekła Małgorzata. – Czy nie są śliczne?

Dziewczynka skinęła głową i wpatrzyła się w kapelusz Maryli z tak szczerym zachwytem, że Maryla bez zastanowienia rozwiązała kokardę pod szyją.

– Może chciałabyś przymierzyć? – spytała.

Oburzona Małgorzata odwróciła się gwałtownie ku przyjaciółce, lecz Maryla nie spuszczała oczu z sierotki.

– Jeśli tylko chcesz, ja nie mam nic przeciwko. – Maryla wyciągnęła ku niej rękę z aksamitnym kapelusikiem.

Dziewczynka ostrożnie wzięła go w obie dłonie i nasunęła na głowę.

– Zrób kokardę z boku. Daj, pomogę ci. – Maryla zawiązała wstążki tak, jak pokazała jej pomocnica *madame* Stephanie.

Dziewczynka przejrzała się w okiennej szybie. Niezbyt wyraźne odbicie oddało jej uśmiech, gdy zaczęła obracać głowę na boki, żeby obejrzeć się ze wszystkich stron – zupełnie tak samo, jak Maryla kilka godzin wcześniej.

W tej samej chwili z biura na ciemny korytarz wyszła pani White, a za nią matka przełożona.

– Chusty są piękne. Naszym dziewczynkom na pewno się spodobają. Jakże łaskawych przyjaciół mamy na Wyspie Księcia Edwarda!

– To prawda! Panie z Avonlea zawsze będą wspierać osierocone dzieciaki oraz wdowy, zgodnie z naukami Pisma Świętego! – Mówiąc to, pani White objęła jedną ręką dziewczynkę w bordowym kapelusiku, sądząc, że to Maryla, a drugą przygarnęła Małgorzatę.

Dziewczynka spojrzała na nią i dopiero wtedy pani White dostrzegła swój błąd.

– Och! Myślałam, że to Marylka...

– Przepraszam, proszę pani! Ja nie chciałam!... – Dziewczynka zaczęła się szarpać ze wstążkami, do oczu napłynęły jej łzy.

– Ależ nie! – Maryla przytrzymała jej dłoń o skórze miękkiej i różowawej jak kwiat begonii. – Proszę pani! – zwróciła się do pani White. – Zdaję sobie sprawę, że ten kapelusik w dobroci swego serca podarowała pani mnie, ale teraz wołałabym, żeby trafił do...

Do tej pory nikt nie przedstawił sobie dziewcząt.

– Junipera – szepnęła zawstydzona dziewczynka z głową zwieszoną tak nisko, że jej głos był niemal niesłyszalny – ale

mówią mi Juni.

– ...żeby trafił do Juni – oświadczyła z przekonaniem Maryla. – Za pani zgodą, oczywiście! – dokończyła.

– Eee... Ja... – Pani White zaczęła nerwowo skubać rękawiczki.  
– A-ale... Oczywiście! Jeśli tylko matka przełożona nie będzie miała nic przeciw temu.

– Hojne i miłosierne serce jest najszczęśliwszym odbiciem serca Pana. Nasze dobrodziejki z Avonlea są dla nas nieustającym źródłem błogosławieństw. – Pochyliła się ku Maryli. – Dziękuję ci, moje dziecko!

– Dziękuję, panienko!! – powtórzyła za matką przełożoną Juni i dygnęła. – Będę o niego dbać do końca życia!

Maryla poczuła, jak coś ściska ją w piersi, a po chwili odczuła ulgę. Nie była jednak pewna, czy powodem tego była radość z powodu sprawienia prezentu Juni, czy żal z powodu pozbawienia prezentu siebie. Myśl, że już po wszystkim, sprawiała jej ulgę, lecz rodziła też obawę, że ten żal nie ustąpi tak szybko. Nie da się ukryć przed Bogiem płochego serca. Mimo wszystko Maryla była zadowolona, że oddała piękny kapelusik. Przecież sama miała tak dużo: dom i rodzinę, grono ludzi, którzy należeli do niej, a ona do nich. Będzie miała jeszcze wiele kapeluszy, a Juni może tylko ten jeden.

Małgorzata też zdjęła z głowy swoje koronkowe cudło.

– Weź! – Podała kapelusz dziewczynce trzymającej śpiewnik. – Skoro nie będę mogła z wami pośpiewać...

– Bardzo dziękuję! – Sierotka ze śpiewnikiem dygnęła. Trzymała kapelusz jak delikatnego ptaszka, który może w każdej chwili odfrunąć. Jej koleżanki pożerały go wzrokiem.

– No proszę! – Pani White postanowiła jednak pozostać w swoim kapeluszu. – Co za błogosławiony dzień! Dla obdarowujących i obdarowanych, czego przykład dał nam sam Nasz Pan.

Na te słowa matka przełożona zrobiła znak krzyża, a za nią

przeżegnały się cztery sieroty. Pani White zrobiła szybki ruch dłonią od ramienia do ramienia i mruknęła pod nosem „Amen”, co Maryli wydało się nieco dziwne. Prawdziwi prezbiterianie tak nie robili.

– Teraz, skoro już wypełniliśmy nasz chrześcijański obowiązek, nie będziemy zabierać ani chwili z waszego cennego czasu, matko. Macie tyle obowiązków – rzekła pani White.

– Zapraszamy ponownie! Powitamy was zawsze z radością.

– Dziękuję. Panie z Avonlea niezwłocznie zabiorą się do pracy przy kolejnej partii chust.

Małgorzata wydała cichy jęk, który dotarł jedynie do uszu Maryli.

– Idziemy, Małgorzato! – Pani White poprowadziła córkę przed sobą, kierując się ku wyjściu i mówiąc bez przerwy, a Maryla i Janek podążali kilka kroków za nimi.

– Zrobiłaś dobry uczynek – stwierdził chłopak.

– Nie zamierzałam wywołać takiego zamieszania, ale tak bardzo chciałam, żeby ta biedna dziewczynka miała coś zupełnie swojego. Czułam, że tego potrzebuje.

– Jestem pewien, że tak właśnie było. Zwróciłaś uwagę na jej twarz?

– Tak. Co za okropna szrama!

– To wypalony żelazem znak właściciela niewolnika – wyjaśnił Janek.

Maryla zatrzymała się pośrodku korytarza i obejrzała się. Sierotki zbiły się w gromadkę i odprowadzały ich baczными spojrzeniami. Janek wziął ją pod rękę i pociągnął do wyjścia.

– Widziałem już takie znamiona u zbiegów ze Stanów. Właściciele niewolników znakują ich w ten sposób, żeby, jeśli uciekną, zostali rozpoznani.

Maryla pochyliła się ku Jankowi i spytała:

– Czy sądzisz, że ona była niewolnicą?

– Raczej jest. Zbyt młoda, żeby mogła się wykupić sama,

a gdyby się urodziła wolna, nie miałaby szramy.

– A gdzie są jej rodzice?

Janek nachylił się do ucha Maryli, żeby nikt inny nie usłyszał jego słów, i powiedział:

– Dorosłych nie da się ukryć w sierocińcu, Marylo. O ile jeszcze ma rodziców, dobrze zrobili, że zostawili ją u sióstr. One będą mogły znaleźć dla niej bezpieczny dom. Są tu i inne dzieci niewolników. Widziałaś je za stołami?

W regionie Maritimes[12] było wiele afrykańskich rodzin. Na Wyspie Księcia Edwarda niewolnictwo zostało zniesione kilkanaście lat temu, kiedy Maryla miała rok. Potem, w 1834 roku, w parlamencie podpisano Akt zniesienia niewolnictwa, dzięki czemu zlikwidowano je we wszystkich brytyjskich koloniach. Na jednym końcu Hopetown była nawet kaplica, do której uczęszczali czarnoskórzy Afrykanie, a na drugim Królewska Akademia Akadyjska, więc kiedy Maryla zobaczyła w sierocińcu ciemnoskóre dzieci, nie skojarzyła, że mogą być zbiegłymi niewolnikami ze Stanów.

Kościół prezbiteriański był w tej kwestii stanowczy. Twierdził, że posiadanie jednego człowieka przez drugiego jest niezgodne z prawem boskim. Ponieważ wszyscy mieszkańcy Avonlea należeli do kongregacji, zgadzali się co do tego, że niewolnictwo jest grzechem równie niegodziwym jak każdy inny postępki wykraczający poza prawo. Jednakże poza wyspą był inny świat. Wielu tolerowało, albo co gorsza popierało właścicieli niewolników. To właśnie przez nich łowcy nagród bezkarnie przeczesywali prowincje w poszukiwaniu zbiegów, a wszystkich złapanych czarnoskórych odsyłali z powrotem do Stanów. W gazetach mnóstwo było ogłoszeń z opisami uciekinierów, które mogły właściwie pasować do każdego Afrykanina idącego ulicą: i tego, który rzeczywiście zbiegł, i tego wolnego. W sądach głoś miały elity przymykające oczy na ten proceder tak długo, dopóki więzienia hrabstwa były pełne. Niektórzy wciąż

traktowali posiadanie niewolników jak dobry interes, a nie postępek wątpliwy moralnie. Dopiero tutaj, w sierocińcu, Maryla zorientowała się, jak to wszystko wygląda: zobaczyła te dzieci, te sieroty pozbawione domu i miłości, nienależące do nikogo. Siostry zakonne robiły dla nich o wiele więcej, niż można było wnioskować na pierwszy rzut oka.

– Nigdy się wam nie wywdzięczę za wszystko, co dla nas robicie! – Matka przełożona odryglowała drzwi wejściowe. – Nie ma pani pojęcia, jak wiele wasze prezenty znaczą dla tych dzieci! – Uśmiechnęła się do Maryli.

– Wierzchnie okrycia dla waszych małych owieczek to moje nowe wyzwanie – oświadczyła z mocą pani White. – Wkrótce znów się spotkamy.

– Niech Pan wam błogosławi i da bezpieczną podróż do domu! – Matka przełożona pożegnała ich znakiem krzyża, po czym zamknęła drzwi i zasunęła z łoskotem żelazny rygiel.

– No cóż... – Pani White wzięła głęboki wdech i z zainteresowaniem popatrzyła na Marylę. – Może nasze kółko robótek ręcznych powinno się zająć robieniem na drutach czepków dla dziewczynek do kompletu z chustami? Świetny pomysł, prawda, Marylo? – I nie czekając na odpowiedź, ruszyła przed siebie, holując u boku Małgorzatę. – Nie możemy kazać tyle czekać panu White’owi, a jestem pewna, że i pan Blythe wygląda już z niecierpliwością swojego syna.

Maryla i Janek ruszyli za nimi. Szli koło siebie, a ich ramiona czasem się ocierały. Kiedy na trotuarze pojawiła się kałuża, pani White z córką obeszły ją szerokim łukiem, lecz Janek postąpił inaczej. Mocno ujął Marylę pod rękę, żeby pomóc jej zrobić duży krok przez wodę. Jego uścisk był jak solidne wsparcie po tym wszystkim, co widzieli i tym, czego nie udało się ująć w słowa. Kiedy w oddali ukazał się zarys zajazdu, w Maryli zaczęła narastać kolejna obawa: nie chciała, żeby odszedł. Co za głupota! – udzieliła sobie ostrej reprymendy i gdy wreszcie dotarli na

miejsce, każde z nich poszło w swoją stronę.



11 *Amazing Grace* – angielska protestancka pieśń religijna autorstwa Johna Newtona, byłego handlarza niewolników, który po cudownym ocaleniu ze sztormu nawrócił się i zaczął pisać hymny. Najbardziej znany z nich to właśnie *Cudowna Boża łaska*. Istnieje wiele wersji przekładu. Tu ze strony [www.spiewajpanu.pl](http://www.spiewajpanu.pl).

12 Maritimes – region historyczny we wschodniej Kanadzie, nad Atlantykiem, w skład którego wchodzi trzy prowincje: Nowy Brunszwik, Nowa Szkocja i Wyspa Księcia Edwarda.

## XI

### Majowy piknik

Na dorocznym majowym pikniku witano wiosnę w pełnym rozkwicie. Słońcu udało się już stopić resztki lodu skryte w najgłębszych zakamarkach. Marmurkowa, niebieskozielona powierzchnia morza była obramowana szmaragdowozielonymi lasami i gładkimi pasami kwitnących na żółto i fioletowo pól łubinu. Obuwiki szeroko otwierały swe ziewające pyszczki, chłonąc światło dnia. Bluszcz i surmia wyciągały się radośnie w górę i w górę, a jabłonie i wiśnie, gdziekolwiek się obejrzeć, stały w białych chmurach kwiatów, obiecując wielkie zbiory owoców.

Pani White na pewien czas odłożyła rozdzielanie zadań pomiędzy członkinie kółka robótek ręcznych oraz szkółki niedzielnej, ponieważ teraz najważniejsze stało się szycie przez wszystkie panie z Avonlea nowych sukien na piknik. Tradycyjnie już każda mieszkanka z okazji majowej zabawy starała się ubrać w coś zupełnie nowego, w kolorach równie radosnych jak wiosenna wyspa.

Maryla codziennie budziła się z nadzieją, że już za chwilę będzie mogła powitać nową siostrzyczkę lub braciszka. Klara w każdej chwili mogła zacząć rodzić i wszyscy byli skupieni na radosnym wyczekiwaniu tej chwili. Brzuch, okrągły i twardy jak melon, urósł tak, że ledwo było zza niego widać jej twarz bladą jak u ducha, delikatną jak liść morskiej trawy. Izzy skończyła

wreszcie malować na żółto krzesło i postawiła je przy łóżku Klary. Przesiadywała na nim całymi godzinami, czytając, szyjąc lub haftując. Opuszczała siostrę jedynie wtedy, kiedy musiała pomóc Maryli w przygotowywaniu posiłków, lecz jadła już razem z Klarą, karmiąc ją ze swojej miseczki. Jedna łyżka dla niej, druga dla siostry. Maryla obserwowała zachowanie ciotki i zastanawiała się, jak by to było kochać kogoś do tego stopnia, żeby chcieć tak się dla niego poświęcać i tak się nim opiekować. Męczyło ją nieco poczucie winy. Prawdę mówiąc, była zadowolona, że to nie ona musi przesiadywać na tym krześle dzień po dniu. Obawiała się, że takimi myślami ciężko grzeszy, więc na wszelki wypadek codziennie modliła się, by Bóg przebaczył jej winę.

Małgorzata i Maryla skończyły haftować amarylisowe rękawy. Ścieg był tak delikatny jak płatki, które przedstawiał. Piękniejszych Maryla nigdy nie widziała. Ku jej zaskoczeniu Małgorzata uparła się, żeby to przyjaciółka wzięła gotowe rękawy.

– Możesz je wykorzystać do swojej sukienki na majowy piknik – namawiała. – W ten sposób udowodnimy wszystkim dziewczętom ze szkoły, że jesteśmy prawowitymi członkiniami Kółka Robótek Ręcznych dla Pań z Avonlea, a nie tylko bawimy się w wyszywanie łańcuszków na tamborkach. A poza tym matka właśnie szyje dla mnie sukienkę na piknik ze specjalnie na ten cel sprowadzonego perkalu, do którego te rękawy w ogóle nie pasują. – Powiedziawszy to, Małgorzata wpatrzyła się z zachwytem w hafty i głęboko westchnęła, co pokazało, z jakim trudem się z nimi rozstawała, a to z kolei uczyniło podarunek jeszcze cenniejszym.

– Jakie śliczne! – zachwyciła się Izzy, kiedy Maryla przyniosła do domu haftowane rękawy. – Same to zrobiłyście?

– Ja zrobiłam jeden, a Małgorzata drugi.

Ciotka przyjrzała się dokładnie każdemu z nich.

– Są takie eleganckie! I nie do odróżnienia! – Tu zwróciła się do siostry: – Patrz, jaką masz utalentowaną córkę!

– Przepiękne! – Klara uśmiechała się słabo, przeciągając delikatnie opuszkami palców po hafcie, wzdłuż stylizowanych łożyczek i listków aż po płatki kwiatów.

Maryla się rozpromieniła.

– Pomyślałam sobie... Hmm... Miałam nadzieję, że będę mogła je wykorzystać do mojej sukienki na majówkę. To znaczy... gdybyście mogły mi pomóc, bo jeszcze nigdy sama nie uszyłam żadnej.

Sukienka zdawała się sprawą zbyt błahą, by prosić o nią ciotkę, gdy ta zajęta była ciągłą opieką nad matką, ale Maryla miała nadzieję, że może jednak...

– Ależ jak najbardziej! – Izzy przychyliła się do prośby. – Właśnie skończyłyśmy czytać powieść historyczną Waltera Scotta *Ivanhoe* i miałyśmy wymyślić coś nowego, co zajmie nas do narodzin dziecka. Czy nie tak, Klaro?

Klara skinęła głową i ujęła dłoń Maryli.

– Uszyjemy ci najbardziej urzekającą suknię na świecie, kochanie! – obiecała.

– Mam materiał, który będzie do nich pasował – ucieszyła się Izzy. – Z najlepszej angielskiej manufaktury. Trzymałam go na specjalną okazję i przypadkiem przywiozłam tu ze sobą. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Miałam przecucie, że może będzie tu miało miejsce jakieś szczególne wydarzenie. Jest w moim kufrze podróżnym. Ma wzór w przeplatające się kremowe i czerwone wstążki na bladoniebieskim tle.

Izzy wzięła haftowane rękawy i poszła do swojego pokoju.

– Chodź, kochanie, usiądź obok mnie na chwilę. – Klara przywołała Marylę skinieniem ręki. – Moja córeczka, taka już dorosła! Opowiedz mi jeszcze raz o waszej podróży po wybrzeżu.

Całe dwa dni zajęło Maryli opowiadanie matce o pobycie w Nowej Szkocji. Klara zamykała oczy, słuchając, żeby lepiej

sobie wszystko wyobrazić. Nie była w Hopetown od czasów, kiedy jako świeżo poślubiona żona udała się tam, by kupić cynowe łyżki i widelce, które miały jej służyć do końca życia. Maryla opuściła tylko fragmenty o eleganckich kapelusikach i niewolnicy Juniperze. Skupiła się na innych wydarzeniach i na opisywaniu widoków lądu i morza.

W drodze powrotnej pan White przekonał żonę, żeby pozwoliła dziewczynkom wyjść na pokład, na dziób promu. Dzień był ładny, a na całej powierzchni morza tylko gdziegdzie widać było białe spienione grzywy fal. Podróż statkiem podobała się Klarze najbardziej z całej opowieści córki. Może i Cuthbertowie byli z dziada pradziada farmerami, lecz rodzina Klary, Johnsonowie, pochodzili z rodu szkockich żeglarzy. Teraz Maryla już rozumiała, jak ocean może wabić duszę, więc opowiedziała matce wszystko jeszcze raz. Mówiła, jak wiatr gwizdał o ton ostrzej niż tam wysoko, na bezchmurnym niebie, jak woda zdawała się pękać, gdy dziób statku ciął ją na dwie części, jak kupili gorące kakao od sprzedawcy na promie, a on wrzucił im na szczęście po miętówce do kubków, i o tym, że gdy bardzo mocno odetchnęła, mogła poczuć zapach morskiej wody. Maryla zauważyła, że za każdym razem, kiedy opowiada tę historię, rozumie więcej i dostrzega więcej szczegółów, niż kiedy tam była. Pamięć działała jak tęczowy most łączący przeszłość z teraźniejszością.

– Opowiedz mi o czerwonych plażach... – szepnęła Klara. Jej powieki opadały coraz bardziej; była na krawędzi snu.

W przeciwieństwie do wybrzeży Nowej Szkocji, gdzie wzdłuż płaskich brzegów ciągną się bez końca farmy ostryg, Wyspa Księcia Edwarda otoczona była pasem czerwonych skał jak skórka z obranego jabłka.

– Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że brzeg naszej wyspy różni się od innych.

– Abegweit – szepnęła Klara. – To nazwa, którą nadali tej ziemi

jej rdzenni mieszkańcy, Indianie z plemienia Mikmaków. Legenda mówi, że ich bóg, Wielki Duch Glooscap, stworzył naszą wyspę, mieszając ze sobą wszystkie kolory namalowanej właśnie Ziemi. Na koniec dzieła stworzenia machnął pędzlem nad oceanem i tak powstała nasza wyspa. Słowo „abegweit” oznacza „kołysząca się na falach”. – Klara położyła dłoń na brzuchu. – Czyż to nie piękne imię?

Maryla skinęła głową, zamyślona. Szczerze mówiąc, nie знаła nikogo o imieniu Abegweit. Brzmiało jak imię wróżki, imię kogoś z królestwa bajek, więc może miało pełne prawo znaleźć się w jej opowieści. Oddech Klary niezauważalnie przeszedł w ciche pochrapywanie.

– Abegweit – szepnęła Maryla, ucałowała ciepłe czoło matki i na palcach wymknęła się z sypialni.

Ciotka Izzy była w swoim pokoju. Rozciągnęła na łóżku kupon materiału, a na nim położyła jedną ze swoich sukien jako wzór. W odpowiednim miejscu przypięła haftowane w kwiaty amarylisa rękawy.

– Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, ale oczywiście skrócę spódnicę, jeśli okaże się za długa. Jak ci się podoba ten materiał?

– To najpiękniejsza tkanina, jaką kiedykolwiek widziałam! – Maryla przeciągnęła palcami po misternym splocie.

Z dołu dobiegł odgłos stąpania ciężkich męskich butów i towarzyszący mu głos Mateusza. Był środek dnia. Mężczyźni nigdy nie wracali do domu o tej porze.

– Czyżby Mateuszowi ktoś towarzyszył? – Izzy wbiła szpilkę w poduszeczkę. – Hugon wyjechał w pole sadzić ziemniaki. Nie mógłby tak szybko wrócić.

– Może któryś z przechodzących czasem obok naszego domu pasterzy owiec zatrzymał się i poprosił o wodę? – zastanawiała się na głos Maryla. – Pójdę im podać.

Okazało się jednak, że jej pomoc nie była potrzebna. Mateusz

i jego towarzyszy wyszli na taras od strony ogrodu. Na kuchennym stole stał koszyk ze szparagami tak intensywnie zielonymi, że od patrzenia na nie aż bolały oczy. W powietrzu rozszedł się zapach tytoniu.

– To prawda. Fala się odwraca... – mówił Mateusz, kiedy Maryla wyszła na zewnątrz. – Marylko! – zawołał. – Zobacz, kto do nas przyszedł!

Janek był ubrany w ten sam strój, który miał na sobie podczas pierwszej wizyty na wzgórzu, tylko tym razem bez surduta. Rękawy koszuli starannie podwinął do łokci, odsłaniając muskularne przedramiona już opalone na brązowo od wiosennych prac w polu.

– Jak miło znów cię widzieć, Marylo! – Uśmiechnął się. – Przyniosłem wam trochę naszych szparagów.

– Właśnie widziałam. Bardzo ci dziękujemy! Matka będzie zachwycona. Uwielbia kremową zupę ze szparagów. Nie mam pojęcia, dlaczego wasze zawsze się tak świetnie udają. Nasze bardziej przypominają wodorosty.

– To dzięki naszym krowom. Nawożenie obornikiem daje wspaniałe rezultaty.

Mateusz odchrząknął i wystukał popiół z fajki.

– Muszę już wracać do roboty, a ty zrób to, po co tu jesteś. Miło było chwilę porozmawiać. Zajrzyj znów, wypalimy razem fajeczkę.

– Skoro zapraszasz, nie omieszkać – odpowiedział Janek.

Maryla, nieco zawstydzona, cofnęła się o krok. Myślała, że Janek przyszedł w odwiedziny do Mateusza.

– O co chodzi? – spytała prosto z mostu.

Mateusz zaśmiał się cicho. Janek poczekał, aż brat Maryli oddali się w stronę budynku gospodarczego.

– Chciałem zadać pewne pytanie, panno Cuthbert.

Maryla skrzyżowała ramiona na piersi, gdy usłyszała, że Janek zwraca się do niej tak oficjalnie. Nie była w nastroju do gier.

Zaraz musiała zacząć przygotowywać kolację, a poza tym chciała pomóc Izzy przy wykroju swojej nowej sukienki.

– Nie stój tak i nie pytaj, czy możesz zadać pytanie. Mów, co masz do powiedzenia!

– Jak wiesz, za dwa tygodnie będzie u nas jak co roku majowy piknik. Ojciec zaproponował, że pożycz mi swoją dwukółkę, gdybym chciał zabrać kogoś ze sobą, a ja chcę. Chcę zabrać ciebie. Czy zechciałabyś mi towarzyszyć?

Zaproszenie było tak niespodziewane, że Maryla nie miała w zanadrzu żadnych wykrętów, nie miała też kiedy się spłoszyć. Ale jechać sam na sam z Jankiem Blythe na piknik? Do tej pory Cuthbertowie zawsze jeździli na piknik razem. Kto będzie trzymać koszyk z ciastem, żeby się w drodze nie przewrócił? To było jej zadanie, odkąd sięgała pamięcią.

– Zawsze jeżdżę ze swoją rodziną – wydukała.

– Hm, cóż. – Janek pokiwał głową. – Widziałem, jak Mateusz zapraszał Joannę Andrews, żeby pojechała razem z nim, a twój ojciec i ciotka powiedzieli, że nie zostawią twojej matki samej...

Maryla nie wiedziała, co wzburzyło ją bardziej: czy fakt, że rozmawiał już o tym z jej rodziną, czy że mówił jej to, o czym nikt z rodziny do tej pory nie raczył jej powiedzieć. Z tego też powodu po raz pierwszy w życiu przestała rozważać, co powinna zrobić, będąc córką, siostrą i siostrzenicą, i zapytała samą siebie, czego ona, Maryla, najbardziej by chciała.

– Sądzę, że to może być miłe, Janku. Bardzo miłe.

Przecież nie spotykali się potajemnie. Jechali zupełnie otwarcie na słynną zabawę w miasteczku. Będą tam wszyscy i naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia, kto w którym powozie dotrze na miejsce. Mimo to poczuła lekki skurcz żołądka.

Janek przeczesał włosy palcami i dopiero wtedy Maryla zauważyła małe kropelki potu lśniące nad jego brwiami.

– W takim razie przyjadę po ciebie.

## XII

### Ametystowa broszka

Dwa dni później, w dniu pikniku, ciotka Izzy pomogła Maryli zasnurować gorset i wciągnąć przez głowę nową suknię. Siostry pracowały przy niej bez wytchnienia. Izzy wykonała wszystkie najtrudniejsze prace krawieckie, Klara wszyła pętelki do zapinania guzików na plecach sukni z tak pełną determinacją czułością, że kiedy zostały zapięte, Maryla zarzekała się, że czuje dotyk palców matki na plecach. Maryla zajęła się obrzucaniem szwów i obrębianiem sukni. Opuszki palców miała całe w kropki po ukłuciu igły, lecz uważała, że suknia była tego warta. Tak wytwornej kreacji Maryla nie miała nigdy, więcej – nawet takiej nie widziała. Kiedy ją włożyła, Izzy splotła jej włosy w dwa warkocze i upięła tak, że układały się w dwie pętle, których końcówki połączyła misternym splotem nad czołem, naśladując spiralny wzór stylizowanych gałązek z amarylisowego haftu. Potem musnęła usta i rzęsy siostrzenicy odrobiną lśniącego pszczelego wosku, co rozświetliło całą jej twarz.

Klara aż straciła na chwilę oddech z zachwyty, kiedy Maryla weszła do jej sypialni.

– Moja kochana córeczka... – Walczyła z ciężarem brzucha, próbując się podnieść do pozycji siedzącej. – Prawdziwa z siebie dama! – Łzy zakręciły się w jej oczach. – Byłam mniej więcej w twoim wieku, kiedy zaczęłam się spotykać z twoim ojcem.

– My tylko jedziemy razem, mamó. – Spłoniona Maryla

spuściła wzrok.

– Tak, oczywiście, lecz to już czas... Wkrótce w kimś się zakochasz i wyruszysz ku zieleńszym pastwiskom.

Maryla poczuła, że coś ją gniecie w piersi. To chyba zbyt mocno zasznurowany gorset. Wcale nie miała ochoty przenosić się na zieleńsze pastwiska. Odcień zieleni ich własnych całkowicie jej odpowiadał.

– Zostanę na zawsze twoją małą Marylką.

Klara się uśmiechnęła i skinęła na siostrę, żeby podała jej aksamitną sakiewkę z szafki nocnej.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała do córki.

Odwróciła jej dłoń wnętrzem do góry. Z woreczka wypadła owalna broszka z fiołkowymi kamykami przypominającymi płatki kwiatu.

– To ametysty. Prezent od wuja żeglarza, przemierzającego morza całego świata. Podobno dostał ją od szamanki, która zarzekała się, że kamyki zostały obdarzone cudowną mocą chronienia osoby, która będzie nosić broszkę. Jest teraz twoja, Marylko.

Maryla potarła kamyki kciukiem. Ametysty zaśniły. Widziała, że matka nosiła broszkę w Wielkanoc i inne święta. Przez resztę czasu klejnot spoczywał bezpiecznie ukryty w kufrze razem z jej suknią ślubną, związanymi wstążką pierwszymi włoskami dzieci i innymi pamiątkami.

– To prawdziwe ukoronowanie jej stroju – zachwyciła się Izzy.

Klara ujęła w dłonie twarz córki.

– A teraz idź i baw się najlepiej jak umiesz! Przykro mi, że ominie mnie piknik i spotkanie ze wszystkimi mieszkańcami Avonlea. Przekaż im ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia.

– Tak zrobię. – Maryla ucałowała rękę Klary. – Dziękuję mamie!

Kiedy zeszła do bawialni, ojciec z aprobatą pokiwał głową.

– Lepiej weź szal. Wiatr przeszywa chłodem. Idzie na zmianę

pogody.

Zrobiła, jak radził ojciec, a broszkę przypięła nad sercem.

Przed domem siedział już w bryczce Mateusz, a przy nim – jak gdyby nigdy nic – Joanna Andrews. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył siostrę schodzącą po schodach ganku.

Janek, elegancki, jakby szedł na niedzielne nabożeństwo, stał obok swojej dwukółki. Wyciągnął do Maryli rękę, lecz dziewczyna się zawahała i zerknęła przez ramię na ojca i ciotkę, którzy wyszli za nią na ganek. Przyjęcie jego dłoni w ich obecności wydało jej się gestem zbyt jednoznacznym. Skoro raz ją przyjmie, nigdy nie zdoła się wycofać. Ominęła więc Janka, uniosła spódnicę i sama wsiadła do kabrioletu. Janek zajął miejsce obok niej.

– Trzymaj się! – szepnął, ruszył lekko cugłami, a jego koń skoczył z miejsca galopem.

Maryla nie miała wyboru – musiała przysunąć się jak najbliżej Janka i złapać go pod rękę, żeby nie spaść.

– Wybacz mi, proszę! – odezwał się Janek, kiedy koń wreszcie przeszedł do równego kłusa, a dom na wzgórzu za nimi zmniejszył się do rozmiarów miniatutki. – Koń jest młody i jeszcze nieco narowisty.

Maryla w milczeniu przytaknęła. Nie miała dotąd do czynienia z młodymi końmi. Eryk był już leciwym wałachem, który teraz podążał za nimi w rozsądnym tempie, wioząc Mateusza i Joannę.

Jeszcze zanim dojechali do szczytu wzgórza, za którym rozpościerało się miasteczko, ich uszu dobiegł gwar pikniku, podobny do dalekiego szumu fal rozbijających się o brzeg. Rozległa łąka pełna była mieszkańców Avonlea, siedzących na rozłożonych na ziemi kocach lub spacerujących niespiesznie pomiędzy stołami, które przykryto kraciastymi obrusami i zastawiono dzbankami soków i napojów, półmiskami ogórków, marynowanych jajek, talerzami lukrowanych ciasteczek i salaterkami puddingów. Wielebny Patterson stał pod

rozłożystym klonem, dając instrukcje członkom zespołu muzycznego, siedzącym w cieniu tego ogromnego drzewa. Obok ustawiono słupek majowy. Krąg trawy wokół niego był wydeptany prawie do gołej ziemi. Słupek przybrano kolorowymi wstążkami, żonkilami, krokusami, łubinami oraz zielonymi gałązkami bluszczu – wyglądał jakby oplatał go tęczyowy ogród. Z dala od orkiestry, po lewej stronie, ustawiono główną atrakcję pikniku – karuzelę należącą do rodziny Clarence'ów z Bristolu, którzy przyплыли tej wiosny na rozpoczęcie sezonu akurat do Avonlea. Maryla jeszcze nigdy nie widziała czegoś podobnego. Rzeźbione w drewnie figury przedstawiały konie w galopie, z rozwianymi grzywami pomalowanymi na koralowo i kobaltowo, a ogonami na liliowo i cytrynowo. Między słupkami, na których wspierała się karuzela, wisiały lustra, i kiedy mechanizm wprawiał w ruch konie, wszystkie kolory zaczynały nakładać się na siebie i wirować. Ciężkie figury zataczały kręgi coraz wyżej, frunąc ponad ziemią. Maryla pomyślała, że w tym musi być jednak jakaś magia. Wszyscy mieszkańcy Avonlea, i młodzi, i starzy, stali w długim ogonku, czekając na swoją kolej do odbycia przejażdżki na cudownej karuzeli. Maryla miała nadzieję, że i jej ta atrakcja nie ominie.

Pani White zgłosiła się do prowadzenia stoiska szkółki niedzielnej. Tym razem można było tam kupić pomalowane na jaskrawe kolory ozdobne muszle – wiosenne przedsięwzięcie szkółki. Kiedy zobaczyła Marylę i Janka w kabrioletcie wjeżdżającej na żwirowany podjazd przed kościołem, otworzyła usta z wrażenia. Odwróciła się do żony pastora i zaczęła coś do niej szeptać. Obie uśmiechnęły się równocześnie do Maryli, na co ona jedynie dumnie uniosła głowę. Nie miała niczego do ukrycia. Jej relacje z Jankiem opierały się na całkowicie niewinnym szacunku. Jednak właśnie w tym momencie Janek po raz kolejny postanowił otwarcie przeciwstawić się utartym zwyczajom.

Zamiast pomóc jej zejść, podając rękę, jak zrobiłby w przypadku innej kobiety, złapał ją wpół, uniósł lekko i postawił na ziemi, obejmując na oczach wszystkich. Przyzwoitość nakazywała natychmiast odepchnąć zbyt śmiałego kawalera, lecz Maryla tego nie zrobiła... ponieważ... ponieważ słońce świeciło tak jasno, w powietrzu pachniało prażoną kukurydzą i niedawno skoszoną trawą. Ponieważ orkiestra zagrała właśnie skoczną melodię, a lekka bryza rozwiała włosy Janka i jej loki. Po co wprowadzać zamęt? On był tylko chłopcem, który pomaga wydostać się z powozu dziewczynie w idealny majowy dzień.

– Wyglądasz prześlicznie – powiedział Janek.

– Matka i ciotka Izzy pomogły mi uszyć tę sukienkę. Obie z Małgorzatą wyhaftowałyśmy rękawy. Widzisz? – Pozwoliła, żeby szal zsunął się jej z ramion, odkrywając kunsztowny haft.

– Nigdy nie widziałem czegoś piękniejszego!

Przerwał im chrząknięciem Mateusz.

– Przywiążę konia obok twojego, żeby mogły jeść owies z jednego worka.

Panny Andrews widziały, jak ich siostra przyjechała razem z Mateuszem na piknik i teraz otoczyły ją, dopytując się, jak było na przejażdżce we dwoje. Żadnej z nich jeszcze nikt nie zaproponował czegoś podobnego.

Mateusz nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc szukał jakiegoś zajęcia, dopóki dziewczęta się nie rozejdą. Nawet w większych zgromadzeniach mężczyzn zaczynał zachowywać się nerwowo, a grupka swiergoczących dziewcząt całkowicie wytrąciła go z równowagi.

– Jestem ci bardzo zobowiązany – odrzekł Janek. – Zabieram Marylę na spacer. Idziemy się czegoś napić, a potem pewnie pokręcimy się na karuzeli. Może do nas dołączycie, kiedy Joanna wreszcie się nagada?

Mateuszowi wyraźnie ulżyło. Zaplanował już sobie, co będzie robić teraz, a co potem. Cuthbertowie byli ludźmi czynu: zawsze

musieli mieć opracowany plan działania. Spontaniczność nie leżała w ich naturze. Maryla była wdzięczna Jankowi za to, że rozumiał ich bez zbędnych słów.

Janek podał jej ramię, ona je przyjęła i poszli na spacer po terenie, na którym odbywał się piknik.

– Witaj, Marylko! Witaj, Janku! – zawołała w ich stronę pani White. – Wspaniały dzień dla parki turkaweczek, czyż nie?

– „Niechaj z ptaków najgłośniejszy, na drzewie owym w Arabii, czyste skrzydła tu przywabi, jako herold najsmutniejszy. Lecz ty, zwiastunie wrzaskliwy, rychły zgon wróżący ptaku, nie zbliżaj się do orszaku, piekiel słuگو osobliwy”<sup>[13]</sup> – wyrecytował Janek, na co pani White zamilkła zaskoczona.

– To tylko Szekspir, pani White. Wiersz *Feniks i Turkawka*.

– Pierwsze słyszę! – Jeśli tak lubisz recytować, lepiej żebyś poświęcił czas na naukę biblijnych przypowieści – obruszyła się pani White. – Ja tu sprzedaję muszle na rzecz kościoła prezbiteriańskiego! – dodała.

– Jesteś okropny! – zbeształa Janka Maryla, kiedy odeszli tak daleko, że pani White nie mogła ich słyszeć. – Ona powtórzy wszystko twojej matce, możesz być pewien.

– Coś takiego! To właśnie matka pierwsza przeczytała mi ten wiersz. Ceni otwarte umysły.

– Nie czytałam wiele z Szekspira. W szkole przerabialiśmy jedynie sonety. Chętnie przeczytałabym więcej po tym twoim występie.

– Będziesz miała możliwość, kiedy tylko wrócimy.

– Och, to by było wspaniale! Moi rodzice bardzo by chcieli, żebym ukończyła szkołę.

Maryla już sobie wszystko przemyślała. Jeśli teraz zaczęłaby się pilnie uczyć w domu, do jesieni mogłaby nawet prześcignąć koleżanki i kolegów z klasy. Małgorzata twierdziła, że nie ma ochoty poświęcać na naukę ani chwili więcej, niż to konieczne. Zupełnie wystarczyło jej zakończenie edukacji na klasie szóstej,

lecz Maryla bardzo chciała się uczyć do ósmej. Była zdeterminowana, żeby zostać pierwszą osobą w rodzinie, której się to uda. Mateusz nigdy nie garnął się do książek. Matematykę niezbędną w gospodarstwie opanował bez trudu i przestał chodzić do szkoły, kiedy tylko podrósł na tyle, żeby samodzielnie prowadzić pług.

– Miło by było, gdybyś do nas wróciła – rzekł Janek.

– Hej, Marylo! Tu jestem! – zawołała Małgorzata od stołów piknikowych, gdzie stała w gromadce wystrojonych dziewcząt ze szkółki niedzielnej.

Maryla знаła matki ich wszystkich: panią Gillis – matkę Klementyny, panią Sloane – matkę Oliwii, panią Gray – matkę Nelki, i inne.

– Dzień dobry... dobry... dobry... dobry... – odpowiedziały wszystkie chórem.

– Opowiadałam im właśnie o mojej perkalowej sukni. – Małgorzata zakręciła się w miejscu i zaszeleściła halkami. – Musieliśmy jechać po ten materiał aż do Carmody. To perkal z Jouy-en-Josas, prosto z Francji. – W tej samej chwili dostrzegła rękawy sukni Maryli. – Och! – Poglądziła ściegi haftu. – Razem je wyszywałyśmy! Ale gdzie udało ci się dostać taki materiał? Pasuje idealnie!

– Ciotka Izzy przywiozła go z St. Catharines.

Pozostałe dziewczęta otoczyły Marylę i Małgorzatę ciasnym kółkiem; rozlegały się achy i ochy. Maryla myślała, że się udusi, kiedy wszystkie jednocześnie zaczęły skubać i gładzić jej suknię. Janek przybył na ratunek z dwoma kubkami jakiegoś napoju.

– Przepraszam, drogie panie, ale szukam kogoś, kto mógłby mi towarzyszyć w jeździe na karuzeli.

Wszystkie nagle ucichły. Trzy spośród dziewcząt zrobiły takie miny, jakby chciały połknąć na miejscu Jana Blythe, ale to Maryli podał jeden z kubków.

Oczy Małgorzaty zrobiły się wielkie jak spodki. Na jej ustach

pojawił się fałszywie skromny uśmiezek.

– Oj, uważaj, Marylko! Pan Blythe przestrzegał mojego ojca, że jego syn zbyt często popuszcza cugli i jego koń ponosi.

– Coś takiego! – Janek uniósł jedną brew w udawanym zdumieniu. – Jeśli ktoś się na tym nie zna, może z daleka odnieść takie wrażenie, lecz wytrawny znawca koni wie, że to pełen pasji cwał w obranym przeze mnie kierunku, więc po co ściągać cugle?

Córka pani Sloane westchnęła z zachwytem, aż córka pani Spencer musiała złapać ją pod rękę, bo zaczęła się słać na nogach.

Małgorzata odchrząknęła głośno, żeby lepiej ją usłyszano.

– Mówiłam do Maryli, nie do ciebie, Janie Blythe!

– Dziękuję ci bardzo! – weszła jej w słowo Maryla. – Na szczęście na karuzeli są drewniane konie, nie prawdziwe. – Jeśli zdarzy mi się spaść, będzie to wyłącznie moja wina i zasłużę na to, żeby inne rozniosły mnie na kopytach.

– Nie pozwolę ci spaść – włączył się Janek.

– Pff! – fuknęła Małgorzata i wruszyła ramionami. – Ja tam wolę pograć w krokieta. Karuzelę zostawmy dzieciom. Chodźcie!

Dziewczęta poszły za nią jak stadko gąsek.

– Naprawdę nie powinieneś tak się z nią drażnić! – upomniała Janka Maryla, kiedy odeszli dalej. – Po co to komu?

Chłopak roześmiał się, choć docenił szczerą.

– Przecież to tylko żarty. Nie chcę jej dokuczyć.

– Żarty są jak pokrzywy. Jeśli bawimy się w ich pobliżu, zawsze znajdzie się ktoś, kto w nie wpadnie i boleśnie się poparzy.

– Jeśli chcesz, więcej tego nie zrobię.

Maryla nigdy jeszcze nie prosiła żadnego mężczyzny, żeby dostosował się do jej życzeń, ale teraz to zrobiła.

– Tak, proszę! Małgorzata to moja przyjaciółka.

– Obiecuję! – Janek wznosił swój kubek, jak gdyby w geście

solennej obietnicy, a potem upił łyk i spytał: – A właściwie co to takiego?

– Napój imbirowy. Żona wielebnego Pattersona przeczytała w gazecie artykuł o tym, że imbir przeciwdziała wiosennym przeziębieniom. Twierdzi, że przygotowała go z myślą o zdrowiu mieszkańców Avonlea.

– Wolę soki owocowe.

Maryla przyznała mu rację. Odstawili kubki i poszli oglądać wyścig na trzech nogach, rzuty obręczą oraz grających w Johna Bulla, angielską grę, w której zawodnicy zbierali punkty, rzucając monetą do ponumerowanych pól. Potem zaczęli jeździć na karuzeli, dopóki Maryla nie straciła tchu ze śmiechu i od szalonego wirowania nad ziemią. Po tych wszystkich atrakcjach usiedli przy jednym ze stołów i częstowali się marynowanymi jajkami z kremowaną musztardą, a potem zjedli na spólkę kawałek delikatnego angielskiego ciasta, łamiąc je palcami. Mniej więcej w czasie, kiedy wśród traw zaczęły migotać pierwsze robaczki świętojańskie, wielebny Patterson dał sygnał do rozpoczęcia tańców okrzykiem:

– Do słupa majowego! Wszystkie panny i kawalerowie – do słupa majowego!

Maryla brała udział w tańcu majowego słupa od czasów, kiedy nauczyła się chodzić. Na dzieci też nadejdzie czas, ale pierwszy taniec zawsze należał do młodych panien i kawalerów z Avonlea. Tak więc Maryla i Jan zajęli swoje miejsca na okręgu. Po drugiej stronie znaleźli się Mateusz i Joanna.

– Dobieramy się parami! – dyrygował wielebny Patterson. – Każdy ma wstążkę? Jeśli ktoś nie ma, musi poczekać do następnej rundy. Pamiętajcie! Kobiety poruszają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, mężczyźni w przeciwną stronę. Prawa, lewa! Lewa, prawa! Nad, pod! Nad, pod! Gotowi? Ustawieni? I raz! I dwa! I ruszamy!

Orkiestra zagrała melodię prowadzoną przez dwoje skrzypiec.

Maryla trzymała koniec fioletowej wstążki. Podnosiła ją wysoko, potem powoli opuszczała. Okręgi poruszały się wokół słupa jak kółka mechanizmu zegara. Kiedy kolorowe wstążki oplotły cały słup od góry do dołu, wszyscy wypuścili je i chwycili za ręce stojących najbliżej, by wykonać końcową figurę. Janek stał tuż obok niej. Palce ich dłoni splotły się ze sobą mocno, tworząc idealne połączenie. Skrzypki zagrały szybciej, szybciej poruszały się stopy tańczących. Maryli kręciło się w głowie od tęczowego młynka. Kiedy melodia ucichła, całe miasto wybuchło radosnymi wiwatami i gwizdami.

Nikt nie zauważył pary trzymającej się za ręce, oddalającej się szybkim krokiem od kółka przy majowym słupie, mijającej rozłożysty klon z orkiestrą skrytą w jego cieniu, a potem rząd topoli strzegących przykościelnego cmentarza. Zaszli się na skraju łąki, w ustronnym miejscu, gdzie mikołajki i bławatki tworzyły gęsty dywan. Usiedli, ukryci w gąszczu wysokich traw, pod niebem pełnym obłoków jak z waty cukrowej. Serce Maryli wciąż biło szybko od szalonego tańca. Serce Janka również. Dziewczyna czuła, jak krew pulsuje jej w koniuszkach palców. Z tego, co wyczytała w pisemkach dla panien, wynikało, że trzymając chłopca za rękę, powinna czuć zakłopotanie, a może i wstyd. Tymczasem ona tak samo się czuła, trzymając w dłoni kwartalnik z romantycznymi opowiadkami. Żadnego zażenowania. Czuła po prostu dłoń Janka: zwyczajną, mocną, prawdziwą. To była w stanie pojąć, ale dlaczego przyprowadził ją aż tutaj – tego nie mogła zrozumieć.

– Co tu właściwie robimy? – spytała.

– Chcę, żebyś czegoś posłuchała. To tajemnica.

Puścił jej rękę. Poczowała chłód wkradający się do wnętrza dłoni. Janek pochylił się nisko i schwycił coś ukrytego w kędzierzawych kłosach traw.

– Musisz przysunąć się do mnie jak najbliżej, żeby to usłyszeć.

Zrobiła tak, jak mówił, i nachyliła głowę, a wtedy on zbliżył

zaciśniętą pięść do jej ucha.

Cyk-cyk-cyk!

– Świerszcz? – Roześmiała się.

– Moja matka mówi, że te pierwsze, które pojawiają się na wiosnę, to nie świerszcze, lecz wróżki w przebraniu. Wysłuchują twoich życzeń, a potem je spełniają.

Najwidoczniej każdy ma swój sposób na wypowiedanie życzeń, które potem powinny się spełnić. Maryla wątpiła, żeby któryś z nich był skuteczny, i równocześnie wierzyła, że każdy przynajmniej odrobinę działa.

Mały owad znów radośnie zaćwierkał, a Maryla się uśmiechnęła. Brakowało jej tego przez długie zimowe dni.

– Więc jak powinnam to zrobić?

Janek przysunął się jeszcze bliżej. Prawie się stykali ramionami.

– Zamknij oczy i wypowiedz szeptem życzenie.

Zamknęła więc oczy i poczuła się tak, jakby zaczęła spadać prosto w rozbłyśki purpurowych wybuchów. Rytm szalonego tańca wciąż pulsował w jej skroniach.

– Chciałabym...

Na swoich ustach czuła ciepło oddechu Janka.

– Chciałabym...

Żebyś mnie pocałował – pomyślała.

– Ma-ry-la!

To był głos Mateusza.

– Maryla!

Otworzyła oczy i napotkała speszone spojrzenie Janka. Coś było nie tak. To brat ją wołał. Nie! On rozpaczliwie krzyczał!

Zerwała się na równe nogi i pobiegła w jego stronę.

– Mateuszu! Tu jestem!

Kiedy do niego dobiegła, jego zroszone potem czoło i pełne napięcia spojrzenie powiedziały jej wszystko.

– Matka?

Skinął tylko głową.

– Dziecko?

– Musimy jechać!

Mateusz szukał jej, prowadząc za uzdę konia ciągnącego bryczkę.

– Czy doktor Spencer jest już u was? – wysapał Janek, ledwo łapiąc oddech po gonitwie za Marylą.

– Ojciec po niego przybiegł. Już pojechali z powrotem. Nie mogliśmy nigdzie znaleźć Maryli.

Dziewczynie zaschło w ustach. Imbirowy napój zabułgotał w żołądku. Szybko wskoczyła do bryczki.

– W czym mogę wam pomóc? – spytał Janek.

– Nie wiem... – Mateusz kręcił głową w rozpaczy. – Ja... sam nie wiem. – Cmoknął na konia i ruszyli w stronę domu.

Janek i majowy piknik zostali z tyłu. Muzyka cichła powoli, aż zastąpiła ją cisza, gdy wyjechali na pusty trakt łączący Avonlea z gospodarstwem na wzgórzu.

– Gdzie byłaś? – spytał Mateusz. – Szukałem cię chyba z godzinę.

Naprawdę aż tak długo to trwało?

– Dalej, Eryk! – krzyknęła, zamiast odpowiedzieć.

Ciemne nocne niebo zbyt wcześnie zaczęło jaśnieć czerwienią nad horyzontem. Zbliżała się burza.

---

13 Cytat z wiersza *Feniks i Turkawka* Williama Sheakespeare'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego z tomu *Wiersze i poematy*, William Sheakespeare, PIW, 1964.

## XIII

### Tragedia na wzgórzu

Zanim zdążyli dojechać do domu, zerwał się tak wściekły wicher, że Maryla musiała związać swój szal podwójnym węzłem, aby go nie stracić. Włosy wysunęły się spod spinek i dwa warkocze rozwiały się za nią, podobne do giętkich łodyg trzciny. Wiatr wył, ciągnąc pasma włosów w górę, wprost do nieba.

– Biegnij do domu! – krzyknął Mateusz. – Ja odprowadzę Eryka do stajni!

Maryla zeskoczyła z bryczki, wbiegła na ganek i wpadła do domu. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, otoczyła ją pełna grozy cisza. Aż dzwoniła w uszach.

– Ojczy? – zawołała dziewczyna.

Bawialnia była pusta. Drewno w kominku wypaliło się na popiół.

– Ciociu?

Pod kuchnią płonął ogień, ale garnek z rosółem stał obok. Zsunęty z płyty, całkiem już ostygł. Kromki chleba leżały na stole, do czysta wylizane z masła. Szelma zaczął kręcić się pod jej nogami, rozdzierająco miauczając z głodu. Rzuciła mu kawałek chleba.

– Cicho bądź! – skarciła go i szybko poszła dalej.

Kiedy podeszła do schodów, zawahała się. Wstrzymała oddech. W głowie poczuła pustkę. Przecież codziennie wchodziła na górę po kilka razy, a teraz schody wydały się jej nie do pokonania.

Było zbyt cicho. Maryla zmusiła się do postawienia stopy na pierwszym stopniu, potem na kolejnym i tak powoli znalazła się na poddaszu.

– Mamo? – szepnęła.

Ojciec, ciotka Izzy i doktor Spencer stali wokół łóżka matki.

Izzy, z podpuchniętymi oczami i twarzą zalaną łzami, odwróciła się do niej pierwsza.

– Och, dziecko...

Ojciec i doktor również na nią spojrzeli, lecz Maryla nie dostrzegła wyrazu ich twarzy. Nie była w stanie oderwać oczu od plam czerwieni.

Krew.

Podłoga uciekła jej spod stóp. Uderzenie o deski przypominało wywrotkę na lodzie: ból był tak przenikliwy, że Maryla zerwała się na równe nogi, zanim ojciec zdążył się schylić, żeby jej pomóc.

– Mamo!

Izzy okryła Klarę cienkim prześcieradłem. Jego biel uwydatniała czerwień krwi w dole. Biała sukienka z karminowym brzegiem.

– Marylko... – szepnęła Klara.

Oczy miała zapadnięte, podsinione, usta w niepokojącym odcieniu fioleto.

– Wiesz... – Jej oddech był bardzo płytki. – Dzieciątko odeszło.

Maryla przeniosła wzrok na ciotkę, która nie próbowała nawet ukrywać łez i w milczeniu pokręciła głową.

– Dziecko urodziło się martwe – powiedział doktor Spencer. – Nic bym nie poradził, nawet gdybym był na miejscu. W niczym nie mógłbym pomóc.

Klara popatrzyła spod przymkniętych powiek na córkę.

– Moja dzielna dziewczynka... – Poszukała wzrokiem siostry. – Zaopiekuj się nią.

– Niech pan ją ratuje, doktorze! – Hugon padł na kolana w nogach łóżka i objął dłońmi stopy żony. – Błagam!

– Gdybym tylko mógł... – Głos doktora się załamał. – Straciła zbyt dużo krwi.

– Kochany mój! – Klara uśmiechnęła się blado do męża. – Nie smuć się. Warto było...

Hugon ukrył twarz w dłoniach i jęknął boleśnie. W tym momencie do pokoju wszedł Mateusz i w milczeniu spoglądał na wszystkich po kolei. Jego wzrok zatrzymał się na ojcu. Zachwiał się i zrobił krok w tył.

– Oni cię potrzebują – powiedziała Klara do córki. – Obiecujesz mi?

– Obiecuję! Obiecuję! Kocham cię, mamó! Obiecuję... – powtarzała wciąż Maryla.

Nie mogła przestać, nawet gdy w oczach matki zgasło ostatnie światełko życia, a ręce stały się zimne jak lód.

Czas mijał niepostrzeżenie. W pewnej chwili Hugon wyszedł, a Mateusz podążył za nim. Doktor Spencer po raz ostatni sprawdził, czy u Klary występują jeszcze jakieś oznaki życia, zapisał czas zgonu w swoim kajecie i opuścił sypialnię, zabierając ciało noworodka. Maryla nie mogła oderwać wzroku od pustego miejsca, w którym jeszcze przed chwilą leżało. Noworodki często umierają – wiedziała o tym aż za dobrze. Ludzie odbywali żałobę, stawiali krzyże, a potem musieli zebrać się w sobie i zaczynać wszystko od nowa. Nikt jej jednak nigdy nie powiedział, że matki też umierają. Nikt jej nie uprzedził, że życie i śmierć może dzielić jeden oddech.

W pokoju została z nią tylko ciotka Izzy. Siedziała po drugiej stronie łóżka – lustrzane odbicie swojej nieżyjącej siostry bliźniaczki. Śmierć, zwodnicza w swym pięknie, oszczędziła delikatne rysy twarzy Klary. Jedwabiste rzęsy jej zamkniętych powiek ocieniały alabastrowo blade policzki, złocistobrazowe włosy leżały rozsypane na poduszce.

– Nie możesz mnie tak zostawić! – Izzy poprawiała włosy siostry, cicho łkając. – Potrzebuję cię...

Nad domem rozszalała się burza. Ulewa bębniła głucho w dach. Przetoczył się grzmot.

„Powinnam była zostać!” – ta jedna myśl drażyła bez przerwy umysł Maryli.

Kiedy ubrana w głupie falbanki jadła ciasteczka i tańczyła, jej matka żegnała się z życiem po ciężkim porodzie. Kiedy ona spacerowała z chłopcem, dzieląc się z nim tajemnicami, jej matka umierała.

To najdrobniejsze szczegóły stają się powodem najpoważniejszych zmian. Sól w bochnie chleba. Woda w glebie. Światelko w ciemności. Gdyby została na miejscu, może mogłaby uratować matkę?

Burza srożyła się całymi godzinami, a potem przeszła raptownie, pozostawiając po sobie strużki wody ściekające po szybach okien.

Izzy przyciągnęła Marylę do siebie i przytuliła, budząc ją z niespokojnego snu, w który dziewczyna zapadła u boku matki.

– Minęła północ – szepnęła ciotka.

Twarz Izzy bez makijażu była tak podobna do twarzy matki! Jej rozpuszczone włosy łaskotały policzek Maryli, pachnąc słodko domem. Dopiero wtedy z oczu dziewczyny popłynęły łzy. Pozwoliła się kołysać ciotce w taki sam sposób, jak robiła to matka, kiedy Maryla miewała złe sny. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że tak właśnie jest... że za chwilę obudzi się w kojących objęciach matki zapewniającej ją, że jutro znów wszystko będzie dobrze.

\*

Jednakże następny dzień przyniósł jedynie grobową ciszę. Podobnie jak ten, który nastąpił po nim, i kolejny. Przemieszczali się po domu jak duchy. Izzy umyła zmarłych i przygotowała ich

do pogrzebu. Mateusz z ojcem zeszli ze wzgórza, na którym stał dom, do zagłębienia terenu nieopodal strumienia, ścięli tam starą brzozę i pocięli ją na deski, z których zbili trumnę. Matka i syn zostaną złożeni w grobie razem, jak jedno ciało. Hugon nadał chłopczykowi imię Nataniel, co oznacza „darowany od Boga”... i zaraz przez niego zabrany. Zorganizowaniem pogrzebu zajęła się pani White wraz z żoną wielebnego Pattersona.

A Maryla? Robiła wszystko, żeby przez cały czas być czymś zaabsorbowana: zamiatała, ubijała, gotowała, zmywała, szorowała... zamiatała, ubijała, gotowała, zmywała, szorowała – i tak bez przerwy. Nigdy nie było dość. Wszędzie wokół widziała brud i z determinacją rzucała się w wir pracy, byle odpokutować... Kiedy wpadła jej w ręce sukieneczka dla dziecka z żółtego materiału w zielone listki bluszczu, przeszło ją dojmujące poczucie winy. Wepchnęła ją na sam spód kufra matki z pamiętkami, razem ze wszystkimi jej ubraniami. Nie mogła znieść ich widoku, tak bezużytecznych na wieszakach.

Zanim złożyli Klarę i Nataniela do wybitej aksamitem trumny, Maryla splotła jedwabiste włosy matki w warkocz, ścięła go i schowała do kufra, spiąwszy owalną ametystową broszą. To były najcenniejsze z posiadanych przez nią rzeczy – miały jej zawsze przypominać o obietnicy złożonej matce na łożu śmierci, o zobowiązaniu do opieki nad bratem i ojcem. Potrzebowali jej, mimo że słowem o tym nie wspomnieli. Mimo że nie odzywali się w ogóle.

Ojciec tyle już czasu trwał w milczeniu, że Maryla zaczęła zapominać brzmienie jego głosu. Swojego zresztą też. Na pogrzebie Hugon nie powiedział ani słowa.

Całe Avonlea zgromadziło się na ocienionym topolami cmentarzu. Keithowie, kuzynostwo w trzeciej linii od strony ojca, przyjechali z East Grafton ze swoimi synami. Przybyło też wiele nieznanym Maryli osób z Carmody oraz Białych Piasków.

Pani White wygłosiła wspaniałą mowę pogrzebową.

– Ogromnie szanowana kobieta z godnej szacunku rodziny. Służyła bliskim całym swoim życiem. Pozostawiła po sobie dowód swej prawości w dzieciach oraz w mężu.

Twarz Maryli wykrzywił lekki grymas. Gdyby oni wszyscy znali prawdę! Matka jej potrzebowała, tymczasem ona egoistycznie wybrała próżność, pragnienie nowych doznań. Nie powinna była iść na piknik, kiedy lada chwila mógł zacząć się poród!

Wielebny Patterson zmówił modlitwę:

– „Lecz roztropni jaśnieć będą jak jasność na sklepieniu niebieskim, a ci, którzy wielu wiodą do sprawiedliwości, jaśnieć będą jak gwiazdy na wieki wieczne”[14]. I niech tak się stanie z siostrą naszą Klarą Cuthbert. Amen.

– Amen! – To był jedyny moment, kiedy wszyscy Cuthbertowie przemówili jednym głosem.

„Jak jasność na sklepieniu niebieskim...”. Słowa te wywarły wielkie wrażenie na Maryli, podobnie jak „naznaczenie świętą raną” kiedyś na Małgorzacie. Zakręciło jej się w głowie, gdy spróbowała wyobrazić sobie coś tak niezmiernego, coś tak nieziemsko pięknego, i wywołało to odczucie, jakby matka znalazła się gdzieś jeszcze dalej. Pulsujący ból w skroniach narastał, więc Maryla wróciła do rozmyślań o sprawach ziemskich, do wykonania natychmiast: trzeba było wydoić krowę, naprawić urwaną klamkę w drzwiach do spiżarni, przyszyć mankiet koszuli ojca, bo szew prawie całkiem się rozszedł. Nad tym mogła mieć kontrolę i to ją nieco uspokajało.

Kiedy nadszedł stosowny czas, wszyscy podchodzili po kolei, żeby pożegnać się ze zmarłą po raz ostatni, kładąc kwiaty na trumnie. Pierwsi szli Maryla, ojciec i Mateusz. Każde z nich położyło po gałązce drobnych szkockich różyczek. Klara jeszcze jako dziewczynka przywiozła sadzonkę krzewu różanego ze Szkocji. W zeszłym tygodniu zakwitł pękami białych jak śnieg pomponików. Maryli nie mieściło się w głowie, jak cała natura

wokół może tak bujnie rozkwitać, kiedy matka odeszła... Jednak wbrew wszystkiemu tak właśnie się działo.

Potem przy grobie stawali po kolei mieszkańcy Avonlea.

– Prawdziwy anioł na ziemi! – westchnęła pani Blair, kładąc różowe orliki.

– Wspaniała matka! – szepnęła pani White.

– Szanowana przez wszystkich – dodał jej mąż.

– Och, Marylko! – załkała Małgorzata i położyła karmazynowe peonie.

– Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie! – wyszeptali pastorostwo i oboje wykonali znak małego krzyża na piersi. Przynieśli dziko rosnące fioletowe orchidee.

Przyszła nawet wdowa po panu Pye z całą rodziną. Uniosła czarną woalkę i po raz pierwszy w życiu Maryla z tak bliskiej odległości zobaczyła jej twarz, pulchną, o miękkich rysach. Pani Pye nie powiedziała nic, położyła tylko pęk laku o kwiatach przypominających krwawiące serduszka.

Żałobnicy poruszyli czułą strunę w sercu Maryli. Tacy wspaniali przyjaciele! Niektórych znała bardzo dobrze, innych nie znała wcale, lecz wszyscy należeli do jednej wspólnoty: do Avonlea. Bez nich – była tego pewna – rozsypałaby się na kawałki i znalazła w grobie razem z matką. Każdemu po kolei oddawała ukłon z szacunkiem i wdzięcznością tak wielką, że poruszającą nieomal do łez. Maryla cała się trzęsła.

Janek i jego rodzice podeszli ostatni.

– Panie Cuthbert... – Janek zdjął kapelusz. – Panno Johnson... Mateuszu... Marylo...

Dziewczyna robiła wszystko, żeby nie napotkać jego spojrzenia. Była pewna, że przeszyje ją na wskroś.

– Hugonie, gdybyś tylko czegoś potrzebował... – zaofiarował się pan Blythe.

– Czegokolwiek – dodała pani Blythe.

Janek miał w dłoni bukiet polnych kwiatów. W tej samej

dłoni, którą trzymała Maryla tamtego dnia, zamiast trzymać dłoń matki. Bukiet żółtych obuwików.

W końcu podniosła wzrok.

– To były jej ulubione. – Łza spłynęła po jej policzku. – Dziękuję!

– Panie Cuthbert, chciałbym zaoferować pomoc, jeśli tylko będę mógł. – Janek wpatrywał się wciąż w Marylę, nawet kiedy zwracał się do jej ojca.

– Nam na farmie pomaga francuski parobek. W ramach wymiany – wyjaśnił pan Blythe. – Daliśmy jedną z naszych krów za parę rąk do pomocy przez całe lato.

– Więc ja mogę czasem pomagać wam – podsumował Janek.

Hugon popatrzył na Mateusza, potem przeniósł wzrok na Marylę. Obawiał się, jak sobie poradzi sam z dwójką dzieci. Chcieli z żoną, żeby córka skończyła szkołę, lecz jak dać sobie radę jedynie we trójkę z prowadzeniem i domu, i farmy? Maryla domyślała się, o czym myśli ojciec. Pomoc Janka na pewno ulżyłaby im przy pracy w polu.

– Jestem wam ogromnie wdzięczny. Izzy niedługo wraca do St. Catharines, więc bylibyśmy bardzo zobowiązani za taką pomoc.

Ciotka Izzy wyjeżdża?! Maryla aż się zachwiała. Do tej pory ani razu nie pomyślała, co teraz poczną. To była kropla przepełniająca czarę.

\*

Okna domu na wzgórzu oraz wszystkie lustra zakryto kirem. Z daleka dom wyglądał jak nieboszczyk z czarnymi monetami w oczodołach. Mężczyźni wyszli na przechadzkę wypuścić smutki wraz z dymem fajek i zostawili Marylę samą z ciotką – po raz pierwszy od tamtej nocy, kiedy zmarła Klara.

Izzy pakowała kufer w swoim pokoju.

– Kiedy?

Było to bardziej żądanie odpowiedzi niż pytanie. Maryla nie chciała już więcej żadnych niespodzianek. Wolała prawdę, nawet najgorszą.

– Pod koniec tygodnia – odparła Izzy i odłożyła na bok materiał, który właśnie składała. Jej oczy wypełniły się łzami. – Nie mogę zostać w Avonlea. To miejsce należy do mojej siostry, nie do mnie. Mój dom to St. Catharines. Tam mam pracę. Tam jest moje życie.

Maryla pokręciła głową z niedowierzaniem. Przecież obie przyszły na świat z tego samego łona. Dzielły się wszystkim, od różu poczynając, przez sekrety, marzenia i życzenia. Dlaczego Izzy nie może zostać z nimi? Choćby dla Maryli, jeśli nie dla innych. Czy ciotka już zapomniała ostatnie słowa matki, jej prośbę, żeby się nią opiekowała?!

– Proszę!

Izzy podeszła do okna, które wychodziło na wschód, i uchyliła zasłaniającą je czarną draperię. Do środka wpadł lekki wietrzyk, niosąc słodki zapach kwiatów rosnącego tuż przy domu młodego drzewka wiśni. Odetchnęła najgłębiej, jak mogła. Dłuższą chwilę wyglądała na zewnątrz w milczeniu, stojąc plecami do Maryli.

– Jeśli zostanę, nikt z was nie da rady ruszyć dalej – szepnęła. – Wszyscy widzielibyście we mnie Klarę. Wszyscy, oprócz mnie.

Daleko za oknem widać było maleńkie jak mrówki postaci ojca i Mateusza, wspinających się powoli na szczyt wzgórza.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Izzy odwróciła się do siostrzenicy. Mocniejszy poryw wiatru szarpnął kirem.

– Jedź ze mną do St. Catharines! Znam dyrektorkę wspaniałej szkoły dla dziewcząt. Mieszkam sama nad moją pracownią sukien, a nade mną jest jeszcze całe puste poddasze z mansardowym oknem i skośnym sufitem. Można by tam urządzić doskonałą sypialnię. Ojciec i Mateusz mogliby wziąć

kogoś do pomocy. Nie opuściłabyś wyspy na zawsze, tylko do... tylko do... – Zamilkła.

Przyszłość była mglista i niewyraźna. Nikt nie znał odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie: do kiedy? Zadawanie go było całkowicie daremne. Maryla już odpowiedziała matce na jej pytanie. „Obiecuję!”. Za nic nie opuściłaby ojca, Mateusza ani domu na wzgórzu. Nigdy!

– Moje miejsce jest tutaj.

– Jestem tego pewna. – Izzy pokiwała głową ze zrozumieniem.  
– Tak jak i tego, że moje nie jest.

Choć raniła ją ta decyzja, Maryla ją uszanowała. Ciotka nie mogła zastąpić matki, a zresztą tego dziewczyna wcale by nie chciała. Gdyby Izzy została, wciąż przypominałaby im swoim widokiem o poniesionej stracie, wiecznie porównywaliby wszystko z tym, jak to było kiedyś. Jedynym sposobem, żeby Maryla mogła ruszyć naprzód, było wyraźne i bezpowrotne rozdzielenie jej życia na dwie części: z matką i bez matki. Pogodzenie się z tym niezwykle ją pokrzepiło.

Pod koniec tygodnia Mateusz załadował bagaże ciotki do bryczki, zaprzężonej w Eryka.

– Pisz koniecznie, co u was, bo będę się martwić – poprosiła Izzy Hugona.

Jego milczenie wzięła za zgodę.

Maryla ścisnęła dłonie pod fartuchem w pięści i postanowiła za nic się nie rozkleić.

– Ciebie będzie mi brakowało najbardziej, mój śliczny kwiatuszku. – Ciotka wzięła ją w objęcia. – Obiecuj, że też będziesz do mnie pisać.

Maryla przełknęła łzy.

– No, już dobrze. – Izzy ucałowała policzek siostrzenicy. – W takim razie ja będę pisać do ciebie i czy mi odpiszesz, czy nie, ja i tak nie przestanę.

Ciotka odwróciła się, żeby wsiąść do bryczki, i postanowienie

Maryli spełzło na niczym.

– Och, ciociu! – Rzuciła się w ramiona Izzy i wtuliła twarz w zagłębienie jej szyi pachnące bzem.

– Kocham cię, moja dziewczynko! Tak bardzo cię kocham!

Izzy wypuściła Marylę z objęć, a Mateusz pomógł jej się wspiąć na przednią ławkę wozu. Cmoknął na konia i Eryk ruszył równym kłusem. Izzy nie odwróciła się ani razu, żeby pomachać im na pożegnanie, lecz widzieli z daleka jej ramiona, wstrząsane łkaniem. Maryla stała z ojcem w milczeniu, dopóki powóz nie zniknął za horyzontem czerwcowych zielonych pól. Potem Hugon wsunął czapkę na głowę i ruszył do stodoły, a Maryla poszła z wiadrem do ogródka. Szczaw całkiem zarósł grządki zielonego groszku i właśnie przyszedł czas, żeby się z nim rozprawić.

---

14 Cytat wg *Biblii Warszawskiej, Księga Daniela (12,3)*.

## XIV

### Nazwali je Zielonym Wzgórzem

Dwa tygodnie później Maryla wracała ocienioną klonami aleją z naręczem ziół, które zebrała w lesie, gdy na drodze spotkała Janka pędzącego ich krowy na pobliskie pastwisko.

– Och! – Aż podskoczyła, kiedy pojawił się znienacka, i wypuściła z rąk swój zbiór.

Janek podniósł bukiet i podał go dziewczynie.

– Dzień dobry, Marylo.

– Dzień dobry, Janku. – Pomachała zielonym bukietem. – Dzisiaj będę piekła placek z mąki kukurydzianej z ziołami. Zostaniesz na kolacji?

Poprawił nakrycie głowy. Słońce grzało mocno nawet w półcieniu, rzucanym przez palczaste liście klonów. Na twarze obojga wystąpiły krople potu.

– Dziękuję ci bardzo za zaproszenie, ale obiecałem rodzicom, że wrócę do domu.

– Mhm. Może w takim razie dam ci kawałek placka, żebyś zabrał ze sobą.

Nazbierała akurat tyle ziół, ile potrzeba było na cztery porcje. Zresztą nie umiałaby przyrządzić niczego dla mniejszej liczby osób.

– Macie teraz tego francuskiego parobka do wykarmienia, a my mamy o jedną osobę mniej... – Oczy się jej zaszklify. Przygryzła dolną wargę.

Janek wyciągnął rękę, żeby ująć jej dłoń.

– Nie! – Szarpnęła się do tyłu. – Dziękuję ci, ale...

– Chciałem tylko... – Westchnął. – Nie mieliśmy szansy, żeby pobyć chwilę sami, od dnia... no wiesz.

– Od dnia, w którym umarła moja matka? Tak, wiem. – Uniosła dumnie głowę. – Muszę wracać. Obowiązki czekają.

Ruszyła w stronę domu.

Janek złapał ją za łokieć, a jego dłoń objęła delikatnie jej sekretną bliznę. Maryla się zatrzymała.

– Mój ojciec mówi, że żałoba może uczynić serce twardym na pewien czas. Rozumiem to, Marylko. Nigdzie się nie wybieram.

Podmuch wiatru wpadł między klony i zaszeleścił liśćmi. Maryla pochyliła się ku chłopcu, wspierając lekko głowę na jego ramieniu, lecz szybko się wyprostowała.

– Zostawię placek dla ciebie w kuchni.

Nie obejrzała się za siebie, kiedy ruszyła w stronę domu na wzgórzu. Dopiero gdy stanęła w drzwiach kuchni, usłyszała, że znów zadźwięczały dzwonki przy szyjach krów.

\*

Maryla zawinęła ćwiartkę placka w woskowany papier i zostawiła ją na kuchennym stole. Leżała tam tylko chwilę i zaraz zniknęła. Pewnie Janek wstąpił do domu, kiedy zamiatała podwórko, a Mateusz i ojciec myli się przed kolacją. Nawet się ucieszyła, że się z nim minęła, ale poczuła też lekkie ukłucie żalu.

Podążyła kolację dwóm milczącym mężczyznom. Sama podjadała po kawałku placka pomiędzy zmywaniem naczyń a zamiataniem. Upał w ciągu dnia tak rozgrzał wnętrze domu, że nie dało się wysiedzieć w środku. Po kolacji wyszli na taras za domem. Hugon i Mateusz zapalili fajki. Maryla usiadła w swoim ulubionym wiklinowym fotelu. Stado wróbli opadło na

żwirowaną alejkę. Małe ptaszki podskakiwały, wyćwierkując melodyjki zrozumiałe tylko dla nich.

Hugon odkasznął i rzekł:

– To miejsce musi mieć nazwę!

– Jak to? – zdziwiła się Maryla. – Przecież wszyscy mówią o naszej farmie dom na wzgórzu.

– Nie w tym rzecz. Wasza matka chciała, żeby to miejsce nosiło jakąś szczególną nazwę. Myślę o tym cały czas, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Znów zamilkli, zamyśleni. Słońce powoli zapadało za horyzont, rozsiewając złociste błyski na pastwiskach Cuthbertów. Ostatnie tchnienie dnia. Świetliki zaczęły migotać wśród traw. Pojawiały się i znikwały, pojawiały się i znikwały. Tu błysnęło światełko i zgasło, tam błysnęło światełko i zgasło. Pola roztaczały się przed nimi szerokim pasem zieleni przechodzącym w ciemniejszą zieleń lasu i jeszcze ciemniejszą zieleń wód zatoki w oddali na dole...

– Zielone Wzgórze – powiedziała Maryla.

Mężczyźni rozważali tę propozycję w milczeniu.

– Podoba mi się – stwierdził w końcu Mateusz.

– Prosta i ładna – zgodził się ojciec. – Wasza matka na pewno by na nią przystała.

Wszyscy troje wciąż pozostawali na swoich miejscach, gdy purpurowy welon nocy powoli opadał na świat, a świerszcze rozpoczęły swoją słodko-gorzka pieśń. Maryla czuła, że znajduje się dokładnie w tym miejscu, gdzie zawsze pragnęła być, tam gdzie było jej przeznaczone. W domu nazwanym Zielonym Wzgórzem.

Część druga

# **Maryla z Avonlea**

## XV

# Rebelia

*Luty 1838*

– Mateusz znów nie je kolacji? – spytała Maryla ojca, kiedy Hugon usiadł sam do stołu. – To już trzeci raz w tym tygodniu. – Wyjęła porcję zapiekanki z wołowiną z żeliwnej formy. – Ciekawa jestem, czy będzie miał siłę do pracy na farmie, skoro nieomal co noc włóczy się nie wiadomo gdzie i po co.

– Chłopcy znów są na wiecu. Młodych w jego wieku ciągnie do politykowania.

Maryla położyła widelec przy talerzu ojca. Metalowy przedmiot zaśnił w świetle lampy. Ostatnio zaczęła czyścić sztućce octem, a potem polerować.

Kolejna praca do wykonania w domu w ciągu dnia, byleby tylko nieustannie mieć jakieś zajęcie.

Hugon rozkruszył zapiekanke na małe kawałki i namoczył je w sosie.

– Młodych mężczyzn ciągnie do wielkich czynów, chcą zostawić po sobie ślad w historii. Kobiety nie są w stanie tego zrozumieć.

– A niby dlaczego? – Maryla się najeżyła. – Czyżby kobiet nie ciągnęło do wielkich czynów?

Jednak, prawdę mówiąc, nie rozumiała, co w tym

pociągającego. Odkąd matka odeszła, mogła się skupić jedynie na bieżących sprawach. Rano wstawała z łóżka, przemywała twarz, splatała włosy w warkocz, ubierała się, nakładała fartuch, kroїła, siekała, smarowała, rozbijała jajka, smażyła, dusiła, gotowała, podawała, zmywała, a potem znowu wszystko od początku. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Czynności te pozwalały jej trwać na krawędzi otchłani rozpaczy. Wiedziała, że jeśli się zatrzyma, wpadnie w nią bezpowrotnie. Czasem zamykała oczy i zmuszała się do wyrównania oddechu: wdech i wydech. I jeszcze raz: wdech i wydech. Gdyby tego nie robiła, ciężar w piersi pociągąłby ją w dół, pulsujący ból zacząłby rozrywać najpierw głowę, a potem całe ciało. Czasem musiała użyć całej siły woli, żeby w ogóle wstać z łóżka. Wtedy jedyną pociechą był dla niej dom na Zielonym Wzgórzu. Wszędzie w nim została część matki: w deskach podłogi, po których stąpała, w palenisku pod kuchnią, w którym codziennie rozniecała ogień, w odmawianych modlitwach i w wierszach, które czytały razem na głos, gdy zamieniały wodę w wino z czerwonych porzeczek. Maryla zastanawiała się często, czy świat tam, na zewnątrz, zawsze był tak trudny do zrozumienia, lecz nie знаła odpowiedzi – matka chroniła ją przed światem i Maryla nigdy nie musiała zadawać żadnych pytań. Wraz z jej odejściem wszystko wokół poszarzało i zmatowiało. W idealnym obrazie świata powstało nieodwracalne pęknięcie.

Podczas gdy ojciec jadł, Maryla zajęła się czyszczeniem srebrnych lichtarzy: zeskrobywała stopiony воск i polerowała czarne smugi sadzy.

– Bardzo dobre! – Hugon skończył kolację i wstał od stołu.

– To ostatnia tegoroczna wołowina. Rzeźnik powiedział, że na następną musimy czekać do wiosny.

Maryla zanurzała gałganek w wodzie z octem i pocierała świecznik, aż znów zaczął lśnić.

– Chyba z byka od Blythe'ów. Smakuje trochę ich jesiennymi

truskawkowymi jabłkami. Taka odmiana rośnie tylko u nas, w Avonlea.

– Mhm! – Maryla pokiwała głową. – Janek powiedział mi, że karmią nimi inwentarz. Dodają słodczy mleku ich krów.

Janek pracował razem z nimi przez całą jesień, o wiele dłużej, niż pierwotnie proponował. Przychodził prosto ze szkoły i przyprowadzał krowy z pastwiska, gdy Mateusz z Hugonem zajęci byli w polu. Zadomowił się na Zielonym Wzgórzu i czuł się jego częścią, tak jak każdy z Cuthbertów. Kiedy prace w polu się skończyły i spadły pierwsze śniegi, znów po szkole zaczął się zajmować nauką.

W listopadzie wybuchła rebelia. Reformatorzy nazwali ją ruchem patriotycznym. W potyczce pod Saint-Denis kanadyjscy reformatorzy zaskoczyli wszystkich, pokonując wojska brytyjskie. Powstanie szybko rozprzestrzeniło się na inne prowincje. W Montrealu ogłoszono stan wojenny. Wszędzie krążyły ulotki informacyjne. Połowa z nich głosiła hasła wolnościowe: „Niezależność dla Kanady!”, „Precz z monarchią!”, druga połowa nakłaniała do zaniechania buntu: „Zgoda buduje!”, „Niech żyje Królowa!”.

Każdego tygodnia można było przeczytać w gazetach o coraz liczniejszych aktach przemocy w walkach zwolenników dwóch partii: reformatorów i torysów. Wkrótce właśnie dotarły i do prowincji nadmorskich wschodniej Kanady, do Maritimes. Tak jak przewidywał pan Murdock, w ich miasteczku również pojawiły się patrole żołnierzy brytyjskich. Mieszkańcy Avonlea spodziewali się, że podąży za nimi anarchia, więc zaryglowali drzwi domostw i trzymali broń na podorędziu. Janek wrócił do domu akurat przed tymi wydarzeniami. Małgorzata wygadała się, że jej ojciec ma dwa nowe muszkiety: jeden przy drzwiach wejściowych, a drugi przy tylnych. Okazało się, że Hugon również posiada strzelbę. Przyniósł ją któregoś dnia ze stodoły i postawił za krzesłem w bawialni. Maryla myślała, że przez

obecność broni będzie się jeszcze bardziej denerwować, lecz ku własnemu zaskoczeniu poczuła się o wiele bezpieczniej. Gdyby zaszła potrzeba, byli gotowi bronić Zielonego Wzgórza.

Zanim nadszedł Nowy Rok, większość przywódców rebelii została zastrzelona, powieszona lub aresztowana, lecz nie uśmierciło to ruchu patriotycznego. Szerzył się jak zaraza. Nawet w Avonlea każdy bez wyjątku rozprawiał o ugrupowaniach politycznych. Wszyscy, od listonoszy po pasterzy owiec, prowadzili wojnę na słowa. Konserwatywni torysi przeciw liberalnym reformatorom. Młodzi mężczyźni z Avonlea gromadzili się, by debatować, w starej stodole, w której zapadło się pół dachu. Budynek stał tuż przy drodze, pomiędzy lasem a szkołą. Nadali mu szumną nazwę Agora.

– Noc jest zimna. Założę się, że twój brat byłby bardzo wdzięczny, gdybyś zniosła mu ciepłą zapiekankę. – Hugon popatrzył na okrągłą żeliwną formę. – Spodziewam się, że wystarczy jej, by nakarmić dwóch mężczyzn.

Maryla odłożyła gałganek, którym czyściła lichtarz. Pasma włosów wysunęło się jej z warkocza i opadło na twarz, łaskocząc w nos. Odgarnęła je do tyłu i poczuła woń octu, którą przesiąkła skóra dłoni.

– Kobiety nie są mile widziane w Agorze.

– Ty nie jesteś pierwszą lepszą kobietą – mruknął Hugon. – Jesteś Marylą Cuthbert, kobietą tej samej krwi co Mateusz. – Skończył wywód, wyciągnął fajkę i poszedł do bawialni, zostawiając córkę samą nad nietkniętym kawałkiem zapiekanki.

– Powinnam zjeść to sama, a nie biegać nie wiadomo gdzie – mruknęła Maryla do Szelmy.

Kot siedział u jej stóp i wpatrywał się w nią maślanym spojrzeniem.

– Gdyby to była zapiekanka z makrelą, dałabym ci całą bez zastanowienia, lecz to niestety resztką tegorocznej wołowiny.

Zawinęła pozostałą część w papier, umyła ręce szarym

mydłem i potarła nadgarstki laską wanilii, żeby zabić nieprzyjemny zapach octu. Potem ubrała się w grube zimowe palto, rękawice i watowany ciepły czepek.

– Jeśli nie wrócę za godzinę, będzie to oznaczać, że zjadły mnie wilki.

– Nie ma wilków na wyspie – odparł ojciec, ziewając.

– Poczucie winy może mocno doskwierać, jak sądzę.

– Mieszkasz w Avonlea niemal piętnaście lat! Wierzę, że nie wpadniesz do morza ani nie dasz się pożreć dzikim bestiom – powiedział ojciec i cmoknął Marylę w policzek.

Dziewczyna wyszła z domu.

Noc była zimna, ale przynajmniej bezwietrzna. Na niebie świeciła jasno połówka księżycy, dokładnie taka sama jak placek, który niosła Maryla. Drzewa przy drodze stały огоłoczone z liści, pokryte srebrzystą szadzią. Dziewczyna popatrzyła w górę na ogromną kopułę nieba migoczącą gwiazdami. Śnieg przyjemnie skrzypiał pod podeszwami butów, a zapach dymu z płonących sosnowych szczap stawał się mocniejszy w miarę zbliżania się do Agory. Wiosną łąka, którą teraz przecinała Maryla, była morzem kwitnących fiołków. Obecnie plamiły ją tylko gdzieś tam fioletowosine cienie w zagłębieniach terenu. Po przeciwnej stronie widać już było dym ogniska wydobywający się przez dziurę w zniszczonym dachu stodoły. Gorący wznosił się ku niebu, lecz ochłodzony szybko opadał i snuł się dalej tuż przy ziemi. Marylę zaczęły piec oczy, kiedy weszła w tę dymną zasłonę. Ucieszyła się, kiedy wreszcie dobrnęła do drzwi o szparach podświetlonych blaskiem ognia.

Kiedy je otworzyła, stanęła oko w oko z tuzinem zjaw. Światło rzucane przez ognisko tworzyło dziwne cienie na twarzach zebranych. Maryla знаła ich i wiedziała, że to synowie farmerów, sąsiedzi, chłopcy, którzy siedzieli w ławkach za jej plecami w szkole w Avonlea, teraz wyglądali jednak jak w maskach, gotowi do walki. Mateusz podniósł się z ławki

w najdalszym kącie stodoły. W samym środku, plecami do niej, stał Janek i właśnie coś wszystkim tłumaczył.

– ...i ten stan nie może za nic trwać dalej! To, że ktoś jest arystokratą z dziada pradziada, nie może predestynować go do sprawowania władzy i rządzenia nowoczesnym społeczeństwem!

Skończył zdanie i odwrócił się w stronę, w którą skierowane były spojrzenia wszystkich. Uśmiechnął się, kiedy dostrzegł Marylę.

– Przyniosłam zapiekankę z wołowiną – powiedziała. – Dla mojego brata i któregokolwiek z was, kto nie zdążył zjeść kolacji.

Mateusz, przyjacielski i naturalny jak zawsze, szybko znalazł się u jej boku. Wziął od niej zawiniątko i zaraz odprowadził ją z powrotem do wyjścia.

– Dziękuję ci! – szepnął. – Niedługo wrócę do domu.

– A może powinniśmy posłuchać, co o tym sądzi kobiecy umysł? – zawołał Janek do zgromadzonych w kręgu.

Rozległ się niski pomruk.

– Żadnych kobiet w Agorze! – krzyknął ktoś tonem przypominającym głos Clifforda Sloane'a.

– Łamiesz zasady! – zaprotestował Sam Coates stojący obok Janka.

– Zebraliśmy się tutaj dzięki odważnym ludziom, którzy rzucili wyzwanie obowiązującym prawom! – Janek uniósł dłoń zaciśniętą w pięść. – A zatem poddajmy to pod głosowanie! Kto jest przeciw?

Wszyscy ucichli. Bierwiono w ognisku pękło i sypnęło kaskadą iskier.

– Kto jest za? – spytał Janek.

Spojrzeli na siebie z Mateuszem.

– Ja jestem za – odparł brat Maryli.

– To jest nas dwóch za przeciw reszcie wstrzymującej się od głosu, więc pytanie może zostać zadane.

Mateusz podprowadził Marylę do przodu, choć nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nikt się nie zapytał, czy ona chce odpowiadać na jakiegokolwiek pytania, czy nie. Kiedy zatrzymała się obok Janka, w duchu aż kipiała z wściekłości, że dała się tak podejść. Żar bijący od ogniska nagle stał się nie do zniesienia. Zdjęła rękawice i czepek, skrzyżowała ramiona na piersi, żeby opanować zdenerwowanie.

– Chcę cię zapytać jako młodą kobietę z naszej społeczności: którą z walczących stron popierasz: torysów czy reformatorów?

Po śmierci Klary bardzo częstym gościem w ich domu bywała Małgorzata, czując się w obowiązku wypełnić pustkę w życiu Maryli wszystkimi plotkami świata. Opowiedziała ze szczegółami, jak to się stało, że cała rodzina White'ów przeszła na stronę liberalnych reformatorów, zwolenników postępowych zmian w egalitarnym społeczeństwie oraz bardziej odpowiedzialnego rządu reprezentującego swoich obywateli. Posunęła się nawet do daleko idącego wyznania, że wszyscy White'owie woleliby w ogóle nie mieć nad sobą żadnej rodziny królewskiej, że chcieliby mieszkać w autonomicznej republice jak Stany Zjednoczone. Co za obrazoburcze słowa! Maryla czuła się zdezorientowana, lecz Małgorzata twierdziła z uporem, że wszyscy otwarcie dyskutują o swoich poglądach, z rodziną Blythe'ów włącznie. White'owie i Blythe'owie, zaprzyjaźnieni i prowadzący ze sobą interesy, byli zgodni, że stare podziały na klasy społeczne, na bogatych i biednych, nigdy nie pozwolą na zjednoczenie całego narodu.

Maryla nie przerywała Małgorzacie niekończących się wywodów. Polityka wydawała się jej czymś zupełnie nieistotnym wobec straty, którą wciąż odczuwała, i wobec dręczącego poczucia winy.

A jednak któregoś wieczoru poruszyła tę kwestię w rozmowie z ojcem.

– Ojcze, po czyjej stronie stoisz? – spytała.

– Jesteśmy konserwatywnymi presbiterianami, torysami, lojalnymi Koronie Brytyjskiej. To uświęcona kolej rzeczy. Wierzymy w zwierzchnictwo boże i władców na ziemi, którzy z namaszczenia Boga panują. Inaczej co powstrzymywałyoby kogokolwiek przed koronowaniem się na króla?

A potem przeczytał jej ku przestrodze długi rozdział z Księgi Powtórzonego Prawa.

Najważniejsza dla Maryli była przynależność do rodziny Cuthbertów oraz lojalność wobec tych, z którymi łączyły ją więzy krwi. Uważała, że powinna popierać ich poglądy. Teraz więc, stojąc przed zebranymi w Agorze, zwróciła się ku bratu.

– To Mateusz wypowiada się w imieniu całej rodziny Cuthbertów. Cokolwiek powie, ja się z tym zgodzę.

– Torysi! – krzyknął ktoś z nieukrywaną dumą.

Janek gestem uciszył zebranych.

– My doskonale wiemy, co mówi Mateusz, ale co ty o tym sądzisz, Marylo?

Zirytowana jego natarczywością, spojrzała mu prosto w oczy i ściągnęła brwi. Przez dłuższą chwilę nawet nie mrugnęła.

– Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie, Janie Blythe.

– Nie wierzę. Jesteś na to zbyt mądra.

Zgromadzeni znów zaczęli się przekrzykiwać. „Torysi!”, „Reformatorzy!” – dochodziło ze wszystkich stron.

Mateusz wyciągnął Marylę z kręgu rozgorączkowanych mężczyzn, wyprowadził z Agory i w końcu znaleźli się na oświetlonym światłem księżycy placu przed stodołą. Tu, wreszcie sami, mogli spokojnie odetchnąć. Od głębokich wydechów Mateusza przestrzeń między nimi wypełnił kłęb pary.

– Chodź! – ponaglił siostrę. – Idziemy do domu.

Ruszyli w milczeniu po śladach pozostawionych przez Marylę w drodze do Agory. Myślami dziewczyna została przy ognisku i rozpamiętywała wciąż od nowa tamtą scenkę, wyobrażając sobie, co mogła im odpowiedzieć: że postęp nie musi się wiązać

z rozlewem krwi, że ona ufa swojej rodzinie i mieszkańcom swojego kraju, że są farmerami – powinni znać prawa natury i wiedzieć, że trzeba żyć zgodnie z nimi. Nie trzeba zarzynać krowy, żeby zrobić miejsce do życia nowemu cielakowi, ani niszczyć monarchii, żeby miało gdzie żyć nowe pokolenie. W tej samej chwili przypomniała sobie o matce i Natanielu, leżących razem na parafialnym cmentarzu. Do jej oczu napłynęły łzy. Przymknęła powieki przed mroźnym powiewem i brnęła dalej przez kopny śnieg.

Zanim dotarli do domu, Hugon położył się spać. Zapiékanka całkiem ostygła i zamieniła się w niezbyt apetyczną papkę, więc Mateusz wydłubał z niej tylko kawałki wołowiny. Resztę Maryła dała Szelmie, który przybiegł, kiedy tylko pojawili się w kuchni, jakby wiedział, że jemu też w końcu coś skapnie.

## XVI

# Dwoje do nauki

### *Marzec*

Ostatni drobny śnieżek oprószył wyspę, ubierając pąki drzew w srebrzyste lodowe koronki, skrzące się pod błękitną kopułą nieba bez jednej chmurki. Po pamiętnym wieczorze w stodole Maryla rzuciła się do czytania wszystkich wiadomości w gazetach, które Mateusz przynosił do domu, wszystkich ulotek, które wieszano na tablicy informacyjnej przed pocztą, wszystkich książek, które znajdowały się w domu. Jej umysł był wciąż głodny wiedzy. Dzięki nieustannej lekturze jej myśli nie błądziły po bezdrożach, a serce nie pogrążało się w otchłani rozpacz.

– Tak sobie myślę, że chyba pójdę się zgłosić do szkoły na egzamin końcowy – oznajmiła któregoś dnia przy śniadaniu. – Będę musiała się teraz dużo uczyć – wyjaśniła. – A to może mnie nieco oderwać od codziennych obowiązków.

Hugon uniósł błyszczący cynowy kubek, który Maryla moczyła w wodzie z octem tak długo, aż kwas wytrawił wszelkie zanieczyszczenia, a potem polerowała, dopóki nie zaczął wyglądać lepiej niż nowy.

– Jakoś damy radę. Powinnaś poprosić pana Murdocka o pozwolenie.

– Pan Blythe chciałby pożyczyć nasze cęgi do kopyt. Będę do niego jutro jechać – wtrącił Mateusz.

– Szkoła po drodze – dodał Hugon.

Maryla spoglądała to na ojca, to na brata. Mateusz mrugnął do niej porozumiewawczo i siorbnął kawy z kubka. Zrobiło jej się tak radośnie na duszy, że aż się uśmiechnęła od ucha do ucha.

Tyle czasu minęło, odkąd ostatnio była w szkole, że wyrosła ze wszystkich swoich lepszych codziennych sukienek. Miała teraz tylko domowe, fartuchopodobne, i niedzielną, więc odważyła się w końcu przejrzeć rzeczy po matce. Ciotka Izzy spryskała wszystkie zapakowane do kufra białe bluzki zmarłej siostry wodą toaletową o zapachu bzu. Maryla była zadowolona, że pachniały ciotką, a nie matką. I tak musiała zebrać wszystkie siły, żeby w ogóle otworzyć kufer. Zdecydowała się w końcu na kremową bluzkę i wzorzystą spódnicę, w której nigdy nie widziała matki. Drobne czarne kwiatuszki na zielonym tle. Pasowała idealnie na jej figurę.

Rodzina wciąż jeszcze była w żałobie. Czarne zasłony wisiały w oknach przez całą zimę. Żeby nie ciągnęło ze szpar – jak sobie tłumaczyła Maryla. Minął już prawie rok i nadeszły cieplejsze dni. Będzie musiała je wkrótce zdjąć. Co do ubrań, postanowiła nosić oznakę żałoby niezależnie od pory roku. Na rękaw bluzki wciągnęła opaskę z czarnej krepy. Nie wystarczyło jej sił i chęci, żeby spleść włosy, więc starannie skręciła je w kok. Pragnęła przekonać pana Murdocka, że jest dojrzała, niż na to wskazywał jej wiek, i może podejść do egzaminu wcześniej.

Mateusz czekał na nią w saniach. Kiedy wyszła z domu, aż gwizdnął, lecz zaraz się zawstydził. Zignorowała go, choć przyjemnie ją to polechtało. Musiała za wszelką cenę zachować pewność siebie.

Świeży śnieg wtapiał się w leżący już na polach, kiedy sunęli na wschód, potem przez las i wreszcie znaleźli się na drodze prowadzącej do wsi Nowy Most. Na ganku przed wejściem do

szkoły leżały ułożone w rzędzie drugie śniadania wszystkich uczniów. Obok stało kilka par sanek. Okna szkoły mrugały do Maryli tak samo ciepło i radośnie, jak to zapamiętała. Życie tam w środku było proste i łatwe: godziny odmierzane mijającymi lekcjami, każdy dzień wypełniany zdobytą wiedzą jak koszykami jagodami, które zabierało się potem do domu, połykało i przyswajało, by następnego dnia napełniać go od początku. Gdyby to mogło trwać wiecznie...

Maryla wybrała na wizytę taką godzinę, żeby nie przerywać zajęć panu Murdockowi. Zawsze pedantycznie trzymał się planu lekcji, a chciała pozostać z nim w dobrych stosunkach. Wkrótce powinien zarządzić dłuższą przerwę na drugie śniadanie.

Mateusz zatrzymał Eryka od wschodniej strony budynku, obok jabłoni, każdej jesieni rodzącej ogromne ilości pysznych jabłek, którymi uczniowie zajadali się po lekcjach. Jednakże teraz zmarznięte i pozbawione liści drzewo wyglądało żałośnie.

– Poczekam tu na ciebie – powiedział Mateusz, wyciągnął się na koźle i zsunął kapelusz na oczy, żeby osłonić je przed słońcem.

Maryla zeskoczyła z sań i zajrzała przez okno do klasy, żeby sprawdzić, czy pan Murdock jeszcze prowadzi lekcję. Tak właśnie było, lecz nim zdążyła się odsunąć, zauważył ją jeden z młodszych uczniów i zaczął pokazywać na okno. Maryla położyła palec na ustach, żeby go uspokoić, ale odniosło to odwrotny skutek. Malec wrzasnął na cały głos:

– Proszę pana! A tam jest jakaś pani!

Brodate oblicze pana Murdocka ukazało się w oknie, a dzieliła ich tylko grubość szyby, do której Maryla przysunęła twarz. Nauczyciel zmrużył oczy jak szykujący się do ataku żbik.

– O! Panna Cuthbert! Mogę w czymś pomóc? – Okno nieco stłumiło głos, a na szybie została zmrożona chmurka oddechu.

– J-ja w sprawie mojej dalszej nauki – odpowiedziała.

– W takim razie powinna panna wejść drzwiami, nie przez

okno, jak sędzę.

Maryla poczuła, że policzki płoną jej rumieńcem.

– Tak, proszę pana! – odrzekła posłusznie, obeszła budynek i zatrzymała się przed frontowymi drzwiami, zastanawiając się, czy powinna zapukać, zanim wejdzie. Doszła do wniosku, że musi trzymać się etykiety, skoro swoim zachowaniem zdążyła już urazić pana Murdocka.

Zapukała cichutko trzy razy, zanim wywołało to jakiś odzew.

– Proszę wejść! – usłyszała w końcu.

Nauczyciel stał przed całą klasą ze wskaźnikiem w dłoni. Mały Spurgeon MacPherson stał w kącie w papierowej czapce, którą kazano wkładać krnąbrnym uczniom. Czapka opierała się na jego odstających uszach, przez co jeszcze bardziej sterczały na boki.

– Panno Cuthbert, zapraszam tu do mnie, do przodu. Posłuchamy wszyscy, jaki jest powód tej wizyty.

Kolana zmiękły Maryli w jednej chwili, ale zastosowała się do polecenia i zaczęła iść przejściem pomiędzy rzędami ławek pod obstrzałem spojrzeń wszystkich uczniów.

– Bardzo przepraszam, że przeszkodziłam w lekcji, proszę pana. Sądziłam, że o tej porze powinna już być przerwa.

– Wie panna, która godzina? – Nauczyciel wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki. – Mamy jeszcze pełne pięć minut do przerwy! Pięć okrągłych minut, w ciągu których moi sumienni uczniowie powinni przyswajać topografię Górnej Kanady, lecz tego nie czynią, gdyż zostali oderwani od zajęć. Będą musieli nadrobić te pięć minut, wracając wcześniej z przerwy.

Cała klasa jęknęła żałośnie. Mała dziewczynka w pierwszym rzędzie pacnęła w udawaną rozpacz głową o ławkę i wzniosła okrzyk:

– Niech to ropuchy, kurzajki i duchy!

Maryli tak zaczęły się trząść ręce, że musiała zacisnąć dłonie w pięści i przycisnąć do boków.

– Proszę pana! Bardzo proszę! Niech pan nie karze całej klasy przeze mnie! – Modliła się w duchu, żeby przy okazji nie ukarał również jej. – Widzi pan, przyszłam spytać, czy mogłabym podejść do egzaminów końcowych w szkole wcześniej, już tej wiosny.

– Do egzaminów końcowych?! No cóż, panno Cuthbert, te egzaminy mogą zdawać jedynie najbardziej zaawansowani uczniowie, którzy szczęśliwie i z pozytywnym wynikiem zakończą ośmioklasową chrześcijańską edukację, zgodnie z obowiązującym u nas monitorialnym systemem nauczania[15], zatwierdzony przez miłośniczkę nam panującą królową i nasz kraj. – Odchrząknął uroczyście. – Jak panna widzi, niewielu uczniów zasiada w ostatnim rzędzie, a tylko oni przygotowani są do zdawania egzaminów końcowych.

Maryla odwróciła się, żeby popatrzeć na ostatni rząd ławek. Przypominała sobie jak przez mgłę pięciu siedzących tam młodzieńców z Agory, tyle że teraz wszyscy mieli niewinny wyraz twarzy i spodnie na szelkach. Janek siedział ostatni w rzędzie. Obracał w palcach kredowy rysik i uważnie ją obserwował. Była gotowa zrobić wszystko, byle misja, z którą tu przybyła, się powiodła.

– Rozumiem, panie Murdock, ale rozmawiałam z Małgorzatą White, która już od kilku lat uczy się w domu. Powiedziała mi, że pozwolił jej pan podejść do egzaminów końcowych, kiedy tylko będzie gotowa.

– Hmf! – Pan Murdock się obruszył. – Matka panny White zapewniła mnie, że jej córka odbywa regularne prywatne lekcje, i tylko dlatego wyraziłem zgodę, żeby przystąpiła do egzaminów, mimo że nie ukończyła nauki w szkole w Avonlea.

– Jak pan zapewne wie, ja nie mam matki, która mogłaby złożyć takie zapewnienie odnośnie do mojej osoby. – Głos jej się prawie załamał, ale zebrała się w sobie i dopowiedziała pewnie: – Lecz ma pan moje słowo, że będę się uczyć tak pilnie, jak to

tylko możliwe, i że nie zawiodę pana, i że zdam ten egzamin z dobrym wynikiem.

Pan Murdock złagodniał na wspomnienie o zmarłej i odłożył wskaźnik.

– Prawdę mówiąc, muszę trzymać się przepisów. Ktoś, kto niczego nie umie, nie może nauczyć się sam, bazując wyłącznie na swojej niewiedzy. Musisz mieć kogoś, kto będzie cię uczył.

Maryla nie знаła nikogo takiego, a jej rodziny nie stać było na opłacenie prywatnego nauczyciela, jakiego wynajęli White'owie. Znalazła się w położeniu bez wyjścia i nie widziała żadnego rozwiązania.

– Przykro mi, panno Cuthbert – powiedział nauczyciel. – Z tego powodu, jak również z powodu straty, którą pani poniosła.

Łagodność, z jaką to powiedział, niezwykle Marylę poruszyła. Już wolała, kiedy się złościł i zrzędził. Wiedziała, jak przeciwstawiać się złym emocjom, lecz jego współczucie całkowicie wytrąciło ją z równowagi. Straciła całą determinację, z którą tu przybyła.

– Ja to zrobię, panie Murdock! – zawołał Janek, wstając.

Niektóre młodsze dzieci zaczęły chichotać w kułak. Nauczyciel pogroził palcem Spurgeonowi stojącemu w kącie i wszyscy się uciszyli.

– Uczniowie! Możecie, zachowując porządek i CISZĘ, wyjść na przerwę obiadową. Pamiętajcie, żeby nie zagłębiać się zbyt w las z sankami. I wróćcie pięć minut wcześniej. Spóźnialscy dostaną dodatkową pracę domową do odrobienia. MacPherson, zwalniam cię z odbywania kary, ale musisz nanieść drewna na opał do pieca na popołudnie. Panie Blythe, proszę tu podejść.

Janek przepchnął się przez podążającą w przeciwnym kierunku falę uczniów i stanął przed panem Murdockiem ramieniem w ramię z Marylą. Stali tak, aż ostatni uczeń opuścił klasę i zamknął za sobą drzwi.

– Panie Blythe! Nie toleruję samowolnych wyskoków moich

uczniów!

– Bardzo przepraszam za mój brak subordynacji, proszę pana, lecz nie za to, co powiedziałem.

Pan Murdock zmarszczył nos.

– Chciałbym móc uczyć Marylę wszystkich przedmiotów – mówił Janek dalej. – Powiedział pan ostatnio mojemu ojcu, że poziomem wiedzy znacznie wyprzedzam kolegów z mojej klasy i najprawdopodobniej, gdybym jutro musiał przystąpić do egzaminu, zdałbym go śpiewająco.

– To była rozmowa pomiędzy mną a pańskim ojcem. – Pan Murdock przygryzł wargi i nachmurzył się jeszcze bardziej.

– Jest pan człowiekiem ogromnej wiedzy, a przy tym niezmiernie prawym, a zatem pańska wysoka ocena moich umiejętności jest najlepszym dowodem, że mogę z sukcesem uczyć Marylę do egzaminu.

Pan Murdock zaczął nerwowo porządkować papiery na biurku, potem z jego piersi wydostało się głębokie, głośne westchnienie, które wzbiło w powietrze wirujący obłoczek pyłu ze startej kredy.

– Doskonale! Może pan uczyć pannę Cuthbert, panie Blythe, z zastrzeżeniem, że będzie pan to robić codziennie, po zakończeniu wszystkich lekcji w szkole. To bardzo ograniczy czas, który może pan przeznaczyć na pracę na farmie ojca, ma pan tego świadomość?

– Tak, proszę pana! – Janek skinął głową.

Serce Maryli zaczęło skakać z radości jak królik wypuszczony z klatki na zieloną trawę.

– Panno Cuthbert! Zgłosi się pani do mnie przed datą egzaminu, bym sam mógł ocenić, czy jest pani, czy też nie jest przygotowana do przystąpienia do egzaminu razem z pozostałymi uczniami.

– Tak, proszę pana! Dziękuję panu! Obiecuję, że pana nie zawiodę!

– Niech się panna nie martwi tym, czy zawiedzie mnie, lecz tym, że zmarnuje cały czas i talent młodego pana Blythe. – Odwrócił się do Janka i wyciągnął do niego dłoń na znak zgody. – Panie Blythe! Porażka panny Cuthbert będzie pańską porażką.

Uścisnęli sobie dłonie na znak zgody, a Janek nawet nie mrugnął okiem.

Przed szkołą młodszy uczeń biegł wokół sań i Eryka, który zniecierpliwiony grzebał przednią nogą w śniegu.

– Dziękuję ci, Janku.

– Jak już mówiłem, jesteś według mnie bardzo bystra i mądra. Mądrzejsza od wszystkich dziewcząt, które znam.

Uskrzydliło ją to bardziej niż jakikolwiek z komplementów, które kiedykolwiek jej mówiono. Jej matka była cnotliwa, Izzy – piękna. Ona, Maryla, będzie mądra.

– Kiedy zaczynamy?

– Od razu! Dzisiaj!

– Dzisiaj? – Roześmiała się. – Janku, jesteś najbardziej impulsywną osobą, jaką znam!

– *Carpe diem!* Wiesz, co to znaczy?

– To po łacinie. – Maryla uniosła wzrok do nieba, w promienie słońca. – Chwytaj dzień!

– Bardzo dobrze, proszę uczennicy! – Janek odchrząknął i odrzekł, naśladowując ton głosu pana Murdocka: – A kto wypowiedział te słowa?

– Rzymski poeta Horacy.

– Świetnie! – Zaczął bić jej brawo. – Pokażemy jeszcze temu staremu belfrowi, na co nas stać!

---

15 Opracowany przez Josepha Lancastera (1778–1838) system uczenia młodszych uczniów przez starszych przy braku nauczycieli na wsi, przyjęty oficjalnie przez rząd brytyjski.

## XVII

### Janek Blythe proponuje spacer

Codziennie po lekcjach w szkole w Avonlea Janek chodził przez ukwieconą łąkę, przez świerkowy zagajnik prześwietlony promieniami słońca i dalej polną drogą prosto na Zielone Wzgórze. Korony klonów tworzące nad drogą półokrągłe sklepienie stały w wiosennej krasie. Ich gałązki zdobiły pierzaste różowawe baldachimy drobnych kwiatków, które targane porywami wiatru obsypywały pyłkiem każdego, kto przechodził poniżej. Janek za każdym razem stawał przed kuchennymi drzwiami Zielonego Wzgórza, kichając, cały obsypany złotym pyłem.

Uczyli się w kuchni, żeby Maryla mogła mieć oko na garnki stojące na ogniu. Choć za każdym razem proponowała Jankowi posiłek, on zawsze odmawiał. Tłumaczył się tym, że jego matka nigdy nie położy się spać, dopóki go porządnie nie nakarmi, a ojciec nie wypali przy tym fajki. Tak tradycyjnie spędzali każdy wieczór i Janek nie chciał tego zmieniać. Maryla to rozumiała. Na pierwszym miejscu zawsze jest rodzina.

Przerabiali te same lekcje, które prowadził w szkole pan Murdock. Matematyka przychodziła Maryli najłatwiej, ale całe dwa tygodnie zajęło jej nadrabianie zaległości z historii, geografii i wiedzy o społeczeństwie. Dopiero potem zajęli się gramatyką i pisaniem wypracowań.

– Pan Murdock zadał nam dzisiaj napisanie wypracowania

o naszych podróżach.

– Ale ja nie byłam nigdzie oprócz Nowej Szkocji!

– Pasuje idealnie – stwierdził Janek. – Napisz o tym.

Wyciągnął z kieszonki zegarek z kopertą z brązu, który ojciec podarował mu na ostatnie urodziny. Widniał na nim wygrawerowany napis: „Mojemu jedynemu synowi”. Janek z przyzwyczajenia przetarł szkiełko do połysku opuszką kciuka.

– Na pisemną część egzaminu czas jest ograniczony. Proponuję, żebyśmy przećwiczyli to w praktyce. – Zaczął podążać wzrokiem za sekundnikiem. – Uwaga! Odliczam: trzy, dwa, jeden, start!

Kuchnię wypełnił odgłos szybkiego postukiwania rysików o tabliczki.

– Koniec! – oznajmił po jakimś czasie Janek.

Maryla uśmiechnęła się, zadowolona. Skończyła chwilę przed czasem i jeszcze zdążyła sprawdzić, czy nie zrobiła błędów w pisowni.

– Przeczytajmy teraz nasze prace na głos – poprosił Janek.

– Tego na egzaminie nie ma! – zaprotestowała Maryla, która najmniej z całego szkolnego programu nauczania lubiła czytanie na głos.

– A jak inaczej moglibyśmy ocenić nawzajem swoje wypracowania?

Maryla przyznała mu rację. Odchrząknęła, z ociąganiem podniosła swoją tabliczkę tak, żeby schować się za nią przed wzrokiem Janka, i zaczęła czytać.

*Cały świat wokół staje się chwiejny, kiedy stoisz na pokładzie promu przecinającego cieśninę Northumberland. Na południu widnieją szare, skaliste plaże Nowej Szkocji obramowane łodziami. Ich żagle łopoczą jak falbanki sukienek. Na północy nasza wyspa płonie rdzawą czerwienią w promieniach*

*zachodzącego słońca. Piasek na plażach lśni płomiennie. Moja matka powiedziała mi kiedyś, że dawno, dawno temu, jeszcze zanim zaczął panować imiennik brytyjskiego księcia, rdzenni mieszkańcy wyspy, Mikmakowie, nazywali ją Abegweit. To znaczy „kołysząca się na falach”. Nowo zrodzona ziemia, gdzie ludzie o wszystkich kolorach skóry i zwierzęta o wszystkich kolorach sierści mogą żyć wspólnie w zgodzie. Według mnie to doskonale dobrana nazwa. Wyspa zrodzona z morza powinna być tak rdzawoczerwona jak jej rodzime skały. Ta niezapomniana czerwień...*

Marylę ścisnęło w gardle na wspomnienie ostatnich chwil życia matki, ukłuło mocno, jak potrafi ukłuć szpilka do kapelusza.

– Mojej matce spodobałaby się ta historia, ale nigdy nie opowiedziałam jej całej. Nigdy nie wspomniałam o pracowni kapeluszy *madame* Stéphanie ani o Juniperze, niewolnicy sierocie. Wielebny Patterson twierdzi wprawdzie, że tajemnice mogą być równie grzeszne jak jawnie oszukańcze czyny. Gdybym wtedy wiedziała, że moja matka... – Maryla musiała przełknąć rosnącą w gardle gulę, żeby mówić dalej: – Żałuję, że nie opowiedziałam jej wtedy wszystkiego.

Janek przykrył jej dłoń swoją.

– Może i tak było, lecz ona doskonale zdawała sobie sprawę, że ty zawsze pragniesz jedynie dobra dla wszystkich. To opowiadanie może być powodem do dumy, Marylo!

Przycisnął mocniej kciuk do jej dłoni, a ona nie zabrała ręki.

– Teraz ty.

– Moje nie jest ani trochę tak dobre jak twoje.

– A to oznacza, że musisz się zadowolić drugim miejscem.

Janek zrobił żartobliwie smutną minę i puścił jej dłoń, żeby wziąć swoją tabliczkę.

– Spędziłem rok w Ziemi Ruperta, mieszkając u rodziny mojej

matki... – zaczął.

Maryla nie wiedziała, że kiedy był młodszy, mieszkał przez cały rok w Ziemi Ruperta. Janek czytał o swoim wuju Nicku, porywczym młodszym bracie matki, o wędrówkach po lasach z siedmiorgiem kuzynów, o łowieniu ryb w jeziorach o krystalicznie przejrzystej, lodowatej wodzie, wspinaniu się po górach i powietrzu tak czystym, że czuł w sobie dwa razy więcej życia niż kiedykolwiek potem. Maryla z zapartym tchem wsłuchiwała się w opisy tamtych miejsc, które w opisie Janka wydały się jej jeszcze bardziej dzikie i niesamowite.

– Nie umiem ocenić, kto z nas wygrał. To było bardzo dobre – przyznała. – Dzięki tobie oczami wyobraźni zobaczyłam miejsce, którego nigdy nie widziałam.

– A ja dzięki tobie zobaczyłem miejsce, które znam bardzo dobrze, z nieznannej mi perspektywy. To wymaga większych umiejętności.

– W takim razie mamy remis – stwierdziła ugodowo Maryla.

Na ganku Mateusz, głośno tupiąc, otrzepywał błoto z butów.

– Muszę już podać posiłek – orzekła Maryla.

– Może kiedyś pojedziesz do Ziemi Ruperta i zobaczysz ją na własne oczy?

– To by dopiero było! – Roześmiała się. – Kobieta podróżująca bez żadnego towarzystwa jak samotny traper. – Jeszcze nie skończyła mówić, gdy przypomniała jej się ciotka Izzy i przemknęła jej przez głowę myśl: „A może? W sumie dlaczego nie?”.

– Może zabiorę cię ze sobą?

Serce Maryli zabiło mocniej. Grochówka pyrkotała na płycie. Mateusz wszedł do kuchni.

– Witaj, Janku! Jak nauka?

– Uczymy się każdego dnia czegoś nowego. – Mrugnął porozumiewawczo do Maryli, pozbierał swoje książki i włożył czapkę. – Przekażcie panu Cuthbertowi wyrazy uszanowania ode

mnie. Jutro oddam cęgi do kopyt, które pożyczyliśmy.

– Nie ma pośpiechu – odrzekł Mateusz. – Co nasze, to i wasze, sąsiedzie.

Janek wyszedł, ukłoniwszy się na pożegnanie.

– Dobry z niego przyjaciel – stwierdził Mateusz. – Szczęśliwa z ciebie dziewczyna, że ci się taki trafił.

– Mnie?! – zdumiała się Maryla. – Taki sam on mój, jak i twój – orzekła, podając bratu talerz zupy z pajdą chleba.

– Mhm! – Mateusz zdusił śmiech. – Dobry przyjaciel nas wszystkich. Daj Boże, żeby spędzał tyle czasu ze swoją rodziną, ile spędza z naszą.

Niedługo potem wrócił ojciec. Maryla jemu również podała zupę, ale zapomniała o chlebie. Głowę miała zajęta błędzeniem po bezdrożach Ziemi Ruperta z opowiadania Janka i rozmyślaniami o tym, co powiedział o przyjacielu Mateusz. To było takie miłe... myśleć o nim jak o członku ich rodziny.

\*

Cieplesza pora roku rozgościła się na wyspie na dobre. Skończyły się mroźne noce i przeszywająco zimne wiatry. Poranki lśniły kroplami rosy na żdźbłach traw. Łubiny wyciągały palczaste pędy ku niebu. Popołudniami pola i łąki tętniły życiem, radośnie rozedrganym obietnicą dłuższych dni.

Ciotka Izzy pisała do nich, tak jak zapowiedziała. Na początku listy powodowały taki ból, że Maryla ledwo mogła znieść widok odręcznie nakreślonego adresu na kopercie, lecz ból stępiał z czasem, przytłoczony codziennością. Izzy pisała o swojej pracowni, o kobietach, którym szyła suknie, o wiecach politycznych na ulicach St. Catharines oraz o nowej fali przybyszów ze Stanów Ameryki. Wszystkie listy kończyła tak: „Słowa miłości dla mojej najukochańszej Marylki.

Z niecierpliwością wyczekuję na wieści od niej, kiedy tylko będzie gotowa”. Za każdym razem Maryla czuła dziwne ukłucie w piersi.

Raz udało jej się nawet zasiąść nad czystą kartką papieru z piórem w dłoni, ale po dłuższej chwili rozmyślenia jej wzrok przyciągnęła ostatnia partia gazet, które dostarczył Janek. Był niezmordowany jako nauczyciel.

Na wierzchu leżał egzemplarz gazety „Prince Edward Island Times” wydawanej przez liberalnych reformatorów, której Hugon nigdy nie kupował. Maryli rzuciło się w oczy ogłoszenie: „Zaginął pan Mingo Bass, czarnoskóry lokaj panny Elizabeth Smallwood z Charlottetown. Panna Smallwood wyraża przekonanie, że jej służący został bezprawnie porwany przez łowców niewolników ze Stanów Ameryki. Pochodzi z Wirginii”.

Janek napisał ołówkiem na marginesie: „Umiałabyś wskazać Wirginię na mapie?”, lecz dobrze wiedziała, że zakreślił ten artykuł z powodów szerszych niż tylko powtórka z geografii. Tylko Janek wiedział o Juniperze i pracy sióstr miłosierdzia na rzecz ratowania niewolników. Był to sekret, którego Maryla nie wyjawiała nawet matce, sekret, który dzieliła tylko z nim. Oderwało to jej myśli od listu do ciotki, bo zresztą co miałyby jej napisać? Odłożyła pióro i zajęła się mapami. Geografia szła jej chyba najgorzej ze wszystkich przedmiotów. Zupełnie nie potrafiła czytać rysunków stanowiących dokumentację danego terenu. Przedstawione na mapie góry, rzeki i granice wyglądały dla niej wszystkie zupełnie tak samo, ale przecież nie mogła zarzucić tego przedmiotu.

Maryla siedziała na tarasie w swoim ulubionym wiklinowym fotelu i czuła podczas nauki powiewy świeżej bryzy od morza. Do egzaminu został tylko tydzień.

W tej chwili przyszedł ze szkoły Janek.

– Pan Murdock dał mi to dla ciebie – powiedział.

Maryla rozprostowała złożoną kartkę.

*Panno Cuthbert! Proszę przyjść do szkoły w najbliższą środę i być przygotowaną do zaprezentowania swej wiedzy w celu zakwalifikowania do sobotniego egzaminu końcowego.*

*Murdock*

– Wreszcie! – Maryla pokazała liścik Jankowi, żeby też mógł go przeczytać. – Nadchodzi dzień prawdy!

– Jesteś na to gotowa. Mogłabyś siadać do egzaminu nawet w tej chwili.

– Wciąż nie pamiętam nazw wszystkich duńskich kolonii. – Poglądziła dłonią otwarty atlas i ciężko westchnęła. – Są porozrzucane po całym świecie!

– Mógłbym się założyć, że pytanie: „Gdzie leżą kolonie Danii?” na egzaminie nie padnie.

– Mógłbyś przegrać.

– Marylo Cuthbert – zaczął Janek autorytatywnym tonem – uczyła się pani niezwykle pilnie. Jest pani przygotowana lepiej niż ktokolwiek inny w klasie pana Murdocka.

– Z tobą włącznie? – Popatrzyła na niego spod oka, zdziwiona.

– Jak by ci to powiedzieć... Odzwierciedleniem świetnego nauczyciela jest jego uczeń, który dorównuje mu wiedzą. – Przez twarz Janka przemknął cień uśmiechu i chłopak mówił dalej, zupełnie szczerze: – A poza tym szkoła nie może oczekiwać od nas, że wyuczymy się na pamięć wszystkiego, co jest do nauczenia. Nikt nie wie wszystkiego, Marylo! I od ciebie też nie będą tego wymagać. Chcą, żebyśmy wiedzieli wystarczająco dużo, żeby zdać egzamin. – Wyciągnął jej atlas spod łokcia i zatrzasnął z miłym dla ucha plaśnięciem. – Chcesz jeszcze pomęczyć tę swoją geografie? To w takim razie wstawaj. Idziemy!

– Idziemy? – Maryla założyła skrzyżowane ramiona na piersi.

– Nie ma lepszego sposobu poznania jakiejś krainy niż przeprowadzenie ekspedycji badawczej.

– Ależ z ciebie nieznośne indywiduum! Chcesz mnie oderwać od nauki, żeby mieć lepsze wyniki na egzaminie? Przyznaj się!

– Au! Odkryła pani moje haniebne zamysły! H-A-N-I-E-B-N-Y. Możemy trenować literowanie słów po drodze.

Umiałyby oczarować samego diabła!

– I powtórzyć przyrodę, jak sądzę. A przy tym ćwiczenia fizyczne poprawią nam pracę mózgu. – Przeszła się wreszcie na niego boczyć.

Ruszyli na spacer przez jabłoniowe i wiśniowe sady, kwitnące na białą i różowo, przebyli całą farmę Cuthbertów, gdzie zielone pola graniczyły z polanami splątanych leśnych paproci, kolumnadą pni drzew i wilgotnymi mchami. Pod baldachimem lasu powietrze się zmieniło, stało się aż gęste od zapachu kwitnących suchodrzewów i żywicznej woni młodych pędów sosen. Wiatr, przelatujący nad wyspą, tym razem przeczesywał jedynie czubki drzew. Wyglądało to tak, jakby niebo tańczyło nad głowami, podczas gdy ich stopy stały nieruchomo. Strumień skryty w chłodnym cieniu drzew wreszcie rozmarzył i bulgotał radośnie na skalistym podłożu. Maryla nie była tutaj ponad rok; wydało się jej, że odwiedzała to miejsce całe wieki temu, kiedy była jeszcze małą dziewczynką czytującą błahe opowiadki z pism dla panienek, dziewczynką, która miała matkę.

Mimo to dobrze pamiętała drogę.

– Chodź za mną!

Poszli przez gaj gęsto zarośnięty paprociami, obeszli stare drzewo z dziuplą tak wielką, że Maryla była święcie przekonana, iż mieszka w niej cała rodzina wrózek. Tutaj strumień się poszerzał i jego nurt stawał się rwący, spływając po pochyłym zboczu. Musieli zdjąć buty, żeby się nie ślizgać. Maryla wzięła Janka pod rękę, aby utrzymać równowagę.

– To już niedaleko!

– Co takiego?

Nie odpowiedziała. Schodzili coraz szybciej i szybciej.

Strumień przelewał się kaskadami przez skalne progi i przez ich gołe stopy, dopóki nie zeszli na sam dół zbocza, na łączkę, gdzie rozlewał się w niewielką sadzawkę, opływającą z dwóch stron wysepkę... o wiele mniejszą, niż Maryla pamiętała. W piaszczystą łąkę wczepił się wysmukły klon, oplatając ją ze wszystkich stron schodzącą do wody żywą koronką korzeni. Ażurową kopułę jego liści prześwietlały promienie słońca, znacząc powierzchnię wody rozbłyskami złota i błękitu.

Maryla z wysiłkiem łapała oddech. Słyszała w uszach mocne uderzenia serca. Palce stóp zgrabiały jej od lodowatej wody, a końce palców rąk mrowiły od żaru dłoni Janka. Była jak w malignie. Ileż to już czasu upłynęło, odkąd czuła się tak niesamowicie wolna? Na pewno przeżywała coś takiego kiedyś, kiedy jeszcze żyła jej matka, ale już nigdy po pamiętnym majowym dniu, kiedy Janek przystawił jej do ucha świerszcza i kazał wypowiedzieć życzenie.

Uniosła brzeg spódnicy i brodziła po wodzie, aż znalazła miejsce, w którym całą jej twarz oświetlało pełne słońce.

– Tu miałam swoją kryjówkę przed światem, kiedy byłam małą dziewczynką.

– Piękne miejsce!

Janek zrobił krok w jej stronę, a fala wody z impetem uderzyła w jej nogi na wysokości łydek. I wtedy – zupełnie niespodziewanie – chłopak pośliznął się i upadł. Strumień nigdzie nie był tu głębszy niż pół metra, ale to wystarczyło, żeby do cna przemókł. Maryla roześmiała się perliście, odrzucając głowę do tyłu, i o mało nie wpadła do wody razem z nim.

– Cieszę się, że w końcu cię rozbawiłem. Pomożesz mi wstać? – Wyciągnął w jej stronę rękę ociekającą wodą.

Ujęła ją i pociągnęła w górę, ile sił. Woda cicho plusnęła, jej strużki pociekły w dół. Koszula z cienkiej bawełny przylgnęła do skóry Janka. Serce dziewczyny zabiło niezwykłym, przyspieszonym rytmem. Zanim zdążyła się odsunąć, Janek zdjął

koszulę przez głowę i mruczając coś pod nosem, zaczął ją wyzymać. Mięśnie jego pleców napружиły się. Szelki, zrzucone z ramion, wisały luźno. Maryla nie mogła oderwać wzroku od jego wąskiej talii i wtedy chłopak się odwrócił. Ich oczy się spotkały, budząc w niej bezgłośny krzyk, jakby cała miłość i cały ból serca, tłumione od zawsze, nagle się uwolniły, przerywając zapory.

Janek przysunął się do niej, a może to ona przysunęła się do niego – sama nie wiedziała. Powierzchnia wody kołysała się lekko. Drzewa wirowały. Nagle Maryla znalazła się w jego ramionach, a jego usta – na jej ustach. Zamknęła oczy i oddała pocałunek. Rąbek spódnicy wysliznął się z jej dłoni. Wargi Janka były jędrne i słodkie jak śliwka, nagie ciało pachniało stopionym śniegiem, pierwotną lodową świeżością, pełną życia, taką, jak ją opisał w swoim opowiadaniu – właśnie taki był on sam. Maryla przesunęła palcami po wypukłościach jego żeber, po naprężonych ramionach, po płaskim brzuchu, a potem w górę, wzdłuż pionowego wgłębienia w klatce piersiowej. Widywała czasem swojego ojca i brata bez koszuli, lecz nie zdawała sobie sprawy, jakie to uczucie dotykać mężczyzny, mieć jego nagą skórę pod opuszkami palców.

Janek ujął jej twarz w dłonie; kciukami przesunął delikatnie wzdłuż zarysu ust. Widziała go pod zamkniętymi powiekami pośród płomiennych rozbłysków czerwieni i zaczęła się zastanawiać, czy można umrzeć z miłości.

Jakiś sprytny dzięcioł zaczął polować na kornika. Zastukał tak głośno tuż nad ich głowami, że odskoczyli od siebie jak oparzeni. Słońce chyliło się ku zachodowi. Jego padające z ukosa promienie rzucały długie cienie na ich twarze. Upłynęło więcej czasu, niż im się zdawało. Z wolna przenikał ich chłód. W ciągu godziny robi się zupełnie ciemno.

Maryla uświadomiła sobie, że Mateusz z ojcem zaraz wrócą z pola, głodni, i nie znajdą na stole gorącego posiłku. Wszystkie

jej decyzje miały bezpośredni wpływ na życie innych, nie tylko na jej własne. Z zimna dostała dreszczy i gęsiej skórki.

– Przemarzłaś – zaniepokoił się Janek. – Lepiej wracajmy.

Jego koszula odpłynęła w stronę brzegu. Wyłowił ją i włożył mokrą.

– Mam nadzieję, że zdążymy wyschnąć, zanim dojdziemy do domu.

Maryla wolała nie myśleć, co ojciec i Mateusz mogą zacząć podejrzewać.

– Powiedz im prawdę. Okazałem się niezdara i wpadłem do potoku, a ty mnie ratowałaś.

Janek jeszcze raz przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował. Znowu ta gorejąca, ognista czerwień... Maryla pozwoliła, żeby ogarnęła ją całą. Musiała wierzyć, że warto było dla tego uczucia umrzeć. Rozpaczliwie pragnęła pojąć sens ostatnich słów matki skierowanych do ojca.

## XVIII

### **Egzamin, list oraz smutki nad bukietem konwalii**

Pan Murdock na pewno surowiej podszedłby do sprawdzenia wiedzy Maryli, gdyby nie cierpiał z powodu zapalenia oskrzeli, które sprawiało, że trząsał się tak mocno jak czajnik na fajerce ze zbyt małą ilością wody. Uznał, że dziewczyna jest wystarczająco przygotowana, żeby przystąpić do egzaminu, i czym prędzej wrócił do domu, żeby zaaplikować sobie kataplazmy z gorczycy. Do sobotniego poranka udało mu się złagodzić stan zapalny, choć wciąż unosiła się wokół niego niezbyt przyjemna woń. Maryla na szczęście została posadzona w jednym z dalszych rzędów.

Janka i pozostałych ósmoklasistów pan Murdock przeniósł do pierwszych ławek. Kiedy chłopak zobaczył Marylę wchodzącą do klasy, posłał jej uśmiech, a wtedy Sam Coates dźgnął go łokciem pod żebra. Maryla i Janek z nikim nie rozmawiali o swoim spacerze po lasie. Jakżeby mogli!

Kiedyś, dawno temu, Maryla weszła do kuchni i przypadkiem wpadła prosto na ojca trzymającego matkę w objęciach. Na jej widok odskoczyli od siebie, jakby smagnęła ich batem, a policzki jej zawsze skromnego ojca zrobiły się czerwone ze wstydu, więc Maryla uznała, że musieli zrobić coś karygodnego, godnego potępienia. Tamtego wieczoru, nim zasnęła, modliła się żarliwie, żeby Bóg wybaczył rodzicom ich niegodny czyn. Mimo że była

w takim wieku, kiedy już się wie, jak wyglądają sprawy pomiędzy kobietą a mężczyzną, temat ten nigdy nie był w ich domu poruszany.

Teraz, kiedy zauważyła rozradowanego Janka, tylko nieznacznie się do niego uśmiechnęła i zawiesiła kapelusz na jednym z haczyków.

– Uczniowie pobierający lekcje w domu! Proszę do trzeciego rzędu! – poinstruował ich pan Murdock.

Maryla wśliznęła się na swoje miejsce i z prawdziwą przyjemnością usiadła znów w wysłużonej szkolnej ławce. Drewno było wytarte na gładko w dokładnie pasujących do jej kolan i rąk miejscach, więc poczuła się jak u siebie.

– Pssst! – syknęła do niej Małgorzata. Właśnie weszła do klasy i zajęła miejsce w ławce obok przyjaciółki, ubrana w nowy szkolny mundurek w biało-granatowe marynarskie paski. Wskazała na mankiety. – Zrobiłam je sama szydełkiem!

– Śliczne! – szepnęła Maryla.

– To egzamin, a nie zebranie kółka robótek ręcznych! – upomniał je surowo nauczyciel.

– Wolalabym to drugie – mruknęła pod nosem Małgorzata.

Maryla nie śmiała zareagować, nawet kiedy pan Murdock się odwrócił, żeby wydmuchać nos w chusteczkę.

– Po egzaminie pójdziemy razem do ciebie do domu – szeptała dalej niezrażona Małgorzata. – Matka prosiła, żebym spytała twojego ojca, czy nie pożyczyłby nam trochę nasion ogórków, bo chce założyć grządkę w naszym ogródku... Nie uważasz, że ogórki hodowane latem są przepyszne? Ja je uwielbiam...

– Panno White! Proszę uprzejmie przesiąść się z miejsca obok panny Cuthbert do pustej ławki pod oknem.

– Tak, proszę pana. – Małgorzata wzięła pudełko z rysikami i gąbeczkami do wycierania.

Janek ośmielił się jeszcze raz odwrócić. Puścił oko. Na szczęście Małgorzata tego nie zauważyła, siedząc teraz w ławce

samotnie, zbyt zajęta mamrotaniem pod nosem z niezadowoloną miną.

Zaczęli z wybiciem godziny dziewiątej.

Do południa było po wszystkim. Maryla wykorzystała czas do końca, żeby powtórnie sprawdzić swoje odpowiedzi na wszystkie pytania, zanim pan Murdock ogłosił zakończenie egzaminu. Janek zrobił tak samo, za to Małgorzata skończyła o wiele wcześniej i czekała na zewnątrz pod jabłonią, teraz przybraną w suknię z różowych płatków.

– Marylo! – zawołała do przyjaciółki.

Jednak tuż za Marylą wyszedł Janek, złapał ją za rękę i odciągnął na bok, pod ścianę szkoły.

– No i jak ci poszło?

– Myślę, że dobrze.

– Żadnego pytania o duńskie kolonie, które mogłoby zaprzepaścić wynik – rzekł z uśmiechem.

Maryla musiała się roześmiać ze swoich obaw.

Janek pochylił się ku niej tak blisko, że czuła zapach jego skóry. Wokół nich zawirowało wspomnienie przepływającego obok potoku.

– Janku! – Położyła dłoń na jego piersi.

– Marylo! – Małgorzata obesza budynek szkoły i zauważyła ich za rogiem.

Ręce dziewczyny opadły po bokach.

Głowa Małgorzaty obracała się jak u wróbla obserwującego równocześnie dwa robaczki.

– Jak już ci mówiłam, po drodze do domu chcę wstąpić na Zielone Wzgórze. – Przyjaciółka wzięła Marylę pod rękę. – Dzisiaj wieczorem zbiera się kółko robótek ręcznych. Może chciałabyś dołączyć?

Maryla już prawie zapomniała, że istnieje coś takiego, jak kółko robótek ręcznych. Była tam tak dawno, że nie wiedziała, czy potrafi jeszcze dziergać równe oczka i haftować równe ścięgi.

Wstyd jej było na samo wspomnienie, jak bardzo przejmowała się kiedyś oceną swoich robótek przez inne kobiety. Nie pamiętała nawet, gdzie schowała swój tamborek.

– Muszę niestety podać kolację, nie będę miała czasu – powiedziała zdecydowanie Maryla i przeprosiła spojrzeniem Janka. – Lepiej już chodźmy.

– Przyjdę do ciebie, kiedy tylko pan Murdock ogłosi wyniki – zawołał za nimi chłopak.

– Phi! Kogo interesują wyniki? Jak nie zdamy teraz, podejmiemy do egzaminu jeszcze raz w przyszłym roku. No chodź wreszcie! – Małgorzata ruszyła szybkim krokiem, ciągnąc za sobą przyjaciółkę.

Kiedy doszły do fioletowej od kwiatów łąki, energia Małgorzaty zniknęła. Dziewczyna zaczęła iść normalnym spacerowym krokiem. Biedronki, motyle monarchy i pазie królowej wyfruwały co chwila spośród traw, zmieniając łąkę w roztrzepotaną feerię barw.

– Co jest między tobą a Jankiem Blythe?

Maryla wzruszyła ramionami. Biedronka przysiadła na jej nadgarstku i powędrowała na spacer wzdłuż błękitnej żyły w górę, w kierunku delikatnego, miękkiego zgięcia ręki.

– Uczyliśmy się razem codziennie do tego egzaminu. Chciał, żebym osiągnęła dobry wynik... żeby udowodnić panu Murdockowi, że jest w błędzie.

– Na pewno tylko tyle? – W głosie Małgorzaty zabrzmiało niedowierzanie. – Pytam, bo są takie osoby, które uważają Janka za całkiem przystojnego chłopaka. Takiego, w którym dziewczyna chciałaby się zakochać...

– Zakochać? – Maryla stanęła jak wryta. – W Janku Blythe? – I wtedy zauważyła wpełzający na policzki przyjaciółki rumieniec koloru dojrzałych truskawek. – Och! – Poczowała nagły ucisk w żołądku. – Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ty... Sądziłam, że się raczej nie lubicie z Jankiem. Małgorzato! Przysięgam, że

o niczym nie wiedziałam!

– On jest teraz cały twój. – Małgorzata uśmiechnęła się smętnie.

Maryla kręciła głową z niedowierzaniem i próbowała słabo zaprzeczyć.

– Tak, tak! Czy ci się to podoba, czy nie, to widać jak na dłoni. Zakochał się w tobie po uszy!

Maryla pomyślała o ich pocałunku... Czy był tylko jeden, czy całowali się dłużej? Na wspomnienie obejmujących ją ramion Janka napięła mięśnie rąk. Biedronka zdecydowała się odlecieć.

– Miłość... – szepnęła. – Co którakolwiek z nas tak naprawdę wie o miłości?

– Wiemy, że jej pragniemy. – Małgorzata przytuliła się do boku przyjaciółki. – Jestem zazdrosna, to wszystko. Najpierw chciałam, żeby pokochał mnie, ale teraz się cieszę, że to jednak nie mnie wybrał. Owszem, jest przystojny, ale wyobraża sobie, że połknął wszystkie rozumy. – Wystawiła język. – Doprowadzałyby mnie do szału.

– Zgadza się. – Maryla nie wytrzymała i się roześmiała. – Pokora nie jest jego najmocniejszą stroną.

Skręciły w świerkowy las, gdzie ziemię pokrywał dywan uschniętych igieł, chrzęszczących cicho pod stopami. Powietrze było tu niezwykle czyste i ciepłe.

– Nie martw się o mnie! – Małgorzata poklepała dłoń przyjaciółki. – Na pewno szybko znajdę sobie odpowiedniego kandydata na męża.

Kandydata na męża?! Maryla się zdumiała. Kto tu mówi o zamążpójściu? Nagle poczuła się dziesięć razy starsza, zgięta pod brzemieniem tego, co miała przynieść przyszłość. Zapragnęła móc cofnąć wskazówki zegara o rok, kiedy obie były jeszcze dziewczynkami wyszywającymi śliczne wzory na rękawach, planującymi, w jakie sukienki ubiorą się na majowy piknik, kiedy jej matka była pełna życia, a Zielone Wzgórze

jawiło się im wszystkim Ziemią Obiecaną. Wszystko poszło nie tak. Nie tego się spodziewali.

Gdy weszły na drewniany mostek, w oddali, nieopodal skrzyżowania dróg, dostrzegły Mateusza. Nie był sam. Obok niego stała Joanna Andrews.

– Gdy mowa o miłości... – wyszeptała Małgorzata.

Jednakże im bliżej podchodziły, tym silniejszego przekonania nabierała Maryla, że to nie jest schadzka kochanków.

Joanna trzymała przed sobą koszyk, jakby chciała się nim osłonić, a plecy miała proste, jakby połknęła kij; jej twarz skrywało rondko słomkowego kapelusika budki. Za każdym razem, kiedy Mateusz robił krok w jej stronę, ona robiła krok w tył, więc cały czas dzieliła ich ta sama odległość. Chłopak miał opuszczoną głowę, ramiona zwiesił jeszcze bardziej niż zwykle. Usłyszawszy, że ktoś nadchodzi, Joanna się odwróciła, ukazując dziewczętom zaczerwienioną twarz.

– Przykro mi, Mateuszu – powiedziała. – To nie jest to, czego ja pragnę. Proszę, pozwól mi po prostu odejść! – I puściła się biegiem drogą do Avonlea.

Oczy Mateusza przypominały węgle spalone na popiół. Młodzieniec patrzył przed siebie, mrugając powiekami; zdawał się nie zauważać Maryli i Małgorzaty.

– Nic, tylko spotkania i rozstania na tym świecie – szepnęła Małgorzata. – O matko, ratuj! Może innym razem wstąpię po te nasiona ogórków. Albo ty zajrzyj do mnie, kiedy tylko przyjdzie ci ochota. Znowu dziergamy chusty i czapeczki dla sierot, a ja zaczęłam robić szydełkiem swoją pierwszą narzutę na łóżko z bawełnianej włóczki. Mam dużo resztek.

Szybko cmoknęła Marylę w policzek, a potem pobiegła za Joanną, żeby złapać ją w drodze i spróbować wyciągnąć, co takiego stało się powodem nieporozumienia pomiędzy nią a Mateuszem – bo że się pokłócili, to pewna.

Maryla podeszła do brata. Nie wyrzekli ani słowa, po prostu

ruszyli razem drogą prowadzącą na Zielone Wzgórze. Mateusz wyrwał długie źdźbło z kępy wiechowatych traw rosnących wzdłuż drogi i idąc, łamał je na kawałki. Pękało z cichym „tsss”. Zmiętą resztkę rzucił na ziemię. Znęcanie się nad soczystą łodygą poplamiało mu palce rąk na zielono.

– Powiesz mi, co się wydarzyło? – spytała Maryla, kiedy sięgnął po kolejne źdźbło.

Westchnął głęboko.

– Nie sędzę, bym umiał, nawet gdybym spróbował.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

– Sprzeczka? – spytała.

– Sam nie wiem.

– Ma o coś pretensje?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co się stało. Odprowadzałem ją zwyczajnie do domu i zacząłem pokazywać pole, gdzie w przyszłym roku z ojcem chcemy zasiać rzepę, a ona po prostu sobie poszła.

To naprawdę wyglądało dziwnie.

– Może nie lubi rzepy? Mówiła coś?

– Nie przypominam sobie. Powiedziała tylko, że nie cierpi cuchnącej woni obory, którą przesiakają wszystkie ubrania, i że nie zamierza spędzić reszty swoich dni na ubijaniu masła i obieraniu ziemniaków.

– Też nie lubię obierać ziemniaków...

Mateusz pokręcił tylko głową. Maryla popadła w zadumę.

– Może to wcale nie miało związku z tym, co zrobiłeś czy powiedziałeś, Mateuszu. Może coś się stało u Andrewsów, a może po prostu Joanna miała zły nastrój?

Maryla też ostatnio chodziła przygnębiona bez konkretnego powodu. Nie mogła znaleźć przyczyny błyskawicznie ogarniającej ją melancholii, która pojawiała się wraz z narastającym bólem głowy. Z doświadczenia wiedziała, że najlepiej się wtedy położyć z zimnym kompresem na głowie i po

prostu poczekać, aż przejdzie, bo każde wypowiedziane słowo nasilało dolegliwości.

– To tylko przejściowa burza – pocieszyła brata. – Do jutra minie.

Niestety następnego dnia w kościele Joanna wydawała się jeszcze bardziej zimna i nieprzystępna. Nic nie mówiła, lecz minę miała tak zaciętą, że nawet jej siostry bały się pytać, co się dzieje. Mateusz omijał szerokim łukiem całą rodzinę Andrewsów, a po nabożeństwie wziął przykład z ojca i milczkiem uciekli obaj do wozu, a potem pojechali do domu najszybciej, jak się dało. Małgorzata pomachała z daleka do Maryli i rzuciła jej spojrzenie pełne współczucia, a ona po raz kolejny zatęskniła za matką. Panie, plotkujące pod kościołem, na pewno zagadnęłyby matkę i powiedziały o Mateuszu i Joannie, a potem razem wymyśliłyby jakieś rozwiązanie. Niestety Maryla była w ich oczach jedynie nieśmiałą dziewczynką, choć sama czuła się o wiele dojrzalsza.

Po powrocie z kościoła Mateusz ani słowem nie wspomniał o Joannie, więc Maryla też nie poruszała tego tematu. Jak gdyby nigdy nic zabrali się do codziennych obowiązków: przygnanie krów z pastwiska, zaprowadzenie Eryka do stajni, karmienie kur, przygotowanie kolacji, czytanie Biblii przed pójściem spać, modlitwa w ciemności i sen, podczas którego wracało wszystko, o czym starali się zapomnieć w świetle dnia.

Pan Murdock obiecał podać wyniki egzaminu w następnym poniedziałek po zakończeniu lekcji. Tego samego ranka Maryla udała się do White'ów z nasionami ogórków i dostała od Małgorzaty włóczkę na narzutę oraz wzór do wydziergania szydełkiem, przedstawiający stylizowany liść jabłoni w kwadracie. Z takich to kwadratów zszywa się pas, potem zaś doszywa się kolejne, aż powstanie narzuta na łóżko. Maryla nie przypuszczała, aby przyjaciółka pozwoliła jej odejść, nie zobowiązawszy jej do udziału w kolejnym przedsięwzięciu kółka robótek ręcznych. Przecież panie wykonywały tę pracę dla

„kochanych małych sierotek” – jak to ujęła Małgorzata – więc czy można było się z tym nie zgodzić? Małgorzata nie wspomniała słowem o Joannie Andrews, a przyjaciółka o nią nie pytała.

Mimo pewnych wątpliwości co do sensu dołączenia do kółka Maryla nawet się ucieszyła, że znów będzie robić coś dla sierot. Często wspominała Juniperę i miała nadzieję, że podarowany jej bordowy kapelusik będzie chłodził ją latem, a zimą ogrzeje. Pasowałaby do niego bordowa chusta – pomyślała i postanowiła zajrzeć do sklepu państwa Blairów po dodatkowy motek włóczki w drodze z poczty, jednak nie zrobiła tego, ponieważ na poczcie czekał na nią list od ciotki Izzy. W przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, ten był zaadresowany do niej. Pospieszyła do domu z listem w koszyku, pełna obaw, co ciotka ma do przekazania jej osobiście. Tylko jej.

Rozerwała kopertę, gdy tylko przekroczyła próg domu.

*Najdroższa Marylko!*

*Czy to możliwe, że upłynął już rok od chwili, gdy Twoja słodka matka, a moja siostra opuściła ten padół łez? Trudno w to uwierzyć! Strata jest tak bolesna, jakby rana wciąż była świeża. Zbliżająca się pierwsza rocznica Jej śmierci nie pozwala mi skupić myśli na czymkolwiek innym niż na Tobie, mój drogi kwiatuszku. Tak długo nie miałam żadnych wieści od Ciebie! Twój ojciec i brat napisali mi, że masz się dobrze i prowadzisz dom na Zielonym Wzgórzu z oddaniem prawdziwej władczyni królestwa. Masz talent do tego po swojej matce. Ja nigdy nie miałam zapachu potrzebnego do prowadzenia domu. Nie mam nawet jednego zwierzątka domowego, bo wiem, że przy mnie by zdziczało. Dyscyplina, potrzebna kiedy posiada się rodzinę, nigdy nie była moją mocną stroną.*

Pod nogami Maryli pojawił się Szelma. Wzięła go na kolana

i zaczęła delikatnie drapać pod bródką, aż rozległo się głośne mruczenie.

*Rozumiem, dlaczego nie zgodziłaś się przyjechać do mnie. Obawiam się, że brak listów od Ciebie może być spowodowany niepokojem, że będę próbowała Cię namawiać do opuszczenia domu. Nie mam takiego zamiaru! Szanuję Twoją decyzję, tak jak ufam, że Ty uszanowałaś moją o powrocie do St. Catharines.*

*Jak już pisałam, głęboko wierzę w to, że moja siostra chciałaby, abyśmy pozostały w bliskich stosunkach – bliższych po jej śmierci, niż byłyśmy za jej życia. Zdarza mi się słyszeć jej głos w swoim, widzieć jej postać. Wciąż przypomina mi, że nie odeszła całkiem z tego świata. Choć jej ciało rozpadło się w proch, jej dusza wciąż żyje w Tobie. Nie sądzę, żebym była w stanie znieść utratę Was obu. Pisz do mnie, proszę! Będę Ci niezmiernie wdzięczna!*

*Kocham Cię bardzo,  
ciotka Izzy*

Maryla ledwo zdołała przeczytać ostatnie linijki, tak bardzo zaczęły jej drżeć ręce. Czy kalendarz nie kłamał? Czy to już był maj? Tak skrętnie omijała wszelkie spotkania towarzyskie w Avonlea, że umknęły jej rozmowy o planowaniu majowego pikniku i wszystkiego, co się z tym wiązało. Oczywiście Małgorzata też nie poruszała tego tematu, mając w pamięci bolesne wydarzenia sprzed roku. Wszyscy pozostawili Marylę skoncentrowaną na wykonywaniu codziennych obowiązków, niezwracającą uwagi ani na upływ czasu, ani na życie, które toczyło się poza Zielonym Wzgórzem. List ciotki wyrwał ją z otępienia. Poczula się jak świstak wyciągnięty na słońce z zimowego snu.

Na chwilę zabrakło jej tchu. Szelma zaczął się wiercić, więc pozwoliła mu zeskoczyć na podłogę. Puste dłonie zapragnęły

uchwycić się jakiejś solidnej podpory. Matka... Maryla zatęskniła za dotykiem matki. Zaciśnęła dłoń i tak mocno wbiła paznokcie w jej wnętrze, że pozostały półkoliste ślady. Ból przeszył czaszkę. Zamknęła oczy i ujrzała pod powiekami rozbłyśki fioletu: ametystową broszkę wpiętą w warkocz matki. Była w pudełku z przyborami do szycia i różnymi cennymi drobiazgami. Pobiegnęła na górę do swojej sypialni. W skroniach czuła pulsujący ból. Rozbłyśki przesłaniały jej obraz. Otworzyła pudełko, wsunęła dłoń do środka i poczuła ukłucie metalowej szpilki.

– Och!

Na jednym z palców zakwitła kropelka czerwieni. Stawała się coraz większa i coraz bardziej pękata, a kiedy już nie była w stanie się utrzymać, spłynęła po boku dłoni. Maryla włożyła palec do ust. Metaliczny posmak krwi na języku... Drugą ręką już ostrożniej odnalazła broszkę i położyła na łóżku, gładząc kciukiem owiniętą dookoła niej warkocz.

– Przepraszam, mamó! – szepnęła. – Obiecuję! Przepraszam!

Zamknęła oczy, by pozwolić ciemności wchłonąć świdrujące wybuchy bólu.

Obudziło ją dochodzące z parteru stukanie do drzwi. Nie wiedziała, ile czasu spędziła w sypialni: kilka minut czy kilka godzin. Krew na palcu zakrzepła w szkarłatny strupek. Maryla położyła broszkę na toalecie i zanim zeszła na dół, żeby otworzyć drzwi, przyglądała włosy zmoczoną w zimnej wodzie ręką.

– Marylko!

Janek stał na ganku z bukietem konwalii w dłoni.

Nie było żadnych wątpliwości: znów nadszedł maj. Ta pewność rozdarła Maryli serce. Przeżyła cały rok, całe dwanaście miesięcy, całe trzysta sześćdziesiąt pięć dni, których nie dane było zobaczyć jej matce!

– Moje gratulacje! – powiedział rozpromieniony Janek.

Maryla odwróciła się od niego, żeby ukryć zapłakaną twarz.

– To nie powinno być tak! – załkała.

– Co ty mówisz! – Roześmiał się. – Oczywiście, że powinno!  
Chciał ją objąć, ale odtrąciła wyciągniętą rękę.

– Nawet nie próbuj...

– Marylko? Nie pojmuję... – Ramię Janka opadło. Bukiet zawisł smętnie kwiatkami do dołu.

Palec znowu ją rozboleł. Maryla złączyła mocno obie dłonie, żeby powstrzymać przepływ fali bólu do głowy.

– Ech! – Machnęła ręką, zrezygnowana. – Przykro mi, ale nie mam w tej chwili ani czasu, ani siły, żeby ci wszystko wytłumaczyć.

– Ale ja...

– Idź stąd, proszę! – zniecierpliwiła się.

Zrobił krok w jej stronę, a ona gwałtownie się cofnęła.

– Proszę! – powtórzyła.

Wyraz twarzy Janka zmienił się z lekkiego zdziwienia w całkowite zaskoczenie. Chłopak ściągnął brwi i odłożył bukiet na poręcz schodów.

– Przyszedłem tutaj tylko po to, żeby ci powiedzieć, jak bardzo jestem z ciebie dumny. Pobiłaś na głowę Sama Coatesa i Clifforda Sloane'a, i wszystkich innych niedowiarków. Pan Murdock osobiście kazał mi przekazać najszczęsne gratulacje. Przy okazji pogratulował też mnie. Udało się nam, Marylko!

Zdała egzamin?! Poczwała ogarniającą ją falę emocji. Jakże bardzo by chciała móc podzielić się tą nowiną z matką! Żałowała, że potraktowała Janka tak ostro. Żałowała, że nie umie znaleźć słów, którymi mogłaby wyrazić wszystko, co czuje. Stała bez ruchu, nie będąc w stanie wydobyć słowa ze ściśniętego gardła, podczas gdy Janek się odwrócił, zszedł po schodkach ganku i zaczął się coraz bardziej oddalać, aż jego głowa osiągnęła rozmiar główki od szpilki. Kiedy zniknął w oddali za drewnianym mostkiem na strumyku, Maryla wzięła konwalie, włożyła je do dzbanka z wodą i pilnie się im przypatrywała, gdy z wolna podnosiły główki, podobne do małych gwiazdek.

Mniejsza o dzisiaj – pomyślała. – Tego, co zostało powiedziane, już nie da się cofnąć, lecz jutro nadejdzie nowy dzień. Czasu będzie dość, żeby wszystko naprawić.

## XIX

### Mieszkańcy Avonlea opracowują deklarację

– Jutro wieczorem organizują mityng w ratuszu – rzucił Mateusz zza płachty „Royal Gazette”.

Siedzieli w bawialni: ojciec przy tradycyjnej wieczornej szklaneczce whiskey, a Maryla z robótką. Pracowała nad swoją pierwszą narzutą z bawełnianej włóczki.

– Ano, słyszałem o tym – przyznał Hugon.

Na pierwszej stronie gazety widniał nagłówek: *Lord Durham w Charlottetown w imieniu Monarchii Brytyjskiej bada sprawę rebelii*. Każde miasteczko Górnej i Dolnej Kanady dostało polecenie przygotowania raportu dotyczącego politycznych zamieszek z zeszłego roku.

– Burmistrz Cromie obiecał zostać tak długo, jak będzie trzeba, żeby wysłuchać wszystkich opinii. Jeżeli przyjdzie więcej takich gadułów jak White’owie, może się okazać, że to będzie bardzo długi wieczór – powiedział Mateusz i zachichotał.

– Hm... Będą musieli się obejść beze mnie. – Hugon wstał i zaczął masować przykurcz ramienia.

Maryla martwiła się o ojca. Pracował ponad siły na farmie, a ostatnio jadał mniej niż zazwyczaj. Z początku myślała, że nie smakują mu przygotowywane przez nią posiłki, ale przecież gotowała wciąż tak samo od śmierci matki, więc to nie mogło być

przyczyną. W zeszłym roku ojciec całkowicie osiwił, a skóra na jego dłoniach stała się szorstka i pomarszczona. Wyglądał na o wiele starszego, niż był w rzeczywistości. Maryla przypuszczała, że to śmierć matki tak na niego wpłynęła – podobnie jak na nią. Rozmowa o tym na pewno nie przywróciłaby mu dawnego zdrowia, więc po prostu zostawiła sprawy ich własnemu biegowi, dokładała tylko ojcu dodatkowy kawałek masła do owsianki, którą zawsze jadł na śniadanie.

– Jak to? – Mateusz opuścił płachtę gazety. – Nie wybiera się ojciec na mityng?

Hugon pokręcił tylko głową.

– Nie wierzę w żadne debaty z opozycją. W końcu oni i tak zostaną przy swoim zdaniu, a my przy swoim. Jak dwa byki ciągnące za przeciwne końce związanych na supeł sznurów. To tylko mocniej zaciska węzeł. Polityka to zabawa dla młodych. Ja tam mam swoje trwałe i niezmiennie poglądy.

Maryla zmarszczyła czoło. Słowa ojca tchnęły pesymizmem, a ona, pomimo wrodzonego rozsądku, była w duchu optymistką.

– Jednak głos ojca miałby swój udział w całościowym podsumowaniu tego, co zadeklarują mieszkańcy naszego miasteczka i co spisze burmistrz Cromie. Ma zdać królowej Wiktorii raport na temat przekonań wszystkich jej poddanych, nie tylko tych, którzy będą uczestniczyć w mityngu – wtrąciła Maryla.

Jej przemyślana i zgrabnie wyrażona opinia zaskoczyła mężczyzn.

Od momentu zdania egzaminu podsumowującego lata nauki Maryla czuła rosnącą pewność siebie i gotowość korzystania ze swojej wiedzy nie tylko na polu obowiązków domowych. Została oceniona na równi ze swoimi kolegami ze szkoły – przyszłymi obywatelami Avonlea – i okazała się nie gorsza od nich, a nawet lepsza. W wiedzy tkwiła ogromna siła. Podobnie jak w silniku parowym: im aktywniej była używana, tym więcej wytwarzała

energii.

– Jeśli miałabyś chęć tam pójść, Marylko, to wy dwoje moglibyście reprezentować opinię rodziny Cuthbertów z Wyspy Świętego Edwarda i przekazać ją burmistrzowi – zaproponował Hugon. – Ja idę spać. Dobranoc, dzieci.

Oni również życzyli mu dobrej nocy.

Mateusz popatrzył na siostrę, unosząc brew w niemym zapytaniu.

– Albo mów, co ci chodzi po głowie, albo wracaj do czytania, a nie gap się na mnie bez sensu – prychnęła Maryla.

Mateusz złożył gazetę.

– Byłem dzisiaj u Blythe'ów i pomagałem panu Bellowi przeprowadzić parę krów, którą od nich kupił.

Farma Bellów graniczyła od zachodu z gruntami należącymi do Zielonego Wzgórza.

– Rozmawiałem przez dłuższą chwilę z Jankiem, kiedy tam byłem.

– No i?... – Maryla zaczęła szybciej przeciągać oczka w swojej robótce.

Brat odchrząknął kilka razy, ale zdawał się najpierw połykać słowa, zanim je w końcu z siebie wydusił:

– Będzie na jutrzejszym mityngu.

Powiedziawszy to, podniósł się i wyszedł na taras, głośno cmokając swoją fajeczkę.

Maryla nie widziała Janka od trzech tygodni, od dnia, w którym ogłoszono wyniki egzaminu. Za każdym razem, kiedy wracała z miasta, myślała o tym, żeby się zatrzymać u Blythe'ów, wynajdując dziesiątki powodów: od pożyczenia zakwasu na chleb do zwrócenia Jankowi jednej z pożyczonych od niego książek, z których razem się uczyli. Za każdym razem udzielała sobie reprimendy: przecież gdyby Janek chciał się z nią zobaczyć, dobrze wiedział, gdzie jej szukać. Młodej panie nie wypadało uganiać się za chłopcem, a ona zawzięła się, że mimo

iż zabrakło jej matki, która wyjaśniłaby, jak powinna zachowywać się dziewczyna, to jednak wyrośnie na osobę z zasadami.

Ucieszyła się z wiadomości, że Janek będzie na mityngu w ratuszu. Interesował ją bardziej niż którykolwiek z chłopców w Avonlea, oczywiście nie licząc Mateusza. Więzy krwi przede wszystkim. Jeśli nie uda się jej wytłumaczyć Jankowi, dlaczego zachowała się tak, jak się zachowała, może przynajmniej uda się pokazać, że już nie jest taka zła na niego. Tego wieczoru położyła się spać później niż zwykle, bo musiała wydziergać kolejny pas listków jabłoni i doszyć go do już gotowych. Może i nie miała tak zręcznych palców jak Małgorzata, lecz sprawiało jej ogromną satysfakcję, że robota szybko posuwa się do przodu.

W dniu poprzedzającym mityng zebrała się w końcu, żeby odpowiedzieć na list ciotki Izzy. Opisała w nim obmyślaną przez siebie szydełkową robótkę, bo był to temat, z którego obie mogły czerpać wiele przyjemności. Unikała natomiast tych, które mogły wywołać ból. Maryla doszła do wniosku, że to najlepszy sposób na rozpoczęcie korespondencji. Napisała również o egzaminie, o nadchodzącej wizycie lorda Durhama i o nowym cielaczkę ich krowy Delicji, któremu nadali imię Delka. Matka i córka na pierwszy rzut oka były nie do odróżnienia: miały identyczne umaszczenie. Na tym skończyła list, po czym zrobiła jeszcze dopisek na końcu: „Z wyrazami miłości, Maryla”, a potem nadała go na pocztę po drodze na mityng.

Pod budowę ratusza w Avonlea wybrano całkowicie nieodpowiednie miejsce, znajdujące się daleko od utwardzonego traktu, przy którym mieściły się pozostałe budynki należące do gminy. Otaczał go plac wiecznie pokryty błotem o konsystencji biszkoptowego ciasta nasączonego ponczem. Więzy w nim koła wozów i po ubrudzonych pojazdach i butach ich właścicieli można było rozpoznać, kto był w ratuszu. Pani White przy każdej rozmowie schodzącej na ratusz oburzała się, pokrzykując, że

„zawsze była katastrofalnie wręcz przeciwna” tej lokalizacji. Maryli wydawało się dziwne, że jakiś skrawek ziemi może wywoływać takie emocje.

Rodzina White’ów zasiadła w pierwszym rzędzie, a Blythe’owie za nimi. Małgorzata odwróciła się, żeby pomachać do Maryli, kiedy oboje z Mateuszem zajmowali miejsca na samym końcu zatłoczonej sali. Głowa Janka nawet nie drgnęła.

– Jesteśmy tutaj, by reprezentować naszą rodzinę – oświadczył Mateusz, rozumiejąc przez to milczący konserwatyzm.

Burmistrz Cromie zajął miejsce za biurkiem i mityng się rozpoczął. Zgromadzenie powoli przekształcało się ze spokojnej debaty w pełną pomruków niezadowolenia dysputę, aż wreszcie ojcowie rodzin zaczęli wznosić zaciśnięte pięści.

– Powinniśmy być wierni Bogu i ojczyźnie! – z uporem twierdził pan Murdock.

– Administratorzy w jedwabnych pończochach trzymają władzę nad zwykłymi obywatelami! – krzyknął pan Phillips. – Z całym szacunkiem, ale nie jest to takie proste, jak tylko „Bóg i ojczyzna”! Potrzebujemy odpowiedzialnego rządu!

– Co pan ma na myśli? Republikę jak Stany Ameryki? Co za wywrotowy pomysł! – zadrwił pan Sloane.

– Jeśli już jesteśmy przy tym, to owszem: tak! Torysi walczą o powrót starych sposobów sprawowania suwerennych rządów, lecz reformatorzy rozumieją skomplikowane problemy nowoczesnej polityki – kontynuował pan Phillips.

– Nie widzę nic skomplikowanego w stosowaniu się do nauk moralnych i zasad społeczności chrześcijańskiej – wypalił pan Murdock, doprowadzając panią White z pierwszego rzędu do białej gorączki.

– Jako chrześcijanka, należąca do tej społeczności, mam już dość torysów przypisujących sobie prawo własności do naszego Pana, Jezusa Chrystusa. To świętokradztwo!

– To jawna wina reformatorów! – zakpił ktoś.

Pani White podniosła się i wyprostowana jak struna najpierw obrzuciła cały tłum świdrującym wzrokiem, a potem spytała:

– Czy ten ktoś odważy się powtórzyć mi to prosto w oczy?

Pan White pociągnął ją w dół i posadził z powrotem na miejscu.

– Boże, chroń torysów, królową i Anglię! – krzyknął pan Blair.

– Boże, chroń reformatorów i cały naród Kanady! – odkrzyknął jeszcze głośniej pan Andrews.

Emocje były coraz silniejsze. Siedzieli jak na beczce prochu.

– Wolę umrzeć niż pozwolić torysom na opodatkowywanie mojej ziemi wedle ich uznania, na podnoszenie ceł na nasze zbiory i na rządenie nami tylko dlatego, że mają tytuły szlacheckie i pieniądze! Uważają nas za niewiele lepszych od robotników rolnych zatrudniających się do pracy na farmach i zbierających zarobione pieniądze do kuferków pod łóżkiem! – oburzał się pan Phillips.

– Jeśli ta dysputa nie przyniesie żadnego rozwiązania, trzeba będzie zastosować jakieś liberalne działania – dodała pani White.

– Wszyscy moi czterej synowie będą walczyć aż do śmierci, by wesprzeć rząd danej nam od Boga rodziny królewskiej – wołał pan King, który grał w kościele na organach. – Stare sposoby są stare nie bez powodu: jak biblijne przykazania po prostu zdają egzamin.

– Proszę o spokój! – zawołał burmistrz Cromie. – Proszę wszystkich o spokój!

Maryla siedziała obok brata z głową wciśniętą w ramiona. Jak nonszalancko niektórzy wypowiadali się o śmierci! Jej matka nie żyła. Serce biło tak samo u każdego człowieka, czy był torysem, czy reformatorem. Ci wszyscy ludzie wokół to byli jej sąsiedzi, ci wszyscy, którzy uczestniczyli w pogrzebie Klary i pomogli potem Cuthbertom stanąć na nogi. Teraz ci sami ludzie obrzucali się nawzajem nienawistnymi epitetami, opierając się na hasłach wykreowanych przez tych, którzy nigdy nie byli na Wyspie

Księcia Edwarda, którzy nie mieli pojęcia o tym, jak tu się żyje ani jak się żyło dawniej. Z doświadczenia Maryli wynikało, że nie ma żadnej kontroli nad tym, jak toczy się życie wokół niej: matka, Zielone Wzgórze, Janek, Avonlea... Suma strat stawała się nie do zniesienia.

Wstała, czując krew tak mocno pulsującą w skroniach, jakby ktoś grał w jej głowie na cymbałach.

– Chcę coś powiedzieć!

Cuthbertowie prawie nie prowadzili ze sobą rozmów prywatnie, a już tym bardziej nie udzielali się publicznie. Tłum przycichł. Wszystkie głowy zwróciły się ku niej, nawet Janka. Maryla przełknęła z trudem ślinę, lecz było już za późno, żeby się wycofać. Słowa same cisnęły się jej na usta.

– Ja... my... rodzina Cuthbertów... w zeszłym roku ponieśliśmy wielką stratę. Jestem bogobojną presbiterianką i lojalną obywatelką Korony. – Odetchnęła, żeby się uspokoić. – Zmiany na pewno przyjdą i do Avonlea. Niektóre na lepsze, niektóre na gorsze. Niektóre zdołamy ocenić, czy były dobre, czy złe, dopiero po długim czasie. Niektórych w ogóle nie dostrzeżemy. Nie mogę powiedzieć, że rozumiem, dlaczego Bóg postanowił zabrać moją matkę do siebie. To zmieniło całe moje życie. Patrzę teraz na świat zupełnie innymi oczami, oczami osoby dorosłej. Widzę słońce o poranku i jestem wdzięczna ludziom, którzy żyją w jego promieniach. Wy, sąsiedzi, przyjaciele, rodzinie – wy zostaliście wśród żywych. Z tego, co widzę, możemy się nie zgadzać w wielu kwestiach, lecz musimy znaleźć sposób, by żyć w pokoju. Czy torysi, czy reformatorzy – jesteśmy przede wszystkim obywatelami naszego Avonlea! Musimy wypracować jakiś kompromis ze względu na dobro naszego miasta i wszystkich jego mieszkańców. Jak w boskich przykazaniach, gdzie najważniejszym zaleceniem jest kochać bliźniego swego, prawda? Te właśnie słowa czytuje mój ojciec z Biblii, w to wierzyła moja matka!

Opadła na ławkę, zasłaniając usta ręką. Wstrząsnęło nią echo jej własnych słów, rozchodzące się jeszcze po sali.

Pierwszym, który wstał i zaczął klaskać, był Janek. Usta Maryli drżały.

Powszechny aplauz zjednoczył zebranych, rozbrzmiewając w całym ratuszu. Ludzie tupali nogami i wołali:

– Słuchajcie jej! Słuchajcie!

Mateusz patrzył na siostrę, osłupiały z wrażenia.

Chciała teraz tylko, żeby burmistrz Cromie uporał się jak najszybciej ze swoim oficjalnym zadaniem.

– No co? Powiedziałam tylko to, co myślę – szepnęła do Mateusza.

– I jeszcze więcej – odrzekł jej brat.

W ratuszu zrobiło się zbyt duszno. Przed oczami Maryli zaczęły latać szare płatki. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

– Potrzebuję świeżego powietrza.

Wyszła po cichu tylnymi drzwiami, podczas gdy protokolant spisywał oficjalne oświadczenie pod dyktando burmistrza Cromiego.

Łubiny i czerwcowe dzwoneczki stały w pełni rozkwitu. Ich słodki miodowy zapach czuło się wszędzie nawet w nocy. Od pobliskich stawów niosła się pieśń żab i ginęła gdzieś pod ciemnogramatowym niebem migoczącym punkcikami gwiazd. Odległy las stanowił jedynie ciemniejszą plamę w nocnym pejzażu, z Zielonym Wzgórzem ukrytym za kolejnym pagórkem pomiędzy lasem a miastem. Maryla zamknęła oczy i głęboko wciągnęła haust powietrza przesyconego zapachem pól uśpionej koniczyny i balsamicznych jodeł.

– „Siadać po skałach, dumać nad przepaścią, zaszywać w bór się ciemny a głęboki, w strefy, gdzie człowiek nie sięga swą własnością, gdzie śmiertelników nie dotarły kroki...” – wyszeptała. Lubiła lorda Byrona, mimo że wielu nazywało go poganinem i człowiekiem nieokrzesanym.

– „Lecz wśród krzykliwych, rojnych tłumów ludzi czuć, słyszeć, patrzeć, posiadać, używać...”[16] – dopowiedział ciąg dalszy wiersza Janek.

Wyszedł za nią z ratusza i stał teraz oparty plecami o ścianę.

– Od Szekspira do Byrona... Jestem pod wrażeniem! – Maryla uśmiechnęła się na jego widok.

Janek zrobił krok w jej stronę, a światło księżyca podświetliło linie zmarszczek mimicznych na jego policzkach, ślad po ospie na skroni i każdy kędzior jego bujnych włosów.

– Nie powiedziałbym, żeby urywek z poematu Byrona, znany jako wiersz *Samotność*, należał do moich ulubionych. Wolę *Gdy stąpa, piękna*[17] – rzekł, a Maryla spiekła raka, rada z panujących wokół ciemności.

– Wybór jest prosty – odpowiedziała szybko. – Ja osobiście lubię mniej znane wiersze. Ich blasku nie zatarło zbyt częste używanie.

Janek się zaśmiał i wziął ją za rękę, a ona nie zaprotestowała.

– Podobało mi się to, co powiedziałaś tam, w środku.

– Kiedy zadałeś mi pytanie w Agorze, nie dałeś mi czasu, żebym się mogła zastanowić nad odpowiedzią. Musiałam pewne rzeczy przemyśleć, żeby wyrobić sobie zdanie na ten temat.

– Mądrze, lecz nie zawsze mamy na to czas. Zdarza się, że trzeba działać emocjonalnie.

Jego kamizelka pachniała tytoniem, usta – miętą.

– Nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy o...

– Wiem – przerwała mu. Nie było sensu wracać do przeszłości. Nie można było jej cofnąć. Istniało tylko tu i teraz, z szybko nadchodzącym dniem jutrzejszym. – Przepraszam, Janku, za moje zachowanie. Nie chciałam być taka... – zimna, okrutna, zła, zraniona, przerażona... – taka, jak byłam.

Czasem nawet po dogłębnym przemyśleniu sprawy wciąż nie umiała znaleźć odpowiedniego określenia.

Janek dotknął jej policzka i spojrzał w oczy.

Nagle drzwi ratusza się otworzyły i ze środka wylało się światło i odgłosy debaty.

– Marylko?

Odskoczyli od siebie.

– Marylko? – powtórzyła pani Blair. – O! Tu jesteś! – Zauważywszy Janka, odchrząknęła znacząco. – Jak widzę, młody pan Blythe odnalazł cię pierwszy. No cóż, mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zabiorę ją na chwilkę. Mam pewną propozycję.

Janek uchylił czapki.

– Do zobaczenia wkrótce! – powiedział i skłonił się Maryli.

Skinęła mu głową na pożegnanie i patrzyła za nim, gdy zniknął w ciemności.

Pani Blair wzięła ją pod rękę z zażyłością, której dziewczyna się nie spodziewała po surowej właścicielce sklepu.

– Mieszkanki Avonlea rozważają utworzenie Towarzystwa Dobroczynności Pań, które nie miałyby żadnych powiązań z jakąkolwiek instytucją kościelną czy partią polityczną. Obecnie mamy kilka działających niezależnie grup, od prezbiteriańskiej szkółki niedzielnej przez misje prowadzone przez siostry zakonne, po działające nieomal wszędzie małe kółka robótek ręcznych, a i to jeszcze nie wszystko. Jest wiele pomniejszych grup zbierających fundusze na pomoc dla potrzebujących. O wiele lepiej będziemy mogły pomagać ubogim oraz tym, którym się w życiu nie powiodło, jeśli się połączymy. Towarzystwo Dobroczynności Pań z Avonlea poprowadzi nas razem ku wspanialszemu Avonlea – jak to słusznie ujęłaś na mityngu. Powinna nim kierować osoba, która umie tak pociągnąć tłum za sobą jak ty.

Maryla potrząsnęła głową. Szkołkę niedzielną oraz kółko robótek ręcznych prowadziła pani White. Dziewczynie nie wypadało przejąć stanowiska, które zajmowała starsza od niej kobieta. Maryla wprawdzie nie zgadzała się z poglądami

politycznymi White'ów, lecz równocześnie pozostawała lojalna wobec Małgorzaty i jej rodziny, którzy zawsze zachowywali się wobec niej tak przyjaźnie.

– Dziękuję bardzo, pani Blair, ale sądzę, że pani White jest zdecydowanie lepszą kandydatką na to stanowisko.

– Eugenia White może sprawować nadzór nad swoimi małymi stadkami, lecz my potrzebujemy kogoś młodego, pełnego zapału.

– Dobrze to powiedziałaś, Marylko, tam, w ratuszu! – powiedział pan Blair, który właśnie podszedł do żony.

Zgromadzeni zaczęli powoli opuszczać salę zebrań. Znajomi dobierali się w kilkusobowe grupki i, dyskutując, wolno zmierzali ku swoim domom. Gwar ich rozmów roznosiły po okolicy podmuchy słabego wiatru od morza.

– Musimy już iść – rzekł pan Blair – ale mam nadzieję, że twoja odpowiedź będzie pozytywna.

Mateusz wyszedł jako ostatni i stanął w kręgu słabego światła rzucanego przez latarnie na budynku. Trzymał ręce w kieszeniach, a kaszkiet nasunął głęboko na oczy, więc Maryla nie mogła rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Podeszła do niego, a kiedy w końcu ją dostrzegł, uśmiechnął się nieśmiało. Podał jej ramię, więc wzięła go pod rękę.

– Jestem z ciebie dumny – oznajmił.

– Mam wrażenie, że udało mi się przełamać klątwę rzuconą na języki Cuthbertów.

Pokiwał głową z niekłamany podziwem.

– Jeśli komuś miało się to udać, to tylko tobie, Marylko!

Ścisnęła go porozumiewawczo za rękę. Tak dobrze się to wszystko poukładało – ta cała chwila... Maryla czuła się tak, jakby przebudziła się z ciemności w kojącym świetle księżyca.

– Wracajmy do domu, na nasze Zielone Wzgórze! – powiedziała zdecydowanie i poszli przed siebie, ramię w ramię, w całkowitym milczeniu.

---

16 Oba cytaty – z poematu George’a Byrona *Wędrówki Childe Harolda, Pieśń II, XXV* (pierwszy) i *XXVI* (drugi), w przekładzie Jana Kasprowicza, ze zbioru *Poemata*, S. Lewental, 1895.

17 Tytuł wiersza *She Walks in Beauty* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

## XX

# Pierwsze głosowanie Towarzystwa Dobroczynności Pań

Nadszedł czerwiec, zalewając ziemię żarem słonecznych promieni. Mieszkańcy Avonlea wylegli z domów, wypijając wszystko, co się nadawało do picia, jak wysuszeni z pragnienia rozbitkowie na bezludnej wyspie.

Pierwsze zebranie Towarzystwa Dobroczynności Pań miało miejsce na Zielonym Wzgórzu. Maryla nigdy dotąd nie miała okazji być gospodynią tak wielkiego zgromadzenia. Musiała pożyczyć krzesła od pani White, która udostępniła jej swój nowy komplet z jadalni. Wszystkim plotkarzom ten gest zamknął usta. W takiej sytuacji nawet nie wypadało wysnuwać podejrzeń, że pani White żywi urazę, iż to nie ją poproszono o kierowanie nowym stowarzyszeniem. Jednakże Małgorzata powiedziała Maryli w tajemnicy, że kiedy pani Blair przekazała matce informację o nominacji, skrzywiła się okropnie i o mało nie wybuchła, lecz że pani Patterson również przystała na ten wybór, pani White nie śmiała powiedzieć słowa przeciw postanowieniu pastarowej. Przełknęła rozczarowanie i orzekła, że z przyjemnością zostanie mentorką Maryli w kwestii tajników zarządzania zespołem pań zajmujących się pomocą charytatywną. Tak więc, wzięwszy Marylę pod swoje skrzydła, wywiązała się z danego przez siebie słowa. Maryla była jej

bardzo wdzięczna.

Mateusz przywiózł pożyczone krzesła wozem i pomógł siostrze ustawić je w okrąg, zgodnie z sugestią pani White.

– W ten sposób żadna z pań nie będzie mieć pretensji, że ktoś jest przed nią albo za nią. Wszystkie członkinie są sobie równe, jak ci, którzy zasiadali przy okrągłym stole króla Artura – wyjaśniła.

Maryla robiła, co mogła, ale bawialnia na Zielonym Wzgórzu była prostokątna, więc wyszedł jej raczej owal niż okrąg, a że w dodatku musiała go dostosować do umeblowania pokoju, w efekcie uzyskała zarys krzywego sadzonego jaja. Wyjęła z kredensu najlepszy serwis Cuthbertów do herbaty z wzorkiem w pączki róż i zaparzyła cztery imbryki herbaty darjeeling. Cieszyło ją, że jest lato, więc panie na pewno nie będą miały nic przeciwko picciu naparu o temperaturze pokojowej. Poprzedniego dnia upiekła ciasto waniliowe i przełożyła je kremem. Na wierzch nałożyła grubą na dwa palce kremową warstwę. Wszystko było gotowe.

W swoim pokoju na poddaszu przebrała się w starą amarylisową suknię. Minął już ponad rok, odkąd nie odważyła się wyjąć jej z szafy. Rozważała, czy nie spakować jej na zawsze do kufra matki, ale nie miała drugiej tak eleganckiej letniej sukni. Kupowanie materiału i szycie nowej zdało się jej marnowaniem czasu i pieniędzy, skoro tę miała na sobie tylko raz. Poza tym ciotka Izzy podarowała na nią tak piękny materiał, no i była też szyta ręką matki... Grzechem byłoby już nigdy jej nie włożyć.

Wciąż pachniała dzikimi liliami i koniczyną, przez które Maryla biegła razem z Jankiem. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy poczuła, że materiał zachował w sobie właśnie to wspomnienie, a nie te z ostatnich chwil: jodyny, octu i krwi. Zwinęła włosy w luźny kok z tyłu głowy i przypięła na sercu ametystową broszkę matki. Migotała, jakby uwięzione w niej było światło księżyca. Dodawała Maryli odwagi.

Panie z Avonlea zaczęły przychodzić wraz z wybiciem zwyczajowej godziny popołudniowej herbatki. Pani White, rzecz oczywista, zjawiała się pierwsza, a zaraz po niej większość pań z kółka robótek ręcznych. Pani Patterson i pani Blair przyszły w towarzystwie innych pań ze szkółki niedzielnej. Panie Sloane, Gray i Barry przyprowadziły swoje córki: matki i córki szły dwójkami, jedna za drugą, jakby dom na Zielonym Wzgórzu był bez mała Arką Noego. Maryla witała je wszystkie najuprzejmiej, jak umiała, wyobrażając sobie, że to damy dworu gromadzące się wokół królowej Wiktorii – jedynie pięć lat od niej starszej – która za chwilę ma zostać ukoronowana. Ostatnio gazety pełne były artykułów na temat lorda Durhama i królewskiego dworu. Pisano w nich, że szpiedzy są wszędzie, robią notatki i wysyłają informacje do Anglii, ażeby lord Durham mógł je skompilować i spisać raport z propozycjami, jak rozwiązać sytuację wśród skłóconych mieszkańców Kanady. Angielskie prawo mówiło jasno: zbrojne wystąpienie przeciwko własnemu narodowi to bunt. Podżegacze i jego uczestnicy muszą być powieszeni. Jednakże, co robić, jeśli wszyscy w koloniach byli winni? Mieszkańcy Avonlea, słysząc o tym, zajęli się na wszelki wypadek polerowaniem łyżeczek i chodzeniem na nabożeństwa do kościoła z niezwykłą werwą. Nawet tak zadeklarowani reformatorzy jak rodzina White'ów jeździli po mieście z wypolerowanymi do połysku kołami powozów, uśmiechając się i machając na powitanie do sąsiadów torysów, gdy przejeżdżali obok ich domów.

To poprawne zachowanie było tylko chwilową maskaradą. Krążyły plotki, że Agora podwoiła liczbę członków, a opuścił ją jedynie Mateusz Cuthbert, który w ogóle przestał uczestniczyć w jakichkolwiek zebraniach politycznych. Za dużo miał pracy na farmie, a poza tym uważał, że Maryla wypowiedziała się w imieniu wszystkich Cuthbertów na ostatnim mityngu w ratuszu i to wystarczy.

Ze swej strony Maryla była zadowolona, że może działać razem z innymi kobietami z Avonlea, podczas gdy mężczyźni pozostawali w niezgodzie.

– „Całość to więcej niż suma jej składników” – zacytowała Arystotelesa, inaugurując pierwsze zebranie Towarzystwa, upewniwszy się zawczasu, czy wszystkie panie piją herbatę i mają ciasto w ustach, co nie pozostawiało im wyboru: musiały skinąć głowami na zgodę.

Pani Blair dostarczyła jej wcześniej regulamin Towarzystwa Dobroczyńności Pań oraz książkę z zasadami dobrych manier, w tym prowadzenia spotkań towarzyskich. Maryla rozpoczęła rządy od powołania swojej tymczasowej zastępczyni, a także sekretarki i skarbniczki. Gdyby którakolwiek z pań, które zgłosiły się na te stanowiska, nie dała rady z jakiegoś powodu wykonywać swoich obowiązków, w każdej chwili mogła zrezygnować i przyjąć inne, oczywiście za zgodą całej grupy. Wszystkie wydawały się zadowolone z tego pomysłu i zrobiły sobie przerwę, by ponownie napełnić filiżanki.

– Chciałabym zostać twoją zastępczynią, kiedy pani Barry będzie miała już dość – stwierdziła potem Małgorzata. – To straszna zrzęda. Nie wiem, jak możesz z nią wytrzymać!

Gdy pani Barry zgłosiła swoją kandydaturę na to stanowisko, okazało się, że nie ma więcej chętnych. Główną przyczynę stanowił jej zgryźliwy charakter. Koniec końców Maryla doceniła szorstką naturę tej kobiety. Przynajmniej nigdy nie musiała się zastanawiać, co ona tak naprawdę myśli: żadnych pustych pogaduszek, żadnych nieszczerých uśmiezków. Była taka, jaka była, i zawsze miała zdanie na każdy temat, a ta cecha budziła podziw Maryli.

– Na następnym zebraniu zaserwuję nasze wino porzeczkowe. To trochę ułagodzi jej ostry język – zażartowała.

Małgorzata zachichotała i zjadła kremową różyczkę z drugiego kawałka ciasta.

Następnym punktem spotkania było głosowanie mające na celu ustalenie pierwszego przedsięwzięcia w ich dobroczynnej działalności. Skoro wiele z obecnych tu pań było zaangażowanych w działalność szkoły niedzielnej, Maryla pomyślała, że to dobry moment, by przywołać temat chust dla sierocińca. Szydełkowały je, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, jednakże po wizycie u sierot z Hopetown Maryla zrozumiała, że gra szła tam o znacznie wyższą stawkę niż tylko ochrona przed wiosennym chłodem. Włóczkowe chusty niewiele mogły pomóc na pusty żołądek, gorączkę czy zapewnienie wolności byłym niewolnikom. Siostry miłosierdzia potrzebowały darów w postaci jedzenia, lekarstw i – o tak! – pomocy przy załatwianiu dokumentów i finansowaniu biletów kolejowych dla zbiegów. Myślała o tym już od dłuższego czasu i w końcu podjęła decyzję: jeśli dobry Bóg powierzył jej zwierzchnictwo nad Towarzystwem Dobroczynności, powinna się nim posłużyć, w dodatku z zachowaniem mądrości króla Salomona, do zdobywania funduszy na powyższe cele.

– A teraz kilka słów odnośnie do pierwszego punktu porządku obrad naszego Towarzystwa Dobroczynności Pań. – Maryla odchrząknęła. – Wszystkie znamy siostry miłosierdzia z Hopetown i wiemy, jakiego ogromu pracy wymaga opieka nad sierotami. Skoro szkoła niedzielna i kółko robótek ręcznych tak hojnie obdarzają je odzieżą, sądzę, że nasze Towarzystwo mogłoby pozyskać środki na zaspokajanie innych potrzeb.

Kilka kobiet zaczęło chrząkać i sapać z wyraźnym niezadowoleniem. Nie spodobało im się takie mówienie wprost o pieniądzach. O żywej gotówce mówiły chętnie tylko wtedy, kiedy same mogły się pochwalić tym, ile kosztowały ich nowe porcelanowe filiżanki czy sosjerki.

Maryla jednak się nie poddawała.

– Nie mam wątpliwości, że wszystkie tu obecne panie w dobroci swych serc i z własnej nieprzymuszonej woli chętnie

by wspomogły nasz fundusz, sędzę jednak, że mogłybyśmy uzyskać środki pieniężne, stawiając kramik naszego towarzystwa na cotygodniowym targu w Avonlea. Wszystko, co będziemy tam sprzedawać, zrobimy same, a uzyskane środki posłużą do wsparcia celów dobroczynnych tutaj i poza naszym miasteczkiem.

– A co miałybyśmy według ciebie tam sprzedawać? – zapytała z przekąsem pani Barry, rozzuchwalona już swoim tytułem zastępczyni.

To również Maryla dokładnie przemyślała.

– Napój malinowy – oznajmiła, na co wszystkie panie równocześnie zaczęły komentować ten pomysł.

Jakiś czas temu Janek wspomniał Mateuszowi, że ich malinowy zagajnik jest zmorą farmy Blythe'ów. Nie nadążali z wycinaniem rozrastających się krzaków, a ich kolczasta gęstwina stała się schronieniem dla wszystkich wron z wyspy. Maryla była przekonana, że Blythe'owie na pewno nie będą mieli nic przeciwko, jeśli panie wyzbierają maliny. Miała nadzieję, że pani Blythe pojawi się na zebraniu Towarzystwa i będą mogły poprosić ją o pozwolenie, lecz matka Janka miała już sześćdziesiąt lat i sił starczało jej tylko na pracę w szkółce niedzielnej. Janek przyszedł na świat bardzo późno. Jego rodzice mieli jeszcze jedno dziecko, córkę, która zmarła na tyfus w wieku jedenastu lat. Narodziny Janka stały się nieoczekiwanym lekarstwem na ich smutki, a on z kolei był im bardzo oddany.

– Blythe'owie mają maliny, a my mamy przepis. To łatwy do przyrządzenia produkt w przystępnej cenie. Na pewno wielu spragnionych klientów targu z chęcią go kupi. Wszystkie pieniądze ze sprzedaży zostaną przeznaczone na sierociniec po odjęciu kosztu cukru i butelek. Każda członkini Towarzystwa dostanie partię malin do przyrządzenia swojego soku. Ja sama porozmawiam z Blythe'ami na temat ich maliniaka. Czy możemy poddać to pod głosowanie?

Zagłosowały. Uzyskano jednomyślną zgodę.

Na odchodnym wszystkie panie chwaliły Marylę.

– Świetna robota! – powiedziała pani White. – Twoja matka byłaby z ciebie dumna, Marylko.

– Ciasto było doskonałe! – zapewniła Małgorzata i cmoknęła przyjaciółkę w policzek.

– Wiedziałam, że będziesz idealną kandydatką! – zachwyciła się pani Blair.

Maryla była bardzo zadowolona z tak sprawnego przebiegu zebrania. Porozumiewawcze mrugnięcia ametystów na piersi przypominały, że nie jest sama. Stał przy niej jej anioł stróż.

Kiedy ostatnia z pań wyszła, Maryla przebrała się w codzienną sukienkę, zmyła naczynia, zamiotła podłogę bawialni z okruchów ciasta i przyrządziła potrawkę ze stynkami na kolację. Potem odwiesiła fartuch na haczyk i wyruszyła przed siebie klonową aleją, dalej przez iglasty las i przez kwitnącą fioletowo łąkę aż do stawu, w którym, jak wiedziała, Janek codziennie przed zapadnięciem zmroku poił stado bydła. Na odgłos jej kroków z przybrzeżnych pałek wodnych zrywały się ważki i przygotowujące się do snu kaczki. Już z daleka Maryla zauważyła nad lśniąca taflą jeziora zgrabną i wysoką sylwetkę Janka.

– O! Kogo ja widzę! – ucieszył się chłopak. – Witaj!

– Witaj, Janku!

– Przechodziłaś tędy przypadkiem?

Wiedział, że musiała tu przyjść specjalnie. Miasteczko było na północ, a dom Blythe'ów na zachód od jeziora.

– Przyszłam zobaczyć się z pewnym mężczyzną w sprawie malin.

– W sprawie malin? – powtórzył zdziwiony. – Znam jednego, który miałby trochę.

– Myślę, że znamy tę samą osobę.

Krowy same ruszyły w stronę obory. Po ugaszeniu pragnienia

brakowało im już do szczęścia tylko kiszonki, którą dostawały na kolację.

– Masz ochotę się przejść? – Janek podał Maryli ramię.

Nie wahała się ani chwili. W końcu przyszła tu w sprawie Towarzystwa Dobroczynności, więc gdyby ktoś od Barrych, White'ów, Blairów czy jakikolwiek inny mieszkaniec Avonlea napotkał ich idących z wolna pod rękę przez pola kwitnących jaskrów, Maryla miałaby wytłumaczenie. Na pewno nie mogliby zauważyć jego ręki, przykrywającej jej dłoń, ani poczuć, jak jego kciuk zatacza powolne kółka na wewnętrznej stronie jej nadgarstka.

## XXI

### Sekrety przy soku malinowym

Tak więc wszystko zostało uzgodnione i w następnym tygodniu członkinie Towarzystwa Dobroczynności zebrały się na farmie Blythe'ów. Po dwóch godzinach ich koszyki były pełne. Oskubały do czysta malinowe zarośla ku zmartwieniu wron, które obsiadły okoliczne brzozy i kracząc, wyrażały niezadowolenie.

Tamtej niedzieli po nabożeństwie Małgorzata przyszła na Zielone Wzgórze ze swoją partią malin i butelek.

Pani White była przekonana, że zapadła na żółtą febrę, choć doktor Spencer stwierdził u niej jedynie lekkie przeziębienie. Położyła się natychmiast do łóżka z kompresem na głowie i lusterkiem w rękę, w którym co chwila sprawdzała, czy jej skóra już zmienia kolor. Cały dom został poddany kwarantannie, a każda łyżeczka wyszorowana mydłem i wyparzona wrzątkiem.

– Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby moje jedyne dziecko zaraziło się ode mnie tą straszną chorobą! – oświadczyła mężowi, który zgodził się, żeby Małgorzata spędziła cały dzień na Zielonym Wzgórzu, byleby tylko uspokoić rozhisteryzowaną żonę.

– Nigdy za wiele ostrożności! – orzekła Małgorzata. – Jednego dnia łapiesz katar i... ciach!... następnego dnia leżysz w grobie.

Przypomniawszy sobie, że znajduje się u Cuthbertów, ugryzła się w język.

– O rety! Tak mi przykro, Marylko! Zawsze gadam, co mi ślina

na język przyniesie. Matka powiada, że to moja pięta achillesowa.

Jeszcze rok temu takie słowa pewnie mocno by Marylę zaboląły, lecz teraz, jak młode drzewko wiśni przy domu, obrosła nową, mocną warstwą kory. Czuła się o wiele wytrzymałsza.

– Och, Małgorzato! Mówisz tylko prawdę! Za to nie trzeba przeproszać.

Maryla stała przy płycie kuchennej i rozgniatała maliny z cukrem.

Małgorzata wzięła do ręki cytrynę i zaczęła ją toczyć i uciskać, żeby puściła sok.

– Zagrajmy może w dwadzieścia pytań, skoro już siedzimy w kuchni przy garnkach. Ja zacznę. Mam pewien sekret.

Maryla zwykle nie miała ochoty na zabawy proponowane przez Małgorzatę, lecz lato było tak urocze: lekka bryza bawiła się zasłonkami w oknach, zalane słońcem pola połyskiwały z oddali jak wody zatoki, a zapach malin wypełniał słodczą całą kuchnię. Czemu nie ulec choć raz zachciance Małgorzaty, skoro razem gotują i mieszają? Szczególnie że to nie Maryli sekret miał zostać wydobyty na światło dzienne.

– Czy to jest miejsce? – spytała.

– Nie.

– Rzecz?

– Nie.

– Osoba.

– Tak! – Małgorzata przełożyła cytrynę do drugiej ręki.

– Hmm... – Maryla zamyśliła się i postawiła czajnik z wodą na fajercie. – Czy ten ktoś mieszka w Avonlea?

– Nie.

– Czy to ktoś z Carmody?

– Nie.

– Z Białych Piasków?

– Nie!

– Hm! Skąd znam tę osobę?

– Tylko pytania z odpowiedzią tak lub nie.

– Dobrze! – Maryla ciężko westchnęła. – Czy znam tę osobę?

– Nie.

– Jak, na litość boską, mam odgadnąć, kogo masz na myśli, Małgorzato, skoro nie znam tej osoby?

Małgorzata zmarszczyła czoło w zamyśleniu i zaczęła postukiwać palcem wskazującym w brodę.

– O tym nie pomyślałam – przyznała w końcu.

Maryla pokręciła głową. Choć Małgorzata miała wiele talentów manualnych, bystrością umysłu nie grzeszyła.

– Zabawa w dwadzieścia pytań nam nie pomoże, więc zbierz się w sobie i opowiadaj.

Małgorzacie przypadło do gustu takie rozwiązanie.

– Mam narzeczonego! No, prawie – oznajmiła.

– Małgorzato White! – Maryla wykonała błyskawiczny obrót na pięcie.

– To tajemnica. Na wieść o tym matka dostałaby napadu furii. – Małgorzata zachichotała. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że mi się to w końcu przytrafiło! I on nie jest z Avonlea. Mieszka w Spencervale.

– Ależ z was Romeo i Julia!

– Poznałam go, kiedy wracaliśmy z wizyty u naszych dawnych sąsiadów w East Grafton kilka miesięcy temu. Przeszła wtedy ta straszna burza i zalała wszystkie drogi, pamiętasz? No więc musieliśmy się zatrzymać i spędzić noc właśnie w Spencervale. Przyjaciele mojego ojca, pan Linde i jego żona, zaoferowali nam swój wolny pokój. Przy kolacji poznałam ich dwie córki i najstarszego syna, Tomasza.

Na samo jego wspomnienie Małgorzata się zarumieniła. Woda w czajniku zawrzała i Maryla odstawiła go z fajerki na skraj płyty.

– Od tamtego czasu wciąż się widujemy. On przyjeżdża tutaj,

żeby się ze mną spotkać. Jest cztery lata starszy ode mnie. Rodzice powiedzieli wyraźnie, że nie mogę wyjść za mąż, dopóki nie skończę osiemnastu lat. Tomasz jest honorowym człowiekiem i czuje się w obowiązku poczekać. Mówi, że do tego czasu zarobi odpowiednią sumę na kupno farmy w Avonlea. Pragnie być finansowo niezależny, kiedy mi się oficjalnie oświadczy. Jego rodzina nie ma gór pieniędzy... ale aż tak bardzo mi na tym nie zależy. Jest miły, pobożny i całkiem przystojny, a to więcej, niż dostaje większość panien. Małgorzata Linde... – rozmarzyła się. – A do tego jeszcze całkiem ładny pierścionek. Co o tym sądzisz?

Maryli odjęło mowę ze zdumienia. Po pierwsze dlatego, że Małgorzacie udało się tak długo utrzymać to w tajemnicy, a po drugie, że przejście od narzeczonego do męża zajęło przyjaciółce mniej czasu, niż potrzeba było na przyrządzenie napoju z malin.

– Małżeństwo?! – wykrztusiła w końcu.

– Oczywiście. – Małgorzata z entuzjazmem pokiwała głową. – U dziewcząt w naszym wieku to chyba zupełnie naturalne. – Wzruszyła ramionami. – Poczekaś zbyt długo i ani się obejrzyś, a już nikt cię nie zechce. No i skończysz jako stara panna.

Maryla ściągnęła brwi, zamyślona.

– Po prostu nigdy jeszcze o tym nie myślałam – wyjaśniła.

– Nigdy o tym nie myślałaś? – Tym razem to Małgorzata zrobiła zdziwioną minę. – Dlaczego, Marylo Cuthbert? Doskonale wiesz, że Janek Blythe kocha się w tobie na zabój!

Marylę oblał zimny pot. Małgorzata niczego nie zauważyła, zajęta szukaniem ostrego noża do rozcięcia cytryny, żeby wycisnąć z niej sok.

– Matka zaręczyła się z ojcem, kiedy miała szesnaście lat – podjęła. – Nam do tego wieku brakuje tylko roku, plus minus parę miesięcy. To chyba oczywiste, że Janek w końcu poprosi cię, żebyś za niego wyszła, a potem przeprowadzisz się na farmę Blythe'ów i będziemy sąsiadkami. Stamtąd będziesz miała

o wiele bliżej do Avonlea niż z Zielonego Wzgórza.

Tylko dzięki cierpkiemu cytrusowemu zapachowi Maryli nie zaczęło się kręcić w głowie. Opuścić Zielone Wzgórze?

– Nie! – rzekła takim tonem, że Małgorzata aż się wzdrygnęła.  
– Nie opuszczę Zielonego Wzgórza! Ani teraz, ani nigdy! Obiecałam to mojej matce.

Wzięła od przyjaciółki miseczkę soku z cytryny i wlała ją do garnka z rozgniecionymi malinami, potem wszystko wymieszała i dokładnie przecedziła, żeby w soku nie pozostała ani jedna pesteczka. Małgorzata bez słowa pomogła Maryli wlać sok do garnka z wrzątkiem, a potem rozlały wszystko przez lejek do butelek. Małgorzata była niezwykle milcząca, więc Maryla domyśliła się, że uraziła jej uczucia.

– Przepraszam! – powiedziała pojednawczo podczas układania zakorkowanych butelek napoju w koszyku Małgorzaty. – Nie powinnam być tak samolubna. Przecież to wszystko nie dotyczyło ani mnie, ani kogokolwiek innego, lecz ciebie i Tomasza. Naprawdę bardzo się cieszę twoim szczęściem, Małgorzato!

– Myślę, że mój Tomasz ci się spodoba. On też woli słuchać niż mówić, tak samo jak ty. – Małgorzata objęła przyjaciółkę na pożegnanie, a potem podniosła koszyk. – Przekaż Mateuszowi i twojemu ojcu pozdrowienia ode mnie. Do zobaczenia!

– Do zobaczenia!

Małgorzata oddalała się wolnym krokiem połą drogą. Maryla pomyślała sobie, że przyjaciółkę z wysoko upiętymi włosami pod słomkowym kapeluszem łatwo można było wziąć za którąś z pań należących do Towarzystwa Dobroczynności. Nagle poczuła ogarniające ją przerażenie. Kiedy przestały splatać włosy w warkocze? Dorosły tak cicho i szybko, jak pączki liści na gałęziach drzewa. Zaczęła się przyglądać swojemu niewyraźnemu odbiciu w okiennej szybie. Choćby nie wiem jak się wpatrywała w swoją twarz, nijak nie mogła tam dojrzeć

spoglądającej na nią mężatki. Widziała tylko siebie – Marylę.

\*

Otwarcie stoiska Towarzystwa Dobroczynności Pań okazało się sukcesem. Ocieniły je od frontu markizą w biało-różowe pasy, podobne w kolorze do napoju z malin. Ze stu butelek sprzedały dziewięćdziesiąt osiem po pięć pensów każda, co razem dało ponad dwa funty, a to upoważniło je do ogłoszenia nadzwyczajnego sukcesu zbiórki funduszy charytatywnych. Wiele z kobiet wracało przez farmę Blythe'ów, by zebrać dojrzałe maliny na następny tydzień. Maryla zabrała dwie ostatnie butelki do domu z myślą, że poczęstuje Janka. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Towarzystwo Dobroczynności nic by nie zarobiło bez jego wspaniałomyślności. Obiecała w podziękowaniu zaprosić go na piknik.

Następnego dnia poszli razem za budynek gospodarczy Zielonego Wzgórza, gdzie w trawy wplątane były kiście kwiatów ogórecznika, a wzdłuż linii lasu rosły szkarłatki o fioletowo-różowych pędach i drobnych białych kwiatach, przesycając powietrze swoim przedziwnym zapachem. Tam rozsiedli się na pniu powalonego klonu i popijali napój z butelek przez słomki z łądyg żyta, które przełamywały słodycz napoju ostrym posmakiem trzciny. Maryla opowiedziała mu o malinowym sukcesie towarzystwa, a on z kolei przekazał wyrazy wdzięczności od rodziców za przegonienie stada wron.

– Przedsięwzięcie przyniosło obustronne korzyści – orzekł Janek. – Bardzo mądrze to wymyśliłaś! Czy mogę cię prosić o rękę? – Wstał.

Prosić o rękę?! Zdrętwiała. Zaczęła nerwowo popijać napój. Upał i słodki płyn rozmoczyły łądyżkę i palce Maryli zrobiły się lepkie od soku.

– ...Pomogę ci wstać – dokończył Janek.

– P-posiedzmy jeszcze chwilę – wydukała Maryla. – Wszystkie panie są niezmiernie zobowiązane tobie i twoim rodzicom.

Potarła dłonie o siebie, chcąc usunąć resztki słodkiego napoju. Nieopodal rosła dzika mydlnica. Janek zerwał kilka łodyg, a potem natarł soczystymi, pachnącymi mydłem listkami palce Maryli, żeby je oczyścić. Jego dotyk wywołał leciutkie łaskotanie. Dziewczyna zabrała rękę i położyła sobie na piersi, a to wywołało wspomnienie ich obojga w strumieniu, gdy Janek tak mocno ją przytulał... Odgoniła od siebie te myśli, rozpoczynając rozmowę na zupełnie inny temat.

– Myślę, że jeśli będziemy przez całą jesień sprzedawać przetwory naszego wyrobu na targu, powinniśmy zbierać okrągłą sumkę dla matki przełożonej w Hopetown. Panie z kółka robótek ręcznych pani White robią też na drutach wełniane czapki. Oczywiście nie zdążą zrobić do zimy tylu, żeby wystarczyło dla wszystkich sierot, ale nie sądzę, żeby siostrzyczki zakonne się zmartwiły, jeśli zamiast nich otrzymają tym razem czek na sporą sumę.

– Wciąż wspominasz Juni? Tę dziewczynę w czerwonym kapelusiku? – spytał Janek i przyciągnął do siebie jej dłoń o gładkiej skórze. Ich palce się splotły.

Serce Maryli zabiło szybciej. Zaczęła opowiadać, że kiedy wracała z poczty i przechodziła przez skrzyżowanie, nagle kątem oka dostrzegła młodą czarnoskórą dziewczynę w czerwonym kapeluszu budce. Żołądek podszedł jej do gardła. Wiedziała, że to nie może być Juni, lecz rondko kapelusika skrywało twarz, zmuszając do zastanowienia.

– Matka przełożona powiedziała jej, że jesteśmy z Avonlea, więc Juni wie, że ma tu przyjaciół, gdyby kiedyś potrzebowała pomocy.

– Naprawdę? – Janek się uśmiechnął. – W głębi serca masz jednak liberalne poglądy, Marylko.

Maryla się nachmurzyła.

– Konserwatyści są tak samo przeciwni niewolnictwu jak i liberałowie. W tej akurat kwestii całkowicie się zgadzamy. Dlaczego każda rozmowa z tobą, Janku, musi zejść na politykę? Gdzieś dalej jest cały świat, który tyle dba o torysów czy reformatorów co o zeszłoroczny śnieg. Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi.

Próbowała uwolnić rękę, ale on trzymał ją w mocnym uścisku.

– To kolejna liberalna opinia. I właśnie o tym wciąż musimy przypominać naszym rządzącym. Nie powinno być tak, żeby samo szlachectwo dawało tytuł do sprawowania władzy nad ludźmi.

Maryla westchnęła. Zgadzała się z tym, ale nie mogła mu przyznać racji. Czy on nie był w stanie tego zrozumieć? Nie można kierować się w życiu jedynie emocjami. Zawsze trzeba rozważyć wszystkie czynniki, które mają wpływ na nasze decyzje oraz ich konsekwencje. Monarchia reprezentuje Boga na ziemi. Jeśli jej suwerenne rządy zostaną zlikwidowane, co ochroni ludzkość przed apokaliptycznym końcem? Bez dominującego rządu ludzie zostaliby pozostawieni na pastwę własnych pragnień i kaprysów, własnej zachłanności. Teraz wypadałoby się skupić na obserwowaniu południowych stanów Ameryki – i to powinno być ostrzeżeniem: ludzie stamtąd uciekali do Kanady i właśnie tu szukali schronienia.

– Chcę tylko powiedzieć, że jeśli Juni lub ktokolwiek jej podobny zjawi się u mych drzwi, ja zawsze pomogę. To mój chrześcijański obowiązek.

– A więc jesteś orędowniczką równości wszystkich ludzi. To również świadczy o twoich liberalnych poglądach.

– Janie Blythe!

Marylę zaczynała ogarniać złość, lecz nie zdążyła przerodzić się w wybuch wściekłości, bo w tej samej chwili usta Janka znalazły się na jej ustach w gorącym pocałunku. Zapomniała

o całym świecie. Na sekundę. Nie mogła go odepchnąć. Zbyt mocno ją do niego ciągnęło. Jego dłonie prześliznęły się po jej szyi i objęły delikatnie, lecz stanowczo. Ona zarzuciła mu ręce na ramiona. Nagle do jej uszu dotarł dźwięk dzwonków zbliżających się krów. Natychmiast odskoczyła od Janka. Nie byli ani na pikniku, ani w głębokim lesie. Tu był jej dom, jej Zielone Wzgórze. W każdej chwili mógł się tu zjawić ojciec lub Mateusz albo przyjść z wizytą ktoś z miasteczka. Co oni by sobie pomyśleli?!

Maryla popatrzyła na Janka, lecz oślepiło ją słońce. Widziała dom i zabudowania gospodarcze w tle, lecz jego twarz pozostawała ciemną plamą.

„To chyba oczywiste, że Janek w końcu cię poprosi, żebyś za niego wyszła, a potem przeprowadzisz się na farmę Blythe’ów” – zabrzmiały jej w uszach słowa Małgorzaty.

Bardzo pragnęła pocałować Janka, lecz wiedziała, że jeśli zrobi to jeszcze raz, będzie chciała całować go do końca życia. A przecież nie wolno jej tego robić, jeśli nie zgodziła się jeszcze zostać jego żoną i opuścić Zielonego Wzgórza... Janek był jedynym synem Blythe’ów i tylko on mógł przejąć gospodarstwo. Jego rodzice byli już starszymi ludźmi i oczekiwali, że on i jego przyszła żona zajmą się farmą. Nie mogli mieszkać w dwóch miejscach jednocześnie. Maryla mogłaby postąpić według własnej woli, tylko gdyby Mateusz się ożenił. Dopóki to się nie stanie, ona musi dotrzymać obietnicy danej matce na łożu śmierci.

Stała bez ruchu.

– Nie mogę sterczeć tutaj beczynnie i marnować czasu na głupstwa. Muszę zacząć przygotowywać kolację.

– Przepraszam za tę polityczną gadkę. To tylko tak sobie, w żartach... – Janek stał naprzeciwko Maryli i próbował znów wziąć ją za rękę.

– Muszę już iść. – Zacisnęła dłonie w pięści.

– Marylko...

Nie została, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Podziękuj matce i ojcu za maliny! – rzuciła przez ramię i ruszyła szybkim krokiem w stronę domu, pozostawiając go z dwiema do połowy opróżnionymi butelkami napoju.

Obserwowała go przez okno. Najpierw kopnął kilka razy trawnik przed domem, a potem ruszył polną drogą w stronę mostka z bali. Bolało ją, że aż tak się rozzłościł, ale lepiej, że skończyło się tak, a nie inaczej. Jeśli ją kocha, jak utrzymywała Małgorzata, to jeszcze wróci. Maryla pragnęła, żeby wrócił, lecz równie rozpaczliwie pragnęła na zawsze zostać na Zielonym Wzgórzu.

– To był Janek Blythe?

Ojciec patrzył na nią z uwagą.

– Tak.

Zamiast odpowiedzieć, stał dłuższą chwilę, ssąc fajkę, a potem wyszedł na werandę. Maryla wyjęła z szafki chłodzonej zimnym powietrzem resztki kurczaka z poprzedniego dnia i odgrzała na patelni. Żeby zrobić sos, dodała trochę wina porzeczkowego – tego samego, które ona, matka i ciotka Izzy niegdyś razem rozlały do butelek. Wydawało się, że od tamtej pory minęły całe wieki. Słodko-cierpki zapach, który uniósł się z parą znad patelni, skierował jej myśli ku temu, co obecnie liczyło się w jej życiu najbardziej.

## XXII

# Nieprzewidziane następstwa pewnej aukcji

Początek lata minął szybko, lecz sierpień ciągnął się bez końca.

– O wielkie nieba! Ten upał mnie dobija! – jęczała Małgorzata.  
– Cokolwiek się ugotuje, psuje się szybciej, niż zdążysz zjeść.

Przyszła właśnie do Maryli, żeby wziąć od niej przepis na biskwity.

Towarzystwo Dobroczynności Pań poszło o krok dalej. Z inicjatywy pani White mieszkanki Avonlea podjęły decyzję o zorganizowaniu aukcji koszy z prowiantem. Do udziału w tym przedsięwzięciu zaproszono wszystkie kobiety zdolne stanąć przy kuchni. Dochód z aukcji miał oczywiście trafić do wspólnej kasy z przeznaczeniem dla sierot z Hopetown. Zasady były proste: każdy kosz musiał zawierać danie główne, coś na przekąskę i coś słodkiego na deser. Członkinie Towarzystwa mogły się dobierać parami lub rodzinami.

Pani White z córką przygotowywały duszone ostrygi, biskwity i pudding cytrynowy. Ella pomagała pani White przy ostrygach i puddingu, a Małgorzata miała zupełnie sama zająć się biskwitami.

– Ojciec kiedyś złamał ząb trzonowy na biskwicie matki – wyznała Małgorzata. – Oczywiście nie przyznał się jej do tego. Wypluł tylko odłamany kawałek zęba na serwetkę, kiedy nie

patrzyła. Cały problem polega na tym, że mama robi je zawsze według tego samego przepisu. Ella za każdym razem proponuje, że to ona zagniecie ciasto, ale matka twardo obstaje przy tym, żeby zachować proporcje składników z jej przepisu. – Małgorzata pokręciła głową, zrezygnowana. – Ktokolwiek wylicytuje nasz koszyk, zapewne zażąda zwrotu pieniędzy, o ile wcześniej nie padnie trupem.

Maryla od razu pojęła zagrożenie. Przecież mogło trafić na Mateusza albo ojca – i okropny ból zęba po próbie nadgryzienia biskwita pani White gotowy. Tym razem obaj wybierali się na imprezę i planowali wziąć udział w licytacji. Tegoroczne zbiory z sadów i pól były bardzo dobre. Po mityngu farmerów w Carmody podniesiono ceny skupu płodów rolnych, dzięki czemu każda rodzina zyskała nieco więcej pieniędzy. Ponieważ Mateusz i Hugon wybierali się na aukcję, Maryla robiła wszystko, co w jej mocy, by przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. Chciała, żeby każdy licytujący odniósł wrażenie, że koszyk, który on wybrał, jest najlepszy ze wszystkich. I żadnych złamanych zębów.

– Proszę, to nasz przepis. – Maryla podała przyjaciółce karteczkę zapisaną na ukos ręką matki. – Najdelikatniejsze biskwity, jakie kiedykolwiek jadłaś. Tylko nie trzymaj ich w piecu zbyt długo.

Małgorzata z wdzięcznością przyjęła kartkę.

– Matka nigdy nie może się o tym dowiedzieć! – poprosiła jeszcze i szybko wyszła.

Jej sylwetka rzucała długi cień, gdy wracała do domu w promieniach późnopołudniowego słońca. Tomasz Linde ze Spencervale również miał przyjechać na aukcję. Małgorzata bardzo chciała przedstawić go Maryli i pochwalić się swoim narzeczonym przed mieszkańcami Avonlea.

– Małgorzata poszła? – spytał Mateusz, wystawiwszy głowę ze swojej sypialni.

– Owszem! Nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała, że podsłuchiwałeś w pokoju obok.

Mateusz wszedł do kuchni. Szelma wbiegł za nim.

– Trudno by było nie podsłuchiwać. Ta dziewczyna krzyczy głośniej niż mewa lecąca za kutrem wracającym z połowu.

Maryla się roześmiała.

– Bez wątpienia powinienes wziąć udział w licytacji jej koszyka. To wiele by dla niej znaczyło.

– Tak zrobię – rzekł Mateusz i podrapał się w brodę. – Ale nie zamierzam wygrać.

– To zupełnie wystarczy.

Podszedł do koszyka Maryli, który stał na stole. Był już zapakowany po brzegi i zostało tylko udekorowanie go wstążką. Mateusz podniósł wieko.

– Mmm... Kurczak w galarecie, ogórki konserwowe, ciasteczka z wiśniami. A czy to tutaj to słoik twoich słynnych powideł śliwkowych?

Maryla z dumą potwierdziła.

– To moja wizytówka. Dołożę również butelkę mojego wina z porzeczek. Nie jestem pewna, czy w innych koszach znajdą się jakieś napoje, ale w tak upalny wieczór jak dzisiaj mały łyček wina stawia na nogi szybciej niż cała kolacja.

Poszła do spiżarni po butelkę, a skoro już tam była, przekręciła pozostałe pięć o pół obrotu zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Jankowi będzie przykro, że go to ominie – stwierdził Mateusz.

– Pff! – prychnęła Maryla. – Niby dlaczego miałoby go to obejść bardziej niż jakiegokolwiek innego głodomora?

Blythe'owie wyjechali akurat do Glen St. Mary w odwiedziny do wuja Janka, doktora Davida Blythe. Maryla była bardzo zadowolona, że nie będzie go na aukcji. Przynajmniej uniknie się szeptów i ciekawskich spojrzeń pań ze szkółki niedzielnej. W miasteczku coraz częściej plotkowano na ich temat.

Omawiano wszystko, od tajemnych zaręczyn po welony ślubne, dlatego Maryla starała się unikać wszelkich towarzyskich spotkań jeszcze skrzętniej niż zazwyczaj.

– Ojej, bo to niezwykle przysmaki i tyle – odparł Mateusz. – Mężczyzna, który zabierze twój kosz do domu, będzie szczęściarzem.

– Albo kobieta – dodała Maryla. – Kobiety również zachęcamy do udziału w licytacji. Ja upatrzyłam sobie koszyk pani Blair. Chodzą plotki, że zamówiła pudełko czekoladek prosto z Londynu tylko po to, żeby podnieść cenę wywoławczą swojego koszyka. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ich posmakować. Nie powiem, jeszcze nigdy nie jadłam londyńskich czekoladek, a ty?

– Też nie. Znasz mnie. Nie lubię ani zbyt słodkiego, ani zbyt słonego, ani zbyt kwaśnego.

– Ale z ciebie człowiek środka. Trwasz przy swoich upodobaniach, odkąd pamiętam.

Mateusz wzruszył ramionami.

– Człowiek nie może zmienić smaku, tak jak i swojego nazwiska.

A kobieta to nie człowiek?! Kobieta musi zmienić nazwisko. Nie będzie już Małgorzaty, tylko pani Tomaszowa Linde! Ładny pierścionek czy nieładny, Maryla bolała nad tym, że jej najlepsza przyjaciółka stanie się kimś zupełnie innym tylko przez to, że wypowie słowa: „Tak, chcę!”. Maryla lubiła Małgorzatę taką, jaka była, i już.

– Podaj mi tę ciemnoczerwoną wstążkę – zwróciła się do Mateusza, a potem owinęła cały kosz łącznie z przykrywką i mocno zawiązała na kokardę.

Następnego dnia Mateusz, Hugon i Maryla podjechali na placyk przed kościołem, gdzie miała się odbyć aukcja. Wielebny Patterson wraz z żoną użyczyli kramów, stołów i krzeseł, z których korzystano podczas majowych pikników. Wiklinowe

kosze ustawiono w rzędzie na najdłuższym stole. Było ich dwanaście. Maryla stwierdziła, że to dobry znak: dwanaście miesięcy w roku, dwunastu uczniów Jezusa, dwanaście dni Bożego Narodzenia[18] i wreszcie dwanaście koszy z prowiantem w Avonlea.

Maryla pomagała właśnie pani Blair ustawiać kasetkę na pieniądze, kiedy przybyła Małgorzata, prowadząc za rękę zawstydzonego młodzieńca.

– Marylo! To właśnie mój pan Linde!

– Miło mi panią poznać, panno Cuthbert – powiedział Tomasz z opuszczoną głową, starannie omijając wzrok Maryli.

Nie był szczególnie przystojny, ale nie był też nieatrakcyjny – ani za szczupły, ani za tęgi, ani za wysoki, ani za niski, ani blondyn, ani brunet. Prawdę mówiąc, był tak idealnie nijaki, że nieomal wtapiał się w tło, jak pojedyncza gałąź drzewa czy źdźbło trawy. Takie spojrzenie pozwoliło Maryli dojść do wniosku, że Tomasz ma całkiem przyjemny wygląd.

– Małgorzata wypowiada się o panu w samych superlatywach, panie Linde.

Uśmiechnął się szeroko, nie pokazując zębów.

– Czy widzisz ten wytworny szylkretowy grzebień, który mam wpięty we włosy? – Małgorzata odwróciła się profilem do przyjaciółki. – Należy do matki Tomasza. Pamiątka rodzinna. Pożyczyłam go tylko na dzisiaj, ale... – Przytuliła się, chichocząc, do boku młodzieńca.

– Jest piękny! – orzekła Maryla.

– Tomaszu, idź, proszę, i zajmij dla nas dwa krzesła. Nie chciałabym stać przez całą aukcję! – zarządziła Małgorzata, a on czym prędzej pobiegł wykonać jej polecenie. – Czyż nie jest ideałem? – spytała, gdy odszedł wystarczająco daleko.

Maryla odkaszlnęła znacząco.

– Jak się udały biskwity?

Małgorzata nachyliła się nad uchem przyjaciółki i szepnęła:

– Idealnie! Nie za twarde, nie za miękkie. Oczywiście matka zauważyła... Powiedziałam jej, że kupiliśmy świeżutki proszek do pieczenia i to zrobiło taką różnicę. Małe kłamstewko, ale wolę prosić Boga o wybaczenie, niż rozzłościć sąsiada, który kupi nasz koszyk.

– Pewnie za to łatwiej uzyskać rozgrzeszenie.

Małgorzata przewróciła oczami.

– Co prawda, to prawda!

Maryla niezmiernie dbała o punktualność, więc aukcja rozpoczęła się wraz z wybiciem pełnej godziny. Rolę licytatora przyjął pan Blair. Zaczął od koszyka pani Patterson, nazwanego przez nią „Boska kolacja”, zawierającego pieróg z szynką i grzybami oraz piernik ze słodkimi migdałami. Uzyskał niezłą cenę od jednego z Pye’ów, który, jak wszyscy się orientowali, miał wiele powodów, by chcieć odzyskać przychyłność kościoła. Następny był kosz pani Lewis i jej córki Lawendy. Ozdobiły go wstążkami i kokardkami oraz kwiatami lawendy gęsto powtykanymi w wiklinową plecionkę. Maryla pomyślała, że ktoś, kto zje cokolwiek z tego lawendowego szaleństwa, pewnie będzie miał wrażenie, że połknął kostkę mydła. Musiała jednak przyznać, że ten kosz prezentował się najpiękniej ze wszystkich. Wylicytował go jeden z chłopaków od Irvingów, czym zwrócił na siebie uwagę panny Lawendy. Dobre ceny uzyskały też kosze piknikowe White’ów, Blairów i Phillipsów. Kolejny poszedł pod młotek koszyk Maryli. Specjalnie umieściła go w środku, aby nikt nie pomyślał, że jako przewodnicząca towarzystwu chciała zwrócić na niego uwagę, stawiając go na początku lub na samym końcu. Pierwsi, chcąc okazać wsparcie, zalicytowali Mateusz i Hugon, przebiła ich pani Bell, lecz ostatecznie w dość zaskakujący sposób zwyciężył pan Murdock.

– Na każde Boże Narodzenie dostawałem od Cuthbertów doskonałe powidła śliwkowe. Kiedy odeszłaś ze szkoły, powidła się skończyły. Bardzo mi było przykro z tego powodu – wyznał,

kiedy wręczała mu jego wygraną.

Te słowa wzbudziły w niej sympatię do starego nauczyciela. Nagle przestał być sztywnym, oschłym belfrem uderzającym wskaźnikiem w tablicę, lecz stał się starym dżentelmenem o głęboko skrywanym miłym usposobieniu. Zdziwiło Marylę, kiedy zdążył się tak zmienić... A może to ona się zmieniła?

– Jest w nim także butelka wina porzeczkowego mojej matki – szepnęła.

– Też moje ulubione – wyznał pan Murdock. – Bardzo ci dziękuję!

Następnym był koszyk Andrewsów: faszerowane zraziki wołowe, kulki ziemniaczane, bochen domowego chleba oraz słój łąkoci. Pyszny poczęstunek, lecz nic dziwnego, skoro mieli tyle kucharek w jednym gospodarstwie. Pierwszy zgłosił się pan White, który mimo że licytował za każdym razem, ani razu nie wygrał. Przebił go pan Bell, a jego z kolei przelicytował nie kto inny jak Mateusz. Spojrzenia wszystkich, w tym Maryli, skierowały się na Joannę. Dziewczyna odwróciła się z zaciętą miną do siostry. Pan White dobrodusznie podbijał cenę dalej. Liczba koszy wciąż się zmniejszała i gdyby pan White wrócił do domu z pustymi rękami, żona na pewno zrobiłaby mu awanturę. Mateusz podbił cenę o pięć pensów. Joanna się wściekła. Jakkolwiek potoczyła się ich sprzeczka, najwyraźniej się nie pogodzili.

Pan Barry dorzucił kolejne pięć centów. Mateusz znów podbił. Maryla wiedziała, że brat nie ma więcej pieniędzy.

– Po raz pierwszy... po raz drugi... – mówił pan Blair.

Słyszając końcowe odliczanie, Joanna, urażona do żywego, zerwała się z krzesła i opuściła aukcję. Widząc jej zdenerwowanie, bankier, pan Abbey, uniósł rękę.

– Dwa szylingi.

To było dwa razy więcej, niż miał przy sobie Mateusz. Pan Abbey chciał jedynie załagodzić sytuację, widząc skrępowanie

Joanny Andrews, lecz w rezultacie zawstydził Mateusza, który nie miał już ani pensa, o całym szylingu nie wspominając, z czego wszyscy zdawali sobie sprawę. Wstał więc i poszedł w tę samą stronę co Joanna. Pozostali wstrzymali oddech, udając przed sąsiadami, że niczego nie zauważyli.

W ślad za Mateuszem ruszyła Maryla. Reszta została na miejscu. Pan Blair kontynuował licytację.

– Mamy zwycięzcę!... Pan Abbey wygrywa kolację Andrewsów! Jedźmy dalej. Następny to koszyk pani MacPherson i mogę się założyć, że znajdziemy w środku jej doskonale słodkie bułeczki z rodzynkami.

Maryla obeszła kościół i znalazła się przy ogrodzeniu cmentarza. Usłyszała głos Joanny, zanim ją zobaczyła.

– Dlaczego zmuszasz mnie, żebym to powiedziała?

– A-ale... – wyjąkał Mateusz.

– Ale co? Nie jestem ani twoją ukochaną, ani kimkolwiek podobnym, Mateuszu Cuthbert! Wolałabym umrzeć, niż zostać żoną farmera. Próbowałam ci to delikatnie powiedzieć ostatnio na Zielonym Wzgórzu, ale jak widać, chyba mnie nie słuchałeś. Teraz więc mówię ci to bez ogródek i czuję się okropnie, że muszę to zrobić. – Rozszlochała się i uciekła.

Maryla w życiu nie słyszała czegoś tak okrutnego, a z miny Mateusza wywnioskowała, że on również. W pierwszym odruchu zrobił krok, żeby iść za Joanną, potem się zatrzymał i stał tak, mnąc czapkę.

Milczenie upokorzonego brata zabolalo Marylę pewnie jeszcze bardziej niż jego samego. Czuła, że powinna zawrócić i zostawić go w spokoju, ale nie była w stanie zrobić kroku. Jego rana była jej raną. Jak to w rodzinie.

Ramiona Mateusza zadrgały i wtedy do niego podeszła. Nie powiedziała ani słowa, położyła mu tylko rękę na plecach. Nie odwrócił się, a ona do niczego go nie zmuszała. Stała po prostu obok, wyczuwając, jak pod dotykiem jej dłoni jego ciało staje się

coraz bardziej rozpalone. Nie widziała twarzy i łez brata, lecz czuła przepływające przez dłoń jak przez kamerton wstrząsające jego ciałem spazmy i trwała tak, dopóki i jej policzki nie zrobiły się mokre od łez.

Wtedy oboje ruszyli do domu, zostawiwszy ojca samego. Odwiózł go po aukcji pan Bell, a pan Blair zajął się w tym czasie przeliczaniem wylicytowanej gotówki. Członkinie Towarzystwa Dobroczynności wraz z rodzinami pozostały na przykościelnym placu i rozpoczęły się rozmowy o wszystkim, z wyjątkiem tego, o czym myślał pewnie każdy z obecnych: Joanna Andrews złamała serce Mateuszowi Cuthbert. A u mężczyzn w rodzaju Mateusza taka rana pozostaje na zawsze.

---

<sup>18</sup> W XIX w. prezbiterianie świętowali okres Bożego Narodzenia od 26 grudnia do 6 stycznia.

## XXIII

# Znów w Hopetown

1839

Zima przyszła wcześniej. Pierwszy śnieg przywiało wraz z mroźnym wichrem znad Arktyki już w październiku, co całkowicie pozbawiło wyspę jej jesiennej krasy. Czerwone klony i żółte brzozy w mgnieniu oka straciły ścięte mrozem liście. Wyspę zbyt wcześnie okryło niebo tak bure, jakby ktoś wylał na nie wiadro brudnej wody. Zanim nadeszły święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, mieszkańcy Avonlea już zaczęli tęsknić za odwilżą, która miała nastąpić za cztery miesiące. Wyjazd do Hopetown stał się wydarzeniem nieomal tak ważnym i wyczekiwany jak pielgrzymka do Ziemi Świętej. Nie było jednak możliwości wyruszyć przed końcem lutego, kiedy to lody w cieśninie Northumberland zaczynają puszczać na tyle, że prom przepływa bez większych przeszkód.

Pani Spencer miała w Hopetown daleką krewną, która zaoferowała u siebie pokój delegatkom Towarzystwa Dobroczyńności.

Pani White była wprawdzie przedstawicielką towarzystwa od chwili zainaugurowania jego działalności, lecz ostatnimi czasy nieco podupadła na zdrowiu. Obawiała się, że podczas podróży mogłaby się nabawić zapalenia płuc, i zarekomendowała na

swoje miejsce panią Blair, która jednakże nie mogła zostawić męża samego w sklepie, więc wspólnie wybrano panią Barry. Potem, kiedy do planowanego wyjazdu został niespełna tydzień, męża pani Barry złapał atak podagry. W takiej sytuacji zgłosiły się Maryla i Małgorzata.

– Mój kuzyn podjedzie po nie i odwiezie je na miejsce – zapewniała Hugona pani Spencer. – Byłam młodsza od nich o dwa lata, kiedy po raz pierwszy musiałam pojechać sama w podróż do Nowej Szkocji. To raczej bezpieczny wyjazd, o ile zachowają dość rozsądku, żeby nie wypaść za burtę.

Rejs przez cieśninę Northumberland zimą był niewypowiedzianie nudny. Na wysokie fale było zdecydowanie za zimno. Wodzie brakowało tylko jednego stopnia, żeby z powrotem zamienić się w lód. Wszyscy tłoczyli się w ogrzewanej kabinie pasażerskiej, skąd nie było widać zupełnie nic przez zalepione solą bulaje. Kiedy prom przybił do brzegu, dziewczęta wsiadły do dyliżansu z oknami szczelnie zasłoniętymi skórzanymi klapami zabezpieczającymi przed mroźnym wiatrem. Maryla od czasu do czasu odchyłała rożek klapy, żeby sprawdzić, gdzie są, lecz widziała jedynie zamarznąłą drogę i puste, zamarznąte pola, a wyżej – równie puste i zamarznąte niebo. Minuty mijały wolno w ciemnościach. Nawet Małgorzacie skończyły się tematy do omawiania, co specjalnie nie martwiło Maryli. Wszyscy Cuthbertowie lubili ciszę.

W końcu powożący dyliżansem ściągnął cugle i zawołał „prrr!”. Konie zatrzymały się przed ceglana kamienicą, o architekturze przypominającej budynek sierocińca, lecz węższej fasadzie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił woźnica.

Na schodkach u drzwi wejściowych stała już kuzynka pani Spencer, Lydia Jane, szczelnie otulona wełnianą chustą.

– Chodźcie, chodźcie! Jest okropnie zimno. Cline, lokaj, zaraz przyniesie wasze bagaże.

Maryla i Małgorzata pobiegły do wejścia, a wiatr szarpał ich spódnicami na wszystkie strony.

– Te zimowe wichury są nie do zniesienia – powiedziała Lydia Jane na powitanie. – Powieście swoje płaszcze tutaj i zapraszam do kominka. Herbata już czeka.

Lydia Jane była podwójną wdową i matką dziewięciorga dzieci. Troje z nich umarło w młodym wieku, czwórka była już w związkach małżeńskich i mieszkała gdzie indziej, jedno zostało misjonarzem w Indiach, a najmłodszy syn pracował jako urzędnik w jakimś amerykańskim porcie. Pani Jane mieszkała kiedyś w dużym domu na wsi, mając wolnych pokoi pod dostatkiem, lecz przeniosła się do miasta, kiedy ostatnie dziecko dorosło i się wyprowadziło. Jest szorstka w obejściu i kłująca jak jeżyna – ostrzegła je pani Barry. – Wychowała swoje dzieci, stosując naprzemiennie przykazania boskie i różgę. Róbcie to, co wam każe, a pozostaniecie z nią w dobrych stosunkach.

Pani White była rada, że dostaną się pod skrzydła srogiej, a nie zbyt pobłażliwej opiekunki, jednak Małgorzata nie uznawała nikogo, kto próbowałby utrzymać ją w ryzach. Maryla przypuszczała, że pewnie po części dlatego przyjaciółka nie wróciła do szkoły w Avonlea na lekcje pana Murdocka. Dostosowywanie się do czyichś poleceń nie leżało w naturze pań White.

– Wypijcie herbatę do dna! – poinstruowała je Lydia Jane. – Nie życzę sobie, żeby na mojej porcelanie zostawały brudne obrączki.

Maryla posłusznie opróżniła duszkiem swoją filiżankę, nie zostawiając nawet kropelki, podczas gdy Małgorzata popijała napar powoli, smakując każdy łyk – Mmm!... – i po każdym kręcąc kółka zawartością z niedbałą miną.

Kiedy Lydia Jane oświadczyła, że popołudniowa herbatka dobiegła końca, zawołała kucharkę, żeby zabrała tacę razem z niechlujnie wyglądającą filiżanką Małgorzaty i resztą zastawy.

– Będziecie spać w moim jedynym wolnym pokoju – poinformowała i zaprowadziła je na górę do pomieszczenia przesiąkniętego wonią zwiędłych róż i zatechłych dywanów.

– Łóżko jest wystarczająco duże dla was dwóch. Kuzynka pisała mi, że wasze spotkanie u sióstr wyznaczone jest na jutro, więc kucharka poda śniadanie na stół punktualnie o dziewiątej. Z góry przepraszam za nieobecność. Moja synowa urodziła w zeszłym tygodniu czwarte dziecko i po rozpoczęciu karmienia dostała bardzo wysokiej gorączki. Obiecałam jej, że przypilnuję starszych dzieci, kiedy przyjdzie doktor. Ufam, że pójdziecie prosto do sióstr załatwić, co macie do załatwienia, a potem zaraz wrócicie do domu. Jedynymi kobietami, włączającymi się samotnie po mieście, są te o złej reputacji. Rozumiem, że jesteście na tyle odpowiedzialne, by nie zachowywać się tak jak one.

Na tym zakończyła, skinęła im głową na dobranoc i energicznie zamknęła za sobą drzwi.

– Och, to najbardziej zrzęдлиwe babsko, jakie znam! – Małgorzata rzuciła się w ubraniu na łóżko, a w powietrze wzbiła się chmura pyłu jak z roztartej kredy. Machnęła kilka razy ręką przed nosem, żeby ją rozpędzić. – Jest gorsza od pani Barry, choć myślałam, że to niemożliwe. – Przetoczyła się na bok i wsparła głowę na rękę zgiętej w łokciu. – Zawzięła się, żebyśmy nie miały z tego wyjazdu ani odrobiny radości, lecz ja zawzięłam się jeszcze bardziej, żeby ją „odzawziąć”.

– Zostałyśmy przestrzeżone, aby się jej słuchać! Lepiej zrobmy tak, jak mówi, Małgorzato. – Maryla otworzyła kuferek, żeby wyszczotkować włosy przed snem.

Pomimo nowo odkrytej pewności siebie Maryla nosiła w duszy obawę, której nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić. Znała wszystkie zakamarki Avonlea. To było jej miasteczko i czuła się jego nieodłączną częścią. W Hopetown była kimś obcym: nie znała ani tutejszych mieszkańców, ani rozkładu ulic. Chciała jedynie wypełnić powierzone zadanie i wrócić do domu.

– Naprawdę możemy się troszeczkę zabawić. Czy wybierzemy dłuższą, czy krótszą drogę do sierocińca, niczego to nie zmieni w naszych stosunkach z panią Lydią Jane. Cel naszej wyprawy pozostanie ten sam.

Maryla była zmęczona podróżą i chciała jak najszybciej iść spać. Żadnych rozmów, przemyśleń i planów związanych z dniem jutrzejszym. Na wszystko nadejdzie czas. Upewniła się jeszcze raz, że czek Towarzystwa Dobroczynności Pań, wystawiony w banku pana Abbeya, spoczywa bezpiecznie w jej portmonetce, portmonetka zaś leży pod grubą zimową halką w jej kuferku podróżnym, i położyła się do łóżka obok przyjaciółki.

Pierwszy raz w życiu miała spać z kimś w jednym łóżku, nie licząc matki. Małgorzata pachniała inaczej w nocy. Jej koszula nocna przesycona była wonią rumianku i trawy żubrowej. Z drugiej strony łóżka promieniowało ciepło, a Maryla przywykła do zimnej pościeli. Przypomniało jej to czasy, kiedy była mała i dom na wzgórzu miał być dopiero rozbudowany. Wszyscy czworo spali na sienniku, na noc kładzionym na podłodze przed kominkiem, a na dzień stawianym przy ścianie. Matka i ojciec spali przytuleni do siebie pośrodku, Maryla obok matki, a Mateusz przy boku ojca – jak złożone ze sobą łyżki do zupy. Bała się wtedy cieni na parapetach i obramowaniach okien. Jedynym sposobem, żeby nie pozwolić potworom skubać swoich stóp, było wcisnąć je pod nogi mamy. Prawie już o tym zapomniała – i o swoich nocnych strachach, i o magii ich odpędzania.

– Jak sądzisz, spotkamy którąś z sierot z naszej poprzedniej wizyty? – zagadnęła Małgorzata i ziewnęła. Do Maryli doleciał jej ciepły oddech pachnący maślaną.

– Mam nadzieję, że nie, bo oznaczałoby to, że zabrały je do siebie jakieś rodziny – odpowiedziała Maryla.

Stopy obu dziewcząt zetknęły się pośrodku łóżka.

– Masz palce zimne jak lód! – Małgorzata potarła stopę przyjaciółki pod kołdrą swoją stopą. – Lydia Jane chyba nie przygotowała dla nas żadnego ogrzewacza do łóżka, mimo że w pokoju nie ma kominka. Sprawdzałam pod łóżkiem, w szafie, wszędzie. Nie ma nawet gorącej cegły!

Rzeczywiście to było dziwne. Na Zielonym Wzgórzu pod każdym łóżkiem stały specjalne naczynia, do których można było wlać gorącą wodę i rozgrzać pościel przed położeniem się spać.

– Może nie miała żadnego wolnego?

– Taa... – Małgorzata mruknęła coś niewyraźnie pod nosem. – Złapiemy grypę, jeśli jeszcze jedną noc prześpiemy bez ogrzewaczy.

Miały spędzić u Lydii Jane dwie noce.

Małgorzata zadrżała w ciemnościach.

– A więc ustalone – stwierdziła w końcu. – Zaraz po śniadaniu koniecznie musimy przejść obok składu towarów różnych. Jest jeden po drodze do sierocińca. Ojciec ma konto w banku, więc możemy tam kupić coś do ogrzania łóżka.

– Małgorzato! – Maryla westchnęła.

Co za dziewczyna! Zawsze znajdzie jakiś pretekst, żeby zrobić to, na co akurat przyjdzie jej ochota.

– Co? – spytała z rozbijającą szczerością przyjaciółka. – Jeśli matka byłaby tutaj, podjęłaby taką samą decyzję! – I przewróciła się na brzuch, przykrywając głowę poduszką. – Dobranoc, Marylko! – wymruczała.

\*

Następnego dnia rano na stole znalazły się smażone ziemniaki i kiełbaski. Maryla ucieszyła się ze śniadania na gorąco. W nocy specjalnie nie wypoczęły. Za każdym razem, kiedy już miała zasnąć, czuła promieniujące od stóp zimno, i w końcu zaczęło jej

ciec z nosa. Próbowwała spać z poduszką na głowie jak Małgorzata, ale nie mogła pod nią oddychać.

Żeby się rozgrzać, wypila do śniadania chyba tyle gorącej herbaty, ile sama ważyła.

– Czy pani Lydia Jane już poszła do swojej synowej? – spytała Małgorzata kucharkę, nabijając kielbaskę na widelec i zanurzając w musztardzie.

– Tak, panienko, i poprosiła mnie, żebym przyniosła do bawialni wszystkie egzemplarze „Quebec City Gazette”, i po angielsku, i po francusku, dla młodych dam, żeby mogły się rozerwać przed spotkaniem.

Ze swoich miejsc przy stole dziewczęta zobaczyły zżółkłą i nieco nadpleśniałą stertę gazet sprzed tygodni, miesięcy, a może nawet i lat. Maryla uważała gromadzenie czegokolwiek w nadmiernych ilościach za chorobliwe i świadczące o małostkowości. Nie mogła zrozumieć wszechogarniającej obsesji gromadzenia stosów srebrnych łyżeczek, setek porcelanowych pudełeczek na błyskotki, tysiący przeróżnych bibelotów, no i stert starych gazet i czasopism – w liczbie na oko nieprzekraczającej setki. Jaką korzyść mogły przynieść zbieraczowi? Kiedy umierał i odchodził na zawsze, papierzyska lądowały w ogniu i zamieniały się w popiół.

– Jak to miło ze strony pani Lydii Jane, że zechciała nam je udostępnić, lecz obowiązki nas wzywają. Musimy zaraz się zbierać do sierocińca – powiedziała Małgorzata i odgryzła koniec kielbaski.

Kucharka była porządną francuską służącą starej daty, więc nie ośmieliła się zaprotestować. Uniosła jedynie wysoko brwi i zamruczała coś pod nosem, sprzątając ze stołu.

Wichura całkowicie ustała. Świeciło słońce i dzień był znacznie cieplejszy od poprzedniego. Kiedy schodziły ze schodów przed domem, kucharka zdążyła jeszcze krzyknąć za nimi:

– Omijajcie ulicę Spring Garden! Dzisiaj są tam tłumy. Będą

wieszać buntowników!

Maryla popatrzyła na Małgorzatę.

Małgorzata uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Maryla ściągnęła brwi.

Ruszyły przed siebie chodnikiem. Z przodu i z tyłu dochodziły ich uszu odgłosy dzwonek przy uprzężach i rzenie koni przejeżdżających ulicą dorożek. Posługaczki maszerowały szybkim krokiem z koszami pełnymi warzyw, świeżego chleba i ryb owiniętych w papier. Gazeciarze pokrzykiwali: Za pół ceny!, wymachując porannym wydaniem gazety. Przed zajazdem Majesty Inn, gdzie zatrzymali się podczas poprzedniej wizyty, ludzie roili się jak pszczoły w ulu. W pracowni kapeluszy *madame* Stéphanie też pełno było pań. Stali klienci szybko przechodzili od jednego sklepu do drugiego, kryjąc się przed zimnem w ich wnętrzach. Maryla i Małgorzata jako jedyne zatrzymały się na dłużej przed oknem pracowni, pozerając wzrokiem zimowe nakrycia głowy z wełny i futer.

– Szkoda, że ojciec nie ma otwartego rachunku u *madame*! – westchnęła żałośnie Małgorzata. – Mogłabym sobie kupić kapelusik z koronkowym przybraniem. Tamten miałam na głowie niespełna godzinę...

– Od tego, że będziesz za nim jęczeć, z nieba ci nie spadnie. Idziemy!

Co prawda Małgorzata wymyśliła sobie poranną misję zdobycia podgrzewacza do łóżka, lecz Maryla postanowiła w duchu zrobić wszystko, żeby nie przyłapano ich na kłamstwie. Wstąpią do składu towarów, potem pójdą prosto do sierocińca, a następnie z powrotem do domu Lydii Jane. Nie znały zbyt dobrze rozkładu ulic w Hopetown i Maryla obawiała się, że mogą w każdej chwili wpaść na szubienice. Maryla już miała okazję zetknąć się ze śmiercią. Wolą unikać, o ile to możliwe, takich spotkań. Małgorzata widziała najwyżej ubitego wieprzka i ciekawość makabrycznych scen całkowicie nią teraz

zawładnęła. Wyciągała nogi ile sił i przystawała tylko na skrzyżowaniach, żeby szybko rzucić okiem na prawo i na lewo. Zatrzymała nawet kominiarza, żeby spytać:

– Czy to nie jest przypadkiem ulica Spring Garden?

– Nie, panienko, to...

Maryla pociągnęła Małgorzatę za rękę, nie słuchając dalszego ciągu. Sklep był dwa kwartały dalej, lecz im bliżej były centrum, tym bardziej tłum gęstniał i w końcu nieprzerwany strumień ludzi porwał je ze sobą. Musiały ująć się mocno pod ręce, żeby ich nie rozdzielono. Tak wiele osób podążało w jedną stronę! Nie widziały dalej niż na metr. Niepokój wiszący nad tłumem utwierdził Marylę w przekonaniu, że nie jest to zwyczajny ruch uliczny w tym miejscu. Nie śmiała pytać obcych, przytuliła się więc tylko mocniej do Małgorzaty, a Małgorzata do niej. W pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, wszystko stanęło w miejscu. Odgłosy rozmów ucichły. Ziściły się najgorsze przeczucia Maryli.

Na wysokim podeście przed budynkiem sądu ustawiono szubienice. Maryla naparła na ludzi z tyłu, starając się wydostać z ciżby, lecz oczy wszystkich wzniesione były ku szubienicom, a stopy jak wrośnięte w zamarznąłą ziemię.

– Utknęliśmy.

– Mhm... – Małgorzata wcale się tym nie przejęła. – Patrz!

Żołnierze eskortowali kilku rozchełstanych mężczyzn, których wyprowadzili z więziennej karetki. Tłum zawrzał. Drwiny i okrzyki mieszały się w jeden ogłuszający ryk, od którego Maryli ugięły się kolana. Od hałasu aż zadygotała. Musiała zatkać uszy. Kiedy więźniowie weszli na podest, założono im pętle na szyje.

– Cisza! – zawołał sędzia w cylindrze i wspaniałej bobrowej pelisie.

Tłum usłuchał. Lekka bryza niosła krzyki mew z odległego portu i grzmot lodowatych morskich fal, co przypomniało Maryli

o rodzinnej wyspie. Zapra gnęła znaleźć się w domu, daleko od tego miejsca.

– Oto macie przed sobą nikczemnych liderów opozycji! Próbowali oni wystąpić przeciw ustanowionym przez Boga sądom Jej Królewskiej Mości i zostali uznani za winnych zdrady i odpowiedzialnych za wybuch rebelii. Przypatrzcie się dobrze, obywatele! Tak właśnie kończy się każde powstanie przeciw prawowitej władzy!

Tłum eksplodował.

– Śmierć zdrajcom!

– Torysi za Koroną!

– Powiesić rebeliantów!

– A teraz czas na ostatnie słowo więźniów! – ogłosił sędzia.

Wszyscy się uciszyli. „Kha-ha-ha-ha!” – zaskrzeczała niewidoczna z placu mewa.

– Niech przemówi *Chevalier* de Lorimier! – odważył się krzyknąć jakiś jego poplecznik.

Maryla pamiętała to nazwisko z gazet. Lorimier i jego towarzysze stanowili odłam paramilitarnego ruchu patriotycznego. Uczestniczyli w rebelii, której celem było zjednoczenie Kanady. Podzegli do buntu. Wyrokiem była kara śmierci.

Lorimier uniósł głowę. Jego szyję otaczała pętla spłowiełej liny, lecz przemawiał śmiało, jakby stał na mównicy, nie pod szubienicą.

– Zostawiam po sobie moje dzieci, których jedynym spadkiem po mnie będzie pamięć o moim niepowodzeniu. O biedne sierotki! To nad wami trzeba się litować! To w was uderza krwawa i samowolna dłoń prawa!... Ja się nie boję! *Vive la liberté!*

W tej samej chwili odblokowano zapadnie i mężczyźni opadli bezwładnie w dół.

Małgorzata łkała z twarzą ukrytą na ramieniu przyjaciółki, lecz Maryla stała jak przymurowana do chodnika, nie będąc

w stanie mrugnąć okiem.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie... – szepnęła.

Nagle zauważyła małe dziecko opatulone w wełnianą chustę, w za długich spodenkach i robionej na drutach czapeczce, siedzące u ojca na barana. Obserwowało to wszystko i chichotało. Bawiła je śmierć. W tej samej chwili Maryla uświadomiła sobie, że wokół jest mnóstwo dzieci. Niektóre z rodzicami, lecz wiele bez opieki, zebranych w trzyczy czteroosobowe grupki małych obdartusów. Wszystkie śmiały się i szydziły ze skazańców. Sprawiedliwość była grą i nie miała nic wspólnego z walką dobra przeciw złu. Dzieci były zbyt małe, żeby rozumieć, że życie jest krótkie, a śmierć trwa wiecznie, a mimo to ich zachowanie zabolalo Marylę.

Tłum się przerzedził i wokół dziewcząt zrobiło się pusto. Maryla szarpnęła przyjaciółkę za rękaw.

– Chodźmy stąd! – Złapała Małgorzatę za rękę i pociągnęła za sobą.

Ruszyły biegiem, a podkute czubki ich butów stukały o bruk. Zatrzymały się dopiero przed drzwiami sierocińca. Maryla zaczęła na zmianę szarpać za sznur dzwonka albo walić w drzwi kołatką. Wydawało jej się, że trwa to całą wieczność, aż wreszcie usłyszała zgrzyt odsuwanej rygla i obie wpadły do środka, drżące i ociekające potem mimo szronu na ich watowanych zimowych płaszczach.

## XXIV

### Bezpieczne kryjówki oraz listy

– Nalegałabym, byście przyjechały innego dnia, gdybym tylko wcześniej wiedziała o egzekucjach – usprawiedliwiała się matka przełożona.

Nie przyniesiono do jej gabinetu gorącej herbaty, lecz ani Maryla, ani Małgorzata i tak nie byłyby w stanie przełknąć nawet kropli.

– Zaryglowałyśmy porządnie drzwi w obawie przed rebeliantami, lecz wydaje się, że Gwardia Królewska ma wszystko pod kontrolą. – Przełożona odkaszlnęła i wyrzała przez okno na wewnętrzny dziedziniec, pusty w zimowych miesiącach.

Małgorzata wciąż nie mogła się uspokoić. Maryla siedziała jak skamieniała, żałując, że poszły tamtą ulicą, że wpadły w wir tego szaleństwa. Powinny były posłuchać pani Lydii Jane i pójść prosto do sierocińca.

– Czy już po wszystkim? – spytała Maryla.

Matka przełożona dalej wypatrywała czegoś za oknem.

– Obawiam się, że to dopiero początek. Zamieszki objęły nie tylko Hopetown. Rozprzestrzeniły się o wiele dalej. W Stanach Zjednoczonych również trwa konflikt. Nasze siostry miłosierdzia z tamtych stron donoszą o wielkim rozłamie pomiędzy Północą a Południem. Podobnie jak u nas, gdzie torysi stają przeciw reformatorom. Serca ludzi pełne są nienawiści. Świat pogrąża się w chaosie, moje drogie. Możemy ze swej strony jedynie starać się

szukować bezpieczne kryjówek, gdzie tylko się da.

Wyglądało to na z góry przegraną bitwę.

Matka przełożona odwróciła się od okna i podniosła ze stołu czek z datkiem, którym obdarowała sierociniec Marylą.

– Dziękuję ci za to, moje dziecko! Przyniesie on wiele dobrego.

– Czy mogłybyśmy jeszcze jakoś pomóc?

– Sprawiedliwość jest moja, tak rzecze Pan. Zostawmy ludziom związanym z polityką wrogię wystąpienia przeciwko sobie, przelew krwi i życie we wzajemnej wrogości. Naszym obowiązkiem jest kochać biednych, osieroconych, strudzonych i uciemiężonych, zgodnie z tym, co pisze w Ewangelii Święty Mateusz w rozdziale dwunastym, wers dwudziesty ósmy. Miłość może być swoistą odmianą wojny.

– Chcę do mamy!... – jęknęła Małgorzata i dostała spazmów.

Matka przełożona poruszyła dzwonkiem, który stał na jej biurku, i drzwi się otworzyły.

– Siostrzyczko Katarzyno, niech siostra zaprowadzi pannę White do kuchni. Biedactwo doznało szoku. Może słodki herbatnik pomoże ukoić jej nerwy.

Siostra Katarzyna objęła Małgorzatę i wyprowadziła na zewnątrz. Matka przełożona zamknęła za nią drzwi do gabinetu, a potem stanęła przed Marylą.

– Od pierwszej chwili, kiedy cię poznałam, wyczułam w tobie siłę. Czy mogę się podzielić z tobą pewnymi informacjami w całkowitym zaufaniu?

Maryła nie miała pojęcia, jaką tajemnicą matka przełożona mogłaby się chcieć podzielić ze zwykłą dziewczyną z farmy na Wyspie Świętego Edwarda.

– Oczywiście! – odparła.

Zaschło jej w gardle z wrażenia i szybko zaczęła się modlić w duchu: „Przebac mi, że nie usłuchałam pani Lydii Jane. Wybacz mi, że uległam Małgorzacie. Przebac mi, że nie byłam przy matce w godzinie, kiedy najbardziej mnie potrzebowała.

Przebacz mi za lasy i za potok... i za Janka”. Chciała się pokajać przed Bogiem za wszystkie grzechy, zanim przyjmie to, czym zechce ją obdarzyć matka przełożona.

– Czy pamiętasz tę sierotkę Juniperę, którą tu poznałaś poprzednim razem?

Maryla nie mogłaby jej zapomnieć.

– Czy wciąż jest tutaj? – spytała.

– Nie. – Matka przełożona poprawiła rękaw habitu. – Dzięki Bogu nie. Adoptowała ją rodzina z Nowej Fundlandii.

Wyczarowany w wyobraźni obraz niósł ukojenie: dziewczynka w bordowym kapelusiku idzie wolnym krokiem spokojną polną drogą ze swoimi nowymi rodzicami.

– Cieszę się – rzekła Maryla. – Wyobrażam sobie, że nie jest łatwo... – z wysiłkiem dobierała słowa – ...nie jest łatwo osobie o takiej powierzchowności... i już nieco starszej, i w dodatku...

– Czarnoskórej niewolnicy?

Maryla patrzyła w dół, na swoje palce.

– Pani White – zaczęła – zatrudniła całe swoje kółko robótek ręcznych i wszystkie panie ze szkoły niedzielnej do robienia czapek na drutach. Z pełnym poświęceniem dąży do tego, żeby do następnej zimy mieć tyle czapek, aby wystarczyło dla każdego dziecka z sierocińca.

– To bardzo miłe z jej strony. Mamy zbyt wiele przypadków przewiania głowy i związanych z tym katarów każdej zimy.

Owszem, lecz Maryla miała nadzieję, że matka przełożona zrozumiała ukryty sens jej słów.

– Chodzi o to – mówiła dalej Maryla – że porządne nakrycie głowy może być prostym, lecz niezwykle ważnym sposobem dla każdej sierotki, która odczuwa potrzebę... hmm... ukrycia się.

Matka przełożona uśmiechnęła się i przysiadła obok Maryli.

– A więc naprawdę rozumiesz.

– Tak sędzę – potwierdziła dziewczyna.

– Szczerze mówiąc, przysyłają do nas coraz więcej sierot

urodzonych jako dzieci niewolników, więc też będących niewolnikami. Czasem ich rodzice zostają zabici, czasem rodziny zostają rozdzielone w różnych zawirowaniach życia. W oczach Boga to nie ma znaczenia. Te dzieci są samotne i spragnione łaski bożej. Istnieje niewiele bezpiecznych domów pomiędzy południowymi stanami Ameryki a naszymi drzwiami. Przybywają tutaj wygłodzone, poranione, ledwo trzymające się na nogach i przerażone warunkami podróży. Robimy, co w naszej mocy. Robimy naprawdę wszystko, co w naszej mocy. Jednakże z tak małą liczbą bezpiecznych schronień po drodze nie da się zapewnić bezpieczeństwa wszystkim tym dzieciom. Nasze dormitoria są przepełnione. Niezwykle trudno jest ukrywać te biedne istoty przed łowcami niewolników, którzy odwożą złapanych do ich właścicieli. W Kanadzie są ludzie u władzy, którzy, działając wbrew prawu, sympatyzują z bogatymi właścicielami niewolników. Uważają, że te sieroty są jedynie czyjąś własnością, rzeczami, nie ludźmi. Sądy mają obecnie pełne ręce roboty z rebeliantami, przymykają więc oko na problem zbiegów. Udają, że nie zauważają właścicieli niewolników, którzy tu przyjeżdżają, by ich odzyskać. To straszna sytuacja, a rozwiązania nie widzą ani torysi, ani reformatorzy. Spoglądamy więc na Słowo Boże: „Albowiem grzech nie powinien nad wami panować, skoro nie jesteście poddani Prawu, lecz łasce”, jak powiada List do Rzymian, rozdział szósty, wers czternasty. Jesteśmy temu posłuszne i modlimy się, żeby ochronił nasze dziatki, by wystarczyło nam Jego łaski. – Tu się przeżegnała. – Amen.

Jedni znosili niewolnictwo, drudzy chronili je prawem. I ci, i ci uważali, że mają rację. Maryla widziała konieczność działania, rozumiała, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło wykrytym zbiegom.

Matka przełożona wzięła czek do ręki.

– Powiem ci prawdę, drogie dziecko, ponieważ muszę szczerze

wyznać, na co pójdą te pieniądze. Pozwolą nam szybko i sprawnie przenosić dzieci z miejsca na miejsce, do innych prowincji. Również te, na które nie czeka żadna rodzina. Towarzystwo Dobroczynności Pań z Avonlea dostarcza nam więcej niż tylko pieniądze. Dzięki temu datkowi możemy pomagać biednym, utrudzonym i uciemżonym. „Przybysza, który się osiedlił wśród was, będziecie uważać za obywatela. Będziesz go miłował, jak siebie samego”. Tak mówi nasz Pan. Miłość bliźniego napędza życie, które z kolei napędza miłość bliźniego.

– Czy jednak nie można zrobić nic więcej?

Zakonnica uścisnęła z uczuciem dłoń Maryli.

– Gdybyśmy mogli pomnożyć liczbę naszych bezpiecznych domów, wówczas rzeczywiście moglibyśmy robić więcej. Lecz jak już wspominałam, możemy działać jedynie w granicach naszych możliwości.

Maryla rozumiała ostrożność matki przełożonej, była przecież dla niej kimś z zewnątrz: młodą kobietą z małego miasteczka na małej wyspie. I nagle poczuła w sobie moc, zapragnęła więcej – zapragnęła zrobić więcej – w granicach swoich możliwości. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, lecz zanim zdążyła go omówić z matką przełożoną, weszła siostra Katarzyna.

– Na ulicach miasta zapanował chwilowo spokój, a panna White poczuła się o wiele lepiej. Wezwałam dorożkę.

– To dobrze. Powinnyście jechać, dziewczęta, zanim zapadnie zmrok. W zimowych miesiącach dni są krótkie.

Maryla wstała.

– Matko przełożona! Chcę, żeby matka wiedziała, że wszystko, o czym mówiłyśmy, zachowam w najgłębszej tajemnicy, proszę jednak o pozwolenie, bym mogła się podzielić tą kwestią z moją ciotką, panną Elizabeth Johnson, mieszkającą w St. Catharines. Mam do niej bezgraniczne zaufanie. Na pewno wymyśl, w jaki sposób mogłybyśmy bardziej siostry wspomóc... jako dodatek do

chust i czapek pani White.

Matka przełożona zwróciła się do siostry Katarzyny:

– Wygląda na to, że bogobojne kobiety z Avonlea zdążą zrobić dla każdej sierotki czapkę na drutach do przyszłej zimy.

– Dzieci będą zachwycone! – Siostra Katarzyna z radości aż zaklaskała w ręce. – Wiele sióstr traci wzrok od ciągłego cerowania. Będziemy ogromnie wdzięczne!

– To prawda, jesteśmy wdzięczne wszystkim, którzy służą pomocą naszej sprawie. – Matka przełożona skłoniła się z uszanowaniem.

Maryla wzięła to za przyzwolenie. Zakonnice odprowadziły ją korytarzem do Małgorzaty. Jej płaszcz był zasypany okruszkami herbatników, lecz dziewczyna wciąż wyglądała blado.

– Proszę je odwieźć prosto do domu Lydii Jane – poinstruowała dorożkarza matka przełożona, a potem ucałowała dziewczęta w policzki. – Modłę się, żeby wasza kolejna wizyta miała miejsce w spokojniejszych czasach.

– Napiszę do matki przełożonej! – obiecała Maryla.

– Będę zwracała uwagę na to, o czym ćwierkają wróble na dachu. – Zakonnica mrugnęła porozumiewawczo.

Małgorzata umościła się wygodnie w zamkniętej budce dorożki i stwierdziła:

– Dzięki Bogu nie musimy iść z powrotem na piechotę. Nie zniosłabym już więcej widoku Hopetown.

– Niech panny uważają na miedziany ogrzewacz pod siedzeniem – ostrzegł je dorożkarz. – Niech nie kopną, bo jak się przewróci, rozsypią się rozżarzone węgle.

– Ojej! – jęknęła Małgorzata. – Nie kupiłyśmy w końcu tego ogrzewacza na dzisiejszy wieczór! Wszystko przepadło.

Maryla naciągnęła koc na nogi swoje i przyjaciółki, która popadła w taką desperację, że przestała zwracać uwagę na swoje marznące stopy.

– Chciałabym być już w domu – westchnęła Małgorzata.

– Jutro. Ani się obejrzysz, jak będziemy z powrotem.

\*

Kiedy wróciły do domu Lydii Jane, nie wspomniały ani słowem o egzekucji rebeliantów, której były świadkami, o tłumach na ulicach miasta, o sierotkach ani o siostrach miłosierdzia. Lydia Jane uznała, że jako stuprocentowa protestantka powinna być podejrzliwa w stosunku do wszystkiego, co dotyczy Kościoła katolickiego. Przekonała samą siebie, że nie należy ufać religii, która ukrywa tyle za murami klasztorów, konfesjonałami i habitami, nawet jeśli to ukrywanie odbywało się w dobrej wierze. Nie tolerowała przy posiłkach rozmów o religii, polityce, pieniądzu i o ich braku. Powodowały u niej niestrawność. Wiedząc o tym, dziewczęta komplementowały dania: baraninę w gęstym pikantnym sosie oraz lukrowaną babkę piaskową, i słuchały opowieści Lydii Jane o wszystkich stłuczeniach i kichnięciach jej wnuków tego dnia.

Dziewczęta wcześniej powiedziały gospodyni dobranoc i poszły do sypialni. Tym razem Małgorzata nie miała zamiaru zdjąć halek przed położeniem się do łóżka.

– Będę szybciej gotowa do wyjścia rano, a poza tym będzie mi cieplej.

Ubrana w kilka flanelowych halek Małgorzata nie pozostawiła wiele miejsca Maryli, lecz dziewczyna nie protestowała. Wybiła się zupełnie ze snu, więc wzięła świecę i usiadła na szeszlunku z papierem i piórem w dłoni.

„Droga Ciociu Izzy!” – zaczęła, a potem opisała tak rozważnie, jak to tylko możliwe, czym zajmowały się w rzeczywistości siostry w sierocińcu. „Matka przełożona mówi, że potrzebują więcej bezpiecznych domów w przygranicznych miastach. Rozumiem, że proszę o wiele. To przyjęcie na swoje barki

ogromnej odpowiedzialności, połączonej z osobistym ryzykiem, ale Ty, Ciociu, zawsze byłaś pierwsza, gdy trzeba było pokonywać wszelkie ograniczenia. Czy myślisz, że udałoby się zorganizować coś w St. Catharines?”.

Zanim rano przyjechał po nie dyliżans, dała kucharce list do wysłania. Nie chciała ryzykować, że zgubi go w drodze do domu.

Tydzień później na Zielone Wzgórze przyszła odpowiedź Izzy.

*Moja najdroższa Marylko!*

*Cieszę się z wiadomości, że wizyta w Hopetown była udana. Przypuszczam, że do tej pory zdążyłaś już wrócić do domu, do ojca i brata. Pozdrów ich najserdeczniej ode mnie, a Szelmę podrap po łepetynie. Tęsknię za Wami ogromnie!*

*A co do najistotniejszej sprawy z Twojego listu. Słyszałam już wiele o zbiegłych niewolnikach. Gazety w St. Catharines rozpisują się o czarnoskórych przybywających na północ i ledwo uchodzących z życiem przed ścigającymi ich Amerykanami. Nawet ostatnio czytałam artykuł, którego autorem był pan Jermain Loguen, znany abolicjonista, który wygłosił kilka porywających przemówień u nas, w kaplicy Bethel Chapel. Cieszy się on poważaniem wśród mieszkańców naszego miasta. Pan Loguen mówił głównie o zniewolonych kobietach i mężczyznach. Wstyd mi to przyznać, ale sama nie brałam pod uwagę możliwości, że to może dotyczyć też tak wielu dzieci!*

*Masz rację. Nie możemy siedzieć beczynnie, kryjąc się w naszych wygodnych domach, kiedy inni niesprawiedliwie cierpią. Od chwili, kiedy dostałam Twój list, trochę sobie to już wszystko przemyślałam.*

*Biorąc pod uwagę sprzeczne prawa obowiązujące po obu stronach granicy, decyzja, by uczestniczyć w tej misji, jest mocno kontrowersyjna. Jednakże, jak słusznie zauważyłaś, nigdy nie należałam do tych, którzy wycofują się ze strachu przed nieznanym. Gdyby ktokolwiek szukający schronienia stanął przed*

*moimi drzwiami, nigdy nie odesłałabym go bez udzielenia pomocy. Tak samo zareagowałabym, gdybym zobaczyła czy to Ciebie, czy kogokolwiek innego: witaj i schroń się u mnie. Jestem przekonana, że uda mi się urządzić bezpieczne miejsce na poddaszu nad moją pracownią krawiecką. Pozostaję do dyspozycji matki przełożonej, a przede wszystkim Twojej, moja najdroższa dziewczynko.*

*Kochająca  
ciotka Izzy*

Maryla ucałowała list i natychmiast wysłała krótką notatkę do matki przełożonej:

„Proś, a będzie Ci dane. Cud rozmnożenia”.

## XXV

# Ubolewanie z powodu niewybaczalnych słów

Maryla była bardzo zadowolona, że napisała do matki przełożonej właśnie wtedy, kiedy to zrobiła. Na początku marca tak zwany Raport Durhama, podsumowujący stosunki panujące w brytyjskiej Ameryce Północnej, dotarł do Kanady. Stał się przysłowiowym kijem wepchniętym w tryby gospodarki. Urząd pocztowy zamknięto na trzy tygodnie po jego opublikowaniu. Blairowie nie mieli klientów. W ratuszu panowały ciemności. Chodziły plotki, że burmistrz Cromie zaryglował drzwi frontowe domu, zamknąwszy się z żoną i całą służbą w środku. Nawet stary pan Fletcher i jego skrzynka z pieczonymi kasztanami zniknęli z głównego placu w Avonlea. Wydawało się, że nadciągnęła prawdziwa biblijna apokalipsa.

Jedynym kołem zamachowym gospodarki, które kręciło się coraz szybciej i szybciej, była wszechpotężna prasa. Gazety prosto z drukarni rozchodziły się jak świeże bułeczki. Można w nich było znaleźć najświeższe informacje o tym, co dzieje się w Charlottetown, Hopetown, Montrealu, Quebecu, a nawet w Londynie. Zamiast stać rano w kolejce po chleb, mężczyźni i kobiety ustawiali się po gazety w długich ogonkach wzdłuż głównych ulic, głodni najnowszych wieści.

Lord Durham zebrał oświadczenia władz miejskich ze

wszystkich kanadyjskich prowincji i sporządził na ich podstawie raport dla rządu Jej Królewskiej Mości. Zawarł w nim wniosek, że jedynym sposobem zduszenia przyszłych rebelii byłoby połączenie wszystkich brytyjskich kolonii w Górną i Dolną Kanadę, przy czym Wyspa Świętego Edwarda zostałaby brytyjską kolonią Dolnej Kanady. Lord Durham utrzymywał, że to połączenie sprawi, iż unia będzie działać bardziej harmonijnie. Pokój był uzależniony od likwidacji podziałów rasowych. Naród potrzebował poczucia jedności, niezależnie od języka, religii, wyznania czy koloru skóry. Proklamowanie powstania jednego narodu kanadyjskiego z błogosławieństwem Korony Brytyjskiej pozwoliłoby na równą i sprawiedliwą reprezentację w parlamencie, konsolidację długów oraz ujednoczenie prawa w całym kraju.

„Zjednoczenie prowincji Kanady usankcjonowane przez Królową!” głosiły nagłówki gazet. Avonlea potrzebowało czasu, żeby przyswoić sobie te wieści. Ludzie byli zmęczeni wyglądaniami przez szpary w zasłonach i wyczekiwaniem katastrofy – bądź co bądź walebnym Pattersonem od wielu już lat zapowiadał nadejście końca świata. W końcu znów otwarto pocztę, burmistrz Cromie odblokował drzwi ratusza, a pan Fletcher wrócił do pieczenia kasztanów.

Maryla uznała, że uzyskano remis. Liberałowie opowiadali się za reformami, no i proszę – konserwatyści wprowadzili je w życie. Wyglądało jednak na to, że nie wszyscy podzielali jej punkt widzenia. Wśród młodych mężczyzn Agora zyskała jeszcze większą popularność. Mateusz wprawdzie już tam nie chadzał, ale Janek i tak codziennie dostarczał mu wieści o wynikach tych obrad.

Wczesna zima to równocześnie zapowiedź wczesnej wiosny. Nadszedł pierwszy ciepły dzień marca. Maryla obesza cały dom, otwierając wszystkie okna, żeby wpuścić do wnętrza świeży powiew wiatru. Krzewy bzu stały całe w zielonych cętkach

pękających pąków, na czubkach nabierających lekkiego odcienia fioletu. W rozwidleniu gałązek parka wróbla uwiła sobie gniazdko. Maryla obserwowała je, spragniona oznak budzącego się życia. Myślała o ostatnich słowach matki przełożonej.

Teraz, gdy znów zaczęła działać poczta, nieomal natychmiast przyszedł list z Hopetown. Matka przełożona nawiązała kontakt z ciotką Izzy, która już przyjmowała „gości”. Te informacje sprawiły, że serce Maryli zabiło szybciej. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy nie przyjąć zaproszenia od ciotki i nie pojechać do niej na jakiś czas. Mogłaby pomóc w opiece nad odwiedzającymi i stać się w ten sposób częścią większej misji. Skoro jednak ciotka miała tylko jeden wolny pokój na poddaszu, Maryla nie powinna go zajmować. Doszedłszy do takiego wniosku, dziewczyna schowała list do szuflady biurka. Już samo to, że wiedziała, iż praca tam idzie pełną parą, przynosiło jej mnóstwo radości.

Ojciec wyjechał skoro świt do Carmody. Po długim okresie zastoju znów handlowano żywym inwentarzem i płodami rolnymi. Większość gospodarzy wybrała się na targ, żeby zapęłnić puste stodoły ziarnem na siew. Przed kolacją, jak zwykle ostatnio, Mateusz z Jankiem prowadzili szczerą rozmowę. Szli właśnie przez podwórze w stronę domu.

– I tu właśnie leży problem, Mateuszu – mówił Janek. – Zbyt wielu takich jak ty nie chce przemówić ze strachu przed budzącą niepokój tradycją, lecz przecież to jasne jak słońce, że żyjemy w nowoczesnych czasach i stare sposoby konserwatystów nie mogą utrzymać w ryzach nowego pokolenia.

Doszli do tarasu na tyłach domu i przez otwarte kuchenne okno Maryla słyszała skrobanie zapalek Mateusza o draskę, a potem zobaczyła dym z fajki. Brat nabrał tego nieznośnego przyzwyczajenia – i palił coraz częściej – od pamiętnej aukcji z kosztami. Nie rozmawiali o Joannie Andrews od miesięcy, a Mateusz starał się po każdym niedzielnym nabożeństwie jak

najszybciej opuścić kościół. „Bóg nie wymaga od chrześcijanina strzępienia sobie języka po próżnicy” – rzekł któregoś razu, a Maryla przyznała mu rację.

Pomyślała, że może lepiej by było zamknąć okno, żeby dym nie leciał do kuchni, ale wtedy wiedzieliby, że tu jest, a nie miała dzisiaj czasu na przyjmowanie gości. Musiała jeszcze zalać woskiem formy do świec, napełnić cysterne w kuchni wodą ze studni i wylać świniom serwatkę, pozostałą po odwirowaniu mleka, zanim poda kolację. Krzątała się po cichu, a słowa rozmowy wraz z dymem fajki wpadały przez otwarte okno do kuchni.

– Nie powiem, żebym się z tobą nie zgadzał, Janku – mówił Mateusz. – Widzę, że potrzebujemy reform.

– A więc jesteś reformatorem!

– To nie jest takie proste – mówił Mateusz, trzymając w ustach fajkę. – Łączą mnie więzy krwi prowadzące aż do Szkocji. Wszyscy w mojej rodzinie byli i są prezbiterianami. Nie można tak po prostu odciąć się od korzeni. Tak więc o ile mogę się zgodzić z przekonaniem reformatorów, muszę trzymać stronę torysów w kwestii religii. Posiadają oni władzę z nadania Boga i zgodnie z tym, co wielebny Patterson głosi na kazaniach, musimy być wierni Koronie.

– Chyba musiałem przegapić to kazanie. W którym miejscu Pisma Świętego jest napisane, że Brytyjska Korona została wyznaczona do sprawowania władzy z bożego namaszczenia? Czy nasi francuscy sąsiedzi mają obstawiać przy tym samym co do króla Ludwika Filipa? A Amerykanie co do prezydenta Van Burena? A co z Duńczykami i Belgami?... A może mi powiesz, kto cieszy się największą przychylnością Boga? Świat jest zbyt duży i zbyt zróżnicowany, żebyśmy wierzyli we wszystko, w co każą nam wierzyć.

– Powtórzę: nie mogę zaprzeczyć twoim twierdzeniom.

– Więc po co wciąż wspierać program polityczny, który

zakłada, że ludzie, którzy go popierają, są ślepi i głusi na niezbędne zmiany służące ogółowi? Jedynym rozwiązaniem jest demokracja, ale żeby mogła zaistnieć, musimy dysponować głosami wszystkich.

– Zmiany właśnie zachodzą. – Mateusz westchnął tak głęboko, że jego wyraźne zdenerwowanie zaniepokoiło Marylę. – Torysi są za zjednoczeniem kraju, a lord Durham udziela wsparcia odpowiedzialnemu rządowi.

– Po tym, jak o mały włos nie został przez nas pokonany. I w tym właśnie rzecz, Mateuszu. Gdybyśmy nie zbierali się razem, zdeterminowani, z jasno określonymi poglądami, nie uzyskalibyśmy odpowiedniej pozycji, by wysunąć żądanie zrównania wszystkich klas społecznych. To ludzie tacy jak ty wstrzymują postęp. Ludzie tacy jak ty, których to my musimy przypilnować, żeby się opowiedzieli, którą stronę wybierają: zimną czy gorącą. Nikomu nie wolno pozostać obojętnym!

Maryla miała już tego dość. Do białej gorączki doprowadzał ją sposób, w jaki Janek zapędził Mateusza w kozi róg. Jej brat był stanowczo zbyt pokorny i dobroduszny, żeby się odgryźć. Nie mogła słuchać tego, jak jest atakowany, a już szczególnie tu, na Zielonym Wzgórzu. Mateusz nacierpiał się wystarczająco z powodu oziębłej i nieczulej Joanny Andrews. Wtedy Maryla nie mogła nic zrobić w jego obronie, lecz teraz jak najbardziej.

– Jesteś taki zadufany w sobie, Janie Blythe! – krzyknęła przez okno, zanim, kipiąc gniewem, wybiegła na taras. – Dlaczego nie może zostać tak, jak jest? Widziałam dokładnie, co tego rodzaju gadki robią z ludźmi: stają się barbarzyńcami żądnymi krwi! Widziałam ich w Hopetown. Niewinnych ludzi, dzieci, na które polują, które wieszają, podczas gdy ty co robisz? Zajęty jesteś gadaniem! Prowadzisz w tej swojej Agorze debaty na temat wojny, jakbyś komentował wydarzenia sportowe. Stwarzasz problemy tym, którzy mogliby podjąć jakieś działania, nawet gdyby nie były to działania liberalne, które wy uważacie za

jedynie słuszne. Kim ty jesteś, żeby to oceniać? Anarchia nigdy nie jest rozwiązaniem. Z tego, co do tej pory zauważyłam, działania liberalnych reformatorów przyniosły jedynie chaos i śmierć.

– Ależ Marylko... – Zaskoczony Janek otworzył usta ze zdumienia.

Maryla uniosła palec wskazujący do ust, nakazując mu milczenie.

– A najbardziej mnie irytuje, że tak bardzo ci przeszkadza to, że jesteśmy konserwatystami. My nie narzucamy tobie naszych politycznych przekonań, więc dlaczego ty uparłeś się, żeby zmieniać nas?!

Do uszu zgrzanej ze złości Maryli dobiegł dźwięk pokrywki podskakującej na garnku z bulgoczącym gulaszem.

– A teraz jeszcze zrujnujesz moją kolację! – warknęła i wróciła do kuchni, trzaskając za sobą drzwiami.

Janek ruszył za nią, a za nim Mateusz.

– Marylko! Uspokój się! – prosił Janek. – Nie ma powodu tak się denerwować.

Zsunęła garnek z fajerki na bok płyty kuchennej i niewiele brakowało, a rzuciłaby nim w chłopaka. Jak on śmiał wejść tutaj i jeszcze ją pouczać, jak się ma zachowywać!

– Uważasz, że możesz tak sobie wchodzić bez pytania do cudzego domu i się rządzić?! Mateusz jest konserwatystą, tak jak i nasz ojciec, jak nasza matka, jak ja. Nie mamy ochoty się zmieniać, a jeśli ci się to nie podoba, możesz sobie iść i nigdy nie wracać!

– Marylko... – Mateusz też wyglądał jak zbity pies. – Chyba nie mówisz poważnie...

Uniosła hardo głowę.

– Na grób mojej matki przysięgam, że tak!

Święcie wierzyła w to, co mówi, dopóki jej słowa nie trafiły celu.

Policzki Janka zrobiły się purpurowe, a blizna na skroni prawie fioletowa. W milczeniu skinął na pożegnanie głową Mateuszowi, odwrócił się i wyszedł.

Maryla poczuła pulsujący ból w skroniach, przed oczami zaczęły jej latać czerwone płatki.

Kolejny dzień spędziła w łóżku. Migrena powodowała, że każdy kolor wydawał się zbyt jaskrawy, każdy dźwięk zbyt głośny, każdy ruch był jak dźgnięcie sztyletem. Kiedy następnego ranka ból w końcu ustąpił, wstała z łóżka i zorientowała się, że była u nich Małgorzata. Na stole leżał kwartalnik wydawany przez szkołę niedzielą. Od ich wizyty w Hopetown postanowiła poświęcić życie słusznej sprawie ratowania zniewolonych oraz reformom społecznym. Twierdziła, że pierwszym stopniem w dążeniu do tej wolności jest kościół. Widziała już sądny dzień na własne oczy i postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby tylko nie trafić na szubienicę w dniu Sądu Ostatecznego. Nigdy nie rozmawiały o tamtych egzekucjach. Maryla wciąż miała je w pamięci, lecz z czasem wspomnienia stawały się bledsze, mniej bolesne. Część spraw w życiu lepiej pozostawić ich własnemu biegowi.

Mateusz był w kuchni i sam jadł samodzielnie przyrządzone śniadanie na zimno, składające się z chleba, szynki i sera.

– Ojciec wrócił już z Carmody? – spytała Maryla, zawiązując fartuch.

– Tak. Wyjechał już w pole.

– Masz zamiar do niego dołączyć?

– Miałem nadzieję porozmawiać najpierw z tobą sam na sam. – Mateusz odsunął talerz i wytarł usta, ukryte w brodzie, którą ostatnio zapuścił.

– Porozmawiać? A o czym?

Migreny Maryli działały na jej mózg jak gąbka na szkolną tabliczkę, usuwając wspomnienia wydarzeń poprzedniego dnia.

– O tym, jak potraktowałaś wczoraj Janka Blythe. –

Odchrząknął znacząco.

– A o czym tu rozmawiać?

– Skoro tak uważasz, to będę mówił sam.

Mateusz będzie mówił?! Maryla poczuła ukłucie niepokoju. Co powinna zrobić, jak już go wysłucha?

– Szybko wydorostałaś, odkąd straciliśmy matkę – zaczął Mateusz. – Masz zdecydowane poglądy i wypowiadasz je zupełnie nowym językiem i z tego powodu jestem z ciebie dumny. Jednak nie byłbym w stanie chodzić z podniesioną głową jako mężczyzna i twój starszy brat, gdybym ci nie powiedział, jak się czuję z tym, co zrobiłaś wczoraj. Czas najwyższy powiedzieć na głos, co ja o tym wszystkim myślę. Popełniłaś błąd, zwracając się w taki sposób do Janka. Wstyd mi za ciebie!

Znów pojawiło się znajome klucie w czaszce, a po nim lekkie pulsowanie w skroniach. Maryla zastygła w bezruchu przy zlewie.

– Stałam w obronie ciebie i całej naszej rodziny.

– Nie potrzebuję nikogo, żeby się za mnie wypowiadał. Umieć mówić. Które prawdy są na tyle ważne, żeby wypowiadać je na głos, a o których wystarczy po prostu wiedzieć – tego wyboru musimy dokonywać co chwila. W tym leży siła wypowiedzi. Musisz się zachowywać rozważnie! Możesz zmienić zdanie w każdej chwili, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota, ale nie cofniesz raz wypowiedzianych słów. Nigdy!

Maryla przygryzła dolną wargę i odwróciła się, żeby Mateusz nie widział napływających jej do oczu łez. Wierzyła, że to, co powiedziała Jankowi, mówiła szczerze, lecz nie przestawała się zastanawiać, czy powinna była mu to wygarnąć w ten sposób. Została ostro skrytykowana i poczuła się zraniona. Jej duma nie mogła tego znieść.

Mateusz wstał i wcisnął kapelusz na głowę.

– Powinnaś była wyznać Jankowi Blythe, że go kochasz! To takie słowa powinny paść z twoich ust!

Odwróciła się szybko, żeby temu zaprzeczyć, ale Mateusz już wyszedł, zostawiając rozżaloną Marylę samą. Przecież chciała się wypowiedzieć mądrze, nie okrutnie! Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak niewiele dzieli jedno od drugiego.

Minął tydzień, potem drugi i trzeci. Kwiaty wiśni i narcyzów pyszniły się obłokami rózu, żółci i bieli, lecz Maryla ledwo to zauważała. Janek wciąż się nie odzywał, a ona myślała o nim bez przerwy. To było zdecydowanie więcej niż zwykły chłód. Pokłóciła się z nim przy bracie. Przysięgła na duszę matki. Wypowiedziała słowa, których nie da się już cofnąć.

– Rodzina Blythe’ów wróciła z odwiedzin u kuzynów w Charlottetown – usłyszała któregoś wieczoru zza płachty gazety, którą czytał Mateusz.

– Właśnie się zastanawiałem, gdzie zniknęli – odrzekł Hugon zza swojego gazetowego parawanu. – Chcę go prosić, żeby rzucił okiem na naszą Delkę. Mam wrażenie, że dobrał się do niej jeden z jego młodych byczków.

Marylę siedzącą pomiędzy nimi oblał rumieniec. Właśnie coś cerowała palcami pokłutymi od niezgrabnego wbijania igły. Ulżyło jej, że nieobecność Janka miała jakiś konkretny powód i być może wkrótce wszystko się wyjaśni.

Dzień później o mało nie potknęła się o własne nogi, kiedy zobaczyła go, jadącego konno polną drogą prowadzącą na Zielone Wzgórze. Pobiegnęła na górę, żeby spiąć włosy grzebykiem z rogu i szybko natarła nadgarstki suszonymi listkami geranium.

Janek podjechał pod drzwi frontowe. Otworzyła od razu, kiedy tylko zapukał.

– Witaj, Janku! Miło cię widzieć.

Zdjął czapkę. Miał podsinięte ze zmęczenia oczy.

– Panno Cuthbert! – rzekł chłodnym tonem i sztywno skinął głową na powitanie.

Ściągnęła brwi zdziwiona, że zachowuje się tak oficjalnie.

– Przyjechałem z polecenia mojego ojca, którego poprosił wasz

ojciec. W sprawie waszej krowy Delki.

Maryla czuła, jak gorąco wpełza na jej policzki. Ależ była niemądra! Jak mogła pomyśleć, że pojawił się z innego powodu.

– Ojciec powinien być w oborze.

Janek odchrząknął.

– Skoro już tu jestem, chciałbym zamienić z tobą słowo, jeśli mogę.

Nareszcie! On przeprosi ją, ona przeprosi jego i wszystko pójdzie dalej gładko, zniknie ten chłód między nimi. Może nawet będą mogli potem pójść na spacer? W klonowej alei aż kipiało od szkarłatnych kwiatowych kiści, a ona chciała mu opowiedzieć o swoim nowym pomysle wykorzystania kramiku Towarzystwa Dobroczyńności.

– Przepraszam, jeśli uraziłem ciebie i całą twoją rodzinę moimi liberalnymi opiniami, panno Cuthbert. Doszedłem do błędnego wniosku, że mogę się tu wypowiadać zupełnie szczerze. Zapewniam jednak, że nie popełnię więcej tego błędu.

Wyczuła gorycz w jego głosie, a kiedy nawiązał do ich niegdyś bliskich stosunków, jego wzrok uciekł gdzieś w bok. Zamiast przeprosin wygłosił prowokacyjną mowę! Maryla wyprostowała się z godnością.

– Powinieneś wiedzieć, że zuchwałość ma swoje konsekwencje!

Janek wydał z siebie jakiś dźwięk, ni to chrząknięcie, ni pociągnięcie nosem.

– W takim razie życzę udanego dnia.

– Nawzajem, panie Blythe! – wysapała Maryla ze złością.

Zamknęła drzwi i stała oparta o nie plecami tak długo, że Janek zdążył pójść do obory, porozmawiać z Hugonem i wrócić. Kiedy usłyszała, że znów się zbliża, ujęła klamkę. Jeśli otworzy drzwi, Janek to usłyszy i się zatrzyma, i wtedy będą mogli porozmawiać naprawdę. Tylko tyle wystarczy, żeby wszystko wyjaśnić.

„Musisz się zachowywać rozważnie!” – zabrzmiały jej w uszach słowa Mateusza. Odzyskała kontrolę nad swoim ostrym językiem, a przynajmniej tak jej się wydawało.

Janek cmoknął na konia. Słyszała, jak odjeżdża. Każde uderzenie końskiego kopyta tratowało jej serce, gdy znikał w oddali. Mateusz miał rację. Nie można cofnąć słów... i tych wypowiedzianych, i tych niewypowiedzianych.

Wyszła na podwórko i złapała za miotłę. Zamiatała, dopóki najmniejsze okruchy nie znalazły się tam, gdzie być powinny. To samo będzie robić jutro, pojutrze i kolejnego dnia – tak długo, dopóki będzie trzeba.

Część trzecia

# **Wymarzony dom Maryli**

## XXVI

# Dziecko przyszło na świat

*Listopad 1860*

Na wyspie rozgościł się na dobre zimny, lecz bezśnieżny listopad, wciąż w feerii złocisto-szkarłatnych barw jesieni. Drzewa nie chciały się pozbywać kolorowych liści, mimo że mocne porywy wiatru szarpały nimi na wszystkie strony. Słońce przeświecało przez delikatną mgiełkę lodowych kryształków, tworzących nad ziemią ledwie dostrzegalny baldachim.

Maryla siedziała sama w kuchni przy piecu, cerując wełniane skarpety Mateusza, kiedy zobaczyła przez okno najstarszego syna Małgorzaty biegnącego pędem drogą prowadzącą z Kotliny Lindów. Chłopak przypominał jej lisa: był niski i ruchliwy, a chodził tak szybko, że Marylę zaczynały boleć kolana, gdy próbowała za nim nadążyć. Podobny był do matki z czasów młodości – oczywiście o ile Małgorzata urodziłaby się jako chłopak i pozwalaliby jej biegać, gdzie się jej żywnie podobało.

– Panno Marylo! – zawołał, kiedy znalazł się blisko domu. – Panno Marylo! Dziecko już jest!

Maryla rozwiązała fartuch i odwiesiła na haczyk nad drewnianą skrzynią, żeby zobaczył go Mateusz, kiedy wróci z pola, i domyślił się, że wyszła. Maryla była u Lindów nie dalej jak poprzedniego dnia i zniosła im tyle jabłek z sadu, ile zdołała

unieść. To i tak było zbyt mało, żeby napełnić brzuchy dziewięciorga latorośli państwa Lindów.

Zgodnie z obietnicą Tomasz Linde pracował ciężko, dopóki Małgorzata nie ukończyła osiemnastu lat, by zarobić dość pieniędzy na kupno farmy w Avonlea. Na samym końcu głównego traktu prowadzącego przez wyspę znajdowała się piękna działka na sprzedaż. Wszyscy mieszkańcy Avonlea uważali, że tam właśnie powinien być postawiony dom Hugona Cuthbert, lecz tego nie zrobił. Stamtąd było zdecydowanie bliżej do ludzi. Zgodnie z sugestią Małgorzaty Tomasz kupił grunty na północ od Zielonego Wzgórza, dzięki czemu Lindowie i Cuthbertowie zostali sąsiadami. Pomiedzy domami można było przejść na skróty wydeptaną ścieżką i szybko znaleźć się pod frontowymi drzwiami Małgorzaty.

Zanim Robert zdążył dobiec do ich drzwi, Maryla miała już na sobie palto i ciepłe rękawiczki. Zauważył ją schodzącą ze schodów przed gankiem i się zatrzymał. Twarz miał mokrą od potu i czerwoną z wysiłku.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytała Maryla.

Zasapany Robert ledwo łapał oddech.

– Chłopiec! – wystękał wreszcie. – Ojciec i akuszerka zajmują się nim. Matka wysłała mnie tutaj.

– A gdzie reszta?

– Najmłodsze dzieci rodzice odesłali do babci White.

– Założę się, że jest zła jak osa z tego powodu. Wasza babcia nigdy nie przepadała za harmiderem pod swoim dachem.

– Mhm. – Robert pokiwał głową. – Ale nie, psze pani. Mają przykazane, żeby jej nie denerwować, bo inaczej zamiast herbaty przed pójściem spać dostaną paskudny syrop na uspokojenie.

Maryla przygryzła usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– No cóż, miejmy nadzieję, że twój nowy brat odziedziczy małomówność po ojcu, a nie niespożytą chęć wygłaszania opinii na każdy temat po matce.

Robert nie ośmielił się nawet lekko uśmiechnąć przez cały czas, kiedy szli obok siebie szybkim krokiem. Maryla nie była przy żadnym porodzie Małgorzaty. Uważała, że wydawanie dziecka na świat jest czymś równie naturalnym i zwyczajnym jak deszcz, choć jedno uderzenie pioruna może zmienić wszystko na zawsze. To właśnie w nią i w jej rodzinę uderzył kiedyś piorun. Czy skierowała go w nich ręka Boga, czy przypadek? Po tych wszystkich latach odpowiedź stawała się coraz bardziej niejednoznaczna. Małgorzata przechodziła przez to jedenaście razy. Przeżyło dziewięcioro dzieci w nagrodę za jej cierpienia, dwoje pochowali na cmentarzu w Avonlea jako wieczną pamiątkę niepewności losu.

Dziewczynka o imieniu Patsy umarła na gripę w wieku dwóch lat. Maryla wciąż miała przed oczami jej słodką twarzyczkę z dołeczkami okoloną burzą miękkich loczków, gdy matka nosiła ją na rękach. Aniołek na krótko zawitał na ziemię. Ta strata nieomal zdruzgotała Małgorzatę, lecz na szczęście miała starsze dzieci, a wkrótce na świat przyszły kolejne. Wydawało się, że z upływem czasu rana w sercu Małgorzaty się zabiłżniła, i wtedy urodziła martwego chłopca. Maryla sądziła, że tym razem przyjaciółce będzie łatwiej, skoro nie miała możliwości poznawania rozwijającego się dziecka, nie słyszała nigdy tupotu małych stópek, nie przelała na nie ogromu miłości – lecz bardzo się myliła. Było jeszcze gorzej niż po śmierci Patsy. Małgorzata nie była nawet w stanie nadać mu imienia. Mówiła o nim „mój słodki syneczek” i pochowała go obok starszej siostry. Maryla gotowała im obiady przez cały okres żałoby. Małgorzata zupełnie straciła apetyt. Mogła przełknąć tylko owsiankę, ale zjadała jej zaledwie odrobinę. Osłabła do tego stopnia, że Tomasz w pewnym momencie zaczął się bać, czy żona nie umrze ze zgryzoty. Maryla jednak była uparta. Piekła więcej waniliowych przekładańców i puddingów śliwkowych niż kiedykolwiek wcześniej i przyjaciółka powoli zaczęła jeść i odzyskiwać siły. To

był najsmutniejszy okres w życiu Małgorzaty, przez który pomogła jej przejść Maryla.

Dwunaste dziecko zaskoczyło wszystkich. Doktor Spencer zalecił Małgorzacie bezwarunkowe leżenie przez cały okres ciąży. Jej ciało było już zbyt osłabione wieloma porodami i ten, ostrzegł lekarz, powinien być ostatni, bo następnego mogłaby nie przeżyć. Maryla nie wiedziała, do jakiego stopnia ciąży i porody mogą wyniszczyć ciało. Ona nie była przy nadziei ani razu, a mimo to mijające lata działały jak kwas na jej kości, osłabiając je dzień po dniu. Lubiła dzieci, lecz macierzyństwo zdawało się wykraczać poza jej możliwości. Wierzyła całym sercem w to, że należy cieszyć się tym, co Bóg dał, a dobry Bóg dał jej Mateusza, Zielone Wzgórze, zdrowie i pola pełne plonów. Miała więcej niż wiele ze znanych jej osób, więc zamiast się zastanawiać, czego nie ma, była wdzięczna, że nie musi tak cierpieć jak Małgorzata lub zapłacić najwyższej ceny jak jej matka. Koszt macierzyństwa był zbyt wysoki, a tyle przecież od niej zależało. A poza tym, żeby mieć dzieci, trzeba najpierw mieć męża... a tego akurat braku – nie mogła zaprzeczyć – wciąż żałowała. Miała przez pewien czas nadzieję, że Mateusz znajdzie sobie żonę, ale nie śmiała przy nim poruszać tego tematu. Każde z nich nosiło w swoim sercu ciche rozczarowania.

Mateusz niedawno skończył czterdzieści cztery lata. Zaczął siwieć wyjątkowo wcześnie, mając zaledwie lat trzydzieści, lecz brodę wciąż miał gęstą i ciemną aż do tej jesieni, kiedy to pojawiły się w niej srebrne nitki. Mateusza zaczęło też poboлеwać serce – miewał tak silne ataki, że tracił oddech, a potem czuł się bardzo zmęczony. Doktor Spencer przestrzegł go, że powinien unikać dźwigania ciężarów, rzadziej palić fajkę i jeść więcej fasolki, czego oczywiście nie robił.

W ciągu ostatnich miesięcy doktor bywał częstym gościem na Zielonym Wzgórzu. Latem permanentny kaszel ich ojca zaczął pozostawiać na chusteczce krwawe plamy. Suchoty. Jednak

nawet wtedy, kiedy Hugon schudł tak, że robocze rękawice zsuwały mu się z rąk, wychodził do obory razem z Mateuszem i wspólnie zajmowali się inwentarzem. Maryli nie udawało się go powstrzymać, choćby nie wiem jak próbowała, więc ona też udawała, że nie widzi jawnych oznak końca. Smażyła jajka na śniadanie, zmiatała podwórko, karmiła kury, zbierała owoce w sadzie, piekła chleb, nakrywała do stołu dla dwóch mężczyzn i podawała im mnóstwo duszonej wołowiny. Życie nie przestało mleć ziaren czasu, choć może żarna ich młyna nieco zwolniły.

Pewnego wrześnieowego poranka, kiedy pierwszy szron okrył ziemię, Maryla weszła do pokoju ojca ze świeżym ubraniem i dzbankiem gorącej wody. Doznała szoku, kiedy zobaczyła go leżącego wciąż w łóżku. Nie obudziły go ani wschód słońca, ani pianie koguta. Doktor Spencer powiedział potem, że płuca ojca przestały pracować. Odszedł w nocy. Przez dwa dni Maryla nie wstawała z łóżka. Kiedy w końcu Mateusz odważył się wejść do pokoju siostry, jej poduszka całkiem przemokła od łez, a żołądek skręcał się z głodu. Od śmierci matki Mateusz nigdy nie wchodził na pięterko, więc zdziwiła się, kiedy cicho zapukał do drzwi i wszedł z miseczką kartoflanki, którą sam ugotował.

– Musisz jeść – powiedział.

Oczy podpuchły mu od łez tak samo jak siostrze.

Zupa miała okropny smak, kartofle rozgotowały się na papkę, lecz to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że był przy niej.

– Wszyscy odeszli i tylko my zostaliśmy – rzekł. – Już tylko my na ziemi nosimy nazwisko Cuthbert.

Mówił prawdę. Mieli wprowadzić kiedyś ciotkę Cuthbert, lecz zmarła dawno temu, a żadnego stryja, który mógłby przekazać nazwisko następnym pokoleniom. Wiedzieli o Keithach, ich kuzynach z Grafton, i Johnsonach, do których należała ciotka Izzy z St. Catharines, oraz o kilku rodzinach w Szkocji, lecz nie słyszeli o żadnym Cuthbercie. Oczywiście wciąż istniała możliwość, że Mateusz pojmie za żonę młodszą pannę i będzie

miał dzieci, lecz główną przeszkodę stanowiła jego nieśmiałość. Od chwili, kiedy Joanna Andrews odrzuciła go z pogardą, nie odważył się spojrzeć na żadną kobietę. Stwierdził kiedyś, że obecność pań w pobliżu zawsze przyprawia go o zdenerwowanie, i starał się trzymać od nich jak najdalej. Maryla próbowała mu to wyperswadować, argumentując, że przecież ona też jest kobietą, a jakoś rozmowy z nią mu nie szkodzą. Sam nie wiem, ale to co innego – próbował się tłumaczyć. – Ty jesteś moją siostrą i po prostu tak się złożyło, że jesteś kobietą. Dla Maryli nie był to jednak racjonalny powód, który by wyjaśniał zachowanie brata.

Miesiące szybko zamieniały się w lata, lata przechodziły w dekady. Idea, że ktoś jeszcze mógłby wejść pomiędzy nich, by zastąpić choć jedno koło zębate w utartej rutynie dnia codziennego, powoli stała się nie do przyjęcia. Żyli sobie we dwoje jak dobrze naoliwione tryby zegara, lecz wyglądało na to, że wraz ze śmiercią Hugona stracili napędzające owe tryby wahadło. Mateusz zajmował się pracą na farmie, Maryla – domowymi obowiązkami, a ojciec – kupnem i sprzedażą wszystkiego, co wiązało się z prowadzeniem gospodarstwa. Mateusz nie miał głowy do interesów i nie lubił się targować. Maryla, wprawdzie biegła w matematyce, lecz jako kobieta była niemile widziana na spotkaniach farmerów, w których uczestniczyli jedynie mężczyźni. Poza tym nie mogłaby opuszczać Zielonego Wzgórza tak często, jak tego wymagało finalizowanie transakcji. Kto by gotował, sprzątał, prał, cerował, pracował w przydomowym ogródku, zapełniał spiżarnię i wykonywał mnóstwo drobnych prac, którymi nikt inny by się nie zajął, gdyby ona wyjechała do Carmody? Kłopoty z sercem Mateusza ledwo pozwalały mu na uprawę pól i zajmowanie się inwentarzem. Potrzebował siostry na miejscu. Maryla obiecała to matce i obietnicy dotrzymywała.

Hugon wprawdzie na pewien czas zatrudnił małżeństwo

pracowników najemnych, lecz kiedy urodziło im się dziecko, przenieśli się do Nowej Szkocji. Potem nastał ten czas, gdy w gospodarstwie pomagał im Janek Blythe. Jednak wszyscy byli wtedy o wiele młodszy, właściwie byli jeszcze dziećmi uczęszczającymi do szkoły. Zresztą od tamtej pory upłynęło już tyle czasu, że nie pamiętali nawet, jak do tego doszło.

– Ile ty właściwie masz lat, Robercie? – spytała teraz Maryla, kiedy zaczęli się piąć ścieżką pod górę.

– Czternaście.

– Mhm...

Zacząła się zastanawiać, czy Małgorzata pozwoliłaby im go wynająć do pomocy na czas wakacji. Robert był sprytnym chłopcem, a przy tym sprawnym i szybkim. Jednakże Lindowie mieli swoją własną farmę, więc Maryla porzuciła ten pomysł. To nie byłoby w porządku w stosunku do nich, zwłaszcza teraz, kiedy najmocniej potrzebowali pomocy pierworodnego syna. Poza tym Cuthbertowie nie mogliby zbyt wiele mu zapłacić.

W domu rodziców Robert został na dole, a Maryla weszła na górę do sypialni. Akuszerka właśnie układała malutkie zawiniątko w ramionach Małgorzaty.

– Marylo, podejdź i zobacz sama! To chłopak. Chłopak!

Maryla zbliżyła się do wezglowia łóżka i odsunęła pieluszkę z pomarszczonej twarzyczki niemowlaka. Kolejny udany Linde na tym świecie.

– Serdecznie wam gratuluję, Małgorzato i Tomaszu!

Stojący w kącie pokoju mąż zarumienił się i zawstydził, słysząc powinszowania.

– Cóż... Tomaszu! Nie stój tam jak kołek, podaj Maryli krzesło.

Tomasz wyszedł, żeby przynieść krzesło, z nieprzytomnym uśmiechem na twarzy.

– Dwunasty raz, a on wciąż mdleje na widok kropli krwi! – Małgorzata pokręciła głową z politowaniem. – A można by podejrzewać, że już wie, że niemowlęta nie przychodzą na świat

zgrabnie opakowane w czystą pieluszkę. Tomasz zdaje się wciąż żyć w pełnej nieświadomości prawdy. Doszedł do siebie dopiero tuż przed twoim przyjściem.

Dziecko westchnęło cichutko, co przyciągnęło uwagę obu kobiet. Miało skórę jak najdelikatniejszy jedwab. Usteczka stanowiły idealny łuk, a każdy paluszek ręki zdawał się miniaturowym dziełem sztuki. Piąstka zaciskała się i rozwierała na piersi matki. Widok ten obudził dziwne drżenie w ciele Maryli. Ten sam delikatny łopot motyli skrzydeł czuła i przy poprzednich dzieciach Małgorzaty, lecz nieuchronnie słabł, gdy nowo narodzonego słodkiego aniołka trzeba było na okrągło przewijać w czystą pieluchę.

– To było coś całkowicie niespotykanego, Marylo! Urodził się z czkawką i ani razu nie zapłakał. Znasz jakieś dziecko, które urodziło się bez wrzasku oznajmiającego „Tu jestem!”? Potem jednak do moich uszu dotarło ciągle czkanie, więc już wiedziałam, że wszystko z nim w porządku.

– Spokojny duch – orzekła Maryla. – Znam ten typ ludzi.

– No właśnie! I dlatego uważam, że bardzo by pasowało, abys ty nadała mu imię.

– Ja miałabym nadać mu imię?! – Maryla aż się cofnęła. – Och, nie! Nie mogłabym! To twój syn. Imię jest zbyt ważne dla tego, kto później będzie je nosił. To przywilej rodziców.

Małgorzata się nachmurzyła.

– Jesteś moją najdawniejszą, najbardziej zaufaną przyjaciółką. Nie kłóć się ze mną, proszę! Spędziłam uwięziona w tym łóżku kilka miesięcy, całe godziny cierpiąc w bólach. – Żeby dodać słowom dramatyzmu, zwiesiła na moment głowę. – Nie chcesz uczynić mi tego honoru i nadać imienia ostatniemu dziecku, które wydałam na świat?

Cóż robić? Małgorzata zawsze potrafiła zagrać na odpowiedniej strunie, żeby sprawy ułożyły się tak, jak sobie życzyła. Przyparła Marylę do muru, nie dając jej nawet chwili do

namysłu.

– No cóż... Nic mi nie przychodzi do głowy...

Małgorzata westchnęła, robiąc przy tym głośny wydech, zupełnie inaczej niż jej synek.

– Marylo! Nadałam imiona dziesięciorgu swoim dzieciom i zwyczajnie nie mam już pomysłów. Proszę cię, pomyśl o imieniu jako o prezencie dla mnie. Ocal moją umęczoną głowę przed kolejną porcją rozmyślań!

– No cóż... A może... – Maryla zastanawiała się intensywnie: przystojny chłopak, nierobiący zamieszania wokół swojej drobnej osoby... – Coś mi się wydaje, że jedyne imię, które przychodzi mi na myśl, to imię mojego ojca. Jak by ci pasował Hugon?

– Hugon Linde? – upewniła się akuszerka.

Małgorzata poprawiła dziecko w ramionach, żeby jego główka ułożyła się najwygodniej jak to możliwe.

– Hugon Linde. Dobre imię, które nosił dobry człowiek.

Akuszerka zapisała imię równym ukośnym pismem. Tomasz wrócił z krzesłem.

– Trochę długo cię nie było. Maryla zdążyła w tym czasie wybrać imię naszemu chłopakowi.

– Tak? – Tomasz postawił krzesło obok łóżka.

– Powitaj naszego syna Hugona.

Tomasz uśmiechnął się i skinął głową, akceptując wybór.

– Jesteśmy ci bardzo zobowiązani, Marylo. Nie mógłby mieć lepszego imiennika!

Maryla poczuła wzbierające pod powiekami gorące łzy, choć już lata temu myślała, że całkiem wypłakała oczy. Usiadła przy łóżku przyjaciółki i delikatnie powiodła opuszką palca po brwi noworodka.

– A zatem... Witaj na świecie, Hugonie!

## XXVII

### Gratulacje, oferta i życzenie

Następnego dnia Maryla zajęta była haftowaniem inicjałów HL na kaftaniku dla niemowlaka, kiedy usłyszała równomierny odgłos końskich kopyt i turkot kół wozu.

Pomyślała, że może to doktor Spencer, który chce zajechać do nich po zbadaniu Małgorzaty. Wielu gości złożyło już wizytę w Kotlinie Lindów, a jeszcze więcej dopiero się tam wybierało. Maryla doszła do wniosku, że to okulary muszą jej płać figle i zamazywać obraz, kiedy zorientowała się, że mężczyzna siedzący na koźle bryczki zbliżającej się polną drogą do Zielonego Wzgórza to Jan Blythe. Mimo że Mateusz i Jan pozostali przyjaciółmi, Jan rzadko składał mu wizyty, a kiedy już się do nich wybierał, zawsze uprzedzał Mateusza, a ten z kolei ostrzegał siostrę. Wtedy ona znajdowała sobie jakieś niecierpiące zwłoki zajęcie poza domem: wyruszała na pocztę, wdrapywała się na drabinę w sadzie lub oskubywała do czysta krzaczki fasolki szparagowej w ogródku, żeby tylko uniknąć kłopotliwego spotkania. Było to zdecydowanie łatwiejsze niż omijanie się nawzajem w tak małym miasteczku jak Avonlea. Wystarczało zająć się czymś i patrzeć w drugą stronę. Dopóki wszystko pozostawało bez zmian, ich układ również trwał niezmienny.

Teraz Jan podjechał pod drzwi frontowe, jakby było to zwyczajne piątkowe popołudnie, którym zresztą było, dopóki się nie pojawił. Maryla poprawiła się w fotelu i skoncentrowała na

idealnie prostym wykonaniu ściegu litery L na kaftaniku. Policzyła kroki przybysza – jeden, dwa, trzy, cztery – kiedy wchodził po schodkach na ganek. Stukanie do drzwi. Wciągnęła powietrze do płuc, policzyła: jeden, dwa, trzy, cztery, zrobiła wydech, zebrała się w sobie i szybkim ruchem podniosła się z miejsca.

Ręka na klamce, moment *déjà vu*: czy to nie tu stała wtedy? Choć jej wzrok przedwcześnie się popsuł, była dumna ze swej niezmiennej bystrości umysłu. Pamięć jednakże bywa zawodna, jak poranna mgła, która rozwiewa się do południa.

Klamka się obróciła. Drzwi, praktycznie rzecz biorąc, otworzyły się same.

– Witaj, Janie Blythe.

Mężczyzna zdjął kapelusz, spod którego ukazały się wciąż gęste, kręcone włosy, odrobinę przyprószone siwizną. A może to tylko wzrok Maryli przygaszał kolory?

– Witaj! – odpowiedział. – Nie chciałbym przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz. – Zaprosiła go gestem do środka. – Wejź!

Czas nauczył ją kontrolować emocje: powstrzymywać wybuchy złości, a pozwalać sobie jedynie na dobre uczucia. Teraz ograniczyła się do ciekawości. Odrobina więcej, i znów wszystko by wróciło.

– Masz ochotę się czegoś napić?

– Nie, dziękuję bardzo. – Stał na środku bawialni.

Światło listopadowego popołudnia wpadało ukośnie przez szyby okien, wyglądające w takim oświetleniu jak powierzchnia wody w stawie po burzy. Kurz i pył, których wcześniej nie dostrzegła, unosiły się prawie wszędzie.

– Byłem właśnie złożyć wizytę państwu Linde i zobaczyć ich nowo narodzonego syna.

– Zdrowy chłopak.

– Tak, a Małgorzata też czuje się dobrze.

– Dziękować Bogu! – Maryla skłoniła głowę.

– Tak... – Jan zaczął się przyglądać kapeluszowi, który trzymał w ręce.

Zawisło pomiędzy nimi wspomnienie Klary.

Maryla wygładziła spódnicę i niespodziewanie poczuła ukłucie tęsknoty. Nie za matką – o nie, już dawno temu nauczyła się tłumić to uczucie – lecz za ich starym, nieznośnym kocurem Szelmą, który z niezwykłym wyczuciem pojawiał się przy niej w najtrudniejszych momentach, kiedy musiała prowadzić jakąś kłopotliwą rozmowę. Nie miała serca, żeby przynieść do domu innego kota. Powinna to zrobić – powtarzała sobie – ale dziwnym trafem żaden dziki kot nie przyplątał się do nich na farmę. Szelma odszedł dziewięć lat temu, dokładnie rok po śmierci rodziców Jana. Pani Blythe zmarła, a niecały miesiąc potem podążył za nią pan Blythe. Wszyscy mówili, że to jedna połówka duszy pociągnęła za sobą drugą. Maryla zastanawiała się, czy to może być prawda, a co więcej – co się dzieje, jeśli twoja dusza nie ma drugiej połówki.

To właśnie na pogrzebie pana Blythe'a znalazła się po raz ostatni blisko Jana. Kiedy składała mu kondolencje, ledwo na chwilę podniósł wzrok, by podziękować jej skinieniem głowy, tak bardzo pogrążony był w smutku. To potrafiła pojąć – w przeciwieństwie do miłości – i to właśnie spowodowało, że stała się dla niego bardziej wyrozumiała. Obiecała sobie, że jeśli jeszcze kiedykolwiek pojawi się na Zielonym Wzgórzu, nie przywoła przeciw niemu zdarzeń z przeszłości. Nie wiedziała wówczas, że będzie musiała czekać na ten dzień aż dziesięć lat, a nastąpi to przy okazji narodzin dziesiątego z żyjących dzieci Lindów.  $1+2+3+4=10$ . Tetraktys. Tę figurę triangularną, złożoną z dziesięciu punktów, lubiła z geometrii najbardziej. Dziesiątka była dla niej liczbą doskonałą, wyrażającą spełnienie.

– Małgorzata i Tomasz powiedzieli mi, że to ty nadałaś imię ich dziecku.

– Mhm. – Maryla potwierdziła skinieniem głowy i dodała: – Po

moim ojcu.

– O tak. – Jan zmarszczył czoło. – Chciałem złożyć kondolencje.

Ostatnim życzeniem ojca był cichy pogrzeb w gronie najbliższych, w zgodzie z jego naturą. Uczestniczyli w nim jedynie Maryla, Mateusz i nowy pastor, wielbny Bentley. Stali w przepojonym zapachem soli morskiej powietrzu przy nowo postawionym kamieniu nagrobnym z wykutą inskrypcją:

*Na wieki w naszych sercach i pamięci*

*Hugon Mateusz Cuthbert*

*i jego ukochana żona*

*Klara Johnson Cuthbert*

Postawili trumnę Hugona bezpośrednio na trumnie żony. Maryla, widząc świeże drewno, kładzione na starych, wypaczonych deskach, poczuła znów w piersi znajomy, dawno pogrzebany ból, który powrócił wraz z przemożną potrzebą matczynego dotyku. Zacisnęła dłonie w pięści, żeby go zwalczyć, szukając pocieszenia w tym, że teraz rodzice będą spoczywać razem, kołysani szumem morza, złączeni ponownie z dziećmi, które utracili.

Po pogrzebie pogrążyła się tak głęboko w wypełnianiu codziennych obowiązków, że ani przez chwilę się nie zastanawiała, kto złożył jej kondolencje, a kto tego nie zrobił. Mieszkańcy Avonlea byli zawsze dobrzy dla jej ojca, tak jak i on dla nich, i ta świadomość zupełnie jej wystarczyła.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – podziękowała teraz Jankowi.

– Gdybym tylko był na miejscu, natychmiast bym przyjechał. – Uniósł głowę i napotkał jej spojrzenie. Choć jego cera straciła z wiekiem wiele z dawnej świeżości, spojrzenie oczu wciąż było tak samo pełne blasku. – Byłem w Ziemi Ruperta.

– Och?

Maryla przypomniała sobie zasłyszane plotki. Nie ośmieliła się dopytywać o szczegóły nawet Mateusza, bo czy Jan wyjechał do Charlottetown, czy gdzieś dalej, w dzikie ostępy Kanady – niczego to nie zmieniało. On był w stu procentach nieobecny, ona znajdowała się w stu procentach na miejscu i nie istniała żadna możliwość uśrednienia wyniku tego równania.

– Tak, pamiętam. Mieszka tam rodzina twojej matki, twój wuj Nick i kilku kuzynów, zgadza się? Kiedyś mi o nich opowiadałeś. Byłeś tam z wizytą?

– Tak. – Uśmiechnął się szeroko na wspomnienie ich starych rozmów. – I żeby nieco odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyobraziła go sobie pośród ogromnych górskich szczytów i jezior polodowcowych. Musiała się odwrócić, żeby ukryć melancholię, która nią nieoczekiwanie zawładnęła. Ani razu nie odbyła podróży na zachód. Nie mogłaby tego zrobić, nie myśląc o nim.

– Miałeś dość?

– Nie.

Znów spojrzała mu prosto w oczy, zdziwiona taką szczerością. Uśmiechnął się.

– Cieszę się jednak, że wróciłem. Pan Bell był tak uprzejmy i podjął się prowadzenia farmy podczas mojej nieobecności. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, czy na pewno wrócę. Wuj miał nadzieję, że zostanę i dołączę do ich rodziny traperów, poznam tam kogoś, osiedlę się nieopodal i stworzę tam dom.

Tej nowiny Maryla jeszcze nie słyszała. Ściągnęła brwi. Nie mogła sobie wyobrazić kogoś porzucającego na stałe swoją rodzinną ziemię, swoje gospodarstwo, które prowadził przez lata z takim zaangażowaniem.

– Stworzysz dom? Ale przecież tutaj masz swój dom.

Do bawialni wszedł Mateusz.

– Czyżbym słyszał głos mojego starego przyjaciela Jana Blythe?

– Czyżbym widział mojego starego przyjaciela Mateusza Cuthberta?

Uścisnęli sobie mocno prawice.

– Ale zarosłeś!

Mateusz roześmiał się i pogładził długą brodę.

– A ty zniknąłeś bez pożegnania. Jak się miewasz?

Janek wzruszył ramionami. Spoglądał to na Marylę, to na Mateusza.

– Lepiej niż przedtem. Nie tak dobrze jak dawniej, ale nie narzekam, a to już coś. Zawsze to podatny grunt, żeby znów zapuścić tu korzenie, nieprawdaż?

– Nie zaprzeczę. Dawno wróciłeś?

– Trzy dni temu. Właśnie byłem u Lindów. Odwiedziłem ich z okazji narodzin syna. – Odchrząknął. – Małgorzata skupiła się prawie wyłącznie na przekazywaniu mi najnowszych plotek z Avonlea i o dziecku mówiła niewiele. Wspomniała, że po śmierci ojca poszukujecie kogoś do pomocy na farmie.

Mateusz podrapał się w brodę.

– Tak – potwierdził. – Ojciec zajmował się głównie kupnem i sprzedażą produktów rolnych. Ja radzę sobie nieźle w łączeniu różnych obowiązków, lecz kiedy wyjeżdżam, nie ma komu zająć się wszystkim tu, na miejscu. Maryla ma i tak wystarczająco dużo roboty z domem... – Mateusz spojrział na siostrę.

– Myślałam już nawet o najęciu miejscowego chłopaka do pracy za wyżywienie i mieszkanie, kiedy Mateusz by wyjeżdżał – powiedziała Maryla. – Ale chłopak pracujący na farmie też wymaga nadzoru. Zatrudnienie kogoś za dniówkę to konieczność płacenia mu w gotówce, a na to na razie nie mamy funduszy.

Po rozmowach na tematy związane z pieniędzmi zawsze czuła się tak, jakby wsadziła dłonie do wiadra ze słoniną po biciu wieprza. Niezależnie od tego, ile razy potem myła ręce, cały czas czuła na palcach oblepiający je tłuszcz, co powodowało ciągły dyskomfort.

– Tak to właśnie ujęła Małgorzata.

Maryla poczuła, że drgnął jej mięsień między łopatkami. Przez lata zdolność Małgorzaty do opowiadania o tym, o czym nie miała pojęcia, w sposób, jakby wiedziała o tym wszystko, przekształciła się ze złego nawyku w niemiłą cechę jej charakteru.

– Wygląda na to, że znasz naszą sytuację w najdrobniejszych szczegółach. Co byś zrobił na naszym miejscu?

– Faktycznie mam pewien pomysł – przyznał Jan. – Oferuję wam siebie.

Mateusz uśmiechnął się nieśmiało i zaczął głaskać się po brodzie, żeby to ukryć. Serce Maryli zabiło mocniej i musiała postarać się ze wszystkich sił, żeby zachować równy oddech.

– Siebie?

– Owszem. Teraz, kiedy już wróciłem na stałe, postanowiłem wznowić wszystkie interesy, które prowadziła moja rodzina. Moje stado krów mlecznych wciąż przynosi niezły dochód. Będę musiał zatrudnić na stałe ze dwóch robotników sezonowych pana Bella, kiedy już przejmę prowadzenie wszelkich transakcji. Z największą przyjemnością mogę występować również w waszym imieniu. Mateusz będzie mógł pracować na farmie, a ty w domu.

– Doskonale! Mnie to bardzo odpowiada. – Mateusz uśmiechnął się, zadowolony. – To niezwykle uprzejme z twojej strony, Janku. Niezwykle uprzejme!

Maryla nie była równie chętna do natychmiastowego przyjęcia tej propozycji.

– Więc na spotkaniach farmerów w Carmody występowałbyś w naszym imieniu, negocjując ceny sprzedaży naszych produktów? Skąd mielibyśmy wiedzieć, że z korzyścią dla nas? Wszystkie nasze środki do życia będą zależeć od jednego twojego słowa.

Jan stał wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, patrząc jej

w oczy.

– Może i nie podobało ci się to, co mówiłem kiedyś, dawno temu, lecz nigdy nie zrobiłem nic przeciwko tobie. Ani razu.

Maryla zaniemówiła ze wstydu. Próbowwała coś odpowiedzieć, lecz słowa nie przechodziły jej przez gardło. Na szczęście wyręczył ją Mateusz.

– Ufamy ci całkowicie, Janku. Jesteś dla mnie jak brat, którego nigdy nie miałem.

Jego słowa zawisły w powietrzu pomiędzy ich trójką.

Mateusz klepnął przyjaciela w plecy.

– Zapalimy?

Wyszli na taras i usiedli tak samo, jak siadywali przed laty.

– Doktor Spencer mówi, że nie powinieneś palić – szepnęła Maryla, lecz słowa te usłyszało jedynie jej odbicie w oknie bawialni.

\*

Kiedy Maryla wróciła z wieczornego udoju, Mateusz siedział sam w kuchni i czyścił skórzaną uprząż Eryka.

Maryla włożyła fartuch i przyniosła podsuszoną szynkę wieprzową ze spiżarni.

– Janek już poszedł? Chciałam poczęstować go wieprzowiną i grochówką.

Mateusz odłożył na bok gałganek, którym przecierał szory.

– Nie zachowałaś się zbyt gościnnie, wiesz?

– Nic podobnego! Chciałam go zaprosić na kolację. To chyba jest gościnność, prawda?

Mateusz westchnął ciężko.

– Ty i on zbyt długo się omijaliście. Doszłaś do takiego etapu, w którym już nie pamiętasz, jak to jest zachowywać się przy nim normalnie, a nie jak wiecznie urażona dama.

Nalała wody do garnka i energicznie wrzuciła do niego szynkę.

– Doskonale wiem, dlaczego zachowuję się tak, jak się zachowuję, w stosunku do Jana Blythe. I ty również doskonale to wiesz.

– Nie, nie wiem. Już nie. Matka odeszła. Ojciec odszedł. Przeszłość minęła i nie wróci, choćby nie wiem co, więc może byś wreszcie dała spokój, siostrze, i wyciągnęła uprzejmie rękę po to, co masz tuż przed sobą.

Maryla sięgnęła po drewnianą łyżkę.

– Nie jestem zła na Jana Blythe. Po prostu nie zgadzamy się ze sobą w różnych sprawach.

– Żeby kochać ludzi, nie musisz mieć takich samych poglądów jak oni.

Spojrzała na brata przez ramię z grymasem niezadowolenia, a on wyciągnął przed siebie dłonie w obronnym geście.

– Cytuję tylko Pismo Święte, które mówi: kochaj swoich wrogów.

Nigdy nie nazwałaby Janka wrogiem! Zaczęła mieszać łyżką w garnku.

Mateusz mówił dalej:

– Niezależnie od tego, jakie masz o nim zdanie, chyba się ze mną zgodzisz w jednym: dowodzi szczerości jego charakteru, że wstąpił do nas z propozycją pomocy bez żadnych zysków dla siebie.

– Och, a nie sądzisz, że będzie miał jednak jakieś korzyści?

Mateusz rzucił uprząż na stół.

– Wstydz się, Marylo! Kiedy zdążyłaś się stać tak cyniczną osobą?

Odłożyła łyżkę i odwróciła się do brata.

– Dobrze, zgadzam się. Jan Blythe to nasz dobry przyjaciel. Jesteśmy mu bardzo zobowiązani.

Mateusz pokręcił głową.

– To nie ma z tym nic wspólnego. Patrzysz zupełnie nie od tej

strony, co trzeba.

– To może mi powiesz, od której trzeba?

Zawahał się i uważnie przyjrzał siostrze, jakby szacując ryzyko. Doszedł w końcu do wniosku, że Maryla da radę spokojnie wysłuchać tego, co ma jej do powiedzenia.

– W porządku. – Kiwnął głową. – Od lat mnie to męczyło. Janek nie jest już młodym byczkiem. Powinien był się ożenić wiele lat temu, lecz tego nie zrobił. Wiem, że patrzysz mądrzej na uczucia, które łączą mężczyznę i kobietę. Okłamujesz sama siebie, nie chcąc uznać tego, co bez wątplenia jest między tobą a Jankiem. Dotychczas trzymałem język za zębami w tej sprawie. Bóg wie, że nie mam ani doświadczenia, ani żadnego interesu, żeby o tym mówić. Jednakże, Marylo, naprawdę, jako twój starszy brat powiadam ci: czas najwyższy przestać patrzeć na stół i twierdzić, że to słoń.

– Słoń?!

– Chodzi mi o rozpoznawanie tego, co masz przed nosem!

Mateusz rzadko kiedy podnosił głos, a nigdy do tej pory nie zdarzyło mu się krzyknąć na Marylę, zamiast więc podsycić jej złość, jego wybuch ją wyciszył. Wytarła mokre ręce w fartuch. Od zimna koniuszki jej palców zrobiły się fioletowoniebieskie.

– A co ty sobie myślisz? Co wieczór modlę się za Janka, żeby znalazł sobie miłą młodą kobietę, z którą się ożeni i która da mu synów i córki do pomocy na farmie! Myślisz, że nie wiem, jaki dobry z niego człowiek? – Myślisz, że nie wiem, co to jest miłość?, dodała w myślach, i zacisnęła pięści. – Otóż wiem!

Mateusz nie rzekł więcej ani słowa. Wstał i wyszedł, pozostawiając Marylę z jej własnymi słowami odbijającymi się echem w ciszy. Kolację zjedli oddzielnie. Pusty talerz Mateusz zostawił na stole. Przyćmione różowawe światło przesączało się przez szparę pod drzwiami jego pokoju. Maryla nie napaliła na noc w kominku w bawialni. Zamiast tego zabrała na górę do swojego pokoju metalowy ogrzewacz do łóżka napełniony gorącą

wodą, lecz niewiele pomógł na dreszcze, których nie mogła opanować.

Następnego dnia Mateusz zaprzął dwukólkę, żeby zawieźć siostrę na zebranie Towarzystwa Dobroczynności, które tym razem miało się odbyć w domu pani Irving. Maryla kierowała Towarzystwem przez prawie dziesięć lat, a potem przekazała pałeczkę pani Irving. Małgorzata stanowisko zastępcy piastowała przez niecały rok, ponieważ musiała przejąć po swojej matce ster szkoły niedzielnej, Towarzystwa Pomocy Misjom Zagranicznym, które powstało przy Kółku Robótek Ręcznych dla Pań, kierowanie komitetem rodzicielskim szkoły w Avonlea oraz swoją rodziną, która co jakiś czas się powiększała. Maryla uważała, że lepiej robić jedno, za to dobrze, więc obecnie kontynuowała swoją pracę w Towarzystwie Dobroczynności jako członek zarządu.

Kobiety wchodziły właśnie przez furtkę z drewnianych sztachet przed domem, gdy Mateusz zatrzymał powozik. Maryla poprawiła kapelusz i futrzany kołnierz płaszcz.

– Zebranie zajmie nam nie więcej niż dwie godziny. – Odezwała się do brata po raz pierwszy od poprzedniego wieczoru.

– Dobrze. Podjadę po ciebie.

– Dziękuję ci, Mateuszu! – Uśmiechnęła się do niego pojednawczo.

Był ostatnią osobą, z którą chciałyby się kłócić.

On ujął jej dłoń i pomógł zsiść. Kiedy dotknęła stopą ziemi, poczuła, że jego ręka zeszywniała. Maryla odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Joanną Knox i jej siostrami, które szły w stronę furtki.

– O! Witam, panno Cuthbert! – Joanna odgarnęła do tyłu pióra toczka i skinęła głową na powitanie Mateuszowi.

– Pani Knox! Co za niespodzianka! – przywitała się z nią Maryla. – Do zobaczenia później, Mateuszu!

Dzięki Bogu Mateusz miał brodę, która skryła większą część jego twarzy przed spojrzeniem byłej panny Andrews. Jedynie Maryla spostrzegła jego czerwieniejący coraz bardziej koniec nosa. Brat cmoknął na konia i czym prędzej odjechał.

Maryla odwróciła się w stronę kobiet.

– Co sprowadza panią z powrotem do naszego miasteczka, pani Knox? – spytała.

Joanna wyszła za mąż za syna prezesa Pierwszej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej, pana Józefa Knoxa, i wyprowadziła się do Białych Piasków. Na wszystkich spotkaniach towarzyskich w Avonlea poszeptywano, że zawsze chciała wyjść za mąż za kogoś bogatego.

Maryla uważała Joannę za osobę okropnie pretensjonalną. O wartości mężczyzny powinno stanowić bogactwo jego serca, nie kieszeni! Pomimo kosa od Joanny i poślubienia przez nią pana Knoxa Mateusz nigdy nie powiedział o niej złego słowa, krzywił się jednak za każdym razem, kiedy coś podrażniło starą ranę. Teraz, gdy stanął twarzą w twarz z Joanną, poczuł się tak, jakby ktoś natarł tę ranę solą. Maryla sama nie wiedziała, czyim zachowaniem powinna się bardziej zdenerwować: Joanny, która wpadła na nich zupełnie bez uprzedzenia, czy Mateusza, który wciąż do niej wzdychał.

Znała brata wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, iż nie pragnie on obecnej Joanny. Nie usychał z tęsknoty za zamężną kobietą, którą była teraz, lecz za dziewczyną, którą była kiedyś, i to obraz tamtej zachował na zawsze w pękniętym lustrze pamięci. Przed Marylą stanęło trudne wyzwanie, żeby pokazać bratu jej obecną postać.

– Mój mąż ma jakąś sprawę do załatwienia w Avonlea. Przyjechałam razem z nim w odwiedziny do moich sióstr. – Mowa Joanny nabrała dziwnego brytyjskiego zaśpiewu.

Maryla domyślała się, że to głos nowej pani Knox z Białych Piasków.

– Franka wspomniała, że dzisiaj organizujecie kolejne spotkanie towarzyskie – ciągnęła Joanna – i pomyślałam sobie, że mogłabym do was dołączyć. Zobaczę, czy zdołam jakoś was wspomóc. – Przeciągnęła od niechcienia po wyszywanej perełkami torebeczce, wiszącej w zgięciu jej ręki. – Zapewne trudno na zapadłej prowincji zdobywać fundusze. Chciałabym coś dla was zrobić i wesprzeć wspólnotę, która mnie wychowała.

Nic tak nie drażniło Maryli, jak udawana życzliwość.

– Powrót córki marnotrawnej – podsumowała. – Witamy cię z otwartymi ramionami.

Nie czekając na odpowiedź Joanny, weszła prosto z zimna do ciepłego salonu pani Irving, pachnącego świeżo upieczonymi kruchymi ciasteczkami z cukrem i ciągutkami z syropu klonowego.

## XXVIII

### Przyjęcie bożonarodzeniowe

Od początku grudnia nie mówiło się w Avonlea o nikim innym, tylko o Blairach. Prowadzili sklep, odkąd Maryla mogła sięgnąć pamięcią, i zupełnie nieoczekiwanie zdecydowali się zamknąć swój sklepik mieszczący się w jednym niewielkim pomieszczeniu, by pozwolić swojemu synowi Williamowi przekształcić interes w prawdziwy, pełnowymiarowy skład towarów różnych w Carmody. Stan dróg znacznie się poprawił od lat dziecińczych Maryli i obecnie można tam było dojechać o wiele szybciej i łatwiej. Wystarczyło zaprząć konia do dwukółki, by dojechać do Carmody w mniej niż godzinę. Poza tym Blairowie byli już za starzy, żeby dźwigać paczki i wspinać się na stołki po produkty z wyżej położonych półek. William dołączył do rodzinnego interesu z dwiema dorosłymi córkami, synem i trojgiem wnucząt.

Na tablicy przy poczcie zawisło ogłoszenie: „Skład towarów różnych U Blairów zamknięty”. Wywołało to niezwykle poruszenie wśród starszych mieszkańców Avonlea, doprowadzając niektórych prawie do łez, bo przecież gdzie teraz będzie się kupować szare mydło, parafinę i płatki owsiane? Tydzień później ogłoszenie zostało zastąpione innym: „Otwarcie nowego, większego składu towarów w Carmody pod kierownictwem Williama L. Blaira”. Kiedy więc narzekali, że nie zdołają się dostać na piechotę do sklepu, pocieszali się

przynajmniej tym, że to rodzina Blairów w dalszym ciągu będzie zajmować się handlem.

Z okazji przebudowy sklepu Blairów z powrotem na dom mieszkalny pan i pani Blair zdecydowali się wydać przyjęcie w pierwszą sobotę grudnia. Przy okazji zamierzali oficjalnie przekazać pałeczkę młodszemu pokoleniu, a William miał wznieść toast za dorobek rodziców oraz złożyć obietnicę wierności lojalnym klientom Blairów na nowym miejscu w Carmody.

Widok ogłoszenia przywiódł Maryli na myśl ciotkę. Izzy była obecnie świetnie prosperującą krawcową. W St. Catharines prowadziła jeden z bezpiecznych domów kryjówek Podziemnej Kolei, organizacji pomagającej zbiegłym niewolnikom przedostać się do Kanady. Mając ponad sześćdziesiąt lat, wiodła znacznie aktywniejsze życie niż większość kobiet w jej wieku, a to na pewno nie byłoby możliwe, gdyby poślubiła Williama J. Blaira. Izzy była szczęśliwa, szczęśliwa była też Maryla... i Mateusz, i siostry miłosierdzia, szczęśliwa była królowa Anglii Elżbieta I. W historii wiele było przykładów niezamężnych szczęśliwych kobiet i nieżonatych szczęśliwych mężczyzn. Kto powiedział, że mężczyzna lub kobieta muszą zostać mężem czy żoną? Może trzeba im pozwolić po prostu być sobą? A poza tym świat pełen jest poważniejszych spraw niż gołąbki miłości i weselne dzwony.

Na zebraniu Towarzystwa Dobroczynności, które odbywało się w tym tygodniu, panie miały zagłosować, co będą sprzedawać na tegorocznym bożonarodzeniowym jarmarku: dzemy owocowe czy haftowane chusteczki, gdy nieoczekiwanie pani Sloane podniosła temat cen kolorowych nici do wyszywania.

– Są horrendalne! – lamentowała. – Najwyższe, jakie w życiu widziałam! Jakby to były szpulki jedwabiu, a nie motki zwykłej bawełny!

– To z powodu kłopotów, w jakie popadły Zjednoczone Stany Ameryki – tłumaczyła pani Barry. – Ceny bawełny szybują pod

niebiosa, i to zarówno nici, jak i materiałów.

– Mam nadzieję, że ten ich prezydent Lincoln coś z tym robi.

– Obawiam się, że to wszystko dzieje się tam właśnie przez niego. Stany są o włos od wybuchu wojny domowej.

– Może to by im dobrze zrobiło, jak nie przymierzając nam nasze rebelie. Popatrzcie tylko na Kanadę teraz! Zjednoczona!

Wszystkie panie zaczęły mówić jednocześnie. Nie reagowały na żadne próby przywołania ich do porządku podejmowane przez panią Irving. W końcu, po kilku próbach skierowania dyskusji na dżemy i chusteczki, gospodyni poddała się i dołączyła do gorącej dysputy.

– Mam kuzynkę w trzeciej linii w Wilmington – powiedziała do Maryli. – Twierdzi, że zamieszki są o wiele groźniejsze, niż to przedstawiają w gazetach. Niewolnicy się buntują, mordują, rabują i uciekają na północ. Czyste szaleństwo! Moja kuzynka wsadziła swojego trzynastoletniego syna Heywarda na statek i wysłała do krewnych w Szkocji. Mieszkańcy południowych stanów są żądni krwi. Modłę się, żeby nie doszło do jej rozlewu!

Pani Irving opowiadała dalej o swojej zrozpaczonej kuzynce z Karoliny Północnej, lecz myśli Maryli podryfowały w zupełnie inną stronę. Zaczęła się martwić o Izzy i tych, których ukrywała.

Tego wieczoru Maryla napisała do ciotki list. Od lat utrzymywały ze sobą kontakt korespondencyjny. Pisywały nieregularnie, częściej w miesiącach zimowych, kiedy zdecydowanie więcej czasu spędzały w domu. Wypracowały zrozumiały tylko dla nich szyfr dotyczący zbiegów. Niewolników nazywały „dystyngowanymi gośćmi”, którzy odwiedzali pracownię Izzy, by dokonać u niej „przeróbek krawieckich” z powodu „specyficznego rodzaju pracy” lub chcieli coś uszyć „na specjalną okazję”. Używając tych tajemnych sformułowań, Izzy pisała w listach o znerwicowanych dziewczynach, które zyskują pewność siebie w dobrze skrojonych sukienkach, o kucharce, która stwierdziła, że czuje się jak królowa w pięknym czepku

koloru kwiatów peonii, o matkach, które uśmiechają się z dumą, patrząc na swoje dzieci ubrane w nowe halki i pantalony. Izzy pisała, że serce rośnie na widok tak bardzo doceniających jej pracę klientów.

Maryla zdawała sobie sprawę, że kryło się pod tym o wiele więcej. Te nowe ubrania stawały się dla nich ocaleniem, przemieniając ich jak Kopciuszka w noc balu, a ich dobrą wróżką była Izzy. Ciotka nie odwiedziła ani razu Zielonego Wzgórza od śmierci Klary, lecz z zupełnie niezrozumiałych powodów Maryla wciąż czuła jej obecność, zupełnie jakby działała jakaś magia. O ile ktoś rozsądny może wierzyć w takie rzeczy.

\*

W przeddzień bożonarodzeniowego przyjęcia u Blairów krowa Cuthbertów Dalia, wnuczka Delicji, nadepnęła tak nieszczęśliwie na gwóźdź, że wbiła go sobie w racicę.

– Nie mogę jej zostawić – przekonywał siostrę Mateusz. – Muszę mieć pewność, że rana nie zacznie ropieć.

Pomimo pozorów żalu u brata Maryla spostrzegła, że Mateuszowi ulżyło. Z biegiem lat jego niechęć do wszelkich zebrań towarzyskich coraz bardziej się pogłębiała. Maryla nie przejęła się w ogóle, kiedy brat oświadczył, że nie idzie na przyjęcie, a on zdał sobie wtedy sprawę, że siostra cały czas wiedziała, że on tylko czeka na pretekst, żeby się wykręcić od uczestnictwa w tej imprezie. Sposób postępowania Mateusza się utrwalił, Maryla zaś go zaakceptowała, tak jak i on akceptował jej zachowanie.

Temperatura na zewnątrz wciąż była dodatnia. Drogi wprawdzie pozostawały suche, lecz wilgotny chłód, będący zapowiedzią nadciągających śniegów, wisiał już w powietrzu, niesiony wiatrem wraz z zapachem sosen i lodowatych morskich

fal.

– Myślę, że pójde na przyjęcie na piechotę – oświadczyła Maryla bratu. – Niewiele już przed nami takich dni jak dziś. Na kuchni zostawiłam ci pieczeń wołową z rzepą. Przepraszę wszystkich w twoim imieniu.

I poszła. Wzięła ze sobą gliniany garnuszek powideł i butelkę wina porzeczkowego, owinięte w kolorową bibułę. Doszła do domu Blairów, gdy ostatnie pasmo błękitnego nieba zaczęła zasnuwać śliwkowogranatowy mrok nocy. Okno – dawna witryna sklepu – było teraz jasno oświetlone świeczkami. Pośrodku stała wysoka, gęsta jodełka, której iglaste gałązki opadały nieznacznie pod ciężarem migoczących szklanych ozdóbek, cukierków i małych gruszcerek. Pod drzewkiem leżało mnóstwo prezentów od gości, opakowanych w różnokolorowy papier i wstążki. Jeden z małych smyków Pye’ów skradł z choinki miętówkę i schował się w kącie, żeby tam zjeść ją ze smakiem. Skrzypce i piszczałka wygrywały kolędy i inne melodie, a po kołysaniu się postaci w środku Maryla doszła do wniosku, że goście już zaczęli tańczyć.

Chłoneła widok domu, przyjaciół i wszystkiego, co znała i kochała. Żałowała, że nie może zostać w tym miejscu dłużej, spokojnie oglądając zabawę jak rozłożoną przed sobą książkę z ruchomymi obrazkami. Problem leżał w tym, że w chwili, kiedy wejdzie do środka, stronica książki się odwróci.

– Czy to ty, Marylo? – zawołał od drzwi pan Blair. – Chodź tu do nas, moja droga. Pani Blair już o ciebie pytała. Czy to może butelka wina Cuthbertów?

Maryla wyjęła prezenty z koszyka.

– Wino i powidła. Trochę alkoholu i trochę słodczy, żeby uczcić nowe przedsięwzięcie Williama w Carmody i przebudowę waszego domu.

– Co było stare, znów jest nowe. – Pan Blair poklepał framugę drzwi, jakby to było żywe stworzenie. – Życie jak pory roku nigdy

nie przestaje się zmieniać. Ech, chciałoby się przeżyć ze dwa życia, co?

Uśmiechnęła się. Gdyby to było możliwe...

Weszła do środka, przeprosiła za nieobecność Mateusza i dostała filiżankę ponczu na rumie. Uległa naleganiom pana Blaira i zaśpiewała kilka kolęd, wzięła udział w grze towarzyskiej w ciepło-zimno, zatańczyła z wielebnym Bentleyem, który trzy razy nadepnął jej na nogę, a potem stanęła z boku z kawałkiem keksa, żeby odpocząć. Dopiero w tym momencie dostrzegła Jana, eleganckiego jak zawsze: miał na sobie ciemny garnitur z kamizelką, a włosy zaczesane gładko do tyłu. Na jego skroniach połyskiwały w świetle gazowych kinkietów srebrzyste pasemka. Z wiekiem stał się jeszcze przystojniejszy. Podchwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się nad głowami próbujących go zabawić pań Bell i Sloane. Może to był poncz, może ciepło bijące od kominka, może smyczek skrzyпка, a może wszystko razem, bo Maryla pozwoliła sobie po raz pierwszy w życiu nie dusić w zarodku uczucia miłości do Janka, lecz gdy tylko zapłonęło, czym prędzej odgoniła je od siebie.

– Muszę już wracać do domu – oznajmiła pani Blair.

– Na pewno, Marylo?

– Tak. Czeka na mnie Mateusz.

– Jeszcze raz dziękuję za prezenty! – Starsza pani Blair również złągodniała z wiekiem. Objęła Marylę. – Ty i twój brat zawsze będziecie nam bliscy. Może i sklep został zamknięty, lecz nasze drzwi zawsze stoją dla was otworem.

Maryla obiecała, że będzie ich odwiedzać. Potem, wciąż czując na sobie palące spojrzenie Jana, prześliznęła się szybko przez tłum i wyszła na zewnątrz. Chłód nocy otrzeźwił jej zmysły i nawet ją to ucieszyło. Po krótkim spacerze główna droga wyprowadziła Marylę z miasteczka na otwartą przestrzeń łąk i pastwisk. Światła miasta zostały w tyle, a bezgwiazdna noc tonęła w fioletowych cieniach. W oddali słychać było rozbijające

się o brzeg fale. Wiatr wiał jednostajnie z jednego kierunku i nagle świat wstrzymał oddech. Maryla dostrzegła przed sobą spadającą z nieba białą gwiazdkę śniegu. Wyciągnęła przed siebie rękę, żeby ją złapać, ale roztopiła się, nim zdążyła osiąść na rękawiczce. Za nią spadła następna, a potem jeszcze jedna. I nagle całą przestrzeń wypełniły sypiące się pionowo z góry płatki śniegu. Maryla odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła im osiadać na rzęsach, nosie i ustach. Coś pięknego! Sądząc jednak po ilości śnieżnych drobin i szybkości, z jaką opadały, Maryla doszła do wniosku, że zanim dojdzie do Zielonego Wzgórza, warstwa śniegu będzie jej sięgać dobrze ponad kostkę. Ruszyła więc szybkim krokiem, póki jeszcze droga stanowiła trwałe oparcie dla stóp.

Najpierw usłyszała za sobą odgłos końskich kopyt, a dopiero potem dojrzała zbliżający się zaprzęg.

– Prrr! – zawołał woźnica.

Maryla ledwo mogła rozpoznać sylwetkę na koźle. Biały puch osiadł na budzie dwukółki tak, że wyglądała, jakby miała futrzaną czapę.

– Kto to? – spytała, osłaniając oczy przed padającym śniegiem w taki sam sposób, jakby osłoniła je przez słońcem.

Z cienia rzucanego przez budę wychylił się Jan i wyciągnął do niej rękę.

– Nie pozwól swoim stopom marznąć... To znaczy o ile nie masz nic przeciwko jeździe obok takiego starego wstrętnego liberała jak ja.

Jej serce zbyt było zajęte podskakiwaniem do gardła, więc Maryla nie zdążyła się nawet skrzywić, a już się głośno śmiała. Zdziwiło to ją samą jeszcze bardziej niż Janka. W tym właśnie leżało sedno ich ciągłych sporów: w każdej chwili był w stanie palnąć coś, co z kolei mogło ją zirytować.

Śnieg sypał coraz mocniej. Ledwo widziała wyciągniętą przed sobą rękę Jana, a co tu mówić o przejściu pozostałej drogi, która

dzieliła ją od Zielonego Wzgórza. Głupotą byłoby brnięcie na piechotę, więc przyjęła dłoń Jana i wspięła się na ciepłe siedzisko obok niego. Narzucił derkę na jej kolana i cmoknął na konia, który od razu ruszył kłusem. Maryla musiała się przysunąć do towarzysza podróży i włożyć mu rękę pod ramię, żeby lepiej ukryć się przed śniegiem.

– To było udane przyjęcie – zagał Jan.

– Bardzo.

– Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie byłem w domu z oświetleniem gazowym. Poczułem się jak ostatni gamoń, gapiąc się w oczarowaniu na migoczące płomyki lamp. W środku nocy było jasno jak w dzień.

Maryla pomyślała dokładnie to samo, kiedy Blairowie założyli oświetlenie gazowe w domu, ale to było ponad sześć miesięcy temu, kiedy ich skład towarów jeszcze działał.

– Długo cię nie było.

– Po raz pierwszy pola Blythe'ów nie wydały żadnych plonów.

– Jan ściągnął brwi. – Nie czułem się z tym dobrze.

Maryla to rozumiała. Nie dojrzały zboża, nie było zniw; puste pola, puste spiżarnie. Wstrząsnął nią dreszcz, gdy to sobie wyobraziła.

– Chyba trudno było wyjeżdżać?

– A jeszcze trudniej wrócić.

– Ziemia Ruperta musi być cudownym miejscem, skoro można dla niej porzucić farmę, rodzinne miasteczko i w ogóle wszystko.

Odchrząknął.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że kiedyś cię tam zabiorę?

Jak mogłaby zapomnieć! Wpatrzyła się w cugle, które trzymał w dłoniach. Zawsze lekko pachniał wyprawioną skórą i żywicą sosnową. Maryla pozwoliła sobie przysunąć się do niego jeszcze bliżej. Nie aż tak, żeby to wyczuł, lecz troszeczkę.

– Oczywiście.

Z pewnym wahaniem położył swoją rękę na jej dłoni, ukrytej

pod pleciem.

– Musiałem wiele sobie przemyśleć, kiedy byłem tam daleko, Marylo. Ja... Długo się zastanawiałem, czy moglibyśmy się pogodzić.

W końcu! Kochała Janka, mimo że nigdy się do tego nie przyznała, nawet wtedy, kiedy rozdzieliła ich pamiętna kłótnia.

– Ja również dużo o tym myślałam.

Poluzował cugle, przytrzymując je w lewej ręce, a prawą ścisnął mocniej dłoń Maryli. Koń zwolnił do stępa. Klip-klap...

Maryla dotrzymała obietnicy złożonej matce: opiekowała się ojcem, bratem i Zielonym Wzgórzem... Może nadszedł już czas, żeby ktoś zaopiekował się nią? Teraz to wszystko mogłoby się ułożyć: farma Blythe'ów po jednej stronie miasta, farma Cuthbertów po drugiej. Udałoby się, jeśli włączyliby w to swoje dwie głowy. Do tej pory pamiętała równomierny stukot ich kredowych rysików na tabliczkach i ciepło obejmujących ją rąk Janka sprzed lat. Była wiosna, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Wiosną po raz pierwszy się pocałowali. Wiosna. Jak głosił wielebny Bentley: „Tak długo, jak nasza ziemia będzie w stanie to przetrzymać, będą noce i dni, chłody i upały, a po zimie będzie nadchodzić wiosna”. Czasem zima może potrwać dłużej niż inne pory roku. Maryla popadła w zimowe odrętwienie na całe dwadzieścia lat. Powrót Janka mógłby się stać dla niej tak wyczekiwaną zmianą pory roku. Mógłby się stać jej wiosną.

Maryla poczuła takie ciepło w sercu, jakby zakwitły w nim wiosenne kwiaty, mimo że wokół panował mróz. Jego spojrzenie było jak płomyk nadziei. Przeszył ją dreszcz szczęścia.

– Sądzę, że moglibyśmy.

Janek pokiwał głową.

– To nieporozumienie pomiędzy nami ciągnęło się za długo.

– Masz rację.

Trwanie w ciągłej defensywie niezwykle wyczerpywało. To tak, jakby zakotwiczona łódź musiała się bez przerwy

przeciwstawiać fali przyływu.

– Cieszę się, że znów będziemy przyjaciółmi – powiedział Jan i mrugnął porozumiewawczo.

Och! To jego piekielne mrugnięcie! Jak bardzo jej tego brakowało! Chciała od razu zasypać go pocałunkami, ale nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać. Usta paliły ją pragnieniem nawet wtedy, gdy on puścił jej rękę i znów ujął cugle. Na poboczach drogi zaczęły rosnać śnieżne zaspasy. Jan popędził konia do szybkiego kłusa.

Jechali teraz w milczeniu i chyba po raz pierwszy w życiu Maryla rozpaczliwie pragnęła, żeby znów nawiązali rozmowę, aby mogła mu opowiedzieć o wszystkim, co ominęło go przez te lata, by mogła usłyszeć o wszystkim, co ją ominęło podczas jego podróży, żeby poznać go od początku, i by on poznał ją tak, aby nie trzeba było dłużej skrywać żadnej z ich ran. Tak, żeby dowiedzieli się o sobie wszystkiego.

– Marylo?

– Tak, Janku? – Odwróciła się ku niemu skwapliwie.

Jak dobrze było znów wymówić jego imię bez goryczy, poczucia winy czy wyrzutów sumienia!

– Chciałem porozmawiać z tobą jeszcze o jednej sprawie...

Jabłko Adama zadrgało mu nerwowo. Maryla uśmiechnęła się, widząc tik z dawnych lat. Dobrze widzieć, że nie zniknął...

– Jest pewna dziewczyna... hm... kobieta, córka weterynarza, którą poznałem w Ziemi Ruperta.

Pojawił się nagle i ukłął tak boleśnie, że niewiele brakowało, a Maryla spadłaby z dwukółki. Tyle czasu się o to modliła, powtarzała raz po raz w myślach, ale żeby jej prośby spełniły się właśnie w taki sposób?! Serce jej pękło po raz kolejny. Przez resztę drogi do domu liczyła swoje oddechy: jeden-dwa-trzy-cztery-wdech, jeden-dwa-trzy-cztery-wydech, jeden-dwa-trzy-cztery-wdech, jeden-dwa-trzy-cztery-wydech.

Zanim dotarli na miejsce, dom na Zielonym Wzgórzu zdążył

się zamienić w latarnię morską pośród oceanu białego puchu.

– Cieszę się, że wreszcie porozmawialiśmy – powiedział Jan. – Musiałem najpierw wyjaśnić, czy wszystko między nami w porządku.

Uśmiechnęła się przez łzy zmieszane z płatkami śniegu, które sypały prosto w oczy. Nie stać jej było na nic więcej. Ukryła pełną rozpaczony twarz pod rondkiem kapelusza budki i pobiegła na górę, do swojej facjatki, zanim Mateusz zdążył spytać, jak udało się przyjęcie. Tak szybko, jak to tylko możliwe, wylała zapas łez w poduszkę, a potem zganiała się za to, że tak się rozkleiła. Przecież zaledwie napomknął o innej kobiecie, która była daleko stąd, gdzieś w Ziemi Ruperta. Nie mógł pielęgnować związku na taką odległość, czyż nie? Maryla nigdy nie doświadczyła tradycyjnych zalotów mężczyzny, więc nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Wszystko, co wiedziała o miłości, było nim.

## XXIX

# Telegram

Kiedy Maryla poszła odebrać poniedziałkową korespondencję, zdziwiła się, gdy znalazła wśród poczty telegram:

KOMPANIA TELEGRAFICZNA W MONTREALU DO PANNY I PANA  
CUTHBERTOW

OTRZYMANE W AVONLEA WYSPA KSIECIA EDWARDA

OD PANNY ELIZABETH JOHNSON ST. CATHARINES KANADA  
ZACHOD

NAJDROZSI STOP ZBYT DLUGO WAS NIE ODWIEDZALAM STOP  
SWIETA TO NAJLEPSZY CZAS NA RODZINNE SPOTKANIE STOP  
PRZYJEZDZAM 24 GRUDNIA STOP ZE MNA PAN MEACHUM MOJ  
SLUZACY I DWOCH CHLOPCOW DO POSLUGI STOP WIEM ZE  
ZIELONE WZGORZE Z RADOSCIA POWITA SZACOWNYCH GOSCI  
STOP KOCHAJACA CIOTKA IZZY STOP

– Służący i chłopcy do posługi? – zdziwił się Mateusz, taszcząc dwa sienniki na górę, do pokoju dla pracowników najemnych.

Maryla zawiązywała właśnie kokardy w szkocką kratkę na girlandach z gałązek świerku, które przeplotła pomiędzy

tralkami schodów.

– Zazwyczaj człowiek zwalnia nieco, będąc w jej wieku. Jeśli nie masz w pobliżu rodziny, która by ci pomagała na stałe, musisz szukać pomocy gdzie indziej, czyż nie? – odrzekła, wygładzając pętle kokardy.

– Pewnie tak – odparł Mateusz z górnego podestu schodów. – Wiek i brak zdrowia bardzo zmieniają ludzi. Izzy wyrobiła sobie nazwisko w St. Catharines. Może to też jej jakoś pomoże?

Maryla przypięła kokardę szpilką, żeby się lepiej trzymała, żałując, że nie da się przyszpilić nerwów. Ich tajemny kod mówił jasno: „szacowni goście” oznaczali, że Izzy wybierała się do nich ze zbiegłymi niewolnikami. Maryla nie wiedziała jednak, kim dokładnie mogliby być. Pan Meachum, dwaj służący, a może jeszcze ktoś, o kim ciotka nie wspomniała? Maryla czytała telegram raz po raz, próbując go rozszyfrować, lecz nadal niczego nie była pewna, skierowała więc całą energię na przygotowanie świątecznych dekoracji domu.

Zwykle zbytnio się do tego nie przykładali. Maryla kładła na stołach rozsiewające żywiczny zapach stroiki, każdy ze świeczką w środku, żeby dawały też trochę światła. Piekła pierniczki i podawała grzane wino z czerwonych porzeczek. Po nabożeństwie w Wigilię następował cichy, pełen refleksji bożonarodzeniowy poranek. Spędzali święta w taki sposób już od tylu lat, że trudno by było je zliczyć. Nie mogliby jednak przyjąć w ten sposób gości, a już na pewno nie dwoje dzieci. Rodzina, służba czy zbiegli niewolnicy – dzieci to dzieci. I jeśli nie w pozostałe dni roku, to przynajmniej w święta Bożego Narodzenia należało je traktować wyjątkowo.

Maryla pojechała do nowego sklepu Williama Blaira do Carmody i kupiła tam wstążkę w szkocką kratę, imbir, cynamon, kawę, gotową kartkę świąteczną dla Izzy, nowe wydanie tygodnika „Harper’s Weekly” dla Mateusza oraz miętowe cukierki dla chłopców. Już lata temu przestali ubierać choinkę.

Co to za uciążliwy zwyczaj! Maryla nie znosiła sprzątaniasypiących się igieł. Teraz jednak, gdy miała przyjechać cała ta gromadka, uważała, że drzewko jest niezbędne. Święta bez choinki? To by było nie po chrześcijańsku!

– W drodze powrotnej od Blaira pojechałam sankami dłuższą drogą za domem – powiedziała do brata. – Na skraju lasu zauważyłam śliczną półtorametrową jodełkę. Nie chcę nic wyższego. Za trudno mi będzie ją udekorować.

– Ano pewnie – przyznał jej rację Mateusz. – Jak tylko skończę z siennikami, zaraz wezmę siekierę. Gdzie je położyć?

– Na razie wsuń pod łóżko. Pan Meachum może je wyciągnąć co wieczór do spania dla chłopców.

Słuchała odgłosu szurania materaców przeciąganych po podłodze z desek tuż nad jej głową. Źle się czuła z tym, że musiała utrzymywać tę wielką sprawę w tajemnicy przed Mateuszem, lecz trwało to już tak długo, że nawet gdyby chciała, nie wiedziałaby, od czego zacząć.

– Jak sądzisz, czy powinnam przygotować jakieś prezenty dla tego pana Meachuma i posługaczy? – zapytała. – Myślę, że są opłacani za swoją pracę, ale chyba niezręcznie byłoby im nic nie dać? – Maryla stała u stóp schodów, przyglądając się uważnie dekoracji balustrady. – Nigdy nie mieliśmy żadnej służby. Co taki służący i posługacze mieliby właściwie robić w obcym domu? – Pociągnęła lekko za zwisający koniec jednej z kokard, żeby ją wyprostować.

Mateusz zszedł z góry i położył siostrze rękę na ramieniu.

– Dajesz im prezent ze swojej gościnności, Marylo. Wszystkich nas obdarzasz w ten sposób. – Z uśmiechem spojrzał na dekoracje. – Nasz dom nigdy nie wyglądał piękniej, nawet za życia matki.

– Pewnie powinnam bardziej się przykładać przez wszystkie te lata, żeby ładniej przystrajać dom. – Przytuliła się do brata. – Robi się o wiele przyjemniej, kiedy wszystko wokół tak pięknie

wygląda.

– Dzięki tobie zawsze jest tu przyjemnie. Wystarczy, że tu jesteś. – Mateusz pocałował siostrę w czubek głowy i ruszył do kuchni, gdzie w drewnianej skrzyni przechowywał siekierę.

– Kiedy wrócisz, podam gotowane ziemniaki i zsiadłe mleko.

Mateusz ubrał się ciepło, przerzucił siekierę przez ramię i odkaslnął, odetchnąwszy mroźnym powietrzem, które wpadło do środka po otwarciu drzwi. Maryla postawiła garnek z ziemniakami na kuchennej płycie, a potem obesła cały dom, ustawiając we wszystkich oknach latarenki ze świeczkami, żeby Zielone Wzgórze już z daleka mrugało światełkami w ciemnościach nocy. Wkrótce wrócił Mateusz, ciągnąc sanki z przywiązaną do nich niebieskawozieloną jodełką, ani o centymetr nie wyższą niż półtora metra.

– Jest idealna!

Podczas gdy Mateusz jadł kolację, Maryla rozłożyła w całej bawialni jodłowe gałązki i udekorowała choinkę dorodnymi orzechami włoskimi, kandyzowanymi owocami, kolorowymi szkiełkami, muszlami, wstążkami w szkocką kratę i sznurami suszonej żurawiny, którą nawlekała na długie kawałki nici. Na czubku umieściła gwiazdę betlejemską zrobioną z miedzianej blaszki, która pięknie połyskiwała w świetle świec. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała piękniejsze drzewko.

Mateusz nie był specjalnie uzdolniony muzycznie, lecz William Blair sprzedał mu organki, które nazwał „najnowszym szaleństwem naszego wieku”. Mateusz nauczył się grać kilka melodii. Maryla była zdecydowaną zwolenniczką wszystkiego, co zajmowało dłonie brata, trzymając go z daleka od fajki i w ten sposób chroniło jego serce, choć i płuca okazały się zagrożone. Doktor Spencer powtarzał, że Mateusz powinien je regularnie trenować, więc w tej sytuacji harmonijka ustna była zrzędzeniem losu.

Kiedy Mateusz zobaczył ustrojoną choinkę w bawialni, zasiadł

w wygodnym fotelu z zagłówkiem i przyłożył do ust mały instrument. Zagrał *Cichą noc*, od zawsze ulubioną kolędę siostry. Maryla usiadła naprzeciwko brata na kanapie i ułożyła wygodnie głowę na oparciu, żeby chwilę odpocząć.

*Cicha noc, święta noc!  
Pokój niesie ludziom wszem,  
A u źłóbka Matka Święta  
Czuwa sama uśmiechnięta  
Nad Dzieciątka snem,  
Nad Dzieciątka snem...*

Kolęda wycisnęła jej z oczu łzy, a Maryla nie podjęła najmniejszego wysiłku, żeby je powstrzymać. Zawsze uważała, że łzy prowadzą jedynie do nieporozumień, a poza tym zwykle ich nadużywano. Bóg zapewne wymyślił je jako subiektywną reakcję istoty ludzkiej. Zdarza się przecież, że życie wypełnia cię po brzegi i w końcu musi się przelać. Łzy to sposób ciała na oczyszczenie z nadmiaru emocji, od smutku do radości przez tak wiele różnych odcieni nastrojów, że nawet nie dałoby się ich opisać. Na przykład teraz: Maryla poczuła niezmierną ulgę, że cicha noc była święta, że niosła ludziom pokój, że Maria Dziewica mogła zostać matką, a nad śmiercią, będącą snem wiecznym, jak i nad snem Dzieciątka, czuwa uśmiechnięta Matka Święta.

– Śpij w spokoju, matko, w tę świętą noc – szepnęła, gdy Mateusz dalej grał melodię kolędy. – Śpij w spokoju, ojczy.

\*

Następnego dnia Mateusz wrócił z miasta okropnie zdenerwowany i zatroskany. Maryla była w kuchni. Mieszała ciasto na chleb z rękami po łokcie w mące, kiedy brat podsunął

jej pod nos gazetę. Nie miała okularów, więc jedyne, co udało się jej odcyfrować, to była data: 20 grudnia 1860 roku.

– O co chodzi, Mateuszu? – spytała. – Nie mam pojęcia, co mogłoby cię doprowadzić do takiego stanu w przeddzień świąt. – Pogroziła mu, a potem wskazała ręką drewnianą skrzynię, co miało oznaczać, żeby najpierw zdjął buty.

Zostawił za sobą mokre, błotniste ślady na jej czyściutkiej podłodze.

– Karolina Południowa odłączyła się od Stanów Zjednoczonych! Pozostałe stany Południa chcą do niej dołączyć. Ameryka zaraz rozpadnie się na dwie części, a to oznacza, że tuż za naszą granicą najprawdopodobniej wybuchnie wojna.

Myśli Maryli pomknęły do Izzy i jej „szacownych gości”. Jakie to szczęście, że wybierała się na Zielone Wzgórze, daleko od granicy.

– A wszystko tylko po to, żeby dalej trzymać ludzi w niewoli?! – spytała.

Mateusz zzuł buty.

– To nie jedyny powód, a przynajmniej tak utrzymują.

Maryla wytarła ręce, zamyślona.

– Może nie rozmawiajmy o polityce, kiedy będzie tu Izzy. Niedobrze mi się od tego robi. Tyle lat jej tu nie było. Chciałabym, żebyśmy przeżyli wspaniałe Świąta bez psucia ich rozmowami o wojnie. Pozwólmy Amerykanom zajmować się ich własnymi sprawami, a my pozostaniemy przy swoich.

– Takie konflikty nie kończą się na linii wyznaczonej umownie na ziemi.

Owszem, Maryla wiedziała, że tak jest, a równocześnie miała nadzieję, że przez samo swoje istnienie ta linia wyznaczona na ziemi ochroni niewinnych.

– Gdyby tę linię miała stanowić cieśnina Northumberland, nie miałabym nic przeciwko temu – oznajmiła i postawiła ciasto do wyrośnięcia w ciepłe kuchennego pieca.

Podczas gdy Mateusz dorzucał drewna do kominka w bawialni, Maryla włożyła okulary i przeczytała artykuł w gazecie.

*Wiadomości specjalne prosto z „London Times’a”: „Oto rezultaty niewolnictwa! Zaczęło się od tolerowania tego zjawiska. Obecnie brutalna instytucja niewolnictwa zagraża rozłamem Unii Amerykańskiej i rozprzestrzenia się jak wirus po całym świecie. Trzeba zaszczepić powszechną równość, żeby mogła się rozrosnąć w naszym nowoczesnym społeczeństwie. Czy to wśród czarnych, czy wśród białych. Kolor skóry człowieka nie może przesądzać o tym, czy będzie wolny, czy nie...”*

Do kuchni wszedł Mateusz, więc Maryla szybko wróciła do czyszczenia stolnicy, całej w brązowych i białych drobinkach. Idea dyskryminowania kogokolwiek z powodu koloru skóry mogłaby się wydawać głupia, a nawet śmieszna, gdyby nie była tak przerażająca. Niestety ludzie z jej powodu zabijali i umierali. Krew lała się i wśród czarnych, i wśród białych.

## XXX

### Ciotka Izzy i trzech królów

W Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy zmierzch okrył świat granatowym aksamitem, na polnej drodze prowadzącej na Zielone Wzgórze pojawił się brnący przez śniegi kryty powóz. Dźwięk dzwonek przy końskiej uprzęży umilkł, kiedy zaprzęg podjechał pod ganek domu i tam się zatrzymał. Mateusz i Maryla pospieszyli na spotkanie gościom.

– Państwo Cuthbert? – Stangret wstał z kozła i ukłonił się na powitanie, uchylając kapelusza. – Jestem Martin Meachum.

Okazał się starszym mężczyzną o śniadej skórze, tak wysokim jak Francuzi pochodzący z wysp Morza Karaibskiego. Na ciemnej twarzy jarzyły się blaskiem orzechowe oczy. Gęste kręcone włosy i różowawe wnętrza dłoni nie pozostawiały jednak wątpliwości.

Pomimo wszystkich dotychczasowych wystąpień w obronie zbiegłych niewolników i poparcia dla nich Maryla nigdy jeszcze nie gościła pod swoim dachem żadnego czarnoskórego. Po prostu nie było okazji. Wprawdzie w Avonlea, w Nowej Szkocji i w różnych miejscach kanadyjskich prowincji mieszkało wiele rodzin pochodzących z kontynentu afrykańskiego, lecz trzymali się oni z daleka od społeczności ludzi białych z oczywistych względów związanych z zamieszkami w Stanach. Maryla doskonale to rozumiała.

Pan Meachum uśmiechnął się ujmująco i zawołał:

– *Mademoiselle Izzy!*

Miał tak ciepły ton głosu, że od pierwszej chwili przyjaźnie nastawił do siebie Marylę.

Zza uchylonej zasłony w oknie pojazdu pokazała się twarz Izzy, okolona włosami siwymi jak skrzydła mewy, lecz twarz była piękna jak dawniej. Serce Maryli na chwilę stanęło, kiedy ujrzała, jak mogłaby wyglądać teraz ich matka. Na chwilę skoncentrowała się na swojej wizji, lecz szybko udało się jej otrząsnąć i wrócić do rzeczywistości.

– Czy to ty, mój kwiatuszku? Czy to ty, Mateuszu? – zawołała Izzy, otwarczy szeroko drzwi powozu. – Tyle dni minęło, odkąd ostatnio się widzieliśmy, a wydaje się, jakby to było wczoraj!

Pan Meachum pomógł jej wysiąść. Maryla zauważyła, że ciotka lekko się chwieje, a całe jej ciało jest wiotkie jak trzcina. W nocy spadło następne dziesięć centymetrów śniegu, skrywając pod białym puchem ścięte lodem kałuże. Łatwo było stracić równowagę, gdy but się pośliznął, więc pan Meachum stanął tuż obok Izzy, żeby ją podtrzymać.

– Chodźcie, chłopcy! – zawołała ciotka, zaglądając w głąb powozu. – Poznajcie moją siostrzenicę i siostrzeńca. Nie ma powodu się wstydzić.

Maryla i Mateusz popatrzyli na siebie. Mężczyzna zdziwił się, że służący potrzebowali ośmielania. Z powozu wychyliły się dwie ciemne główki. Młodszy z chłopców wyglądał zza ramienia starszego.

– To jest Abraham, a to Albert – przedstawiła ich Izzy.

– Witajcie! – Mateusz uśmiechnął się do nich szeroko. – Jak miło będzie tu mieć więcej mężczyzn! Kiedy w gospodarstwie mieszka się z siostrą, krowami i kurami, zaczyna się tęsknić za męskim towarzystwem.

Młodszy z chłopców, Albert, odważył się wyjść. Wpadł w zaspę po kolana. Dotknął śniegu dłonią i się zdumiał.

– Ile tego tutaj! – szepnął, odwróciwszy się do brata. – Jest jak piasek, tylko bardziej miękki i zimny.

Pan Meachum odchrząknął i wyjaśnił:

– Al jeszcze nigdy nie widział śniegu.

– Widziałem siedem zim, ale pamiętam tylko trzy ostatnie. Śnieg jest jak dmuchawce, co lecą z wiatrem, ale ten biały puch tutaj leży w miejscu... – Al, mówiąc, odwrócił się do Abrahama, który zrobił groźną minę i uciszył go gestem dłoni.

Sądząc po ich wyglądzie i sposobie mówienia, musieli pochodzić z amerykańskiego Południa. Maryla złapała rękę Mateusza, ale nie dlatego, żeby podtrzymać brata, lecz by nie stracić równowagi.

– A spadnie go jeszcze więcej. Lepiej wejdźcie do środka i się rozgoście – powiedział Mateusz. – Pomogę panu Meachumowi z bagażami.

– W domu jest gorąca herbata i pierniczki – zachęciła Maryla.

Abraham miał na głowie starą wojskową czapkę z chwostami, które ściągnął tak, żeby zasłaniały mu czoło. Na wzmiankę o pierniczkach podniósł je z przebłyskiem uśmiechu, który zaraz zniknął, gdy chłopiec zagryzł wargi.

– Tak, tak, wejdźmy lepiej do środka! – ponagliła towarzystwo Izzy. – Nie oglądajmy się jedno na drugie, bo zaraz zamienimy się w sople lodu.

Mateusz pomógł panu Meachumowi wyładować bagaże, a Izzy wprowadziła chłopców do sieni.

– Moja Marylka! – powiedziała, biorąc w końcu w objęcia siostrzenicę.

Maryla zamknęła oczy i pozwoliła sobie utonąć w objęciach ciotki. Zapach bzu. Wróciły dawne czasy i obie poczuły się przez chwilę tak jak przed laty. Maryla znów słyszała bijące serce matki, gdzieś nieopodal siedział milczący ojciec, w całym domu zrobiło się wiosennie; życie i miłość splątane ze sobą pod baldachimem nieodkrytych jeszcze możliwości... Maryla tak zatopiła się we wspomnieniach, że mało brakowało, a nie zauważyłaby zdumionych spojrzeń obu chłopców.

Jodełka wydała się braciom ogromna. Każda jej gałązka przyozdobiona była przysmakami, lśnącymi w błyskach światła, rzucanego przez ogień wesoło trzaskający w kominku.

– Zapomniałem, że to Święta!

Po raz pierwszy Maryla usłyszała głos Abrahama. Chłopiec sam się na tym przyłapał i błyskawicznie zasłonił usta ręką.

Al zawinął się w brzeg błękitnej podróżnej peleryny Izzy i pociągnął jej fałdę całym ciężarem ciała, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Panno Izzy! – Jego głosik był cichutki jak u wróbelka w gniazdku. – Tu jest jak w domu z marzeń!

Izzy pogłaskała po policzku tulącego się do niej malca.

– To dom Maryli. Bezpieczniejszy niż ten z marzeń.

Maryla nie śmiała spojrzeć na Izzy, lecz właśnie Mateusz z panem Meachumem weszli do sieni z kuframi, więc wszyscy udali się na górę, żeby się rozpakować.

Maryla niezwykle starannie wysprzątała pokój na poddaszu, w którym poprzednio mieszkała Izzy: ten od wschodu, z białymi ścianami i plecionym chodnikiem. Lata temu znalazła jedną z poduszeczek na igły Izzy w czerwonym kolorze przejrzalego jabłka, które już spadło z drzewa. Teraz położyła ją na trójnożnym stoliczku pod lustrem i czerwień podusieczki odbijała się w nim, widoczna ze wszystkich miejsc w pokoju. Wstawiła też tutaj żółte krzesło pomalowane przed laty przez Izzy, na którym ciotka siadywała przy łóżku Klary, a w oknie zawiesiła jedną z muślinowych firanek, które kiedyś uszyły razem.

Izzy podeszła do okna i przeciągnęła palcami po frywolitkach, wykańczających brzeg firanki. Potem odsunęła ją na bok, żeby spojrzeć na wiśnię, która wyrosła wysoka i mocna. Jej gałęzie, poruszane wiatrem, uderzały zawsze lekko w ścianę domu. Każdej wiosny drzewo kwitło tak obficie, że Maryla się obawiała, iż jeśli otworzy okno, żeby wpuścić do środka ich zapach, przy

okazji wszystkie młode wiewiórki z okolicy po gałęziach wiśni jak po moście będą próbowały się dostać do pokoju. W ogrodzie kwiatowym okalającym dom na Zielonym Wzgórzu Maryla zasadziła obok krzewów białych szkockich różyczek, przywiezionych kiedyś przez matkę zza morza, krzaki bzu – specjalnie dla ciotki. Wiedziała zawsze, że Izzy tu wróci.

– Tam gdzie był pokój rodziców, od północnej strony poddasza, urządziliśmy pokój gościnny. Jest większy i pomyślałam sobie, że ci się spodoba.

– Wydaje się, że nic się tu nie zmieniło, mimo że ich już nie ma. Sądziłam, że poczuję jakąś różnicę. – Izzy odwróciła się, żeby pocałować policzek Maryli. – Jest tu tak, jak być powinno. Życie idzie do przodu.

Po drugiej stronie korytarza widziały Mateusza wprowadzającego pana Meachuma i chłopców do ich pokoju.

– Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie.

– Na pewno będzie wspaniale. Bardzo jesteśmy wdzięczni za miejsce, gdzie będziemy mogli wypocząć.

– Trudno spać w ciągu dnia – wtrącił Al i ziewnął.

– Czy podróżowaliście nocami? – spytał Mateusz.

– Panna Izzy chciała dojechać tutaj na czas, jeszcze przed Bożym Narodzeniem – wyjaśnił pan Meachum. – Nie mogliśmy tracić czasu.

Maryla popatrzyła na Izzy, a ona zdawała się czytać w jej myślach. Ujęła dłoń siostrzenicy i lekko ją poklepała.

– To Wigilia narodzin naszego Zbawcy. Moje serce wypełniają pokój i radość, że tu jestem.

– Marylko? – zawołał Mateusz z korytarza. – Sądzę, że nasi najmłodszy goście mogą umierać z głodu na widok wszystkich tych smakołyków.

– Twój brzuch mówi – powiedział Al do brata.

– Wcale nie – bronił się Abraham. – To mój but.

– Może to mój brzuch? Zawsze, jak mi zimno, czuję, że mam

tam pusto.

Izzy chciała ruszyć szybko w ich stronę, lecz ugięły się pod nią kolana, co zauważyła tylko Maryla.

– Pozwól, że ja to zrobię – poprosiła ciotkę. – Przebierz się z podróźnych ubrań. Wezmę chłopców na dół, żeby coś zjedli, a pan Meachum rozpakuje wasze rzeczy.

Izzy uśmiechnęła się do siostrzenicy z wdzięcznością. Dołeczek w jej policzku pogłębił się jeszcze w sieci zmarszczek.

– Będzie na was czekać gorąca herbata, kiedy tylko zejdziecie na dół. – Maryla zamknęła drzwi facjatki i poszła na podest schodów, gdzie stał Mateusz razem z chłopcami. – Niedawno wydoiłam naszą Dalię. Myślę, że ciepłe mleko prosto od krowy będzie świetnie pasować do pierniczków. Jak sądzisz, Mateuszu?

Mateusz odął usta, udając głęboką zadumę.

– No cóż, chciałbym tak sądzić, lecz ciepłe, słodkie mleko od jednej z najlepszych krów na naszej wyspie nie każdemu może smakować. – Zwrócił się do Abrahama: – Ile masz lat?

– Dziesięć, psze pana.

Mateusz pokiwał wolno głową.

– Wystarczająco dużo, żeby mieć własną opinię na ten temat. Co o tym myślisz?

Abraham przełknął nerwowo ślinę, a kiedy to zrobił, z jego brzucha dało się słyszeć ciche burczenie. Al odchrząknął, jakby chciał powiedzieć: A nie mówiłem? i Abraham dał mu kuksańca w bok.

– J-ja lubię mleko prosto od krowy, bardzo lubię, psze pana.

– I ja też! – powiedział młodszy brat.

– A więc ustalone! – Mateusz pogładził swoją brodę. – Trzy święteczne kubki mleka!

Maryla zabrała ich do bawialni i posadziła przed kominkiem z kubkami ciepłego mleka, w którym chłopcy moczyli pierniczki. Takie połączenie dało usypiający efekt. Kiedy jakiś czas później prowadziła ich na górę do pokoju, prawie zasypiali, idąc. Pan

Meachum już rozłożył na podłodze sienniki.

– Śpijcie słodko, chłopcy – powiedziała Izzy. – Ja też idę spać, kochanie. – Była w koszuli nocnej, twarz miała jeszcze wilgotną po umyciu, włosy starannie zaplecione w warkocz. Jediną jej ozdobę stanowił wisior z kryształu górskiego, jej szczęśliwy kamień migoczący jak rozbłyśki światła księżyca, które odbijały się od śniegu i tańczyły na taflach okiennych szyb. – Dzisiaj zrobiliśmy kawał drogi. Jestem pełna podziwu dla trzech królów, którzy nocą podążali za światłem gwiazdy. – Puściła oko do Maryli. – Podobnie jak w ich przypadku, to, co zastałam u celu podróży, w pełni zaspokoilo moje nadzieje i oczekiwania. Wspaniale się spisałaś przy dekoracji domu. Matka byłaby z ciebie dumna. – Ucałowała czoło Maryli.

– Dobranoc wszystkim! – rzekł pan Meachum. – Jeszcze raz bardzo dziękuję, panno Marylo.

Kroki w pokoju chłopców wkrótce ucichły, światło zgasło.

Tylko Mateusz został na dole w bawialni. Czytał gazetę.

Maryla została sama w korytarzu na górze. Przyłożyła dłonie do obu przeciwległych ścian: tej od północy, i tej od południa. Dom był pełen ludzi. Przymknęła oczy, żeby wyczuć ciepło ich oddechów i ciał przez ściany z desek. Jakie to wspaniałe uczucie! Dom na Zielonym Wzgórzu został zbudowany dla dużej rodziny. Maryla rozkoszowała się tym, że jego pokoje były pełne. Ojciec urządził je właśnie w tym celu.

To była noc, kiedy wszyscy wierzą w cuda. W Matkę Dziewicę. W Bożego Syna. W gwiazdę prowadzącą pastuszków. I właśnie w tamtej chwili, trzymając ręce rozparte pomiędzy obiema ścianami korytarza, Maryla zaczęła się modlić: Niechaj życie i miłość zagoszczą pod tym dachem!

Zamiast iść na dół i przygotowywać kuchnię do następnego poranka, weszła po drabinie na strych. W nikłym świetle świecy otworzyła cedrowy kufer. Przechowywała w nim nieużywane szaliki i rękawiczki z jednym palcem, które kiedyś robiły z matką

na drutach, lecz okazały się za małe, nim zdążyła choć raz je włożyć. Wielokrotnie ganiła się za to, że gromadzi je w nadziei, że może któregoś dnia się przydadzą. Nie wiedziała tylko, kiedy ten dzień miałby nadejść. Co roku robiła na drutach kolejne rzeczy dla sierot z Hopetown, a potem brakowało jej siły woli, żeby je rozdać albo się w końcu poddać i nie robić już ich wcale. Teraz zaskoczyło ją samą pragnienie, by ubrać w nie Ala i Abrahama.

Wzięła do ręki parę małych rękawiczek i zaczęła gładzić kciukiem równiutko wydziergane ścięgi warkoczowe. To, co matce nigdy się nie udawało w hafcie, nadrabiała z nawiązką w robótkach na drutach. Maryla przycisnęła rękawiczki do ust. Pamiętała pełne gracji ruchy dłoni matki, gdy dziergała na drutach, przeplatając nici wełny i przeciągając kolejne oczka, łącząc je w całość. Pamiętała postukiwanie drutów przypominające wybijanie rytmu muzyki. Nadszedł wreszcie ten czas, kiedy rękawiczki miały się przydać.

Zeszła do bawialni, zapakowała dwa zestawy rękawiczek i szalików w szary papier i owinęła paczuszki resztką wstążki w szkocką kratę, na każdej zawiązując dużą kokardę, a potem położyła je pod choinką razem z miętowymi cukierkami.

– Szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia wam wszystkim! – szepnęła, a potem zdmuchnęła świecę.

## XXXI

# Święta Bożego Narodzenia na Zielonym Wzgórzu

Następnego dnia rano niebo otworzyło się jak rozerwana torba z cukrem pudrem, oprószając ziemię i zasypując trakty grubą warstwą świeżego śniegu. Polana płonące w kominku radośnie sypały iskrami. Radość chłopców łapała za serce. Chyba po raz pierwszy od wielu lat Maryla przestała się skupiać na domowych obowiązkach. Była zwyczajnie szczęśliwa.

– Dla nas? – zdziwił się Al.

Maryla potwierdziła skinieniem głowy.

– Święty Mikołaj doskonale wie, w których domach przebywają dzieci.

Kątem oka zauważyła, że Abraham się wzdrygnął i wbił wystraszone spojrzenie gdzieś w przestrzeń za oknem.

– Chodź! – powiedziała i przytuliła go mocno.

Kiedy wszyscy zgromadzili się w bawialni, Mateusz przeczytał akapit z Biblii ojca, z Ewangelii według Świętego Łukasza. Izzy i pan Meachum pochyłili głowy w modlitwie, a kłęby białego puchu sypały miękko w szyby okien, jakby omiatały je skrzydła aniołów. Chłopcy rozpakowali prezenty, a potem jedli maślane herbatniki z suszoną czerwoną porzeczką, posypane cynamonem, polewając je syropem klonowym. Później Mateusz rozłożył na trójnożnym stoliku szachy i chłopcy zasiedli do gry.

Kiedy robili kolejne ruchy i docinali sobie żartobliwie, dorośli przeszli do kuchni. Maryla zaparzyła kawę, a Izzy jadła swoje ulubione maślane herbatniki bez żadnych dodatków. W dalszym ciągu nie zmieniła upodobań. Rozsiadła się wygodnie w tym samym miejscu co kiedyś przy kuchennym stole. Obok usiadł pan Meachum, a naprzeciwko nich Mateusz.

– Moja siostrzenica wyśmienicie piecze i gotuje.

– Właśnie widzę – stwierdził pan Meachum, biorąc kolejny herbatnik z talerza. – Bardzo dziękujemy, panno Marylo, za te wszystkie smakołyki. To wielka radość, szczególnie dla moich chłopców.

Maryla wychwyciła słówko „moi”. Pan Meachum wydawał się za stary, żeby być ich ojcem, ale przecież ona nie za bardzo się знаła na tych sprawach. Od początku jednak zauważyła, że byli ze sobą w jakiś sposób związani. Nalała gorącej kawy do filiżanek.

– Abraham i Al to silni chłopcy – powiedziała Izzy. – Potrzebują tylko nieco więcej sadełka na takie zimy, jak tu, w Kanadzie.

– Czy zostaną teraz z tobą w St. Catharines? – spytał Mateusz.

Pan Meachum głośno odchrząknął, lecz Izzy położyła mu rękę na dłoni, nim udzieliła odpowiedzi. Ten intymny gest zaskoczył nawet Mateusza.

– Marylo, Mateuszu! – zaczęła Izzy. – Jesteście moją rodziną i nigdy nie obawiałam się mówić przy was prawdy. Przeszliśmy razem zbyt wiele.

Maryla usiadła za stołem.

Izzy popatrzyła z ufnością na pana Meachuma, a on odwrócił rękę i ujął jej dłoń.

– Martin nie jest moim służącym – wyznała Izzy. – To mój najprawdziwszy towarzysz życia. Poznaliśmy się dziesięć lat temu, przez matkę przełożoną w Hopetown. Martin był osobą kontaktującą się z sierocińcem. Pomagał przewozić dzieci ze Stanów trasą Kolei Podziemnej[19]. Zaprzyjaźniliśmy się

szczerze, bo czuliśmy dla siebie wzajemny podziw i mieliśmy wspólną misję. Bardzo szybko jednak przekształciło się to w coś więcej.

Izzy pogładziła dłoń Martina i coś w tym geście spowodowało, że Marylę ścisnęło w dołku. Wspomnienie jej ręki w dłoni Janka...

– Zaoferowałam Martinowi pracę sprzedawcy w mojej pracowni krawieckiej oraz mojego pomocnika, żebyśmy mogli razem kontynuować naszą misję. To bardzo udany kamuflaż. Nikt nie podejrzewa starej panny i jej służącego o cokolwiek. Pozwoliło to nam być razem, tak niekonwencjonalnie, jak to tylko możliwe.

Maryli zabrakło tchu z wrażenia. Po chwili wzięła głęboki oddech. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Ciotka Izzy w nieformalnym związku z mężczyzną, w dodatku z czarnoskórym, a przy tym byłym niewolnikiem! Spojrzała w stronę Mateusza, który właśnie sięgał po fajkę. Chyba po raz pierwszy w życiu nie chciało się jej strofować za to brata.

– A więc... – Poczowała nagle ukłucie bólu w skroni i zaczęła ją rozcierać palcami. Czego powinna się dowiedzieć w pierwszej kolejności? Zdecydowała, że zacznie od najbardziej palącego pytania: – Czy pan Meachum i chłopcy są zbiegłymi niewolnikami?

– Ja jestem człowiekiem wolnym – odrzekł pan Meachum. – Chłopcy są moimi wnukami. Kiedy moja żona zachorowała i zmarła, pięcioro naszych dzieci sprzedano do różnych plantacji na Południu. Mój właściciel pozwolił mi się wykupić, co zrobiłem zgodnie z prawem, a potem przenieśliśmy się do St. Catharines. Tam przedstawiono mnie panu Jermainowi Loguenowi[20] z Kolei Podziemnej. Wtedy też zacząłem podejmować próby zdobycia informacji o moich dzieciach. Bez skutku. Postanowiłem więc dołączyć do Kolei. Współpracowałem z siostrami w Hopetown i przez nie poznałem Izzy. – Tu uściśnił jej dłoń. – Zorganizowaliśmy bezpieczne przerzuty setek

uciekierów przez te lata.

– A potem do Martina dotarły wieści o jego rodzinie – wtrąciła Izzy.

– Moja córka, przebywająca w Karolinie Południowej, próbowała uciec. Jej właściciel złapał ją i obciął jej palce prawej stopy, żeby więcej tego nie robiła. Teraz ledwo może chodzić. Kiedy Zgromadzenie Ogólne Karoliny Południowej ogłosiło w zeszłym miesiącu, że stan chce dokonać secesji, stwierdziła, że to ostatnia chwila, żeby próbować wydostać stamtąd przynajmniej chłopców. Dowiedziała się, że jestem w St. Catharines i powierzyła swoje dzieci konduktorowi Kolei Podziemnej wyruszającemu w stronę granicy. W dniu, kiedy dostałem informację, że niedługo dotrą na miejsce, wasza ciotka wysłała telegram do was. Dom Izzy jest wprawdzie bezpieczną kryjówką, lecz nie na stały pobyt. Każdy łowca niewolników ze Stanów przeszukuje nasze miasto. Zaopatrujemy zbiegów w różne rzeczy, potrzebne im w dalszej podróży na północ, do miejsc docelowego pobytu. Po raz pierwszy nam się zdarzyło, że to nasz dom ma się stać punktem docelowym.

– Żeby chronić chłopców i naszą działalność, musieliśmy jak najszybciej wyruszyć z St. Catharines – wyjaśniała dalej Izzy. – Stąd też mój napisany w pośpiechu telegram. Przepraszam was za to, ale najbezpieczniejszym miejscem było właśnie Zielone Wzgórze, bo nasza obecność tutaj nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

– Święta Bożego Narodzenia z rodziną – rzekła Maryla. – Nie potrzeba tu ani żadnych przeprosin, ani żadnych wyjaśnień.

– Wiedziałam, że mogę ci zaufać – odparła Izzy z uśmiechem.

Maryla od wielu lat była świadoma, że pomiędzy Kanadą a Stanami Ameryki działają ciche, acz potężne siły. Jako młodej dziewczynie dane jej było zetknąć się z nimi przelotnie. W kolejnych latach obserwowała, jak stają się coraz potężniejsze, lecz nigdy ani słowem nie wspomniała o nich Mateuszowi. Teraz

obserwowała go bacznie, żeby ocenić jego reakcję. On w milczeniu palił fajkę. Pasma dymu snuły się wokół jego głowy. Pyknął raz, potem drugi i trzeci, zanim wypuścił dym z ust.

– Dzięki tym chłopcom trafiliście w nasze progi i jesteśmy im za to wdzięczni. Ty, ciociu, należysz do naszej rodziny. Więc jeśli ty nazywasz pana Meachuma swoją rodziną, to on i jego rodzina są też naszą rodziną.

Maryla klepnęła otwartą dłoń w blat stołu na znak zgody, aż kawa w filiżankach zafalowała.

– Możecie zostać u nas tak długo, jak będziecie potrzebować – oświadczyła.

– Nęcąca propozycja. I śmiała. Jak zawsze. – Izzy pochyliła się do siostrzenicy i pocałowała ją w policzek.

Pan Meachum uścisnął rękę Mateusza, a potem znów ujął dłoń Izzy i oboje spojrzeli na siebie w sposób, który mógł, zdaniem Maryli, wyrażać jedynie miłość. Dało to jej nadzieję, że każdy może znaleźć miłość, wszędzie i o każdej porze. Dla serca nie ma żadnych ograniczeń, jeśli tylko odważysz się pójść za jego głosem.

\*

Trzy dni po Bożym Narodzeniu zajrzała do nich z wizytą Małgorzata.

– Kiedy usłyszałam, że pannę Izzy widziano w mieście, kazałam Robertowi zaprzęgać sanie i wieźć się prosto na Zielone Wzgórze, żebym mogła zaprezentować chrześniaka Cuthbertów.

Pan Meachum i chłopcy pomagali Mateuszowi przy zajęciach gospodarskich. Robert zaprowadził konia do stajni, żeby tam wysechł i odpoczął, skryty przed sypiącym wciąż śniegiem. Kobiety grzały się w tym czasie przy kuchennym piecu. Izzy trzymała na kolanach śpiącego synka Małgorzaty.

– Jest małym ideałem.

– Ma to po swoim imienniku. Najspokojniejsze ze wszystkich moich dzieci. Chyba tylko raz słyszałam, jak płacze, i to tylko dlatego, że siostra upuściła bucik prosto na jego głowę. – Małgorzata pogładziła opuszkami palca policzek synka. – Jest najukochańszym dzieckiem.

– No cóż, czuję się zaszczycona, że mogłam go poznać, i mogę stwierdzić z całą pewnością, że Hugon również byłby nim zachwycony.

– Jest szczęśliwym numerem dwunastym.

– Jak dwunastu apostołów – dodała Izzy.

– Dziesięcioro dzieci, które przeżyły, plus ja i Tomasz, to razem daje dwunastkę jak w Ewangelii – rozpromieniła się Małgorzata. – Jak to dobrze mieć panią znów wśród nas, panno Izzy.

– Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia matce. Tak długo się nie widziałyśmy! Jak ona się ma?

– Och! Zna pani moją matkę. Odkąd odszedł ojciec, nie robi nic innego, tylko hołubi wnuki... albo sprząta po ich wizycie! – Małgorzata się roześmiała.

– Pani White nie zmieniła się ani odrobinę – stwierdziła Maryla. – Ella też wciąż u niej pracuje.

– Jak się wiedzie tej kochanej dziewczynie?

– Doskonale. Ma teraz własną piątkę maluchów – odpowiedziała Małgorzata.

– Pięknie... Bóg łaskawie obdarzył dostatkiem. – Izzy kołysała delikatnie Hugonka. – Pójdę z nim do bawialni, a wy, moje drogie, będziecie mogły spokojnie pogawędzić przy herbatce, nie budząc małego.

– Och, nie ma obawy! To dziecko śpi, kiedy pozostała dziewiątka braci i sióstr skacze obok na skakankach. Podzwaniająca pokrywka na czajniku nie robi mu żadnej różnicy.

– Nie szkodzi. Usiądziemy sobie przy choince. W świątecznym

drzewku i śpiącym dziecku kryje się jakaś magia odmładzająca duszę. – I wyszła, zanim zdążyły zaprotestować.

– Poszła usiąść na sofie z miękkimi poduszkami – powiedziała Maryla. – Bolą ją kości.

– Czy to artretyzm?

– Tak sędzę – odparła Maryla. – Oczywiście za nic o tym nie wspomni, ale zauważyłam, jak bardzo męczy ją każdy ruch.

Małgorzata pokręciła głową.

– Nasze ciało to niepewny przyjaciel. Kocha cię, kiedy jesteś zbyt młoda i głupia, żeby to docenić, potem irytuje cię z każdym mijającym rokiem coraz bardziej, aż w końcu... – tu wyrzuciła ręce w górę – maszyna zatrzymuje się, czy jesteś na to gotowa, czy nie.

Maryla ułożyła pozostałe jeszcze maślane herbatniki na talerzu i postawiła czajnik z wodą na kuchni.

– Małgorzato Linde! Nigdy nie sądziłam, że dołączysz do grona tych, co to paplają bez przerwy o ogniu piekielnym i nadchodzącej śmierci!

– Hm. Przecież koniec się zbliża, czyż nie? Spędzamy całe życie, uciekając przed nim. Nie pozwalamy nawet o nim wspomnieć. Boimy się, żeby nie przyszedł na naszych najukochańszych. – Małgorzata kręciła głową na boki i mięła w dłoni śliniak dziecka. – Lecz po tym wszystkim, co widziałyśmy na świecie, doszłam do wniosku, że będę czerpać więcej radości z dni, które jeszcze mi pozostały, jeśli po prostu pogodzę się z tym, że śmierć jest nieodłączną częścią życia. Liście na jabłoni wyrosną, a potem i tak opadną, niezależnie od tego, jak słodkie były jej owoce. Trzeba zerwać jabłka, kiedy wyglądają na dojrzałe, i dalej robić swoje. Głupi ten, kto rozpacza nad tym, co, wedle niego, utracił na zawsze. Jestem pewna, że jest to ujęte gdzieś w Biblii.

Nawet gdyby nie było, Małgorzata i tak zinterpretowałaby dowolny tekst w taki sposób, żeby dopasować go do swojej teorii.

Pismo Święte, gdyby wierzyć jej słowom, zawiera same skargi i narzekania. Maryla oczywiście tak nie uważała. Małgorzata była jej najbliższą przyjaciółką, więc po prostu się nie odzywała, jak to leżało w zwyczaju Cuthbertów. „Rozsądek posiadł, kto w słowach oszczędny” – to był cytat z Księgi Przysłów, podkreślony kiedyś przez ojca w Biblii należącej do ich rodziny. Maryla ćwiczyła teraz ową oszczędność w słowach, wciąż nie bardzo się orientując, dokąd zmierza ze swoim wywodem przyjaciółka. Zdarzało się, że Małgorzata zaczynała coś mówić na jakiś błahy temat, a potem już gadała i gadała, a jej słowa zamieniały się w niekończące się kazanie. Tylko zmiana tematu mogła zdusić w zarodku te zapędy.

– Na szczęście mamy wspaniały sad i po zbiorach zostaje nam tyle owoców, że sami nie wiemy, co z nimi robić. Piwniczka jest pełna po sufit przeróżnych przetworów. A może chciałabyś dla dzieci trochę słoï przecieru z jabłek albo powideł śliwkowych na dobry początek roku? Mamy mnóstwo zapasów. – Woda w czajniku się zagotowała i Maryla zalała wrzątkiem liście czarnej herbaty.

– Najlepszy sad na całej wyspie znajduje się właśnie u was, na Zielonym Wzgórzu. Tomasz ma słabość do waszych słynnych niebieskich śliwek.

Małgorzata również – Maryla dobrze o tym wiedziała.

– Przyniosę kilka słoików.

Chciała wstać, by pójść do spiżarni, ale Małgorzata powstrzymała przyjaciółkę, kładąc dłoń na jej nadgarstku.

– Marylko, jest coś, co muszę zrzucić ze swoich barków. To mnie prześladowuje. Nie mogę przez to spać.

Maryli zrobiło się nagle gorąco z niepokoju: czy ich tajemnica o chłopcach jakimś cudem wydostała się na zewnątrz? Avonlea było małym miasteczkiem, ale przecież nikt z nich nie opuszczał Zielonego Wzgórza od chwili, kiedy przyjechali. Śnieg sypał cały czas. Przestał padać dopiero tej nocy. Małgorzata była pierwszą

osobą, którą zobaczyła Maryla, i to tylko dlatego że mieszkała tak blisko.

– Cokolwiek to jest, wyrzuć to z siebie, proszę. Nie chcę nawet myśleć, że przeze mnie nie możesz zaznać spokoju.

Małgorzata zrobiła coś w rodzaju smętnej miny.

– Powiedziałam Tomaszowi, że wiem, że to nie ma żadnego znaczenia, tymczasem wiem, że jednak ma. Tomasz stwierdził, że powinnam ci o tym wspomnieć po Świątach, jak tylko zostanę z tobą sam na sam. Nie chciałam, żebyś dowiedziała się o tym zniechęca od kogoś innego i... – Wzruszyła ramionami.

– Zaczynasz mnie przerażać, Małgorzato.

Z dzióbka imbryka, stojącego na stole, unosiła się para.

– No dobrze. Nie będę niczego upiększać. – Małgorzata kiwnęła głową z pełną determinacją. – Jan Blythe ożenił się z dziewczyną nie z naszych stron. Z córką weterynarza, jak słyszałam. Odbyła się skromna ceremonia: tylko Jan, panna młoda i jej rodzice. Nie zaprosili w ogóle żadnych przyjaciół. Złożyli przysięgę małżeńską w salonie kaznodziei z Charlottetown. Jak sądzę, odbyło się to tuż po przyjęciu u Blairów. Spędzili kilka dni w Bostonie jako coś w rodzaju miesiąca miodowego. – Małgorzata kręciła głową z niedowierzaniem, unikając wzroku Maryli. – To skandal! Dziewczyna z Ziemi Ruperta?! Miesiąc miodowy w Bostonie?! Stany Zjednoczone Ameryki stoją na krawędzi wojny, a oni sobie romansują, chodząc po ulicach amerykańskiego miasta!

Pokój się zakołysał. Maryla musiała złapać brzeg stołu, żeby zachować równowagę.

Wyczuwając zaskoczenie przyjaciółki, Małgorzata paplała dalej jak najęta:

– Ona jest dziesięć lat od niego młodsza, wyobrażasz to sobie! Coś okropnego! Ile to daje lat? Trzydzieści? Hm, to sporo jak na pannę młodą. Ale taki improwizowany ślub bez żadnych zaproszeń, bez marsza weselnego, bez żadnej szczególnej

oprawy?! Chyba nie mieli nawet tortu! Wielkie nieba! Właściwie ledwo przypominało to ślub. Zastanawiam się, czy ten kaznodzieja miał w ogóle święcenia.

Maryla usłyszała przenikliwe dzwonięcie w lewym uchu. Przycisnęła dłoń do małżowiny, próbując je uciszyć, lecz nie ustawało, wkręcając się w głowę.

Małgorzata zaczęła nerwowo poruszać rękami. Zajęła je w końcu napełnianiem filiżanek herbatą, co zaniedbała gospodyni.

– Proszę! – Podała filiżankę Maryli. – Wypij! Jesteś blada jak ściana.

– Nic prawie dzisiaj nie jadłam – skłamała Maryla i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia z tego powodu.

Powinna być zadowolona ze względu na Jana, lecz poprawne zapatrywania na tę kwestię wyparowały w mgnieniu oka. Czuła jedynie żal. Nie należała do osób, które poświęcają długi czas na rozmyślanie o swoich uczuciach, lecz teraz nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Małgorzata nie miała racji. Ludzie bywali głupcami, lecz nie dlatego, że pozostawali samotni, tylko dlatego, że nie mieli na tyle zdrowego rozsądku, aby odgryźć kawałek owocu wtedy, kiedy trzymali go w garści. Cały problem polegał na tym, że aż do tej pory Maryla nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna.

Zjadła ciastko, nie czując smaku, i popiła herbatą. To uspokoiło nudności.

– Bardzo się cieszę, że mi o tym opowiedziałaś, Małgorzato. Cieszę się z powodu Jana. Ja... – Wstała. – Pozwól, że przyniosę ci te powidła śliwkowe.

Już w spiżarni, mając za świadków jedynie rzędy słoików z przetworami z owoców i warzyw, zakryła oczy dłonią. To jedyne, co mogła zrobić wobec zamętu panującego w jej głowie.

Od drzwi kuchennych słychać było zbliżające się kroki.

– Marylko?

To Mateusz z młodym Robertem i panem Meachumem.

Westchnęła głęboko, zdjęła słoiki z półki i odwróciła się z najbardziej niefrasobliwą miną, na jaką było ją stać. O Janku pomyśli jutro. Na dzisiaj miała dość. Mój kielich jest przeobfity – pomyślała.

---

**19** Kolej Podziemna – tajna organizacja, umożliwiająca ucieczkę niewolnikom. Była to sieć dróg (umownych szlaków, nie tylko kolejowych) z bezpiecznymi domami kryjówkami na trasie, którymi przetrzucano niewolników z południowych stanów Ameryki do Kanady. Nazwano ją tak dla zmylenia łowców niewolników. W listach abolicjoniści używali szyfrów, jak Maryla i Izzy w swojej korespondencji.

**20** Jermain Wesley Loguen (1813–1872) – Afroamerykanin, abolicjonista; urodzony w niewoli jako syn czarnoskórej niewolnicy i jej białego pana; uciekł w wieku 21 lat, dzięki Kolei Podziemnej dostał się do Kanady; tu nauczył się czytać, podjął studia; od 1868 był pastorem Kościoła metodystów; jego dom stanowił kryjówkę dla zbiegłych niewolników przetrzucanych przez Kolej Podziemną na północ.

## XXXII

# Maryla poznaje panią Janową Blythe

Na kolację w Hogmanay, tradycyjne szkockie święto obchodzone w wigilię Nowego Roku, Maryla miała podać udziec barani. Wczesnym rankiem tego dnia wzięła swój koszyk na zakupy i wybrała się do rzeźnika.

Niebo stanowiło jednolitą gładź lazuru bez jednej chmurki, a słońce świeciło tak mocno, że można by pomyśleć, iż to czerwiec, gdyby nie zmarznięty czubek nosa. Ciepło rozchodzące się od ramion i miarowe brnięcie przez śnieg przynosiły Maryli ulgę. Natura pomogła jej oczyścić umysł.

Kiedy w końcu weszła do jatki, zobaczyła w środku jedynie cienie ludzkich postaci. Jej źrenice zbyt wolno reagowały na kontrastujące z jasną ulicą ciemne wnętrze. Po pełnej minucie w dalszym ciągu sądziła, że jedna z wiszących na hakach szynek to głowa z parą oczu i uśmiechającymi się szeroko ustami. Już miała jej powiedzieć „dzień dobry”, lecz w tej właśnie chwili Theo Houston wyszedł z zaplecza, niosąc dwa oskubane kurczaki.

– O! Panna Cuthbert! Życzę pani radosnego Hogmanaya!

Otworzyła szerzej powieki i cienie w końcu odpłynęły. Jej wzrok wrócił do normy.

– Nawzajem, Theo! Przyszłam po udziec barani na noworoczną pieczeń.

– Ma pani szczęście! Został mi ostatni. Wszystkie już

sprzedalem. W okresie świątecznym było mnóstwo klientów. – Zawiesił kurczaki na hakach nogami do góry, a potem wytarł ręce o fartuch. – Słyszałem, że ma pani gości na Zielonym Wzgórzu.

– Tak! – Skinęła głową. – Moja ciotka Izzy. – Biegałeś jeszcze w krótkich spodenkach, kiedy odwiedziła nas ostatnio. Wątpię, żebyś ją pamiętał.

– Ostatnio widzę wiele nowych twarzy. W mieście pełno ludzi.

– I pewnie wszyscy mają chętkę na baraninę?

– Na to wygląda. – Roześmiał się. – Zaraz przyniosę ten udziec.

Zniknął za zasłoną na zapleczu i wtedy zadzwieczał dzwoneczek u drzwi wejściowych. Do uszu Maryli doszły odgłosy rozmowy.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła na jasnym tle sylwetki jakiejś pary. Mężczyzna szybko zdjął kapelusz i odwrócił się do kobiety. Spojrzenie Maryli zatrzymało się na mniejszym cieniu, kończącym się tuż pod linią szpakowatych włosów wyższej sylwetki.

– Jan?

Nie miała zamiaru się odzywać. To słowo po prostu samo wysliznęło się z jej ust.

Jana Blythe trzymała pod ramię kobieta o sarnim spojrzeniu, brzoskwiniowych policzkach i uśmiechu tak szerokim, jak same niebiosa. Wyglądała o wiele młodziej niż Maryla w jej wieku. Kobiety, które mieszkają nad morzem, od tych z głębi lądu można odróżnić po cerze. Wiatry wiejące prawie bez przerwy nad wyspą zostawiały ślad na skórze, ślad surowy, jedyny w swoim rodzaju. Tę kobietę bryza zaledwie musnęła.

– Marylo... Ja... To jest... – plątał się Jan. – Miałem zamiar przyjść w odwiedziny do ciebie i Mateusza, ale po mieście chodzą słuchy, że przyjechała do ciebie rodzina, a my dopiero co wróciliśmy ze Stanów. – Skończył mu się oddech. Jabłko Adama na jego szyi zadrgało, kiedy nabierał powietrza. – To jest

Katherine. Katherine Blythe.

Maryla przyjrzała się jego żonie, jej miłej twarzy, której świeże rysy nie nosiły śladów złych wspomnień.

– Maryla Cuthbert – przedstawiła się, wyciągając rękę.

Kobieta wysunęła dłoń spod ramienia Jana i podeszła bliżej.

– Mów mi Kitty, proszę. – Uścisnęła dłoń Maryli. – Słyszałam o pani wiele dobrego, panno Cuthbert. Jan mówi, że Cuthbertowie są dla niego jak rodzina, więc będę uważać za zaszczyt, jeśli zrobicie mi tę uprzejmość i mnie również włączycie do grona waszej rodziny. Muszę się jeszcze dowiedzieć tylu rzeczy o Avonlea! Na razie wiem tylko to, o czym opowiedział mi Jan.

– Ty też mów mi zwyczajnie po imieniu: „Maryla” i już. Kiedy słyszę „panno Cuthbert”, czuję się... staro. – Włożyła dużo wysiłku, żeby się uśmiechnąć.

– Maryla – powtórzyła Kitty, a wypowiedziane przez nią imię zabrzmiało kojąco.

Orzechowobrzazowe włosy Kitty były ułożone w efektowne drobne spiralki i zebrane na karku w kok spięty grzebykiem. Kiedy odwróciła głowę, światło padło na ozdabiające go klejnociki rzucające fioletowe błyski.

Maryla chciała powiedzieć coś miłego i niezobowiązującego, więc zaryzykowała:

– Masz prześliczny grzebyk. Ametysty to moje ulubione kamienie.

Kitty dotknęła głowy delikatną dłonią.

– Jan kupił go dla mnie w Bostonie. W prezencie z okazji miesiąca miodowego. – Popatrzyła na męża z uwielbieniem, a rozbłyski fioletu zatańczyły na policzku Maryli. – Wolę kolorowe kamienie od brylantów. Są o wiele bardziej interesujące, nie sądzisz?

Zanim Maryla zdążyła odpowiedzieć, włączył się Jan:

– Przyszliśmy do Thea się dowiedzieć, czy ma jeszcze baraninę.

– Tak wiele jest tu owiec! – zmieniła temat Kitty. – Jan mówi, że tutejsze stada są najlepsze na całym wybrzeżu Atlantyku. Czy to dzięki glebie?

– Jest bogata w żelazo – wyjaśniła Maryla. – Zwierzęta wypasa się na łąkach, więc ich mięso jest bardziej pożywne.

– Wspaniale! – zachwyciła się Kitty i zamrugła długimi, ciemnymi rzęsami.

Słyszając, że ktoś wymawia jego imię, Theo wyszedł z zaplecza, dzierżąc udziec.

– O! Pan Blythe i... – Popatrzył na Kitty z zaciekawieniem.

– Pani Blythe – odpowiedziała Maryla. – Dopiero przyjechała do Avonlea. Na pewno teraz często będziesz ją widywał. – Odwróciła się w stronę Kitty. – To Theo Houston, nasz rzeźnik.

Theo wodził wzrokiem po całej ich trójce.

– A, oczywiście! Słyszałem o pana niedawnych zaślubinach, panie Blythe. Moje gratulacje! Miło mi panią poznać, pani Blythe!

– Mnie również, panie Houston. – W tym momencie Kitty zauważyła udziec, który Theo trzymał w rękach. – Czy to baranina?

– Tak. Ostatni kawałek.

– Skąd pan wiedział, że po to właśnie przyszliśmy?! Musi pan być jasnowidzem! – Zaklaskała w ręce.

Rzeźnik zrobił zakłopotaną minę, a Maryla doszła do wniosku, że powinna wkroczyć, żeby wyprostować tę niezręczną sytuację.

– Rzeczywiście, Theo ma intuicję – powiedziała, patrząc wymownie prosto w oczy rzeźnika. – A teraz, Theo, idź i zapakuj ten udziec dla pani Blythe. Myślę, że ja wezmę trochę wędzonej szynki.

– Jak pani sobie życzy, panno Cuthbert – odrzekł Theo i skinął głową.

Maryla zwróciła się do Kitty:

– Ta baranina będzie doskonała, kiedy się ją natrze czosnkiem, rozmarynem, solą i pieprzem, jeśli je masz.

– Chyba mam – odpowiedziała Kitty.

– Udziec tej wielkości piekę w palenisku nad otwartym ogniem powoli przez dwie godziny albo trochę dłużej, jeśli potrzeba. Dopóki nie zacznie puszczać klarownego soku. Powinien wystarczyć dla was dwojga na kilka kolacji.

– Och, bardzo ci dziękuję! Jan mówił mi, że doskonale gotujesz, więc jestem bardzo wdzięczna, że podzieliłaś się ze mną swoim sekretnym przepisem.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła Maryla. – W tym przepisie nie ma żadnych tajemnic. Dopiero sposób, w jaki to przyrządzisz, sprawi, że otrzymasz coś własnego pomysłu.

– No cóż... Pozostaje mi mieć nadzieję, że będzie pa... będziesz ze mnie dumna, Marylo.

Przemiała dziewczyna, uprzejma i autentycznie ujmująca. Maryla rozumiała zauroczenie Jana. Wybrał mądrze. Dopóki patrzyła na Kitty, ból serca był do zniesienia. Za każdym razem, kiedy on pojawiał się w zasięgu jej wzroku, Maryla zaczynała się intensywnie zastanawiać, jak przyrządzi jutro szynkę. Na razie przemyślała jedynie sposób przyrządzenia baraniny.

– Musimy koniecznie przyjść do was z Janem w odwiedzinach.

Może w glazurze z brązowego cukru z octem winnym?

– Och, byłoby wspaniale!

– Jak już wasi goście wyjadą, oczywiście. Nie chciałabym robić dodatkowego kłopotu z nami, choć im zazdroszczę. Mogę się założyć, że są karmieni po królewsku!

Do tego zielony groszek. Dwa słoiki w spiżarni.

– Jadamy potrawy proste i pożywne, jak wszyscy w Avonlea.

– No cóż, zamierzam nauczyć się gotować tak jak ty. Jan bez przerwy mi opowiada o twoich wypiekach.

Na deser nic zbyt słodkiego. Byłoby ciężkostrawne w połączeniu z szynką. Rożki z ciasta francuskiego nadziewane duszonymi jabłkami.

Theo w końcu wręczył Kitty zapakowaną baraninę, a Jan

zapłacił.

– Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, Marylo! Cudownie było wreszcie cię poznać. Wierzę, że zostaniemy dobrymi przyjaciółkami.

– Powodzenia przy pieczeniu baraniny. – Maryla skinęła im głową na pożegnanie.

– Z błogosławieństwem Maryli Cuthbert? Musi się udać!

Jan pokierował Kitty do wyjścia, a przechodząc obok Maryli szepnął tak, żeby tylko ona słyszała:

– Do widzenia!

Doszła do domu z kawałem szynki w koszyku, nie pamiętając, którędy wracała. Mateusz polerował w kuchni ogłowie z zimowej uprzęży Eryka.

– Zamiast baraniny kupiłam szynkę na kolację.

– Szynkę? Przecież mamy w piwniczce kawał wędzonej krzyżowej, czyż nie?

Owszem, mieli, ale Maryla nie była w nastroju do wysłuchiwania napomnień.

– Jedna nie wystarczy dla sześciu osób – odburknęła.

Mateusz odłożył uździenicę. Metalowe kółka cicho brzęknęły o stół.

– Masz rację.

Siedział bez ruchu i czekał. Zbyt wiele lat spędzili obok siebie. Za dobrze znał siostrę.

– Natknęłam się dzisiaj na żonę Jana Blythe – rzekła w końcu Maryla, odwijając szynkę z papieru, w który zapakował ją rzeźnik. – Doskonała partia. Jest otwarta, pogodna, piękna, no i młoda.

Nacinała skórę szynki raz przy razie, aż cała pokryła się starannie wykonaną kratką, by mięso lepiej wchłonęło przyprawę.

Mateusz nie rzekł ani słowa. Kiedy Maryla wróciła ze spiżarni z brązowym cukrem i octem jabłkowym, już go nie było.

W bawialni Abraham z Alem rozgrywali w milczeniu partię szachów. Nigdy nie widziała, żeby chłopcy w ich wieku zachowywali się tak spokojnie.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytała Maryla.

– Panna Izzy i dziadek poszli coś załatwić – odpowiedział Abraham.

– Kazali nam siedzieć tutaj i nawet nie pisnąć – dodał Al.

Drażniło ją, że obaj chłopcy zachowują się tak cicho.

– Związywaliście kiedyś w życiu noworoczną szynkę?

Pokręcili głowami w milczeniu.

– To chodźcie ze mną! Zostawcie te szachy. Wygrani czy przegrani, wszyscy muszą jeść.

## XXXIII

### Polowanie na zbiegłych niewolników

Tydzień później Maryla robiła na drutach, siedząc przy kominku. Bolały ją oczy. Co chwila musiała je pocierać, żeby odzyskać ostrość widzenia, lecz w końcu i to przestało pomagać. Widziała wszystko jak przez mgłę, rozmazane jak masło na końcu noża. Myślała już nawet, żeby udać się do doktora Spencera po jakiś leczniczy środek. Małgorzata wspomniała kiedyś o eliksirze z miłorzębu i borówki czarnej, który przyniósł ulgę jej matce cierpiącej na kataraktę.

W bawialni panował półmrok. Nie chciało jej się zapalać lamp naftowych, więc siedzieli oboje z Mateuszem jedynie w świetle ognia płonącego w kominku, tak blisko niego, jak to tylko możliwe, żeby się nie przypiec. Izzy i pan Meachum dołączyli do nich po ułożeniu chłopców do snu. Ciotka zajmowała się Abrahamem i Alem, jakby byli jej własnymi wnukami. Maryla uważała, że to niezwykle ujmujące i wzruszające. Każdego wieczoru Izzy razem z panem Meachumem otulała chłopców kołdrami i odmawiała razem z nimi modlitwę. Jakaś część Maryli zazdrościła jej tej poufałości i bliskości z dziećmi.

– Marylo! Mateuszu! Mamy dla was najnowsze wiadomości! – oznajmiła nagle Izzy.

Mateusz odłożył na bok czasopismo „Harper’s Weekly”, a Maryla opuściła na kolana robótkę.

– Otrzymaliśmy informacje od naszego łącznika z Kolei

Podziemnej w Charlottetown. Byliśmy z nim umówieni, że wyrobi dla Ala i Abrahama dokumenty dające im wolność. Miał przygotować trasę ich przerzutu z Wyspy Księcia Edwarda do Nowej Fundlandii. Mieszka tam małżeństwo, które zaoferowało się wziąć chłopców na tak długi okres, jak będzie potrzeba. Dopóki panu Meachumowi nie uda się połączyć ich znów ze swoją córką, oczywiście.

– O ile uda się ich połączyć. – Panu Meachumowi nawet nie drgnęła powieka, kiedy to mówił, choć wszystkich pozostałych przeszedł dreszcz. – Znam dokładnie realia naszego położenia. Odkąd córka wysłała do mnie chłopców, nie miałem żadnych wieści z Karoliny Południowej. Właściciele niewolników nie obchodzą się zbyt przyjaźnie z tymi, którzy przyczyniają się do znikania ich własności. Wiem, że za Abrahamem i Alem wysłano już list gończy, w którym obiecano sówitą nagrodę za ich pojmanie.

Odwrócił wzrok i wpatrzył się w ogień buzujący w kominku. Izzy ujęła go za rękę. Jej spojrzenie wyrażało obawę.

– Im dalej na północ dostaną się chłopcy, tym będą bezpieczniejsi i tym trudniej będzie ich odnaleźć – podjął pan Meachum. – Musimy ich przenieść. Nie możemy ukrywać się dłużej na Zielonym Wzgórzu. Wizyta u rodziny w czasie świąt to normalna sprawa, lecz jeśli będziemy ją przedłużać, ludzie zaczną coś podejrzewać. Musimy wysłać chłopców do Nowej Fundlandii, a potem wrócić do St. Catharines.

– Z naszego domu w St. Catharines będziemy mogli tak rozsyłać informacje, by łowcy niewolników nigdy nie trafili na ich trop – dodała Izzy.

Maryla dobrze to rozumiała. Bardzo nie chciała, żeby wyjeżdżali, lecz był to jedyny sposób, żeby zapewnić chłopcom bezpieczeństwo. Wyspa Księcia Edwarda znajdowała się zbyt blisko kontynentu. To była tylko kwestia czasu.

– Co możemy zrobić, żeby wam pomóc?

– Musimy najpierw przywieźć dokumenty z Charlottetown, potem pojechać na wybrzeże. Jest tam bezpieczna kryjówka z łodzią, która w każdej chwili może popłynąć z nimi do Port aux Basques.

– Ja was tam zawiozę – oświadczył Mateusz. – Nikt nie będzie miał żadnych podejrzeń wobec mnie i Izzy w towarzystwie pana Meachuma, lecz gdybyście pojechali tylko we dwoje... Ludzie na pewno zaczęliby gadać.

– Racja! – Pan Meachum pokiwał głową.

– Jazda do Charlottetown i z powrotem zajmie wam cały dzień i pewnie całą noc – powiedziała Maryla. – Inwentarz i tak jest zamknięty w oborze, więc pozostaje go tylko obrządzić. Abraham i Al mogą mi pomóc.

– Dziękuję wam! – Izzy ciepło uścisnęła dłoń Maryli. – Wyjedziemy o brzasku.

Skoro wszystko omówili, powiedzieli sobie „dobranoc” i poszli spać, lecz niepokój gnębił ich nawet we śnie.

Maryla zerwała się na nogi dobrze przed wschodem słońca. Zapakowała im na drogę ciasteczka owsiane i bekon. Mateusz wypił poranną kawę w trzech łykach i zniknął za drzwiami: zajął się przygotowaniem zaprzęgu do podróży. Pomyślał, że lepiej będzie, jeśli weźmie własny powóz, a koń Izzy będzie wypoczęty i gotowy do podróży na wybrzeże. Wyruszyli o świcie.

Przy śniadaniu chłopcy prawie w ogóle się nie odzywali. Abraham ledwie przełknął kawałek naleśnika, a Al dotąd dłubał w talerzu widelcem, aż jego naleśnik zaczął przypominać przekopany zagonek ziemi.

– Nie mam do was pretensji, że nie jesteście głodni – próbowała ich uspokoić Maryla – lecz cokolwiek by się działo, musicie być w każdej chwili gotowi stawić czoło nadchodzącemu dniowi. Powietrzu, żeby oddychać. Ziemi, żeby po niej chodzić. Obowiązkom, które trzeba wykonać. Do tego wszystkiego trzeba mieć siłę, którą daje jedzenie.

Poląła naleśniki syropem klonowym i zanim zdążyła wrócić ze spiżarni, ich talerze były puste.

– I o to chodzi, moi drodzy. Wszystko prezentuje się lepiej, kiedy się ma pełny żołądek.

Pomogli Maryli posprzątać ze stołu i pozmywać naczynia, a potem poszli do obory, gdzie trzeba było wydoić krowy, nakarmić wszystkie zwierzęta, wybrać obornik i podrzucić świeżej słomy oraz napełnić wszystkie wiadra wodą do picia. Chłopcy byli cisi, spokojnego usposobienia i w każdej chwili gotowi do pomocy bez marudzenia i ociągania się, jak to mają w zwyczaju dzieci w ich wieku. Jeden miał siedem lat, a drugi dziesięć, a zachowywali się jak dorośli mężczyźni w przebraniu małych chłopców. Maryla podziwiała ich, równocześnie współczując, bo przecież życie odebrało im część dzieciństwa. Utrata matki tak wcześnie powoduje, że nieodwracalnie się dorosłeje – wiedziała to z własnego doświadczenia, jednakże sama nigdy się nie musiała bać, że ktoś będzie nastawać na jej życie. Tego rodzaju nieustanny strach jest potworny w każdym wieku, a ci dwaj malcy nieśli ten ciężar z godnością książąt. Maryla zaczęła odnosić się do nich z większą czułością i po raz pierwszy w życiu odniosła wrażenie, że pączkuje w niej nieznane dotąd uczucie, które – co mogła jedynie podejrzewać – było czymś w rodzaju miłości macierzyńskiej.

– Dalia najwyraźniej was polubiła – powiedziała do chłopców.  
– Nigdy nie daje tyle mleka ani mnie, ani Mateuszowi.

Jeszcze przed południem Al i Abraham dumnie zaprezentowali w kuchni pełny skopek mleka. Zdążyli też nanieść drewna na opał na cały dzień, a w kurniku zebrali pół tuzina jaj. Teraz ich rękawiczki, które dostali pod choinkę, suszyły się przy kominku.

– Ciężka praca wymaga wynagrodzenia. Chciałabym wam dodać do mleka trochę kakao i cukru. Macie ochotę spróbować?

Al wreszcie się uśmiechnął.

– O tak, psze pani! Tak robiła nasza momma, kiedy panienka

dawała jej specjalną czekoladę. Momma gotowała dla nas czekoladę w mleku.

– Mówiłem ci, żebyś nie mówił o mommie! – zganił go szeptem Abraham.

Al o mało się nie rozpłakał. Wysunął dolną wargę tak mocno, że Maryla zaczęła się obawiać, czy wszystko z nim w porządku.

– Dostyc już tego! – zakomenderowała i objęła braci tak, że stworzyli we troje ciasny krąg. – Dlaczego nie pozwalasz Ałowi mówić o matce? Była dobrą kobietą i bardzo dobrze zrobiła, że odesłała was do dziadka Meachuma. Powinniście dzielić się ze sobą miłymi wspomnieniami o niej. Dzięki temu będzie wciąż przy was, niezależnie od tego, jak daleko się od niej oddalicie i jak długo nie będziecie się widzieć. Nawet grób nie odbierze wam tych wspomnień. Ja to wiem. Moja mama odeszła, kiedy byłam tylko trochę starsza od ciebie, Abrahamie.

Sama nie wiedziała, skąd u niej tyle słów. Jak w plastrze miodu: kiedy już zacznie wypływać z niego miód, nie można go zatrzymać.

– To pani momma poszła do nieba? – Szeroko rozwarte oczy Abrahama były pełne łez.

Kiedy Maryla zobaczyła przejęcie chłopca, trudno jej było zachować spokój. Musiała parę razy odetchnąć, żeby dojść do siebie.

– Tak – odrzekła.

Do głębi wstrząsnęła nią obłuda, z jaką się zachowała, doradzając chłopcom, żeby robili to, czego sama nigdy nie robiła. Nigdy nie rozmawiała z Mateuszem o matce, a rzadko kiedy o ojcu. Nieoczekiwanie zapragnęła, żeby Mateusz znalazł się przy niej, aby mogli to zrobić.

– Pani tęskni za swoją mommą? – spytał Al, a łza spłynęła mu powoli po policzku.

Maryla ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała:

– Tak strasznie, jak ty za swoją.

Już się nad nim nachyliła, żeby pocałować go w czoło, lecz powstrzymała się i zamiast tego otarła kciukiem łzę z jego policzka.

– A może teraz zagracie w szachy, a ja ugotuję kakao?

– Dobrze, psze pani – zgodzili się i poszli do bawialni.

Zapadł wczesny zimowy zmierzch. Ledwo Maryla zdążyła rozlać gotowe kakao do kubków, a oczy zaczęły ją piec od ciągłego mrużenia. Może to i dobrze, że już zrobiło się ciemno. Zawsze to łatwiej i bezpieczniej, kiedy chce się pozostać w ukryciu. Miała nadzieję, że Izzy i pan Meachum wszystko załatwili i teraz odpoczywają wygodnie pod dachem gospody w Charlottetown. Wkrótce wrócą, przepakują się do swojego powozu i wyruszą na północ. A Zielone Wzgórze znowu opustoszeje.

Tak szybko przywykła, że ma ich wszystkich przy sobie. Trudno było wyobrazić sobie dom bez nich, lecz jutro miał nadejść nowy dzień, bez żadnych wspomnień i sentymentów związanych z dniem wczorajszym. Jak cudownie i tragicznie zarazem – pomyślała.

Zapaliła lampę naftową i umieściła na tacy razem z kubkami chłopców.

– Proszę bardzo! – Postawiła tacę na stole w bawialni, obok planszy do gry.

Gdy tylko bracia wzięli kubki, ich uszu doszedł odległy tętent kopyt. Kilku koni. Zbliżają się do domu!

Chłopcy zrozumieli niebezpieczeństwo i wpatrzyli się w Marylę, przerażeni.

– Biegiem na górę! – zarządziła. – Do pokoju z kącikiem do szycia na poddaszu! Jest tam czarny kufer z końskiego włosia na resztki materiałów, z mosiężnymi okuciami. Schowajcie się w środku i przykryjcie się materiałami. Nie wychodźcie stamtąd za nic, niezależnie od tego, co usłyszycie z dołu!

Al i Abraham błyskawicznie odstawili kubki i zniknęli.

Maryla była zadowolona, że zapaliła tylko jedną lampę. Teraz zdmuchnęła jej płomyk i podeszła do okna bawialni. Wpatrzyła się w mrok, chcąc zmusić oczy do jak najlepszego ustawienia ostrości widzenia. Rój czarnych pszczół zbliżał się coraz bardziej. Zielonemu Wzgórzowi zagrażała plaga szarańczy. Maryla mogła tylko czekać, zachowując spokój, o ile to w ogóle było możliwe. W głowie miała mętlik. Serce waliło jak oszalałe. Strach ścisnął gardło. Rób to, co robisz zawsze, każdego wieczoru! – nakazała sobie. – Rób to, co robiłabyś, będąc sama! Szybko poszła do kuchni, nastawiła garnek z wodą, wrzuciła do niego warzywa, a potem usiadła przy kominku z robótką na drutach. Czekanie dłużyło się niemiłosiernie. Na odgłos walenia w drzwi podskoczyła jak oparzona.

– Kto tam? – zawołała tak głośno, żeby usłyszeli chłopcy na górze. – Chwileczkę!

Odłożyła druty i powoli, po cichu, odryglowała drzwi.

Mężczyźni nie wpadli hurmem do domu, jak się spodziewała. Czterech stało na środku podwórza naprzeciw wejścia ze strzelbami gotowymi do strzału, a ich konie potrząsały ciemnymi grzywami. Jeden, zapewne ich przywódca, przywitał się z nią na ganku.

– Dobry wieczór! Czy pani Cuthbert?

– Panna Cuthbert – poprawiła go i wyprostowała się, chcąc opanować trzęsące się kolana. – A kim wy jesteście, że nachodzicie mój dom po zmroku?

– Panno Cuthbert, nazywam się Rufus Mitchell i należę do patrolu poszukującego zbiegłych niewolników. – Błysnął metalową odznaką przypiętą krzywo do kamizelki.

Maryla przymrużyła oczy.

– Nigdy o was nie słyszałam.

Mężczyzna roześmiał się ostro i skrzekliwie, wydając dźwięk podobny do zgrzytu metalowego pługa o kamień.

– Och, proszę mi wybaczyć! – Skłonił się nisko. – To rzecz

oczywista. W tej części Kanady jeszcze nas nie było. Wyspa to nie jest miejsce, gdzie zwykle gromadzą się czarnuchy, nie sądzi pani?

– Nie sądzę. W Nowej Szkocji jest wielu czarnoskórych. Całe rodziny. Mamy też u nas, na Wyspie Księcia Edwarda, kilku, którzy tu pracują.

– A więc jednak macie tu wszędzie czarnuchów? – Mitchell uniósł pytająco brew. – Przebywa tu jakiś z wami na stałe?

Maryla milczała. Nie bardzo wiedziała, co powinna mu odpowiedzieć. Tylko Małgorzata i Robert widzieli chłopców. Wszyscy pozostali mieszkańcy Avonlea byli przekonani, że Izzy przyjechała tu ze swoim służącym, panem Meachumem, wolnym człowiekiem, pracującym u niej z własnej nieprzymuszonej woli.

Mitchell potraktował to wahanie za przyznanie się do winy. Zrobił krok w jej stronę.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli się trochę rozejrzemy? Nie ma pani przecież nic do ukrycia, prawda?

Jego kompani weszli po schodach na ganek i stanęli za nim.

– Nie macie prawa. – Maryla przytrzymała skrzydło drzwi ręką.

– Prawo dotyczące własności mówi co innego.

– To jest moja własność i ja się nie zgadzam!

– Jeżeli przebywa tu niewolnik, będący własnością mojego zleceniodawcy, będę nalegał.

Wepchnął się obok niej do środka.

Złapała się za kołnierzyk i odciągnęła go, żeby móc odetchnąć.

– A więc, jeśli naprawdę uważacie, że jest tu ktoś pasujący do waszego opisu, to powiem wam: mieszkam ze swoim bratem, Mateuszem Cuthbertem, ale dzisiaj go nie ma. Wyjechał. To byłoby nieobyčajne, gdyby niezamężna kobieta jak ja, przebywała w domu z innym mężczyzną. Mówiono mi, że ludzie z Południa są honorowi. Czyżby stanowił pan dowód, że tak nie jest?

Mitchell podniósł obie ręce w geście wskazującym na niewinność, a Maryla dostrzegła wybrzuszenie od kolby rewolweru u jego boku.

– Nie mam zamiaru dotknąć pani nawet palcem, panno Cuthbert. Ma pani moje słowo jako dżentelmena ze Skonfederowanych Stanów Ameryki.

– Co to za kraj? Nigdy o takim nie słyszałam.

– To jeszcze pani usłyszysz – oznajmił Mitchell. – To więcej niż pewne.

Jego gwardia przyboczna wkroczyła do środka. Buciorzy oblepione śniegiem zostawiały mokre ślady na nieskazitelnej podłodze. Jeden z mężczyzn wszedł do bawialni i przepchnął się obok choinki. Na podłogę posypały się igły. Pozostali trzej poszli do kuchni, zajrzeli do sypialni Mateusza, a potem poszli przeszukać stodołę. Maryla musiała zrobić wszystko, żeby powstrzymać ich przed wejściem na górę. Mężczyzna w bawialni wziął do ręki Biblię jej ojca i przekartował ją, jakby szukał tam ukrytych wiadomości. Nienawidziła całym sercem jego impertynenckiego zachowania i jego brudnych paluchów na jej prywatnych rzeczach.

– „Wstrętne dla Pana są usta kłamliwe” – rzucił z przyganą w jej stronę. – Księga Przysłów, rozdział dwunasty.

„I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” – przypomniało się Maryli. Ale w jaki sposób? I nagle ją olśniło.

– Panie Mitchell, proszę! – Wyjęła Biblię z rąk gwardzisty i wskazała ręką na brudną podłogę. – Byłabym wdzięczna, gdyby panowie uszanowali mój dom. Jeżeli zapytalibyście wprost, czy przetrzymuję jakichkolwiek niewolników pod swoim dachem, odpowiedziałabym zgodnie z prawdą.

Mitchell wciągnął powietrze przez zęby, a potem dał znak swoim ludziom, żeby się wycofali.

– No dobrze, panno Cuthbert. Dam pani szansę na powiedzenie mi prawdy.

Zmusiła się, żeby podejść dwa kroki w jego stronę. Stała tak blisko, że widziała każdy pojedynczy włos w jego brodzie.

– Udzieliłam gościny mojej ciotce i jej służącemu, wolnemu czarnoskóremu mężczyźnie z potwierdzającymi to dokumentami. Ciotka przyjechała tutaj na Święta, lecz właśnie wyjechali do Charlottetown po sprawunki. Pojechał z nimi również mój brat.

Jeden z mężczyzn wyszedł z kuchni.

– Nigdzie nikogo – zameldował. – Mamy sprawdzić górę?

Mitchell wpatrywał się z marsową miną w Marylę. Wstrzymała oddech, żeby się nie trząść.

– Panie Mitchell, nie wypada mi przebywać...

– Ufam, że jest pani kobietą, która brzydzi się kłamstwem, panno Cuthbert. Kobietą naprawdę uczciwą.

Położył ręce na oparciu fotela Mateusza, a Maryla cieszyła się z całej duszy, że przykryła go pokrowcem.

– Przysięgnie mi pani, że nie ma powodu przeszukiwać sypialni na górze?

– Absolutnie żadnego – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy z pełną determinacją.

– Widzieliście coś podejrzanego? – spytał swoich ludzi.

Pokręcili głowami.

– Tylko garnek z kolacją na kuchni – zażartował jeden, a drugi oblizwał usta.

– No cóż... – Mitchell wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. – W takiej sytuacji najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej wyruszymy do Charlottetown. Zanim jednak to zrobimy, skoro moi ludzie przebyli taki kawał drogi, byłibyśmy niezmiernie zobowiązani za udzielenie nam po odrobinie chrześcijańskiego miłosierdzia w postaci talerza gorącej zupy dla każdego z nas.

Marylę nie miała najmniejszej chęci ugaszczać tych mężczyzn, lecz jeśli dzięki temu się stąd wyniosą...

– Ależ proszę! Częstujcie się wszystkim, co mam. Jak widzicie,

jestem tu sama. I tak nie dałabym rady was powstrzymać.

Wypowiedziawszy te słowa, pomaszerowała do kuchni. Wywar z warzyw trudno było nazwać posiłkiem, ale skoro chcieli, mogli zjeść zupę, a nawet zabrać sobie cały garnek, byleby tylko się wynieśli z Zielonego Wzgórza. Maryla okręciła uszy garnka ścierką i już miała go zdjąć z ognia, gdy Mitchell powiedział głośno:

– Uwielbiam grać w szachy! Z kim pani grała, panno Cuthbert? Widzę tu też trzy kubki z kakao.

Podłoga kuchni zafalowała Maryli pod nogami, a potem wszystko zawirowało jej przed oczami jak moneta wyrzucona w powietrze.

– To dzisiaj, wcześniej... – Głos ledwo się wydostawał ze ściśniętego gardła. Odchrząknęła, lecz nic nie pomogło. – Grałam Z... Z...

Usłyszała ich kroki zmierzające w stronę schodów.

– Nie!

Wypuściła garnek z rąk, lecz zanim zdążyła rzucić się w stronę holu, otworzyły się drzwi frontowe. Do środka wpłynęło mroźne powietrze, a wraz z nim – światło księżyca.

## XXXIV

### Przyjaciel bliższy niż brat

Jan! Po raz kolejny, a właściwie jak zawsze, znalazł się przy niej, aby pomóc. Maryla nigdy w życiu nie czuła się szczęśliwsza na widok kogokolwiek. Trzymał wycelowany w nich karabin gotowy do strzału.

– Szanowni panowie, a cóż to za sprawę macie do panny Cuthbert?

Łowca głów stojący obok Mitchella zrobił krok do przodu, a pozostali zgromadzili się za nim, lecz Mitchell powstrzymał wszystkich uniesioną dłonią. Żaden z mężczyzn nie miał broni przygotowanej do strzału, więc Jan, mimo ich liczebnej przewagi, mógł oddać jeden śmiertelny strzał, zanim mieliby szansę odpowiedzieć ogniem.

– Uspokójmy się wszyscy – odezwał się Mitchell. – Nie chcemy kłopotów, proszę pana.

– To, co do tej pory zrobiliście, świadczy o czymś wręcz odwrotnym. – Jan wycelował karabin prosto w pierś Mitchella. – Najwyraźniej nie jest pan stąd, więc może nie zna pan obowiązującego u nas prawa. Wdzieranie się do cudzego domu w nocy to pogwałcenie naszego kodeksu karnego. Mam pełne prawo zastrzelić pana i jego kompanów tylko z tego powodu, że stoicie tu, gdzie stoicie.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Czy mam przyjemność z panem Cuthbertem? Bo jeśli nie, to ten dom nie jest pańską własnością,

a zatem jeśli pan mnie zastrzeli, to będzie zwykłe morderstwo.

– Nie będzie, o ile właścicielka udzieli mi zezwolenia.

– Udzielam! – zareagowała natychmiast Maryla.

Mitchell uniósł obie ręce, znacznie wyżej niż poprzednio.

– Przepraszamy za wszelkie niedogodności, panno Cuthbert. Przyjechaliliśmy jedynie po to, by odszukać zbiegłych niewolników na zlecenie pana Laurensa z plantacji Cottage Point w Karolinie Południowej. Jesteśmy prostymi ludźmi, działającymi zgodnie z prawem, tak jak i wy.

– Mówiłam już wam, że nie ma tu nikogo oprócz mnie – oznajmiła Maryla.

– Słyszeliście, co powiedziała? – Jan wskazał im drzwi długą lufą. – Nadszedł czas, żebyście wybrali się w drogę powrotną i opuścili Zielone Wzgórze i całe Avonlea.

Mitchell uchylił kapelusza.

– Cóż, w takim razie ruszajmy do Charlottetown, dokąd, według słów panny Cuthbert, udała się jej ciotka. Sprawdźmy, czy ten jej niewolnik ma jakieś informacje, którymi chciałby się z nami podzielić.

– To wolny człowiek, sprzedawca w jej sklepie i administrator – sprostowała Maryla.

Mitchell uśmiechnął się krzywo.

– Czarny to czarny, panno Cuthbert. Żaden papier tego nie zmieni.

Po plecach Maryli przeszedł dreszcz.

– Ruszać się! – Jan znów machnął lufą karabinu.

Mężczyźni wyszli przez drzwi frontowe, zeszli po schodkach ganku i wskoczyli na konie, cały czas na muszce Jana.

– Miło było panią poznać, panno Cuthbert! – rzucił Mitchell, po czym zaklął pod nosem, a potem tak mocno spiął konia, aż biedne zwierzę kwiknęło z bólu i skoczyło z miejsca galopem. Jego czterech kompanów ruszyło za nim.

Jan i Maryla stali na ganku jeszcze długo po tym, kiedy tętent

kopyt ucichł w oddali, skryci w ciemnym, zimnym powietrzu nocy. Marznące krople potu na ich brwiach lśniły w świetle księżyca. Maryla nie zdawała sobie sprawy, że cała się trzęsie, dopóki Jan nie objął jej ramieniem i nie skierował z powrotem do domu. Wtedy dopiero porzuciła udawany spokój. Wtuliła się w jego pierś, a on delikatnie oparł policzek na jej głowie i otoczył ją ramionami. Przycisnęła ucho do jego serca i słuchała cichego, równomiernego bicia. Żadnych wspomnień z przeszłości. Żadnych obaw o przyszłość. Tylko odgłos uderzeń, wybijający rytm wpływających sekund: te-raz, te-raz, te-raz.

– Już dobrze! – szeptał, a jego oddech muskał czoło Maryli. – Chodźmy do środka, zanim złapiesz przeziębienie.

Ruszyła z miejsca tylko dlatego, że ruszył on, oparta na nim całym ciężarem ciała.

– S-skąd wiedziałeś, że cię potrzebuję? – spytała, szczękając zębami.

Jan zaprowadził ją przed kominek i rozcierał jej ramiona, aż się rozgrzała.

– Od Małgorzaty. Widziała obcych, którzy przejechali obok jej farmy, kierując się prosto na Zielone Wzgórze. Tomasz akurat wyjechał do Spencervale, więc wysłała Roberta po mnie. Wiedziała, że o tak późnej porze ci ludzie, kimkolwiek byli, mogli zwiastować jedynie kłopoty.

Maryla skinęła głową, wciąż otoczona jego ramionami. Najchętniej zostałaaby w nich tak długo, jak się da, lecz nagle sobie przypomniała...

– Chłopcy! – zawołała.

Pobiegła po schodach na górę tak szybko, jak tylko dała radę. Jan biegł za nią. Wpadła do pokoju z kącikiem do szycia i odrzuciła wieko kufra.

– Abraham! Al!

Spomiędzy zwojów materiału wygrzebały się dwie drobne, ciemne figurki i dwie pary najpiękniejszych, najbardziej

rozpromienionych oczu, jakie kiedykolwiek widziała. Maryla chwyciła chłopców w objęcia, aż wszyscy troje stuknęli się lekko głowami.

Jan stał nieco z boku i zdumiał się na widok tej scenki.

– To pan Jan Blythe – wyjaśniła chłopcom Maryla. – Przegonił złych mężczyzn.

– I już ich nie ma? – Łzy zaczęły płynąć po twarzy Ala.

– Nie ma, synu. – Jan położył mu rękę na ramieniu. – Nie ma.

Abraham spojrzał na karabin, który Jan wciąż trzymał w dłoni, i spytał:

– Zostaniesz z nami?

– Tak.

Wtedy Abraham przyciągnął do siebie brata i mocno przytulił. Złączyli się jak dwa ogniwa łańcucha.

Chłopcy bali się iść spać bez Maryli i Jana, a prawdę mówiąc, Maryla nie zasnęłaby i bez chłopców, i bez niego w pobliżu. Przyniosła poduszki i kołdry do pokoju z kącikiem do szycia. To było najbezpieczniejsze miejsce, w razie gdyby mężczyźni wrócili. Chłopcy mogliby znów szybko się ukryć.

– Nie mogę spać – szepnął Al do brata. – Momma opowiada nam bajki, kiedy piaskowy dziadek nie chce przyjść.

– Nie pamiętam teraz żadnej. – Abraham położył rękę na plecach brata.

– Psze pani, a pani zna jakieś?

– Hm... Sama nie wiem, czy uda mi się przypomnieć sobie jakąś w całości... – Marylę aż skreśliło w żołądku na widok zmęczonych, pełnych łez oczu Ala. – Kiedy byłam mała, panna Izzy czytywała mi wierszyki na dobranoc. To były szczęśliwe historyjki, dzięki którym czas szybciej mijał. Chcecie posłuchać jakiejś?

Chłopcy równocześnie kiwnęli głowami.

Maryla od lat nie wspominała wierszyków na dobranoc.

– Mój ulubiony nosił tytuł *Gwiazdka*. – Odchrząknęła. – „Migaj,

migaj, gwiazdko mi, Prowadź mnie przez piękne sny. Hen, wysoko, gdy świat śpi...”. – Zamilkła, z trudem próbując przypomnieć sobie dalsze słowa.

– „...Jak diament gwiazdny lśniesz” – dopowiedział Jan.

– Zna pan ten wierszyk, psze pana? – szepnął Al.

Zanim dokończyli mówić wiersz, chłopcy zapadli w mocny sen; oddychali równo i głęboko. Al zwinął się jak kociak pod pachą Jana. Głowa Abrahama opadła na kolana Maryli. Jego usta były otwarte tak szeroko, że przypominały księżyc w pełni. Maryla pomyślała sobie, jak bardzo podobny był we śnie do małego Hugonka. Wsunęła mu pod brodę puchową kołdrę, a kiedy podniosła wzrok, spostrzegła obserwującego ją Jana. Uśmiechnął się. Ona też się uśmiechnęła. Wydawało się, że połączył ich niewidzialny strumień myśli, i Maryla znowu zaczęła się zastanawiać, czy to nie mogło się skończyć tak jak tu i teraz. Mieliby własną rodzinę...

Ten obraz sprawił, że poczuła się, jakby przekroczyła krawędź niewidzialnego klifu i runęła w dół, a potem uniosła się w górę lekko jak ptak.

– Dziękuję ci, Janku! – szepnęła.

Jego oczy błyszczały w ciemnościach od niewypowiedzianych myśli, a ona wiedziała, że może już nigdy nie mieć okazji, żeby wypowiedzieć swoje. Lecz wypowiedanie słów miłości nie leżało w naturze Cuthbertów.

– Byłeś zawsze najprawdziwszym... najdroższym moim przyjacielem.

Jan nawet nie mrugnął. Jego błyszczące oczy zajaśniały radością.

– A ty moim.

Oczy same się zamykały Maryli. Nie miała siły dłużej opierać się zmęczeniu. Zasnęła uśpiona strofami wierszyka, które towarzyszyły jej, gdy zapadała w mrok:

*Jasne słońko zaszło już,  
Sen się skrada, jest tuż, tuż,  
Migaj, gwiazdko, całą noc,  
Pokaż swą iskrzącą moc.*

## XXXV

# Poranek pełen nieoczekiwanych zdarzeń

Maryla obudziła się, wystraszona rzeniem koni. Skoczyła na równe nogi i dopiero po chwili zorientowała się, że nikogo oprócz niej nie ma w pokoju. To, co wydawało jej się głową Abrahama wtuloną w jej bok, okazało się poduszką. Jan i chłopcy zniknęli. Zaniepokojona Maryla podeszła do podestu schodów. Poczula zapach kawy i usłyszała dochodzący z dołu odgłos przyciszonej rozmowy.

– Janku? – zawołała.

Żadnej odpowiedzi. Przeszła na drugą stronę korytarza, do pokoju Izzy od wschodu, gdzie mogła wyrzeć przez okno na drogę przez nagie gałęzie wiśni. Zobaczyła tam Jana, który stał obok ich konia zaprzęzonego do sań, w których siedzieli Mateusz, Izzy i pan Meachum.

Maryla przyłożyła stuloną dłoń do zalanego słonecznym światłem okna, wdzięczna Bogu za poranek. Tafla szkła zaparowała pod jej dotykiem, oczy zaszyły łzami szczęścia. Osuszyła powieki, przygładziła włosy i ściągnęła je w kok z tyłu głowy, zanim zeszła na dół.

– Nasz łącznik otrzymał informacje o łowcach niewolników podążających w stronę Zielonego Wzgórza – wytłumaczyła jej Izzy. – Mateusz jechał całą noc, żeby uniknąć spotkania z nimi

w Charlottetown i wrócić do ciebie.

Jan zdążył umyć kuchnię i garnek po wczorajszej zupie oraz przyrządzić śniadanie, kiedy Maryla jeszcze spała. Chłopcy siedzieli już przy parujących miseczkach gorącej owsianki. Maryla nie jadła nic od wczorajszego poranka, lecz wciąż nie odczuwała głodu. Jej żołądek był w stanie przyjąć tylko kawę, której Jan zaparzył na szczęście pełny dzbanek. Izzy i Maryla usiadły za kuchennym stołem z chłopcami, a mężczyźni stanęli na straży.

– Uratowałeś życie moim wnukom. Pozostanę na zawsze twoim dłużnikiem – rzekł do Jana pan Meachum.

– Nic podobnego! My tutaj kierujemy się zupełnie innymi zasadami niż nasi sąsiedzi z Południa. Abegweit. Taką nazwę nosiło kiedyś to miejsce. Pewna wiedźma, kobieta, która wie wszystko, nazwała to miejsce krainą narodzin nowego życia, gdzie ludzie o każdym kolorze skóry oraz zwierzęta wszystkich barw sierści wieść będą życie wolni i szczęśliwi. Staram się nigdy o tym nie zapominać.

Słowa Maryli, zapisane tak dawno temu, zdawały się wciąż aktualne. Przypominały, że kiedyś doszła do głosu, i ten głos wciąż pozostawiał wszystkim prawo wyboru w przyszłości.

– Abegweit! – powtórzył pan Meachum. – Jak to pięknie brzmi!  
– Zwrócił się do Abrahama i Ala. – Od dzisiaj w rozmowach o Zielonym Wzgórzu będziemy używać nazwy Abegweit!

– Taka sekretna nazwa jak Kanaan? – spytał Abraham.

– Nazwy Kanaan, Ziemia Obiecana, używamy w Kolei Podziemnej, kiedy mówimy o Kanadzie – wytłumaczył pan Meachum.

– Panna Cuthbert to pasterz w pociągu Dobrej Nowiny? – spytał Al.

– Tak, mniej więcej.

– Wiedziałem! – Al pacnął w stół łyżką, którą jadł owsiankę. – Od zaraz, kiedy tu przyjechaliśmy! Dom panny Maryli to

prawdziwy wymarzony przystanek kolei!

Maryla musiała się uśmiechnąć. Całkiem przyjemnie było myśleć o domu w ten sposób, nawet jeśli tylko w marzeniach.

Nagle ich uszu doszło gwałtowne łomotanie do tylnych drzwi domu i wszyscy zerwali się zza stołu na równe nogi.

– Panno Cuthbert... eee... Marylo?! Janku?!

Drzwi się otworzyły. To była Kitty, ubrana w spódnicę i buty do konnej jazdy. Zmęczonego konia przywiązała do słupka w ogrodzeniu. Parował i wydychał kłęby pary w chłodne powietrze poranka. Maryla musiała przyznać, że dziewczyna jest niezwykle odważna.

– Chwała Najwyższemu! – Kitty objęła Marylę. – Całą noc nie zmrużyłam oka!

W tym momencie spostrzegła męża. Wypuściła Marylę z objęć i podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała. Maryla nagle uzmysłowiła sobie – choć po wczorajszych wyznaniach poczuła się wreszcie wolna – że poczuła ukłucie zazdrości.

– Mężu! – W głosie Kitty brzmiała bezmierna ulga.

– Nic mi nie jest. Zdążyłem akurat na czas.

Jedną ręką obejmując męża w pasie, Kitty odwróciła się do pozostałych.

– Kiedy Robert Linde wpadł do nas z krzykiem, że grupa jeźdźców pogalopowała w stronę Zielonego Wzgórza, od razu powiedziałam mężowi, że to musi być napaść z bronią w ręku, i prosiłam, by natychmiast tam jechał. Maryla cię potrzebuje!, zawołałam. Ledwo doczekałam świtu i wyjechałam z farmy, kiedy tylko ciut się rozjaśniło. Tak się obawiałam, co tu zastanę! Mimo wszystko my też cię potrzebujemy! – Położyła rękę na brzuchu.

Jan przyglądał się jej przez chwilę.

– My? – powtórzył.

Przytaknęła w milczeniu.

– Tak prędko? – zdumiał się.

– Już ponad dwa miesiące żyjemy jak mąż z żoną. – Kitty oblała się rumieńcem. – Te sprawy nie zajmują zbyt wiele czasu.

Doprawdy? – pomyślała Maryla.

Świat wokół niej zawirował, w centralnym miejscu pozostawiając Kitty i Jana. Reszta wokół stała się niewyraźną, mało istotną plamą. Jan porwał z radości żonę na ręce, a potem postawił z powrotem tak delikatnie, jakby była porcelanową figurką. Podłoga falowała pod stopami Maryli, lecz ona wolała nie siadać, bo chyba nie dałaby rady znów wstać. Dziecko. Jego dziecko. Ich dziecko!

Maryla rozejrzała się dokoła, powiodła wzrokiem po twarzach tych, którzy znaleźli się w domu wybudowanym przez rodziców. We wszystkich śladach, które pozostawił czas, dostrzegła skutki swoich wyborów, które ją ukształtowały i doprowadziły do tego momentu życia. Nie mogłaby zmienić najmniejszego drobiazgu, nie wpływając na całość.

– Marylko! – Głos Mateusza wyrwał ją z rozmyślań. – Powóz pana Meachuma jest już zapakowany. Łowcy niewolników są w drodze do Charlottetown, lecz odnalezienie właściwego tropu nie zajmie im pewnie wiele czasu. Przedstawiciel Kolei już czeka na chłopców na wybrzeżu. Muszą natychmiast ruszać.

Podczas gdy pan Meachum sadowił chłopców w powozie, Jan pomógł żonie wsiąść na konia.

– Czy jazda wierzchem jest dla ciebie bezpieczna?

– Bycie przy nadziei nie czyni kobiety chorą – odrzekła Kitty.

Maryla zrobiła krok do przodu i coś strzyknęło jej w kolanie. Plecy miała całe zeszywniałe od spania na twardej podłodze przez całą noc. Kitty była młodsza i silniejsza. Ich dziecko będzie ucieleśnieniem wszystkiego, co nowe i dobre. Kitty będzie kochać Jana tak, jak on na to zasługiwał.

– Dziękuję ci, Kitty! – powiedziała Maryla. – Za to, że wysłałaś do nas Jana, i w ogóle za wszystko.

Kitty się uśmiechnęła, Jan się uklonił, a potem równocześnie zawrócili konie i ruszyli w stronę swojego gospodarstwa.

Izzy stanęła u boku Maryli, znów ubrana w swoją błękitną podróżną pelerynę. Znała cierpienie niespełnionej miłości. Obie kobiety obserwowały oddalających się jeźdźców. Słońce wznosiło się już wysoko nad ośnieżonym polem pełnym śladów pozostawionych przez zwierzęta i ludzi.

– Patrz tam! – wskazała kierunek Izzy.

Na tle lasu stała pełna wdzięku, płochliwa sarna w kolorze sepii. Jej koźlę skubało igły sosny wejmutki. Maryla zaczęła obserwować zwierzęta, które z kolei obserwowały ją.

– Ścieżki natury nie zwodzą. Prowadzą ku nowemu życiu. Tam gdzie biją serca, kwitnie miłość. Musisz tylko być zawsze otwarta na nieoczekiwane dary losu, kochanie!

Izzy wzięła siostrzenicę pod rękę. Stały złączone ze sobą jak dwie pętelki haftu. Bzowy zapach pudru ciotki niósł Maryli ukojenie. Szczerze mówiąc, Maryla nie umiałaby przywołać w pamięci zapachu matki. Już nie. Znała ją tylko trzynaście lat, a ciotkę Izzy o wiele, wiele dłużej. Siostry bliźniaczki, identyczne, jak skrojone z tego samego kawałka materiału. Maryla zastanawiała się zawsze, czy ich dusza nie była zbyt wielka dla tego świata. Była tak ogromna, że pękła na pół podczas aktu stworzenia, a potem połówka, która odeszła wcześniej, wróciła, by się połączyć z drugą i znów stanowić jedną całość? Patrząc na to w ten sposób, można by dojść do wniosku, że matka żyła w Izzy. Była w niej od zawsze.

Postaci Jana i Kitty rozplynęły się w końcu w oddali jak ostatni wers bajkowej opowieści. Maryla nigdy nie zastanawiała się nad tym, co wydarzyło się później.

Izzy pochyliła się i wygrzebała spod śniegu dwa różowawe kwarcowe kamyki.

– Wprawdzie nie jesteśmy nad rzeką Hope River, ale to zupełnie wystarczy.

Przymknęła na chwilę oczy, a potem rzuciła jeden z kamyków wprost w białą przestrzeń za domem. Prześliznął się kawałek po stopionej słońcem powierzchni śniegu i zatrzymał. Wyglądał jak kropla atramentu strząśnięta z pióra na białą kartkę.

– Pomyśl jakieś marzenie – powiedziała ciotka i podała Maryli drugi kamyk.

Maryla wzięła go, pocierała chwilę palcami, a potem przemówiła wprost z serca, ponieważ zbyt długo milczała:

– Obym jeszcze kiedyś zaznała miłości dziecka.

– Niech się spełni – szepnęła Izzy i pocałowała ją w policzek.

I wtedy Maryla z całej siły cisnęła kamyk przed siebie, w nieskończoną biel pastwisk.

# Od Autorki

Nie pisałam tej powieści ze specjalnie wygórowanymi ambicjami. Zaczęłam zwyczajnie, od zagadkowych niedopowiedzeń – tajemnicy, skrytej w *Ani z Zielonego Wzgórza*, w rozdziale XXXVII:

*– Jaki przystojny chłopak się z niego zrobił – powiedziała w zamyśleniu Maryla. – W ubiegłą niedzielę widziałam go w kościele i wydał mi się taki wysoki, tak bardzo zmężniał. Jest niezwykle podobny do swojego ojca, gdy tamten był w jego wieku. Jan Blythe był miłym chłopakiem. Stanowiliśmy parę dobrych przyjaciół. Ludzie mówili, że to mój narzeczony.*

*Ania popatrzyła na Marylę z zainteresowaniem.*

*– Och, Marylo, co się stało? Dlaczego...[21]*

Pytanie Ani brzmiało echem w moim sercu przez całe życie: „Och, Marylo, co się stało? Dlaczego...”. Niniejsza powieść stanowi odpowiedź na to pytanie. W taki właśnie sposób wyobrażam sobie Marylę Cuthbert oraz początki farmy zwanej Zielonym Wzgórzem, zanim przybyła tu Ania Shirley o nieokiełznanej, wolnej duszyczce.

Powieść jest o tyle nietypowa, że znamy już jej zakończenie. Lucy Maud Montgomery przedstawiła nam wielki finał rodziny Cuthbertów. W opowieści zataczamy pętlę, łącząc koniec podróży z początkiem. Wyobraźcie ją sobie jako symbol nieskończoności, unoszący się przez czas i miejsca, łączący prawdę z fikcją przez

następujące po sobie pory roku. Sztuka naśladowująca prawdziwe życie.

Odkryję się przed Wami: nie jestem Lucy Maud Montgomery. Cenione i kochane przez wszystkich utwory, które po sobie pozostawiła, są wciąż dostępne i zawsze będą krążyły po całym świecie. Tę powieść napisała Sarah McCoy, czyli ja. Napisałam ją z wielkim szacunkiem dla fikcyjnej rzeczywistości, która dała mojej wyobraźni szerokie pole do działania. Pisałam, modląc się, żeby w niczym nie uchybić tamtemu światu, by z tego, co dodam od siebie, mogła być dumna jego twórczyni. Pisałam również z nadzieją, że dzięki mojej książce Czytelnicy lepiej zrozumieją Marylę, pojmą, kim była, i... zrozumieją mnie.

Aby przedstawić Marylę zgodnie z prawdą, bardzo dokładnie przestudiowałam całą serię książek o Ani z Zielonego Wzgórza. Przeanalizowałam też wszystkie dostępne materiały na temat życia Lucy Maud Montgomery, odbyłam również podróż do Kanady, na Wyspę Świętego Edwarda, śladami autorki: przeszłam ścieżkami wśród łąk, którymi chodziła, ścieżkami wśród żywicznych lasów, w których ponoć straszyły duchy, zwiedziłam otoczenie domu jej dziadków, państwa MacNeills, w którym spędziła dzieciństwo, dom jej kuzynki położony w sąsiedztwie, w którym mieści się obecnie muzeum Ani z Zielonego Wzgórza. Byłam również na farmie jej ulubionej ciotki, Annie Campbell, zwanej Srebrnym Gajem. Obserwowałam z plaży Cavendish, jak cała wyspa zaczyna płonąć w zachodzącym słońcu, osłaniałam oczy przed migotaniem powierzchni Jeziora Lśniących Wód. Spędziłam mnóstwo szczęśliwych chwil na długich rozmowach z jej krewnymi, którzy wciąż mieszkają na wyspie i prowadzą Muzeum Ani z Zielonego Wzgórza. Mogłam dotknąć miejsca jej urodzenia oraz miejsca, w którym została pochowana. Nad grobem Lucy Maud Montgomery złożyłam obietnicę jej prochom i wznosiłam modlitwy do jej duszy. Zrobiłam to wszystko, aby przedstawiona

przeze mnie historia Zielonego Wzgórza była przepełniona również i nią. Pragnęłam jej błogosławieństwa, o tak! I równie szczerze jak ona kiedyś, teraz ja oczekuję błogosławieństwa jej Czytelników.

## Uwagi dotyczące przeprowadzonego przeze mnie rozeznania w bibliografii oraz mojej pracy pisarskiej

Wnikliwie przestudiowałam język miejscowy, którym musiała się posługiwać również Maryla, zwracając uwagę na nazwiska, nazwy miejsc oraz rzeczy. Są one usankcjonowane tak zwanym Zestawem kluczowych określeń, stworzonym przez Stowarzyszenie Czytelników Kanadyjskich Stojących na Straży Rzetelności Kulturowej, któremu jestem wielce zobowiązana. Musimy przecież pamiętać, że Lucy Maud Montgomery zawarła w swych powieściach fikcyjny obraz Kanady, Wyspy Księcia Edwarda oraz jej otoczenia, który ja starałam się zobaczyć moim własnym autorskim okiem: Avonlea oraz otaczające je wioski istniały jedynie na stronach powieści.

Poniżej zamieszczam listę materiałów źródłowych, do których sięgałam podczas procesu twórczego. Jestem niezmiernie wdzięczna ich autorom, pokrewnym duszom Ani z Zielonego Wzgórza.

## Cykl powieściowy o Ani z Zielonego Wzgórza[22]:

*Anne of Green Gables* (*Ania z Zielonego Wzgórza*, pierwsze wyd.

w Polsce 1911, wydawnictwo M. Arcta)  
*Anne of Avonlea* (*Ania z Avonlea*, pierwsze wyd. w Polsce 1924, tłum. Rozalia Bersztajnowa, wyd. B. Rudzki)  
*Anne of the Island* (*Ania z Wyspy*, tłum. Janina Zawisza-Krasucka, Warszawa, wyd. Retor 1930, inny tytuł: *Ania na Uniwersytecie*, wyd. 1957)  
*Anne of Windy Poplars* (*Ania z Szumiących Topoli / Ania z Szumiących Wierzb*, pierwsze wyd. w Polsce 1959 r.)  
*Anne's House of Dreams* (*Wymarzony dom Ani*, pierwsze wyd. w Polsce 1931, tłum. S. Fedyński, Wydawnictwo Retor)  
*Anne of Ingleside* (*Ania ze Złotego Brzegu*, pierwsze wyd. w Polsce 1989)  
*Rainbow Valley* (*Dolina Tęczy*, pierwsze wyd. w Polsce 1932, tłum. Janina Zawisza-Krasucka, Wydawnictwo Retor)  
*Rilla of Ingleside* (*Rilla ze Złotego Brzegu*, pierwsze wyd. w Polsce 1970).

### Pozostałe materiały:

Lucy Maud Montgomery, *The Annotated Anne of Green Gables*, pod redakcją Wendy Elizabeth Barry, Margaret Anne Doody oraz Mary E. Doody Jones  
Nancy Rootland, *Anne's World, Maud's World: The Sacred Sites of L. M. Montgomery*  
Greg Marquis, *In Armageddon's Shadow: The Civil War and Canada's Maritime Provinces*  
Jim Hornby, *Black Islanders*  
Harvey Amani Whitfield, *Blacks on the Border: The Black Refugees in British North America, 1815–1860*  
Karleen Bradford, *A Desperate Road to Freedom (Dear Canada)*  
Kathleen I. Hamilton, Sibyl Frei, *Finding Anne on Prince Edward's*

## *Island*

L.M. Montgomery Online, pod redakcją dr. Benjamin Lefebvre'a  
Harvey Amani Whitfield, *North to Bondage: Loyalist Slavery in  
the Maritimes*

Mary Ann Shadd Carey, *Provincial Freeman Paper*, 1854–1857

Jane Taylor, Ann Taylor, *Rhymes for the Nursery*, pierwsze  
wydanie 1806 (w Polsce wydany wiersz *Gwiazdka*  
w książeczce *Migaj, migaj, gwiazdko mała*, Patrycja Zarawska,  
Debit, 2007)

Francis W. P. Bolger, Wayne Barrett, Anne MacKay, *Spirit of  
Place: Lucy Maud Montgomery and Prince Edward Island*

Harvey Amani Whitfield, Barry Cahill, *Slave Life and Slave Law in  
Colonial Prince Edward Island, 1769–1825*, *Acadiensis* vol. 38,  
nr 2 (Summer / Autumn – Et / Automne 2009): 29–51,

*The African Canadian Legal Odyssey: Historical Essays*, pod  
redakcją Barringtona Walkera

John Murdoch Harper, *The History of New Brunswick and the  
Other Maritime Provinces*

Kevin McCabe, *The Lucy Maud Montgomery Album*, pod redakcją  
Alexandry Heilbron

*The Selected Journals of L. M. Montgomery, Vol. 1: 1889–1910*,  
pod redakcją Mary Rubin oraz Elizabeth Waterson 1985,  
w Polsce wydany jako: *Krajobraz dzieciństwa i Uwięziona  
dusza* – 1996.

---

<sup>21</sup> W przekładzie Agnieszki Kuc, Wydawnictwo Literackie, 2018.

<sup>22</sup> Na polskim rynku istnieje wiele wydań cyklu powieściowego o Ani z Zielonego Wzgórza. W nawiasach podane są najbardziej znane w Polsce tytuły z datą ukazania się pierwszego wydania.

# Podziękowania

Pisanie książki to podróż serca i umysłu. Jestem nieskończenie wdzięczna wielu ludziom, którzy stawali u mojego boku, by pomóc mi napisać tę powieść najlepiej, jak to możliwe. Dziękuję Wam wszystkim!

Rachel Kahan – nigdy nie sądziłam, że partnerski układ pomiędzy autorem a wydawcą może odmienić życie człowieka... dopóki nie poznałam Ciebie. Dziękuję Ci za wiarę, którą we mnie pokładałaś, jeszcze zanim sama zdążyłam się zorientować, co wyrosnie z dopiero co zasianych ziaren tej historii. Jako osoba wierząca w boską interwencję jestem przekonana, że wszystkie ścieżki, które przeszłam w życiu, miały mnie doprowadzić do Ciebie, moja najbliższa, najserdeczniejsza przyjaciółko!

Podziękowania kieruję również ku M. J., A. i Taylorowi za niezliczone chwile radości, które przeżywaliśmy razem podczas oglądania filmów w trakcie całego procesu powstawania tej książki.

Jennifer Hart, Kelly Rudolph, Amelii Wood, Alivii Lopez oraz całemu najwspanialszemu zespołowi wydawnictwa HarperCollins za jego mistrzostwo w pracy przy tej książce, jak również Cynthii Buck, mojej redaktorce o sokolim wzroku.

Mollie Glick, mojej agentce i literackiej partnerce. Zahartowane w ogniu, wyszłyśmy z tej walki mądrzejsze, twardsze i bardziej ze sobą zgrane niż kiedykolwiek przedtem. Dziękuję Ci, że tak o mnie walczyłaś, nigdy nie odstępując mego

boku. Uściski miłości przesyłam małym Glickom, którzy wyrastają na dżentelmenów podobnych do mężczyzn z rodziny Blythe'ów.

Emily Westcott – za to, że jest cichą bohaterką każdego dnia. Joy Fowlkes za zaraźliwy entuzjazm. Jamie Stockton za kierowanie kontaktami z całym światem, a pozostałej części rodziny CAA – za ogromne wsparcie.

Sumanowi Seewatowi oraz Melissie Brooks – kanadyjskim rodzicom chrzestnym tej powieści. Dziękuję Wam obojgu za wytrawne oko wydawcy. Wasz czas i akceptacja wiele dla mnie znaczyły.

George'u Campbell, Pamelo Campbell wraz z Towarzystwem Miłośników Ani z Wyspy Księcia Edwarda oraz wszystkimi z Muzeum Ani z Zielonego Wzgórza – dziękuję Wam za powitanie mnie w świecie Maud jak członka rodziny. Wasza wspaniałomyślność przewyższała wszystkie moje nadzieje i wszelkie oczekiwania. Czuję się zaszczycona, mając Wasze błogosławieństwo dla tej powieści oraz Waszą przyjaźń na całe życie. To dopiero początek. Modłę się, byśmy mogli pewnego dnia dostarczyć światu jeszcze więcej wieści z Zielonych Wzgórz.

Przewodnikom z Muzeum Dziedzictwa Kulturowego Zielonego Wzgórza za odpowiedzi na wszystkie moje pytania oraz za to, że mogłam pozostawać w muzeum po zamknięciu, kiedy nie było tam już nikogo oprócz mnie, mojej mamy i wspomnień o Maud na ganku. Szczególne podziękowania dla Jacqueline i Emily ze Wzgórza na Wyspie Księcia Edwarda za to, że robiły, co w ich mocy, a nawet jeszcze więcej, jako moje gospodynie w okresie, gdy ukrywałam się na Wyspie.

Dozgonną wdzięczność winna jestem wszystkim moim przyjaciołom, którzy wysłuchiwali mnie z pełnym zrozumieniem, ośmielając mnie do pokonywania kolejnych przeszkód oraz podejmowania kolejnych wyzwań, którzy dzielili ze mną radości literackiego żywota. Jesteście z tego samego

plemienia:

Sue Monk Kidd za przeczytanie niezredagowanego jeszcze manuskryptu; Susannie Kearsley, historyczce specjalizującej się w polityce Kanady, służącej mi zawsze pomocą w nagłej potrzebie; Pauli McLain, mojej duchowej siostrze, za to, że rozsyła wokół nitki miłości jak bezustannie kręcący się kołowrotek; Jennie Blum, mojej bliźniaczej siostrzanej duszy, za to, że tak pięknie jest sobą; Melanie Benjamin, za to, że trwała przy mnie jak najlepsza przyjaciółka przez okrągły rok pobytu w Chicago; M. J. Rose za chwile pełne radości; Lisie Wingate – za ważki z jej powieści – na zawsze; Darenowi Wangowi – pierwowzorowi Maryli w męskiej postaci. Jestem również niezmiernie wdzięczna przyjaciołom, którzy podtrzymywali mnie na duchu humorem, herbatą oraz bezustannym wsparciem: Christinie Baker Kline, Jane Green, Caroline Leavitt, Sandrze Scofield, Therese Walsh, Karen White oraz Alli Pataki – a to tylko część z nich.

Byłabym nikim bez całych armii księgarń, klubów książki oraz czytelników – niniejszym z głęboką wdzięcznością oddaję się w ich ręce. Za pomoc bez granic muszę podziękować następującym osobom: Carol Schmiedecke, najprawdziwszej pokrewnej duszy, wirtuożce życia i twórczości L.M. Montgomery; boskiej Jennifer O'Regan redagującej blog „Confessions of a Bookaholic”; mojej honorowej rodzinie z radiowego talk-show *Reading with Robin*: Robinowi Kallowi i Emily Homonoff; pięknym dziewczynom z księgarni Bookmarks NC: Beth Buss, Ginger Hendricks i Jamie Southern; Susan McBeth oraz Kennie Jone z firmy Adventures by the Book organizującej spotkania autorów książek z całego świata z czytelnikami w USA; mojej radiowej rodzinie z Winston-Salem North Carolina Radio oraz Jimowi Steele za to, że jest czadowym starszym bratem, którego nigdy nie miałam: nasze audycje na żywo *Bookmarked with Sarah McCoy* w radiu WSNC to jedne z moich najulubieńszych

chwil w miesiącu. Mojej najbliższej na świecie Christy Fore i jej najbliższej na świecie JC Fore oraz moim nieomal-siostrzenicom Kelsey Grace i Lainey Faith. Odrobinę każdej z Was zawsze będę nosić – ukryte jak w medalionie – w swoim sercu.

Mojej Pierwszej Przenajlepszej Przyjaciółce na Wieki (PPPW) Andrei Hughes oraz najukochańszym Abigail i Alice Hughes. Obiecałam Wam coś przy herbatce pewnego czerwcowego dnia. Dotrzymuję słowa. Mam nadzieję, że ucieszy Was, gdy odnajdziecie cząstkę Was samych w Zielonym Wzgórzu, która zostanie tam już na zawsze.

Doktor Eleane Norat McCoy, której tę książkę zadedykowałam i której zawdzięczam najwięcej. Dla kogóż miałyby być ta historia Maryli, jak nie dla Ciebie? To Ty, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką, przedstawiłaś mi świat Zielonego Wzgórza Lucy Maud Montgomery. To Ty towarzyszyłaś mi w podróży przez wyimaginowany świat i czasy stworzone przez autorkę serii powieściowej o Ani. To z Tobą zwiedziłam po raz pierwszy Wyspę Księcia Edwarda. Nasz wspólny krótki tam pobyt w październiku 2017 roku przeszedł moje najśmielsze oczekiwania i najsukrytsze marzenia. Twoje głębokie przemyślenia, przenikliwe spojrzenie pierwszego czytelnika oraz podzielane przez nas obie spojrzenie na prawdziwą duszę dzieła Lucy Maud Montgomery stały się nieocenionym przyczynkiem do wykreowania postaci Maryli Cuthbert. Wszystko, co robisz, stanowi dla mnie inspirację do dalszego działania.

Moim mężczyznom z rodu McCoyów: Curtisowi, Jasonowi oraz doktorowi Andrew McCoyowi – dziękuję Wam za Waszą niezłomną miłość do kobiet z naszej rodziny, dziękuję za to, że nieugięcie nas wspieraliście i traktowaliście nasze pasje z szacunkiem, jakby były Waszymi własnymi. Andrew, mieszkałeś razem ze mną w Chicago, kiedy przeżywałam najgorsze chwile w ferworze walki z tekstem, więc to Tobie ślę szczególne podziękowania za obdarowywanie mnie śmiechem

i dodawanie odwagi nawet wtedy, kiedy padła klimatyzacja, zalało piwnicę, a całe życie zdawało mi się tak pełne niepewności, że nie mogłam powstrzymać łez. W czasach, kiedy rozpaczliwie potrzebujemy większej liczby mężczyzn wyrozumiałych i z wyobraźnią, dziękuję Wam za to, że byliście moimi trzema białymi rycerzami – a może raczej czarnymi, jak w mojej książce.

Moim *abuelitos* Marii i Wilfredowi Noratom – pozostawione przez Was dziedzictwo to bastion miłości. *Te amo con todo mi corazón y alma. Bendiciones y besitos por siempre.*

*Titi* Ivonne Tennent oraz cioci Glorii O'Brien – żeby napisać powieść o jednej z najwspanialszych cioć w literaturze, musiałam znać miłość kobiet, które wychowały mnie jak własną córkę. Dziękuję Wam obu za to, że dałyście mi poznać niewiarygodną, cudowną naturę matczynych serc. Jestem dzisiaj tym, kim jestem, tylko dzięki Waszym chroniącym mnie, zawsze pełnym łaskowości dłoniom, o czym nigdy nie wątpiałam.

Mojemu mężowi Brianowi Watermanowi (vel Doc B) – kiedy zaczęłam pisać tę książkę, nie miałeś pojęcia, kim są Maryla Cuthbert czy Ania Shirley, lecz mimo to entuzjastycznie wymachiwałeś transparentami ze słowami wsparcia dodającymi odwagi: Dziobem do przodu, nie rufą!, oraz wierzyłeś we mnie całkowicie, gdy popadałam w czarną rozpacz i moja wiara w siebie słabła. Siedziałeś nawet dzielnie u mego boku, oglądając całą telewizyjną wersję *Ani z Zielonego Wzgórza* w postaci wieloodcinkowego serialu z lat 1985–87 – i bawiłeś się przy tym świetnie. Oto prawdziwy mężczyzna! Nie zmieniałabym ani zgłoski w życiu, które razem zbudowaliśmy. Ciągłe wysiłki i zmienianie kształtu naszych marzeń przez minione lata sprawiły, że pokochałam Cię o wiele, wiele mocniej, niż mogłam przewidzieć, mając lat siedemnaście.